

**suzanne young**

# EPIDEMIA

**PROGRAM** część 0,5

Feeria  
young

**suzanne young**

# EPIDEMIA

**PROGRAM** część 0,5

**Przekład: Andrzej Goździkowski**

Feeria  
WYDAWNICTWO  
young

# Spis treści

## Część I

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

## Część II

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

## Część III

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Epilog

Dedykuję Brandi – ta książka jest dla naszych babć: Josephine Parzych i Mary Cavallaro

# Część I

## Everything in its Wrong Place <sup>1</sup>

1. Nawiązanie do tytułu piosenki Radiohead. [\[wróć\]](#)



## Rozdział pierwszy

Całe moje życie to jedno wielkie kłamstwo. To, za kogo siebie uważałam, było niczym więcej jak tylko zręcznie opowiedzianą historyjką o dziewczynie, która już od dawna nie żyła. Dowiedziałam się o tym dopiero niedawno i od tamtej pory nie jestem niczego pewna. Kiedy tamta dziewczyna umarła, miałam zastąpić ją tylko na trochę. Tymczasem jednak straciłam własną tożsamość. Nie pamiętam mojego prawdziwego imienia, nie wiem, jaka była moja prawdziwa rodzina. I pomyśleć, że wierzyłam, że to ja jestem prawdziwą Quinlan McKee.

Teraz już wiem, że jestem nikim.

Kiedy autobusem zarzuciło na jakimś wyboju, szyby w jego oknach zadzwoniły, a ja podskoczyłam na fotelu. W zapadającym za oknami mroku wszystko stawało się niewyraźne. Czułam mrowienie w palcach, usta miałam odrętwiałe, a skórę pokrywał mi zimny pot. Chyba dalej byłam w szoku.

Obok mnie siedział Deacon ze słuchawkami w uszach. Musiał słuchać muzyki bardzo głośno, bo dźwięki dochodziły do mnie całkiem wyraźnie. Znajdowaliśmy się w autokarze wiozącym nas do Roseburga w stanie Oregon. Ta podróż była zupełnie nieprzemyślana i spontaniczna, lecz miała wysoką stawkę – zależało od niej, czy wreszcie dowiem się, kim naprawdę jestem. Przed chwilą odkryłam jednak coś, co wyrzuciło cały mój plan do góry nogami. Nie wiedziałam już, co nas czeka. Jeszcze dwadzieścia minut wcześniej sądziłam, że nareszcie dogadaliśmy się z Deaconem i znaleźliśmy sposób na bycie razem mimo wszystkich kłamstw, z których składało się moje życie. Jednak te dwadzieścia minut było przyspieszoną lekcją życia, która pozbawiła mnie złudzeń.

Spojrzałam na Deacona, szukając w jego twarzy śladu niecznych intencji. Zobaczyłam jednak tylko piwne oczy, które, jak wiedziałam, czasami spoglądały tak przenikliwie, jakby umiały przejrzeć moją duszę na wylot. Widziałam usta o perfekcyjnym kształcie i wyraziście zarysowaną szczękę. Znałam tę twarz na pamięć, mogłabym rozpoznać ją samym dotykiem. Deacon spoglądał prosto przed siebie i kiwał lekko głową w rytm muzyki. Nic w zachowaniu mojego towarzysza nie zdradzało jego prawdziwych intencji. Nagle poczułam się przez niego zdradzona, musiałam się odwrócić. Wychodziło na to, że wszystkie moje znajomości też były kłamstwem.

Odwróciłam się do okna, żeby nie okazać przepełniających mnie emocji. Ten dzień przyniósł szereg straszliwych odkryć, po których to ostatnie było po prostu kolejnym elementem czarnej serii. Miałam wrażenie, że całe zło, które się na mnie zważyło, dokonało w moim sercu nieodwracalnych zniszczeń. Kiedy dowiedziałam się, że nie jestem tym, za kogo się uważałam, nadal mimo wszystko miałam kogoś, komu mogłam zaufać – Deacona. Dwadzieścia minut temu zmieniło się również to, gdy na jego komórce odczytałam wiadomość o treści: „Odnalazłeś już ją?”.

Wiadomość taką mogło wysłać kilka osób, przy czym żadna z nich nie powinna wiedzieć, gdzie

przebywam. Ilekroć próbowałam racjonalnie wytłumaczyć sobie tego SMS-a, uderzał mnie na nowo oczywisty fakt: Deacon faktycznie to zrobił, odnalazł mnie. Czekał na mnie, kiedy dotarłam na stację, ponieważ dokładnie wiedział, jaki będzie mój następny krok. Nikt nie znał mnie lepiej niż on. I właśnie to czyniło mnie tak łatwym celem. Każdy sobowtór wie, że najbardziej skuteczną bronią w manipulacji są zaufanie i miłość.

Deacon i ja byliśmy sobowtórami, zawodowo zajmowaliśmy się odczytywaniem i naśladowaniem ludzkich emocji. Przez wiele lat dobrowolnie odgrywałam role nieżyjących dziewczyn, aby pomóc ich rodzinom uporać się z żałobą. Byłam lekiem na ich cierpienie, naczyniem, do którego mogli przelać swoje łzy. Nie miałam jednak pojęcia, że również ja sama w prywatnym życiu byłam tylko sobowtorem pewnej nieżyjącej dziewczyny. Prawdziwa Quinlan McKee umarła w wieku sześciu lat. Wtedy doktor Arthur Pritchard zaproponował, żebym to ja odegrała jej rolę. Propozycję tę złożył mojemu... ojcu.

Zamknęłam oczy, przeklinając się za sentymentalizm. *Przestań myśleć o tym mężczyźnie jak o swoim ojcu*, strofowałam się w myślach. Tom McKee nie był moim biologicznym tatą.

Na niewiele się to zdało – na myśl o tym, że już go nie zobaczę, zbierało mi się na płacz. W końcu przecież ten człowiek na swój sposób przez wiele lat był dla mnie jak ojciec. To on mnie wychował i nic nie mogło tego zmienić, nawet to, że przez cały ten czas mnie okłamywał. Kiedy byłam jeszcze mała, czesał mi włosy i przygotowywał jedzenie. Razem oglądaliśmy filmy i, oczywiście, razem trenowaliśmy, żebym lepiej sprawdzała się w pracy dla wydziału żałoby. Moim zadaniem było pomóc mu przewyciężyć żałobę po stracie córki. Trzymał mnie przy sobie, ażeby nie doświadczać cierpienia po jej śmierci, a odwdzieczył mi się za to, raniąc mnie. Jednak mimo wszystko był moim tatą.

W pewnym momencie poczułam na dłoni muśnięcie palców Deacona. Zaskoczona uniosłam wzrok i napotkałam jego spojrzenie. Niesamowite, że ten chłopak prawdopodobnie zdradził mnie w jeszcze większym stopniu niż wszyscy inni, a mimo to w jego twarzy nie mogłam dopatrzeć się niczego, co by tę zdradę potwierdzało.

– Wszystko gra? – spytał Deacon, wyjmując z uszu słuchawki.

Odczekałam chwilę, po czym przywołałam na usta smutny uśmiech. Postanowiłam, że muszę odnaleźć jakąś rysę w jego nieprzeniknionej masce.

– Tak – odparłam. – Myślałam o tacie.

Na wspomnienie mojego ojca Deacon skrzywił się, chcąc w ten sposób dać do zrozumienia, że mi współczuje. Odszukał moją dłoń i lekko ją uścisnął, żeby dodać mi otuchy.

– Nie rób tego – poradził. – Nie jest tego wart.

Miał rację, lecz w kontekście SMS-a, którego u niego podpatrzyłam, zakrawało to na ironię. Przyjrzałam się naszym splecionym dłoniom – wydawały się tak doskonale dopasowane. *Jest mój*, pomyślałam, czując ból w sercu. *Przecież zawsze był mój, czyż nie?*

Ile jednak razy Deacon mnie okłamał? Od jak dawna mną manipulował?

A najważniejsze pytanie, jakie nie dawało mi spokoju, brzmiało: *Kto wysłał do niego tego SMS-a?*

– Pamiętasz, jak już raz próbowaliśmy uciec? – spytał, opierając skroń o zagłówek fotela i spoglądając na mnie pełnym miłości wzrokiem. Jego rozmarzone spojrzenie niemal wystarczyło, żeby zupełnie mnie obezwładnić.

– No właśnie, „próbowaliśmy”. I nie udało nam się.

– Ale całkiem nieźle nam szło – roześmiał się Deacon. – Zdążyliśmy dotrzeć do podjazdu pod domem, zanim zobaczył nas twój tata. To wtedy stchórzyłaś. Nigdy nie uciekliśmy dalej niż wtedy. Aż do teraz. Ale tym razem nic już nas nie zawróci, prawda?

– Rzeczywiście – przyznałam, spoglądając znów na nasze splecione dłonie.

Gładził mnie kciukiem po wewnętrznej stronie nadgarstka, od czasu od czasu zatrzymując palec w miejscu, gdzie najlepiej wyczuwalny był puls. Na chwilę dałam się porwać tej pieśszczocie. W końcu jednak przyszło otrzeźwienie – przecież w ten sposób Deacon mógł na bieżąco śledzić bicie mojego serca. Działał niczym wykrywacz kłamstw.

Nie byłam wystarczająco ostrożna. Nie chroniłam siebie tak, jak powinnam, mimo że ojciec ostrzegł mnie, że wydział żałoby będzie chciał mnie dopaść. Zapowiedział, że nie pozwoli mi uciec, ponieważ mieli wobec mnie plany – miałam pracować dla tej organizacji w innej roli. Nie wiedział tylko, na czym owa rola miałaby polegać. Niewykluczone, że SMS, który otrzymał Deacon, miał z tym jakiś związek.

– Co jest? – spytał chłopak, mrużąc podejrzliwie oczy. – Wiem, że twój tata okazał się skończonym dupkiem, ale chyba gryzie cię coś jeszcze?

– Po prostu dzieje się za dużo naraz – powiedziałam, starając się nadać swojemu głosowi możliwie najbardziej naturalne brzmienie. Jak gdyby nigdy nic cofnęłam rękę, przecesałam dłonią włosy i położyłam ją na kolanie. Deacon zrobił to samo, jednak w żaden sposób tego nie skomentował. Po chwili dodałam: – Nie wiem, co zastaniemy w Roseburgu.

Tam, dokąd podążaliśmy, spodziewałam się odnaleźć doktora Arthura Pritcharda oraz jego córkę Virginie. Moje motywy do podjęcia tej podróży były złożone – ponieważ Virginia miała pewien związek z moim ostatnim zleceniem, czułam się zobowiązana do sprawdzenia, jak sobie radzi; przede wszystkim jednak interesował mnie Pritchard. Mój ojciec uważał, że Arthur jako jedyny jest w stanie nakłonić wydział żałoby, by przestał mnie nękać. Co więcej, miał świadomość, kim tak naprawdę jestem. Być może był jedynym człowiekiem znającym moją prawdziwą tożsamość.

Wiedziałam, że zanim go odszukam, muszę za wszelką cenę uniknąć schwytania przez wydział. Nie wiedziałam, do czego są zdolni pracujący dla niego ludzie. Wiedziałam za to, że ma on też inne zadania poza leczeniem żałoby – angażował się w tuszowanie niewygodnych faktów i nie cofał się przed żadnym kłamstwem. Mój ojciec wyraźnie bał się tych ludzi. Moja doradczyni, Marie, uciekła z miasta, żeby nie wpaść w ich ręce. A ja nie wiedziałam nawet, z czym tak naprawdę się mierzę. Potęgowało to tylko mój strach.

A teraz tkwiłam w autokarze z człowiekiem, którego kochałam, a który najprawdopodobniej był moim wrogiem. A może po prostu popadałam w paranoję? Choć przecież z drugiej strony całe moje

dotychczasowe życie nią było. W innych okolicznościach mogłabym poczekać, aż wydział uzna, że pora wymienić mnie na innego sobowtóra, ale doskonale zdawałam sobie sprawę, że nikt taki się nie pojawi. Byłam zdana na siebie – jak zawsze. Dlatego musiałam uciekać, licząc, że w końcu dowiem się, po której stronie tak naprawdę stoi Deacon.

Mój towarzysz umieścił znów w uszach słuchawki i westchnął ciężko, jakby był wykończony.

– Gdy tylko dotrzemy do Roseburga – powiedział, obrzucając mnie spojrzeniem – idziemy coś zjeść.

Oboje mamy ze zmęczenia nerwy napięte jak postronki.

– Umowa stoi – zgodziłam się chętnie. Po chwili za oknem mignął mi znak zapowiadający przystanek

w miejscowości Eugene. Unosząc palec, jakbym zamierzała powiedzieć coś bardzo ważnego, dodałam: –

Ale moim zdaniem nie ma co czekać. Powinniśmy przekąsić coś już w Eugene. Nie wytrzymam do Roseburga, umieram z głodu.

Marszcząc brwi, Deacon wyjrzał przez okno, żeby sprawdzić, gdzie jesteśmy.

– No nie wiem – odezwał się. – Postój nie potrwa zbyt długo.

– Jestem głodna – odezwałam się błagalnym głosem.

Chłopak zerknął szybko na tył autokaru. Widząc to, zmartwiałam z przerażenia. Wyraźnie próbował nawiązać kontakt wzrokowy z kimś siedzącym za nami. Podróżował z pomocnikiem czy tylko wyciągałam pochopne wnioski? Niestety nie miałam czasu, żeby sprawdzić, jak jest naprawdę.

– No dobra – zgodził się w końcu niechętnie. – Możemy zamówić coś na wynos. Dla ciebie wszystko.

Ostatnie słowa wypowiedział takim tonem, jakby płynęły z głębi serca. Było to z jego strony skrajnie okrutne. Przywołałam na usta uśmiech i szybko uciekłam wzrokiem w bok. Czułam się, jakby ktoś z wielką siłą uderzył mnie w pierś. Przy każdym oddechu narastał ból w żebrach. Miałam wrażenie, że serce ściska mi stalowa obręcz.

*Nie kocha cię, powtarzałam sobie w myśli. Dlatego nigdy nie zapewniał cię o swojej miłości. I dlatego nigdy tego nie robi.*

Czy była to prawda, czy nie, powtarzałam te zdania w myśli tak długo, aż poczułam, jak między mną a nim zaczyna wznosić się odgradzający nas mur. Ukryłam za nim bezpiecznie swoje prawdziwe uczucia, dokładnie tak, jak robiłam to zawsze podczas swoich zleceń. Wyobraziłam sobie, że Deacon jest moim klientem i dotyczące go zlecenie właśnie dobiega końca. Musiałam teraz wślizgnąć się z powrotem w swoje prawdziwe życie, nie zabierając ze sobą żadnych pamiątek, żadnego bagażu. Postanowiłam, że zostawię to wszystko teraz, w tym autokarze. Wszystko, włącznie z Deaconem.

Rozległ się pisk hamulców, a siła bezwładu popchnęła nas do przodu, gdy autokar zatrzymał się przy niewielkim i zatłoczonym budynku stacji. Zapaliły się wewnętrzne światła w kabinie, a pasażerowie poderwali się z miejsc i zaczęli tłoczyć w przejściu, jakby autokar miał odjechać, nie wypuściwszy ich na zewnątrz.

– Mamy tylko kwadrans – zapowiedział Deacon, po czym wyciągnął spod fotela torbę podróżną, położył ją między nami i zapiął w niej zamek. Nie sprawdził komórki, a zatem dalej nie wiedział, że

dostał SMS-a. A co ważniejsze, nie wiedział też, że go przeczytałam.

Zarzuciłam na ramiona plecak i ustawiliśmy się w kolejce osób oczekujących na wyjście. Kiedy tak czekaliśmy, ukradkiem zerknęłam na tył autokaru. Moją uwagę od razu przykuła kobieta siedząca cztery rzędy za nami. Wyróżniała się z tłumu pasażerów. Nie rozpoznałam jej, jednak sztywna, wyprostowana postawa i stoicki spokój rysujący się na twarzy podpowiedziały mi, że może być lekarzem. W pewnym momencie nasze spojrzenia się skrzyżowały – kobieta w ułamku sekundy odwróciła ode mnie ciemne oczy, byłam jednak już pewna, że pracuje dla wydziału żałoby. I że znalazła się w tym autokarze ze względu na mnie.

Z nerwów urosła mi w gardle gula. Gdybym się nie pilnowała, mogłabym zupełnie się rozkleić i wybuchnąć płaczem. Rzuciłabym się wtedy na szyję Deaconowi i zaczęła błagać go o pomoc. *Ale czy pomógłby mi?* Wyjściem byłby też powrót do domu mojego ojca, żeby dalej żyć w kłamstwie jako Quinlan McKee i pracować dla wydziału. W pewnym sensie takie rozwiązanie byłoby prostsze. Ogarnęło mnie tak wielkie przerażenie, że nie wiedziałam nawet, czy zdołam o własnych siłach wysiąść z autokaru, a co dopiero, czy podołam sama temu, co zamierzyłam.

Kiedy jednak człowiek zostaje przyparty do muru, jakimś cudem odkrywa rozwiązanie, którego się nie spodziewał. Gdy Deacon ustawił się w kolejce wysiadających i zrobił dla mnie miejsce, podziękowałam mu skinieniem głowy i zaczęłam krok za krokiem razem z pozostałymi pasażerami posuwać się ku wyjściu.

– Przepraszam bardzo – rozległ się za nami damski głos. Na jego dźwięk zamarłam. Był nieco zachrypnięty, głęboki, od razu skojarzył mi się z kobietą, którą dojrzałam przed chwilą. – Bardzo pana przepraszam.

Po chwili usłyszałam, jak któryś z pasażerów przepuszcza kobietę. Było jasne, że ona też zamierza wysiąść z autokaru.

Zbliżyłam się do stojącego przede mną biznesmena. Najchętniej precyzyjnie przycisnęłabym się obok niego i rzuciła do ucieczki. Tkwiłam jednak w kolejce, tak samo jak wszyscy pozostali pasażerowie. Słyszałam, że kobieta jest coraz bliżej mnie. Mój strach z każdą sekundą wzrastał. W pewnym momencie Deacon położył mi dłoń na biodrze, popychając mnie delikatnie do przodu.

Czując narastającą panikę, rozpaczliwie próbowałam zrozumieć sytuację, w której się znalazłam, ale wciąż natrafiałam na zbyt wiele niewiadomych. Wiedziałam, że nie zdążę uciec.

– Przepraszam, chłopcze – powiedziała kobieta. Jej głos dobiegał z tak bliska, że byłam niemal stuprocentowo pewna, że zwraca się do Deacona. Mówiła serdecznym tonem, jednak chłopak ani na chwilę nie zabrał dłoni z mojego biodra.

– Przykro mi, ale nie mam jak pani przepuścić. Wszyscy stoimy ściśnięci jak sardynki w puszcze – odezwał się Deacon.

Nie musiałam odwracać się w ich stronę – moją specjalnością było odczytywanie emocji z ludzkich zachowań, a w głosie Deacona dosłyszałam podenerwowanie. Mogłam tylko liczyć na to, że nie zna tej

kobiety i że za chwilę nie wyda mnie ludziom, przed którymi uciekaliśmy. Nadal nie mieściło mi się w głowie, że mógłby to zrobić.

*Przestań*, nakazałam sobie w myślach. Nie mogłam dopuścić, by miłość do Deacona mnie zaślepiła. Musiałam czym prędzej znaleźć jakąś kryjówkę. Stawka była zbyt wysoka, żeby ryzykować. I nawet ewentualna pomoc ze strony Deacona niewiele tu zmieniała.

W pewnym momencie wypatrzyłam jakąś starowinkę stojącą dwa rzędy przed nami. Mocowała się z walizką, ściskając w drugiej ręce laskę. Obserwowałam ją przez chwilę spod oka, a kiedy było jasne, że nikomu nie chce się jej pomóc, zaczęłam przepychać się w jej stronę.

– Przepraszam – powiedziała niegłośnie, zwracając się do stojącego przede mną biznesmena. – Chciałabym pomóc tej pani.

Mężczyzna, nie chcąc powodować zatoru, ustąpił mi miejsca i po chwili znalazłam się obok kobiety.

– Pomogę pani z tą torbą – zaproponowałam.

Staruszka zmierzyła mnie wzrokiem, a po chwili uśmiechnęła się promiennie, przez co zmarszczki wokół jej błękitnych oczu stały się głębsze.

– Dziękuję ci, złotko – powiedziała, podając mi walizkę.

Kiedy się odwróciłam, natrafiłam na utkwione we mnie spojrzenie Deacona. Na jego ustach błąkał się uśmiech, jakby był pod wielkim wrażeniem mojej uprzejmości względem starszej pani. Skinęłam głową w stronę okna, dając mu do zrozumienia, że spotkamy się zaraz na zewnątrz. Deacon wydawał się nieświadomy moich prawdziwych zamiarów. I znów powróciła myśl, że jeszcze mogę się wycofać; mogę poprosić go o pomoc. Ale w następnej chwili mój wzrok padł na kobietę stojącą za nim. W jej twarzy dostrzegłam panikę. I wtedy już wiedziałam, że muszę uciekać.

Zmusiłam się, by ta część mnie, która nadal kochała Deacona, poddała się. Czułam niemal fizycznie, jak miłość do niego opuszcza moje ciało – spływała wzdłuż moich rąk i nóg, a następnie uciekała przez palce u dłoni i stóp. Po chwili byłam zupełnie pozbawiona emocji – stałam się naczyniem gotowym na przyjęcie nowej tożsamości. Ruszyłam za staruszką, posuwając się ku wyjściu. Jeszcze niedawno łudziłam się, że rozpocynam nowy rozdział w życiu, że razem z Deaconem odkryję prawdę o mojej przeszłości. Teraz jednak wiedziałam, że nikt mi w tym nie pomoże. Nikomu nie mogłam zaufać. A czas na miłość dobiegł końca.

Miałam doświadczenie w znikaniu bez śladu, jednak wiedziałam, że tym razem nie będzie to takie łatwe. Deacon jako sobowtór był mistrzem w przybieraniu nowych tożsamości i wtapianiu się w otoczenie. W jednej ręce trzymałam walizkę staruszki, drugą zaś wsunęłam do kieszeni, żeby sprawdzić, jakie przedmioty mam przy sobie. Natychmiast wyczułam pod palcami krawędź plastikowej karty kredytowej mojego ojca. Zanim wydział żałoby powiadomi bank o jej zagubieniu i konto zostanie zablokowane, zdążę może chociaż raz z niej skorzystać. W portfelu miałam trochę gotówki, a w plecaku ciuchy na przebranie, płytę DVD, którą zostawiła mi Marie, oraz parę innych drobiazgów. Nie dysponowałam jednak niczym, co mogłoby mi się od razu przydać w ucieczce. Spojrzałam przez okno

w kierunku budynku stacji.

*Jestem w Eugene, pomyślałam. Odgrywałam tu kiedyś rolę pewnej nieżyjącej dziewczynki.*

Melanie Sanders zginęła w wieku czternastu lat w wypadku samochodowym. Jej rodzina mieszkała w pięknej starej dzielnicy. Była jedynaczką, a jej rodzice zupełnie nie mogli się pozbierać po śmierci córki. Gdy kończyłam u nich zlecenie, miałam nadzieję, że zdecydują się na kolejne dziecko. To byli tacy dobrzy ludzie.

Nadal pamiętałam układ ulic. Wiedziałam, że jeśli dostanę się do centrum miasta, na pewno znajdę tam jakąś kryjówkę. Planowałam zebrać siły przez noc, a rano się stąd ulotnić. Deacon pomyśli, że będę próbowała prysnąć z miasta od razu. Po co miałabym się tu zatrzymywać? Liczyłam, że wydział żałoby wyciągnie podobne wnioski.

Na razie musiałam się jednak niepostrzeżenie wymknąć.

Zeszłam po stromych schodkach autokaru i ustawiłam walizkę na ziemi u stóp staruszki. Otworzyła usta, żeby mi podziękować, ja jednak wyminęłam ją bez słowa i rażnym krokiem ruszyłam w stronę pobliskiego budynku stacji. Byłam już przy drzwiach, gdy dobiegło mnie wołanie Deacona. Na dźwięk jego głosu drgnęłam, jednak nie odwracając się, położyłam dłoń na klamce. Wiedziałam, że mam nad nim tylko kilka sekund przewagi. Przekraczałam próg budynku ze świadomością, że ten krok zmienia wszystko.

Teraz musiałam być naprawdę cwana. Cwańsza niż cały wydział żałoby. W pierwszej kolejności musiałam jednak przechytrzyć Deacona.

Spokojnym krokiem skierowałam się do łazienki. Nie oglądałam się za siebie. Kiedy chcesz zniknąć, nie powinnaś nigdy oglądać się przez ramię. Przeciskając się przez tłum, starałam się wchodzić w największe skupiska ludzi, tak żeby ci musieli rozstąpić się przede mną, a potem zbić znowu i zasłonić mnie przed Deaconem. Poruszałam się dokładnie po torze idących przede mną i za mną osób. W ten sposób stawałam się niewidzialna. Byłam niczym uliczny magik, który wykonuje jedną ręką przykuwający uwagę gest, podczas gdy drugą umieszcza kulkę pod jednym z trzech kubków.

W pewnym momencie zaszłam drogę mamie trzymającej na rękach wiercącego się malucha. Przeprosiłam ją półgłosem, a już po chwili znalazłam się tuż przed biznesmenem rozmawiającym przez komórkę. Moje ruchy były płynne i szybkie. Kiedy dojrzałam jakąś starszą panią kierującą się do łazienki, szybko znalazłam się u jej boku. Idąc obok niej, byłam niewidoczna dla kogoś, kto stałby przy tylnym wejściu na stację.

Dopiero kiedy znalazłam się w łazience, zwolniłam. W powietrzu unosił się intensywny kwiatowy zapach, co chwilę rozlegał się szum spuszczonej wody oraz pomruk włączanych suszarek do rąk. Zbliżyłam się do stanowiska do przewijania dzieci, gdzie zsunęłam z ramion plecak. Wiedziałam, że będę musiała się z nim rozstać. Zdjęłam sweter, z plecaka wyciągnęłam moją ulubioną bluzę z kapturem. Wyjęłam z podajnika foliowy worek i wrzuciłam do niego koszulkę z logo Rolling Stonesów, płytę DVD, którą znalazłam w teczce z moimi aktami osobowymi w mieszkaniu Marie, bieliznę i trochę kosmetyków.

Plecak wepchnęłam do kubła na śmieci. Nikt nie zauważył, co robię.

Kiedy zerknęłam w lustro, poczułam wzbierające emocje, jednak siłą woli utrzymałam je na wodzy. Nie miałam na nie teraz czasu. Z kieszeni wyjęłam gumkę i związałam włosy w luźny koński ogon, tak żeby ukryć moje blond odrosty. Kiedy spojrzałam w bok, dwie umywalki dalej zobaczyłam kobietę myjącą ręce. Na rączce swojej walizki zawiesiła czapczkę baseballową. Nieco dalej, na drzwiach do jednej z kabin, ktoś korzystający z niej powiesił dzinsową kurtkę.

Nie miałam najmniejszej ochoty kraść. Kiedy pracowałam jako sobowtór, zdarzało mi się czasem zabrać... pamiątkę z domu klientów – jakąś koszulkę albo naszyjnik. Ale sytuacja była zupełnie inna, dziewczyny, do których należały te rzeczy, nie żyły. Natomiast teraz miałam ukraść coś naprawdę. Próbowałam sobie wytłumaczyć, że tylko w ten sposób uda mi się stąd wydostać.

Omiotłam spojrzeniem całą łazienkę, po czym pewnym krokiem ruszyłam ku wyjściu. Mijając kobietę przy zlewie, schyliłam się i błyskawicznie odczepiłam pasek, za który czapczka była przyczepiona do rączki walizki. Chwilę później baseballówka tkwiła już bezpiecznie schowana pod moją bluzą. Nie zatrzymując się nawet na chwilę, zdjęłam kurtkę przewieszoną przez drzwi; zrobiłam to tak swobodnie, jakbym wyciągała rękę po swoją własność. I znowu nikt mnie nie zauważył.

Zmierzając ku drzwiom, założyłam czapczkę na głowę, a ręce wsunęłam w rękawy kurtki. Podniosłam też kołnierz, żeby krył mnie przed ciekawskimi spojrzeniami. Poruszałam się szybko, nie na tyle jednak, by ściągnąć na siebie uwagę postronnych obserwatorów. Zbliżałam się do miejsca, gdzie korytarz się rozwidlał, przez cały czas lawirując w tłumie. Nim zniknęłam za rogiem, zerknęłam szybko w lustro zawieszane pod sufitem. Poszukałam w odbiciu wydzielonej części barowej i po chwili dojrzałam Deacona. Stał zwrócony przodem do lustra, dłonie splótł na karku i marszcząc brwi, bezradnie rozglądał się wkoło. Wiedział już, że coś nie gra. Czuł to. Nigdzie nie dostrzegłam natomiast kobiety z autobusu. A więc może myliłam się co do niej – może nie miała nic wspólnego z wydziałem żałoby. Nie miałam jednak czasu na roztrząsanie tej kwestii.

Błyskawicznie skręciłam w drugi korytarz i skierowałam się do wyjścia ze stacji. Przez cały czas starałam się nie wyglądać na spanikowaną. Chciałam sprawiać wrażenie osoby, która się spieszy, to wszystko. Wolałam się nie odwracać, żeby sprawdzić, czy Deacon podąża za mną. Idąc, trzymałam się blisko ściany, aż w końcu zobaczyłam rozsuwane drzwi wejściowe. Na zewnątrz się rozpadało. Podziękowałam za to w myślach – w deszczu trudniej będzie mnie znaleźć.

Pewnym krokiem zmierzałam ku szklanym rozsuwanym podwojom. Gdy tylko znalazłam się na zewnątrz, narzuciłam na czapczkę kaptur; ponieważ padał deszcz, nie powinno to nikogo specjalnie dziwić. Przez jakiś czas szłam przed siebie chodnikiem, wypatrując taksówki. Kiedy wreszcie jakaś się pojawiła, zamachałam na nią. Starałam się nie odwracać w kierunku wejścia na stację, na wypadek gdyby stał tam Deacon. Gdy taksówka zatrzymała się, wsiadłam szybko i zatrzasnęłam drzwi. W lusterku wstecznym odnalazłam utkwione we mnie ciemne oczy kierowcy.

– Proszę mnie zawieźć na róg Piątej i Pearl – rzuciłam, po czym zsunęłam się jak najniżej na siedzeniu.



Nie chciałam się oglądać, zamiast tego przysunęłam się do okna i zerknęłam ostrożnie w boczne lustro, obawiając się, że zobaczę w nim odbicie Deacona. Patrzyłam aż do chwili, gdy budynek stacji zniknął mi z oczu. Kiedy odjechaliśmy na tyle daleko, że przestałam go widzieć, nagle z całą mocą dotarła do mnie ponura prawda: zostałam sama.

## Rozdział drugi

Kiedy miałam siedem lat, pewien lekarz zaprowadził mnie do mężczyzny, któremu niedawno umarło dziecko. Mężczyzna ten, który miał stać się moim nowym ojcem, opłakiwał śmierć żony i córeczki. Powinnam była zostać u niego tylko przez jakiś czas, pomagając mu poradzić sobie z żałobą, jednak doktor Arthur Pritchard miał wobec mnie inne plany. Pozwolił, by ten człowiek zatrzymał mnie na stałe – miałam się stać jego zmarłą córką. Nie miałam pojęcia, jakim cudem udało im się przekonać mnie, że to mój prawdziwy ojciec.

A potem przez wiele lat pracowałam dla wydziału żałoby. W tym czasie uczyłam się sposobów dopasowywania własnej osobowości do potrzeb klientów. Zawsze udawało mi się nagiąć do danej roli – z wyjątkiem ostatniego zlecenia, które wszystko zmieniło. Tym razem pokochałam rodzinę, do której mnie przydzielono, przez co niemal całkiem straciłam świadomość tego, kim jestem naprawdę.

Siedząc na tylnym fotelu w taksówce, podwinęłam rękaw bluzy i przyjrzałam się złotej bransoletce. Przez chwilę wodziłam po niej palcem. Ten gest sprawiał, że moje myśli się uspokajały. Podarował mi ją podczas ostatniego zlecenia mój chłopak, Isaac Perez. W pewnym momencie zapanowała między nami prawdziwa zażyłość. Było to wbrew regułom obowiązującym sobowtóry – zaangażowałam się w romans z Isaakiem i niemal przyplącałam to szaleństwem. Nasza znajomość przyniosła jednak pewną korzyść: Isaac zdołał wyzwolić się z żałoby, a w dowód wdzięczności podarował mi właśnie tę bransoletkę. Czułam, jak błyskotka dodaje mi teraz siły. Kiedy na nią spoglądałam, odzyskiwałam pewność tego, co jest moim celem.

Wiedziałam, co muszę zrobić – nie zważając na to, jak wielki strach budził we mnie wydział żałoby, musiałam odszukać Arthura Pritcharda i dowiedzieć się od niego, kim naprawdę jestem. Nie dam mu spokoju, dopóki nie wyjawi mi prawdy. A przy okazji miałam nadzieję dowiedzieć się, czego tak naprawdę chce ode mnie wydział żałoby – i czym tak naprawdę się zajmuje. Mój ojciec uprzedził mnie, że Arthur nie ma już zbyt wielkich wpływów w wydziale; ponoć kontrolę nad nim przejął teraz wieloosobowy zarząd. Ale to Pritchard powołał do istnienia tę instytucję. Dlatego liczyłam, że będzie wiedział, jak powstrzymać tych ludzi. Pragnęłam po prostu odzyskać życie, które byłoby naprawdę moje. Pragnęłam poznać prawdę.

W końcu dotarliśmy na róg Piątej i Pearl. Kiedy taksówka wjechała na krawężnik, gwałtowne uderzenie wyrwało mnie z rozmyślań. Miałam gonitwę myśli – w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin straciłam nie tylko tożsamość, ale też rodzinę i przyjaciół. Straciłam nawet Deacona. Pod wpływem tych myśli z najwyższym trudem zachowywałam spokój. Przechyliłam się w stronę kierowcy, pytając, ile jestem winna. Mężczyzna odwrócił się do mnie i rzucił:

– Siedemnaście pięćdziesiąt, skarbie.

Wyjęłam z kieszeni banknot dwudziestodolarowy i podałam mu, dodając, że reszty nie trzeba.

Następnie nasunęłam kaptur głębiej na głowę i wysiadłam z taksówki. Odetchnęłam z ulgą, gdy samochód odjechał. W nosie nadal czułam ostry sosnowy aromat odświeżacza powietrza. Deszcz tymczasem zamienił się w mżawkę. Przez chwilę rozglądałam się wkoło, szukając miejsc, które pamiętałam z mojej ostatniej bytności w tym mieście, najwyraźniej jednak sporo zdążyło się tu zmienić. Niedaleko torów stała teraz elegancka dwukondygnacyjna galeria targowa. Ściana od frontu była ceglana, a u wejścia pyszniły się kosze z kwiatami, zapowiadając ekskluzywne wnętrze.

W budynku znajdowała się też restauracja z zadaszonym ogródkiem. Migające światełka kusily przechodniów, a wkoło rozchodził się cudny zapach jedzenia. A ponieważ nareszcie minęło bezpośrednie zagrożenie, a przerażenie, które towarzyszyło mi przez cały dzień, przestało być tak dojmujące, mój brzuch natychmiast przypomniał mi, że od rana nie miałam nic w ustach.

Podeszłam, żeby przejrzeć kartę dań. Wystarczył rzut oka na ceny – to nie była restauracja na mój portfel. Dlatego weszłam do budynku i zaczęłam przechadzać się wśród stoisk. Kiedy zauważyłam cukiernię, natychmiast wślizgnęłam się do środka i kupiłam garść czekoladek oraz lizaka za dolara i dwadzieścia pięć centów. W pewnym momencie zaczęło mnie kręcić w nosie. W ten sposób dawała o sobie znać moja alergia. Kiedy rozejrzałam się wkoło, wypatrzyłam winowajcę – prażone migdały. Gdy zaczęły mi łzawić oczy, szybko podziękowałam kobiecie za ladą i uciekłam z cukierni.

W części restauracyjnej kupiłam porcyjkę ryżu z awokado. Pochłonęłam ją w ekspresowym tempie, po czym usiadłam na ławeczce niedaleko fontanny usytuowanej w centralnej części hali. Z kolanami podciągniętymi pod brodę zaczęłam podjadać kupione wcześniej czekoladki; lizaka zachowałam na potem.

*Deacon powinien być tu ze mną, pomyślałam, mnąc w dłoni papirerek po cukierku. Jaka szkoda, że go tu nie ma.*

No ale cóż – nie było go. Dopilnowałam, żeby mnie nie znalazł.

Zamknęłam szybko oczy, czując, jak w mojej piersi rozwiera się otchłań. Nie dałam mu nawet szansy wytłumaczenia się. Porzuciłam go... znowu. *A co, jeśli to był błąd?*

Zbierało mi się na płacz, ale jakoś udało mi się powstrzymać łzy. Kiedy cierpienie trochę zmalowało, uchyliłam powieki i utkwiałam spojrzenie w doniczkę stojącą po drugiej stronie fontanny.

*Co, jeśli miałam rację?* Deacon poradziłby mi, abym w takiej sytuacji w pierwszym rzędzie zadbała o swoje bezpieczeństwo. I tak właśnie miałam zamiar postąpić. Mimo że miałam poczucie, jakbym wyrwała sobie z piersi serce i zostawiła je w autokarze jadącym do Roseburga.

Rozejrzałam się po otaczających mnie sklepikach i nagle dotarło do mnie, jak bardzo jestem tu widoczna. Kilka sklepów przygotowywało się już do zamknięcia. Uznałam, że pora wrócić na ulicę.

Zapadł zmrok, na wieczornym niebie pobłyskiwał cieniuteńki rożek księżycy oraz niezliczone gwiazdy. Spoglądając w niebo, przypominałam sobie wieczory, kiedy z zadartymi głowami siedzieliśmy na tylnej werandzie domu Deacona. Czuliśmy się wtedy tacy mali, nasze problemy w pracy sobowtórów zdawały

się nieistotne. I teraz też wszechświat niósł mi ten sam rodzaj otuchy.

Ruszyłam przed siebie, ciesząc się niespiesznym rytmem, w jakim upływało życie mieszkańców Eugene. W mieście swoją siedzibę miał Uniwersytet Oregoński, jednak mimo to panował tu spokój. Chętnie zostałabym tutaj dłużej, lecz oczywiście nie wchodziło to w grę.

Nadal nie mając pojęcia, gdzie zatrzymam się na noc, dotarłam po jakimś czasie do innej dzielnicy. Okazało się, że kojarzę napotykanne budynki z dawniejszego zlecenia. Przypomniałam sobie, że niedaleko stąd rodzina Saundersów miała sklep rowerowy. Zapadł już wieczór, sklep na pewno został zamknięty na noc, ryzyko, że wpadnę na moich byłych klientów i śmiertelnie ich wystraszę, było więc bliskie zera. W pamięci zachowałam jednak pewien szczegół, który mógł mi się teraz przydać. Saundersowie używali pewnej skrytki na zapasowy klucz do sklepu. Kto wie, może nadal tam jest.

Kiedy stanęłam pod sklepem, wszystkie światła na zewnątrz były zgaszone. W środku za ladą mrugała tylko lampka alarmu. Rozejrzałam się po ulicy, żeby sprawdzić, czy nikt mnie nie obserwuje, a następnie ruszyłam na tyły sklepu.

Pamiętałam, że klucz chowano pod dużym kamieniem na trawniku za budynkiem. Odnalazłam to miejsce, odsunęłam kamień na bok i zaczęłam rozgarniać ściółkę. Jednak na próżno – klucza nie było. Spędziłam kilka minut, myszkując wkoło, w końcu jednak musiałam się pogodzić, że Saundersowie najwyraźniej zmienili obyczaje i nie zostawiają już klucza do sklepiku w nietypowych miejscach.

Od tego zlecenia upłynęło kilka lat. Całkiem możliwe, że sklep, wokół którego się kręciłam, nie należał już do Saundersów. Jednak o ile dobrze pamiętałam, byli do niego bardzo przywiązani. Sklep założył ojciec pana Saundersa, a potem przejął go po nim syn. Nie chciało mi się wierzyć, że mogliby porzucić rodzinny interes.

Czując narastającą frustrację, podparłam się pod boki uwalanymi w ziemi dłońmi i spojrzałam na uliczne latarnie oświetlające podwórze. Miałam ciężką głowę, potrzebowałam paru godzin snu. Nagle opanowało mnie dojmujące poczucie smutku i bezradności. Miałam wrażenie, jakbym wszystko straciła.

Usiadłam na ziemi pod drzwiami, podciągając kolana pod brodę. Twarz ukryłam w dłoniach, zbierało mi się na płacz. Czułam się wykończona, jednak było to inne zmęczenie niż to, które poprzedzało mój niedawny kryzys tożsamości. Teraz miałam poczucie, że próbuję poukładać sobie w myślach życie, ale przez cały czas brakuje mi jednego elementu układanki.

Bardzo podobnie czułam się sześć miesięcy temu. Prawie zapomniałam już o tamtym wieczorze: spędzałam go w mieszkaniu Aarona, siedząc z Deaconem na kanapie. Od ponad miesiąca nie byliśmy już parą i dopiero uczyliśmy się, co to znaczy być dla siebie zwyczajnymi przyjaciółmi.

– Quinn, nie smuć się – odezwał się Deacon, posyłając mi jeden ze swoich zabójczych uśmiechów. – Przestań robić taką nadąsaną minę. Nie zmuszaj mnie, żebym usiadł bliżej i cię rozśmieszył.

– Naprawdę wydaje ci się, że siedzenie bliżej mnie wystarczy, żeby mnie rozweselić?

– Ale jesteś pyskata – zauważył półgłosem, a ja oczywiście musiałam się roześmiać.

Aaron grał na konsoli, a Myra z fałszywym dowodem, który załatwił jej Deacon, poszła do sklepu po

alkohol. Aaron i ja mieliśmy przerwę między zleceniami, a Deacon nie pracował już dla wydziału żałoby.

Czułam się wtedy zupełnie wypalona emocjonalnie. Moje ostatnie zlecenie było strasznie bolesne. Na nogach dalej miałam skarpetki nieżyjącej dziewczyny, której rolę odgrywałam. Sama nie wiedziałam, po co je zabrałam z jej domu. Były prezentem od jej babci, więc może zdecydowało to, że ja sama nigdy nie miałam babci, a może po prostu mi się spodobały. W każdym razie wzięłam je i nosiłam.

Przez cały czas prześladowało mnie to upiorne poczucie, że brakuje jakiejś części mnie. Tak jakbym nagle stała się kimś trochę innym.

– Quinlan – usłyszałam natarczywy głos Deacona. Brzmiało to tak, jakby wołał mnie któryś raz z kolei. Wyrwana z rozmyślań spojrzałam na niego. W jego oczach dostrzegłam niepokój. Kiedy się odezwał, jego ton był bardzo poważny: – Wszystko gra?

– Sama nie wiem – odparłam po chwili zastanowienia, palcami przeczesując swoje długie blond włosy.

Aaron odłożył na chwilę gamepada i odwrócił się w moją stronę. Deacon wyprostował się i spoglądał na mnie wyczekująco.

– Czuję się... – zawahałam się na chwilę, szukając właściwego słowa – samotna. Czuję się, jakbym tęskniła za samą sobą.

Dopiero gdy słowa rozbrzmiały w ciszy, uderzyła mnie ich wewnętrzna prawda. Odbiło się w nich całe doświadczane przeze mnie poczucie straty. I wcale nie była to żałoba po śmierci dziecka klientów. Miałam poczucie, jakby to mnie zostało coś wydarte. I ta strata bolała. Równocześnie nie mogłam sobie przypomnieć, co takiego mi odebrano. Było to bardzo niepokojące doznanie.

Poczułam, że Deacon przysuwa się do mnie. Po chwili wziął mnie w ramiona, myśląc zapewne, że chodzi o niego. Oparłam głowę o jego pierś i z zamkniętymi oczami nasłuchiwałam bicia serca. Tak bardzo go kochałam. Przez chwilę nawet rozważałam, czy by do niego nie wrócić – jego bliskość byłaby wspaniałym lekiem na moją samotność. Zaraz jednak przywołałam się do porządku. Odsunęłam się od Deacona i dojrzałam w jego twarzy grymas zawodu, którego nie zdołał ukryć. Aaron wyglądał, jakby umierał z niepokoju.

W tym momencie otworzyły się drzwi i stanęła w nich Myra. Niosła wyładowaną butelkami brązową torbę. Kopniakiem zamknęła za sobą drzwi i zawołała zachrypniętym głosem:

– Komu drinka?

– Ja chcę – wyrwałam się jako pierwsza, po czym pobiegłam za nią do kuchni. Moja samotność i jej tajemnicze motywacje mogły poczekać.

\* \* \*

Z rozmyślań wyrwał mnie pisk rowerowych hamulców i zgrzyt żwiru pod kołami. Siedziałam pod drzwiami sklepu rowerowego. Kiedy otworzyłam oczy, zobaczyłam kilka metrów od siebie jakiegoś

chłopaka na rowerze. Na podwórku panował półmrok, ale zorientowałam się, że jest trochę młodszy ode mnie. Miał ciemne, sięgające ramion włosy i nosił flanelową koszulę. Sprawiał sympatyczne wrażenie, jednak wiedziałam, że i tak muszę się mieć na baczności.

– W czym mogę pomóc? – spytał chłopak.

– W niczym – odparłam szybko, wstając spod drzwi. Rozczochrane włosy próbowałam ukryć pod czapką. Opuściłam wzrok i rzuciłam przez ramię: – Właśnie miałam się zbierać.

Chłopak wybuchnął śmiechem. Śmiał się głośno i szczerze.

– Nie chciałem cię wystraszyć – powiedział. – Mam na imię August. A ty?

– A jakie to ma znaczenie?

– Pewnie żadne. W takim razie będę cię nazywał Przyczajoną-W-Ciemności-Dziewczyną-Która-Planuje-Włamać-Się-Do-Sklepu-Mojego-Wujka. – Zrobił wymowną pauzę. – Ale to trochę przydługie imię.

– Ten sklep naprawdę należy do twojego wujka? – spytałam z powątpiewaniem.

Przyjrzałam mu się znowu, tym razem dokładniej. Chciałam się przekonać, czy odnajdę w nim jakieś podobieństwo do członków rodziny Melanie. Nic takiego nie rzuciło mi się w oczy, jednak nie widziałam tych ludzi od blisko czterech lat.

– A może – August potoczył wkoło wymownym spojrzeniem – masz tu gdzieś rower, w którym trzeba wymienić łańcuch?

Wiedziałam, że powinnam czym prędzej odejść, zanim chłopak zorientuje się, kim naprawdę jestem. Rodzina, do której raz zawitał sobowtór, nigdy tego nie zapomina. Tyle że ja... nie byłam już sobowtorem. A to przecież miało chyba jakieś znaczenie. Czując nagły przypływ odwagi, podeszłam do chłopaka i ściągnęłam z głowy czapeczkę. Światło latarni padło na moją twarz. W pierwszym momencie August uśmiechnął się odruchowo, jednak już po chwili uśmiech spęzł mu z warg.

– Zaraz, zaraz... ja cię znam – powiedział, marszcząc w zamyśleniu brwi. Zsiadł z roweru, położył go na ziemi, po czym podszedł bliżej i przez chwilę uważnie mi się przypatrywał. Wiedziałam, że zaraz odkryje, na kogo patrzy. W pewnym momencie jego jabłko Adama podskoczyło gwałtownie, kiedy przełknął nerwowo ślinę. – To ty! Jesteś... jesteś sobowtorem Melanie!

Mówiąc to, cofnął się o krok, jakby w obawie, że mogę go zaatakować. Ostatnie słowa wypowiedział spokojnym, lecz nieco bardziej piskliwym głosem.

Tylko raz albo dwa pokazałam się publicznie z rodziną Melanie. Ale August i tak mógł mnie widzieć – na przykład na zdjęciach. Ludzie, którzy zobaczyli kogoś odgrywającego rolę nieżyjącej osoby, nie zapominają już jego twarzy. Usunąć ją z pamięci mogą tylko klienci, ale dzieje się tak dlatego, że pogrążeni są w żałobie i nie myślą jasno.

– To prawda, byłam sobowtorem – przyznałam. Nie zdziwiłabym się wcale, gdyby chłopak rzucił się do ucieczki albo nazwał mnie potworem. Po chwili dodałam, licząc, że będzie to dla niego miało jakieś znaczenie: – Ale już się tym nie zajmuję.

– To chyba dobrze – rzekł, obrzucając mnie długim spojrzeniem. – Sobowtóry są trochę przerażające.

Uśmiechnęłam się nieznacznie, choć to chyba wcale nie był dowcip. Jego komentarz przypomniał mi Deacona – on też mógłby powiedzieć coś w tym stylu, gdyby sam kiedyś nie był sobowtórem. August miał nawet podobne do niego piwne oczy. A może to ja po prostu pragnęłam, żeby ten chłopak okazał się Deaconem, i stąd brały się te dziwne skojarzenia...?

– Co tu robisz? – odezwał się August. – Jak wujek cię zobaczy, zaraz...

Nie pozwoliłam mu jednak dokończyć.

– Nie miałam dokąd pójść. Pomyślałam, że może... – Nagle poczułam się głupio. – Sama nie wiem, co sobie myślałam. W każdym razie jutro z samego rana wyjeżdżam. Wygląda na to, że tę noc spędzę w motelu.

Chłopak przez chwilę się namyślał, po czym zmarszczył nos, jakby właśnie wpadł na jakiś strasznie głupi pomysł.

– Jadę właśnie do domu. Jeśli nie masz się gdzie zatrzymać na noc, możesz przekimać się u mnie. Moja współlokatorka, Eva, nie będzie miała nic przeciwko. Na pewno zasypie cię pytaniami, ma bzika na punkcie sobowtórów.

– Masz współlokatorkę? – zainteresowałam się. – Nie mieszkasz z rodzicami?

August uśmiechnął się smutno.

– Nie, od ponad roku jestem na własnym utrzymaniu.

Wiedziałam, że pójście z nim nie byłoby najmądrzejszym posunięciem z mojej strony, jednak to, że na krótką chwilę odsłonił przede mną uczucia, sprawiło, że mu zaufałam. Oboje byliśmy poranieni i to nas łączyło. Wahałam się jednak. Ludzie zachowywali się wrogo w stosunku do sobowtórów, ponieważ przypominaliśmy im o tym, że są śmiertelni. Poza tym stanowiliśmy żywy dowód, że każdego można zastąpić, nawet jeśli tylko na pewien czas. Jeszcze niedawno na policzku miałam siniaka po tym, jak zaatakowała mnie najlepsza przyjaciółka dziewczyny, którą odgrywałam podczas ostatniego zlecenia. Odruchowo zbliżyłam dłoń do zranionego miejsca na twarzy. Nie chciałam teraz wpakować się w jeszcze gorsze tarapaty.

– Słuchaj – odezwał się August – mieszkam razem z Evą. Gnieździmy się w ruderze niedaleko miasteczka studenckiego. Jest tam wiecznie zimno, a oprócz nas pomieszkują w niej całe watahy bezdomnych psów, które czasami przygarniamy. Nie jesteśmy mordercami, słowo honoru. Jeśli chcesz, mogę najpierw zadzwonić do Evy i spytać, czy się zgodzi przyjąć cię pod nasz dach.

Tak naprawdę miałam ochotę z nim pójść. I wcale nie dlatego, że proponował mi nocleg w dobrej kryjówce. Przede wszystkim chciałam pobyć z normalnymi ludźmi, a nie takimi, którzy całe życie wcielali się w innych. Jasne, tęskniłam za Aaronem, Deaconem i Myrą, ale przede wszystkim brakowało mi normalności. Zasmakowałam jej podczas ostatniego zlecenia i teraz tylko o niej marzyłam. Łaknęłam szansy na bycie sobą – nie jako sobowtór, ale zwyczajna dziewczyna, która zaczyna życie od nowa. Dziewczyna niemająca nawet imienia.

Chciałam dowiedzieć się, kim jestem. Chciałam poznać siebie. A dopóki otaczać mnie będą tylko pozoranci, nigdy tego nie odkryję.

– Twoja współlokatorka musi wiedzieć, kim jestem? – upewniłam się. – Musisz powiedzieć jej prawdę?

August zastanawiał się przez długą chwilę.

– Tak, muszę – rzekł w końcu. – Nie wpuszczę sobowtóra do domu bez jej wiedzy.

Wiedziałam, że nie miał nic złego na myśli. Mimo to jego słowa mnie zaboląły. Niecały tydzień temu, gdy wcielałam się w rolę Cataliny, Isaac poznał mnie ze swoim przyjacielem Jasonem. A kiedy Jason dowiedział się, kim naprawdę jestem, zachował się wobec mnie strasznie, jakbym miała jakąś chorobę zakaźną albo była potworem. Dobrze, że August wiedział, czym się zajmowałam. Odpadał strach o to, co by było, gdyby odkrył prawdę.

– Rozumiem – powiedziałam. – Dziękuję.

Chłopak odwrócił się do mnie plecami i przez chwilę przyciszonym głosem prowadził rozmowę przez komórkę. Momentami wybuchał śmiechem.

– Przysięgam – powiedział, po czym zerknął przez ramię w moją stronę. – Nie, wygląda na spoko dziewczynę. Dobrze, widzimy się za chwilę.

Kiedy skończył rozmawiać, schował telefon i zwrócił się do mnie:

– Eva strasznie się nakręciła na spotkanie z tobą. Idziemy?

– Jasne – odparłam.

Po cichu modliłam się, żebym wyszła z tego cało.



## Rozdział trzeci

Szłam obok Augusta, który jechał powoli na rowerze. Stał wyprostowany na pedałach, balansując ciałem do przodu i do tyłu, żeby zachować równowagę. Opowiadał mi o swoim wujku – okazało się, że po moim odejściu Saundersowie zaczęli dochodzić do siebie. Po jakimś czasie zdecydowali się nawet na kolejne dziecko. Ucieszyłam się, że sobie radzą. Świadomość, że moja praca miała jednak jakiś sens, była pocieszająca. Wniosłam w ich życie spokój. Liczyłam, że teraz sama również odnajdę choćby jego namiastkę.

– A ty co porabiałaś od tamtego czasu? – zainteresował się August. – Ciężko pracowałaś, wcielając się w role innych ludzi?

– Dokładnie – przyznałam, utkwivszy spojrzenie w chodniku pod moimi stopami. – Było ich wielu. Tak wielu, że straciłam rachubę. Ostatnia...

W ostatniej chwili ugryzłam się w język. To chyba nie był właściwy moment na zwierzenia.

– Wraz z ostatnią rolą skończył się mój kontrakt – skłamałam. – Znowu jestem zwyczajnym człowiekiem.

*A może nie znowu, tylko po raz pierwszy w życiu.*

– Bycie zwyczajnym człowiekiem wcale nie jest takie fajne – zauważył August. Przez chwilę przyglądał mi się, po czym wyszczerzył zęby w uśmiechu. – O rany, Eva będzie wniebowzięta, kiedy cię zobaczy. Miała być kosmetyczką, ale rzuciła szkołę. Przez jakiś czas rozważała nawet zostanie sobowtórem.

– I co się stało? – spytałam. – Złożyła papiery?

– Nie. Statystyki ją odstraszyły. Niektóre sobowtóry nie radzą sobie z tą robotą i lądują w szpitalu. Tak przynajmniej pisali w tutejszych gazetach.

Otworzyłam szeroko oczy ze zdziwienia.

– Pisała o nas prasa?

– Tak, w komentarzu od redakcji. Co prawda zamieszczonym na ostatniej stronie, ale Eva i tak do tej informacji dotarła. Była to jedyna wzmianka na ten temat, gazeta nigdy więcej już do niego nie wróciła. Żartowałem potem, że wydział żałoby pewnie zlecił zabójstwo zbyt gorliwego dziennikarza i całą sprawę zatuszował. W każdym razie moja współlokatorka strasznie się cieszy, że może cię poznać. Jesteś o wiele większą atrakcją niż zabłąkany psiak, którego przyprowadziłem do domu w zeszłym tygodniu.

– Miło mi to słyszeć – roześmiałam się.

Po forsownym marszu pod górę August zatrzymał się przed dwukondygnacyjnym walącym się budynkiem, którego mury oświetlała pojedyncza latarnia. Z okiennic oblażyła farba, a cała weranda przechylała się wyraźnie w lewo. Domek był w opłakanym stanie, ale miał w sobie pewien

niezaprzeczalny urok. W oknie na piętrze dostrzegłam doniczkę. W świetle latarni pobłyskiwały w niej pomarańczowe płatki kwiatów.

– Możesz jeszcze zrezygnować – odezwał się August, zauważając moje wahanie.

– Podoba mi się ten dom – odparłam szczerze. – Widać, że ktoś w nim mieszka.

– Typowy komentarz sobowtóra – powiedział z uśmiechem August. – Wejdzmy do środka.

Zeskoczył z roweru, wniósł go po schodkach, po czym odstawił w kąt werandy. Byłam nieco zdenerwowana, ale przede wszystkim podekscytowana, że znalazłam się w zupełnie nowym miejscu. Chciałam być częścią społeczeństwa. Miałam dość życia jako wyrzutek.

Drzwi były otwarte i po chwili August wprowadził mnie do niewielkiego dwupoziomowego holu. Mimo włączonego światła panował tu półmrok. Ruszyliśmy po schodach, a kiedy dotarliśmy do drzwi na piętrze, August zapukał do nich, po czym weszliśmy do środka.

Na ścianach rozwieszane były barwne gobeliny, a w całym mieszkaniu roiło się od rozmaitych starych mebli zakupionych pewnie w lombardzie. Od razu przypomniało mi się zagracone i pełne staroci mieszkanie Marie. Lokum mojej doradczyni było miejscem, do którego trafiałam zawsze po zakończeniu zlecenia. Pomagało mi powrócić do mojego prawdziwego życia czy raczej do tego, co za takie życie uważałam. Mimo kłamstw, którymi Marie mnie karmiła, tęskniłam za nią. Brakowało mi jej mądrych rad, pewności siebie. Szybko jednak przypomniałam sobie, jak wielkim kłamcą się okazała, i przegnałam z myśli tęsknotę.

August zamknął za mną drzwi, na szczęście nie na zamek. Zdjął flanelową koszulę i rzucił ją na zawalony różnymi drobiazgami stół, zostając w białym T-shircie.

Zaczęłam się rozglądać po skromnie urządzonej wnętrze. W powietrzu unosiła się wyraźna psia woń, jednak nigdzie nie mogłam dostrzec żadnego zwierzaka. W sąsiednim pokoju zastałam dziewczynę siedzącą po turecku na tapczanie. Kiedy pojawiłam się w drzwiach, nachyliła się, żeby mi się dokładnie przyjrzeć. Miała wielkie oczy, które na mój widok stały się jeszcze większe. Od razu zorientowałam się, że ma doklejone sztuczne rzęsy – przypominała w nich jakąś postać z anime. Króciutko ścięte kasztanowe włosy nie przeszkadzały jej założyć na głowę różowej opaski ze wstążką.

– Evo – odezwał się August, zajmując miejsce na wysłużonym fotelu, który wyglądał, jakby jeszcze niedawno stał na ulicy – oto sobowtór, o którym ci mówiłem.

Drgnęłam nieprzyjemnie zaskoczona. Wolałabym, żeby przedstawił mnie w inny sposób. Jako kogoś innego. Chociaż sama nie wiedziałam na razie, kim jestem.

– A właśnie – zwrócił się do mnie, jakby niespodziewanie coś przyszło mu do głowy – jak masz na imię?

– Brooke – odparłam. Było to pierwsze imię, które przyszło mi do głowy, a które nie odwoływało się do żadnego z moich zleceń. Zwróciłam się do Ewy: – Bardzo mi miło. A tak nawiasem mówiąc, nie jestem już sobowtórem.

Eva świdrowała mnie spojrzeniem przez długą chwilę. Kiedy byłam już niemal pewna, że każe mi się

wynosić, wybuchnęła nagle głośnym śmiechem.

– O rany, ale zajebicie! – zawołała na cały głos, a ja z wrażenia aż podskoczyłam. Po chwili wskazała miejsce na tapczanie obok siebie. – Siadaj. Musisz mi *wszystko* opowiedzieć.

Posłusznie usiadłam na tapczanie pokrytym wzorzystą tapicerką, a Eva nachyliła się do zakurzonego pniaka, który służył im za stolik kawowy, i wzięła do ręki szklanekę z jakimś napojem.

– Nigdy jeszcze nie poznałam osobiście żadnego sobowtóra. Ładna jesteś, chociaż próbujesz wyglądać niepozornie – pochwaliła, pociągając łyk napoju. Po chwili powiodła palcem po policzkach i nosie, żeby pokazać, gdzie mam piegi. – Nie ukryłaś piegów. Ale mnie się podobają. Na twoim miejscu też bym ich nie pudrowała.

Po chwili zmieniła pozycję na tapczanie – siedziała dalej po turecku, ale była teraz zwrócona do mnie, tak że kolanami dotykała niemal moich ud.

– Dziękuję – powiedziałam. – Tak naprawdę nigdy się nie maluję, jeśli nie jestem w pracy. Nie chce mi się.

– A ja uwielbiam robić sobie makijaż. Mam fioła na tym punkcie. Ale przecież nie będziemy rozmawiać o mnie – powiedziała, przygryzając nerwowo wargę. – Mam do ciebie tyle pytań. Nie obrazisz się, jeśli trochę cię podręczę?

– Pytaj śmiało – odparłam.

Naprawdę nie miałam nic przeciwko. Jej zainteresowanie sprawiało, że czułam się jak ktoś ciekawy, a nie znienawidzony. Albo budzący strach. Była to miła odmiana po tych wszystkich latach.

– Zawsze się zastanawiałam, czy sobowtóry chodzą do normalnych szkół – odezwała się Eva. – Pewnie z powodu pracy opuszczacie mnóstwo lekcji.

– Niektórzy chodzą do szkoły – wyjaśniłam. – Ale ja nie uczę się już od dawna.

– Super – rzucił ze swojego fotela August, jakby brak wykształcenia był czymś wspaniałym.

– Nie bardzo – roześmiałam się. – Mam indywidualny tryb nauczania przez Internet, ale nie cierpię tego. Nie mam kontaktu z normalnymi ludźmi. To tylko słowa wyświetlone na ekranie, a nie prawdziwa szkoła.

– No tak, w szkole rzeczywiście można pożyć – odezwała się Eva. – Zwłaszcza że królują w niej dupki, które czują się spełnione, tylko jeśli mogą oceniać innych. Ale wiem, czemu nie lubisz techniki. W zeszłym miesiącu padła u nas w szkole cała sieć komputerowa. Okazało się, że ktoś włamał się do systemu i udostępnił w Internecie nasze osobiste dzienniki, które musimy prowadzić. To samo zdarzyło się też w Roseburgu. Jakaś dziewczyna z drugiej klasy w tamtejszej szkole naprawdę źle to zniosła. Popęłniła chyba z tego powodu samobójstwo.

– Tak było – potwierdził August. – Kilka tygodni temu mówili o tym w telewizji. Zmarło tam dwoje dzieciaków. Oprócz niej na przerwie w szkole zabił się też jakiś chłopak.

Poczułam, jak cała krew odpływa mi z twarzy. A więc tutaj też to dotarło. Masowe samobójstwa wśród młodzieży – to samo wytropiłam podczas odgrywania Cataliny, a Aaron przy okazji swojego

zlecenia. Serce zabiło mi żywiej.

– A pamiętacie może, co to była za szkoła? – spytałam.

Byłam pewna, że to ta sama, do której uczęszcza Virginia Pritchard.

– Chyba liceum Marshalla – powiedziała Eva. – A czemu pytasz?

– Z ciekawości. Nigdy o niej nie słyszałam.

– Serio? – zdziwił się August. – To była głośna sprawa. Wszędzie o niej trąbili, nawet w CNN. Byłem pewien, że ludzie o niczym innym teraz nie mówią. – Wstał z fotela i się przeciągnął. – Dołujące to wszystko – powiedział, po czym zerknął na Evę. – Zostało trochę pizzy?

– Tak – odparła, wskazując mu gestem kuchnię. Następnie odwróciła się do mnie i posłała mi uśmiech, tak jakby temat samobójstw nie zrobił na niej żadnego wrażenia. Spłynął po niej jak woda po kaczkę. Na myśl o tym, w jak świetnym stanie emocjonalnym musi być ta dziewczyna, zaczęłam jej zazdrościć.

Przez chwilę przypatrywała mi się zachwyconym spojrzeniem, po czym nachyliła się bliżej, wspierając łokcie na udach.

– A marzyłaś kiedyś o tym, żeby pozostać w odgrywanej roli? – spytała. – Nie przyszło ci do głowy, żeby wieść dalej życie jednej z tych martwych dziewczyn?

Zupełnie nie byłam przygotowana na te pytania. Były niczym sól sypana na niezagojoną ranę.

– Tak, jeden raz – odparłam, sama zdziwiona swoją szczerością. – Poczułam się bardzo dobrze w rodzinie moich klientów. Ci ludzie akceptowali mnie taką, jaka jestem. Zależało mi na nich, a oni chcieli, żebym z nimi została, nawet gdy już wrócę do zdrowia. Koniec końców rozumiałam jednak, że nie chcę żyć czyimś życiem. To byłoby po prostu nie fair w stosunku do wszystkich zainteresowanych.

– Ja bym chyba nie miała takich skrupułów – odezwała się rozmarzonym głosem Eva. – Fajnie byłoby zamienić się z kimś miejscami. Mam przesrane życie. Moja rodzina jest do dupy. Uciekłam z domu, gdy tylko skończyłam osiemnaście lat. Kto wie, może nowe życie nie byłoby dla mnie taką złą opcją.

Z kuchni dobiegło głośne stuknięcie drzwiczek kredensu – znak, że August wyjmuje talerz, by położyć na nim pizzę. Rozejrzałam się po pokoju. Był cudownie przeciętny, tej przeciętności zwyczajnego życia nie mógłby podrobić żaden sobowtór.

– Jesteś szczęściarą – powiedziałam. – Masz dom. Sama decydujesz o swoim życiu.

– A ty przynajmniej jesteś niezastąpiona. Niewiele osób umie robić to, co ty.

– Niby tak – powiedziałam, opuszczając wzrok. – Ale musiałam zapłacić wygórowaną cenę za zostanie sobowtórem.

Moje słowa wyraźnie ją zaintrygowały.

– Pewnie było ci ciężko – domyśliła się Eva. – Od razu widać, że jesteś inna. Inna niż my.

Poczułam, jak robi mi się niedobrze. *My* – to znaczy normalni ludzie.

– Nie miałam nic złego na myśli – dodała szybko, gdy nasze spojrzenia się skrzyżowały. – Widzę, że jesteś miła. I chyba podchodzisz do umierania poważniej niż większość osób. Śmierć obcych ludzi nie jest ci obojętna. Ale dostrzegam w tobie coś jeszcze...

Umilkła na chwilę i przypatrywała mi się zmrużonymi oczami, jakby próbowała rozszyfrować jakąś zagadkę.

– Nie jestem pewna, co to. Mam wrażenie, jakbyś... falowała. Jakbyś była tutaj, ale nie do końca.

Od razu zrozumiałam, co chce mi powiedzieć. Byłam jakby nieukończona, niedokończona. Sobowtóry przez całe życie wcielają się w kogoś innego. Tym samym przekształceniu ulega to, kim jesteśmy i kim możemy być. Nawet gdybym знаła swoją prawdziwą tożsamość, i tak byłabym narażona na te skutki. Niesamowite, że Eva to we mnie dojrzała.

– Coś mi się zdaje, że byłby z ciebie znakomity sobowtór – rzekłam.

Moje słowa wywołały uśmiech na jej twarzy.

– Jak się teraz nad tym zastanawiam, to mam wrażenie, że w tym moim marzeniu o zostaniu sobowtórem chodziło tylko o to, że mogłabym wypróbować różne style makijażu.

– Tak się składa, że jestem świetna w robieniu make-upu – oznajmiłam ze śmiechem. – Ale nie takiego typowego. Znam się na makijażu, który sprawia, że wyglądasz jak ktoś zupełnie inny.

– Możesz przemienić mnie w kogoś innego? – spytała, a jej oczy rozbliły się.

Poruszyłam się niespokojnie na tapczanie.

– Tylko dla zabawy – prosiła Eva. – Nie chodzi o upodabnianie mnie do kogoś zmarłego. Chciałabym po prostu wyglądać totalnie inaczej. Zgódź się, będzie super.

Racjonalna część mnie podpowiadała, że to dziwaczna prośba, jednak prawda była taka, że bawiłyśmy się tak setki razy z Myrą. Uwielbiała te momenty, gdy zupełnie zmieniałyśmy jej wygląd. Dzięki mojemu makijażowi mogła być, kim tylko zechciała. Nagle opanowała mnie tęsknota za moimi przyjaciółmi. Znałam tylko jeden sposób radzenia sobie ze stratą – trzeba było zastąpić osobę, za którą się tęskniło, kimś innym. Dlatego teraz uśmiechnęłam się do Evy i skinęłam głową na znak, że się zgadzam.

– A masz kosmetyki? – spytałam. – Ja nie wzięłam ze sobą żadnych.

– Kochana – zawołała radośnie Eva, podrywając się z tapczanu – pracuję na pół etatu w Sephorze.

Wstała i wyciągnęła do mnie rękę. Dla niej był to pewnie zupełnie naturalny, bezwiednie wykonany gest, za to dla mnie, przyzwyczajonej jedynie w wyjątkowych okolicznościach czuć dotyk kogoś, kto nie byłby sobowtórem, był on totalnym szokiem. Chwyciłam Evę za rękę i dałam się zaprowadzić do łazienki. Udawałam, że przyjaźnimy się od wieków.

\* \* \*

Eva siedziała na wannie ze wzrokiem skierowanym na sufit, ja tymczasem nanosiłam kolejną warstwę tuszu na jej rzęsy u dolnej powieki. Wcześniej wykonałam lekkie pociągnięcia bronzerem na policzkach, żeby wydawały się szczuplejsze, a usta uwydatniłam konturówką. Olbrzymie oczy Evy pomalowałam tak, żeby sprawiały wrażenie nieco mniejszych, podkreśliłam natomiast nos.

– Mam nadzieję, że to nie jest zbyt osobista sprawa... – odezwała się w pewnym momencie Eva.

Nadal spoglądała w górę, podczas gdy ja kończyłam malować jej rzęsy. – Ale może opowiesz mi o swojej rodzinie?

– Nie mam rodziny – wyjaśniłam, zakręcając maskarę. – Utrzymuje mnie państwo. Tak jest z większością niepełnoletnich sobowtórów.

– Przykro mi – powiedziała Eva, spoglądając na mnie.

– Niepotrzebnie – skłamałam. – Wydział żałoby świetnie o nas dba.

– To dobrze. Zawsze się zastanawiałam, kim trzeba być, żeby pozwolić swojemu dziecku na zostanie sobowtórem. Pewnie w pracy miałas do czynienia z różnymi chorymi sytuacjami.

– To prawda – przyznałam, pędzlem do rózu podkreślając narysowane kontury policzków. – Ale klienci to dobrzy ludzie. A poza tym sobowtóry są na okrągło monitorowane, więc nic nam nigdy nie grozi.

„Chore sytuacje” były domeną mojego prywatnego życia, a nie zleceń. Ale o tym wolałam nie wspominać.

Po chwili wyprostowałam się i dumna ze swojego dzieła przyjrzałam się twarzy Evy.

– Gotowe – powiedziałam, cofając się o krok.

Eva posłała mi uśmiech, po czym podeszła do lustra. Rękami wsparła się o porcelanową umywalkę i widząc swoje odbicie, ze zdumienia otworzyła szeroko usta. Nie odzywała się ani słowem i po chwili przestraszyłam się, że nie spodobał jej się efekt. Albo co gorsza, że zrozumiała, do czego jestem zdolna: że gdybym tylko chciała, mogłabym podciąć włosy i w ciągu paru godzin stać się nią.

Zebrałam kosmetyki, wrzucając je do torebki. Kiedy spojrzałam znów w stronę Evy, jej twarz rozjaśniał promienny uśmiech.

– Jesteś niesamowicie zdolna – powiedziała, po chwili jednak zamyśliła się nad czymś. – Naprawdę doceniam to, co robisz.

– Wyglądasz świetnie – pochwaliłam.

– Nie chodzi mi o to – powiedziała, wskazując swoją twarz. – Mówię o tym, co robisz dla tych rodzin. Nie mam rodzeństwa, ale gdybym miała braci albo siostry i gdyby jedno z nich... umarło, chciałabym twojej pomocy. I twojego wsparcia dla moich rodziców.

– Kiedyś też tak myślałam – odparłam. – Ale teraz coraz częściej zastanawiam się, czy nie lepiej po prostu pozwolić ludziom zmagać się z ich cierpieniem. Może unikanie go rani nas w inny sposób?

– Ja tam nie lubię odczuwać bólu – odparła po chwili namysłu. – To chyba zupełnie normalne.

Wyszliśmy z łazienki. W przedpokoju Eva odwróciła się przez ramię i powiedziała:

– August wspominał, że chcesz u nas przenocować.

Skinęłam nieśmiało głową. Było mi głupio, że tak się narzucam. Byłam przecież dla niej nieznaną, którą August znalazł na ulicy i przyprowadził do domu.

– Mam nadzieję, że to nie problem.

– Ależ jasne, że nie – zapewniła skwapliwie. – I nie musisz się tak pilnować przez cały czas. Mamy

wolny pokój. Kumpel, który z nami mieszkał, skończył niedawno studia i się wyprowadził. W pokoju po nim nadal trochę śmierdzi, ale w szafie mamy czystą pościel. To i tak lepsze niż spędzanie nocy na ławce w parku.

Podziękowałam jej gorąco. Czułam wielką wdzięczność, ale równocześnie upominałam się w myśli, żeby nie stracić czujności tylko dlatego, że Eva jest dla mnie miła. Choć przecież nawet ja zasługiwałam na odrobinę serdeczności, czyż nie? Postanowiłam, że maskę nieczułego sobowtóra założę z powrotem jutro.

– Dzięki – powiedziałam, posyłając jej promienny uśmiech. – A może napijemy się piwa?

## Rozdział czwarty

Usiadłyśmy z Evą na kanapie, a August przyniósł mi butelkę piwa. Ponieważ ciągle doskwierał mi głód, wrócił do kuchni, żeby przyrządzić sobie hamburgera z serem, ja tymczasem wdałam się w pogawędkę z Evą. Nie rozmawiałyśmy o niczym poważnym, głównie o serialach i muzyce. Po wypiciu połowy piwa język mi się rozwiązał, a myśli zaczęły krążyć wokół mojego dawnego życia – które tak naprawdę, jak się okazało, wcale nie było moje.

– Trudno się z kimś zaprzyjaźnić, kiedy jest się sobowtórem? – spytała Eva. – Jesteś miła, ale podejrzewam, że inne dziewczyny mogą się ciebie bać. Sama wiesz dlaczego: bo mogłabyś stać się nimi, gdybyś chciała.

– Mam paczkę przyjaciół – stwierdziłam, choć słowo „paczka” mogło sugerować całkiem sporą grupę, podczas gdy w rzeczywistości liczyła ona zaledwie trzy osoby. Kiedy byłam mała, nie miałam żadnych koleżanek. Ani jednej. Był tylko mój ojciec. A potem w moim życiu pojawił się Deacon, po nim zaś Aaron i Myra. W sumie aż dziwne, że nie jestem jeszcze bardziej pokrecona.

Po jakimś czasie Eva zamknęła oczy i chyba zasnęła. Odwróciłam się plecami do telewizora, w którym leciała jakaś długaśna reklama kremu nawilżającego, a po chwili z kuchni wynurzył się August. Usiadł w fotelu naprzeciw mnie i zaczął wielką łyżką nabierać z miski makaron. Kiedy uporał się z całą porcją, przyjrzał mi się badawczo, przekrzywiając na bok głowę.

– Masz chłopaka? – spytał, po czym momentalnie się zarumienił. – Przepraszam. Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało. Po prostu jestem ciekawy. Jak to jest: czy sobowtór może mieć za partnera tylko drugiego sobowtóra? Czy normalni ludzie w ogóle są w stanie cię zrozumieć?

Jego pytania zabolaly. Nie chciałam myślami wracać do Deacona, wolałam zapomnieć o uczuciach, jakie we mnie budził.

– Sobowtóry marnie sobie radzą na imprezach – powiedziałam, próbując nadać głosowi beztroski ton, ale oczywiście na niewiele się to zdało. Ogarnął mnie smutek, a wraz z nim wróciły myśli o Deaconie. – Byłam tylko raz w związku. Tak się złożyło, że mój chłopak też był sobowtórem. To trudne.

Oparłam coraz bardziej ciężącą mi głowę o poduszkę na kanapie. Pewnie piwo zaczęło działać.

– Teoretycznie sobowtóry powinny świetnie się rozumieć – ciągnęłam. – Ale prawda jest taka, że mój chłopak jest kłamcą. Wszyscy jesteśmy kłamcami. Życie to wielki teatr, w którym wszyscy udają. A jeśli zostajesz dodatkowo wytrenowany do bycia profesjonalnym kłamcą, wówczas kłamstwo wchodzi ci w krew.

Widząc zmarszczone brwi Augusta, zrozumiałam, że powiedziałam za dużo.

– Przepraszam – odezwałam się, posyłając mu uśmiech. – Za dużo wypiałam.

Nachyliłam się, żeby odstawić opróżnioną butelkę na pieńek. Eva spała już na kanapie. August



przyglądał mi się badawczo. Od razu wyczułam, że nie wie, co myśleć.

– Chcesz jeszcze piwa? – zaproponował. – Jest wcześniej.

– Nie, lepiej pójdę do łóżka – odparłam. August wyprostował się nagle, jakby moja odpowiedź nie przypadła mu do gustu. Chcąc go jakoś udobruchać, dodałam: – Miałam długi dzień. Wielkie dzięki, że pozwoliłeś mi się u was przekimać. Mam nadzieję, że sprawdziłam się lepiej niż wasz ostatni psiak.

– Znaleźliśmy mu dom – odparł beznamiętnie August. – Mam nadzieję, Brooke, że ty również niedługo znajdziesz swój.

– Też na to liczę.

Na koniec uśmiechnął się do mnie po przyjacielsku, jakbyśmy się znali sto lat.

– Wiesz, zawsze możesz wyjechać z kraju – podpowiedział. – Mogłabyś wyprawić się do Europy i zacząć nowe życie, dokleić sobie wąsy...

Kiedy to powiedział, moje serce zamarło na sekundę – nieraz rozmawialiśmy z Deaconem o wyjeździe do Europy, żeby uciec przed moim ojcem. W naszych rozmowach przewijał się *dokładnie ten sam* dowcip o wąsach. W ustach Augusta zabrzmiało to absurdalnie. Podniosłam się szybko z kanapy. Nagle atmosfera, jaka zapanowała w pokoju, wydała mi się bardzo krępująca. Wymruczałam pod nosem „dobranoc” i skierowałam się do wolnego pokoju, który wcześniej pokazała mi Eva. Kiedy znalazłam się w środku, szybko przekręciłam klucz w drzwiach. Tak na wszelki wypadek, w końcu prawie nie znałam tych ludzi.

Z szafy wyjęłam czystą pościel, rozłożyłam prześcieradło na materacu. Kiedy się położyłam, pod plecami poczułam wystającą sprężynę. Wystarczyło jednak przekręcić się na bok, a sprężyna przestała mi dokuczać. Przez okno wpadała poświata latarni, a ja leżałam bez ruchu wpatrzona w zamknięte drzwi. Wypiłam tylko jedno piwo, ale i tak szumiało mi w głowie. Nie wiedziałam, czy to za sprawą alkoholu, czy mojego ogólnego rozbicia, ale emocje znów wzięły we mnie górę. Czułam dojmującą samotność, która niczym bezdenna i mroczna toń wciągała mnie coraz głębiej.

– Nazywam się Quinlan McKee – szepnęłam, próbując wziąć się w garść.

Była to moja mantra, która pomagała mi powrócić do siebie po zakończeniu zlecenia. Teraz jednak nie zdążyłam nawet wypowiedzieć do końca tej formułki, wiedziałam już bowiem, że wcale nie jestem Quinlan McKee. Byłam nikim.

Kiedy obróciłam się na drugi bok, mój wzrok padł na stojący na stoliku nocnym telefon. Pomyślałam, że mogę do kogoś zadzwonić, ale zaraz przyszło otrzeźwienie: do kogo? Deacon zwrócił się przeciwko mnie – niezależnie od tego, od kogo pochodził SMS, wysłał go ktoś trzeci. A przecież powinniśmy pozostać samowystarczalni, tylko w ten sposób bylibyśmy bezpieczni. Deacon jednak nas zdradził. Powinnam go za to nienawidzić, pragnęłam znaleźć w sobie siłę, by to zrobić.

Zacisnęłam powieki, próbując powstrzymać cisnące mi się do oczu łzy. Samo wyobrażenie sobie życia bez Deacona przejmowało mnie nieznośnym smutkiem. Tak samo jak myśl, że to wszystko, co nas łączyło, było złudzeniem. Wiedziałam jednak, że jeśli chcę przetrwać, muszę na razie o nim zapomnieć.

Zapomnieć o tym, co mi zrobił.

Nagle moje myśli poszybowały ku ojcu. Ostatnim razem, kiedy Deacon mnie skrzywdził – porzucił mnie i zostawił zupełnie zdruzgotaną – pobiegłam wypłakać się właśnie do niego. Tak, mój tata też był kłamcą, jednak równocześnie był moją jedyną rodziną. Innej nie znałam.

A przecież on też na swój sposób mnie kochał. Czy mój prawdziwy tata, kimkolwiek był, traktowałby mnie równie dobrze? Myśl, że mam jakiegoś innego ojca, wydała mi się teraz dziwaczna. Nigdy wcześniej nie dopuszczałam takiej ewentualności. Nieraz marzyłam o poznaniu mojej matki, ale Thomas McKee zawsze był niezmienną częścią równania. Wyobrażenie sobie, że ktoś go zastępuje, przerastało moje możliwości. Tylko dowiadując się prawdy, mogłam to zmienić.

Przyłożyłam dłoń do piersi, tak jakby ten gest mógł mnie uwolnić od bólu. Potrzebowałam czegoś, kogoś. Tak bardzo chciałam porozmawiać teraz z Tomem... moim ojcem. Widziałam się z nim kilka godzin temu, więc w sumie nie wiem, co nowego miałabym mu do powiedzenia, ale w tej chwili czułam się jak mała dziewczynka, która pędem leci do domu, żeby opowiedzieć tacie, że skaleczyła się w kolano. A kiedy on ogląda ranę, córeczka nagle odkrywa, że pod okiem dorosłego rana zaczyna ją tym bardziej boleć. Ale może właśnie potrzebowałam, żeby ojciec zobaczył, jak cierpię.

Wiedziałam, że wydzwanianie teraz do niego byłoby oznaką słabości. Uznałam jednak, że raz na jakiś czas wolno mi poczuć się słabą. Przez całe życie kazano mi odgrywać rolę nieżyjącej dziewczyny, nic zatem dziwnego, że teraz potrzebowałam usłyszeć głos ojca, by poczuć się jak ktoś prawdziwy. Uczucia, jakimi go darzę, nie znikną tylko dlatego, że tak sobie życzę. Mimo wszystkich jego kłamstw... jakaś część mnie nadal ufała temu mężczyźnie. Wciąż święcie wierzyłam, że dobrze mi życzy. A teraz był wszystkim, co mi pozostało.

Sięgając po słuchawkę, usiadłam szybko na łóżku, co spowodowało zawroty głowy. *Co mi jest?* Zamrugałam szybko oczami, żeby odzyskać jasność umysłu. Przez chwilę przypatrywałam się telefonowi, czekając, aż odzyskam ostrość widzenia.

W pewnym momencie uderzyła mnie myśl, że nie zastanę ojca w domu. O ile go znałam – choć ostatnio okazało się, że nie znam go zbyt dobrze – będzie starał się zachowywać tak, jakby wszystko było po staremu; będzie odgrywał tę gierkę do chwili, aż wydział żałoby udowodni mu, że uciekłam. Doskonale znałam wszystkie nawyki mojego ojca. To jeden z efektów ubocznych bycia sobowtórem – człowiek uczy się bacznie obserwować innych. W czwartki tata zaglądał do niewielkiej meksykańskiej restauracji, która od dwudziestej drugiej do zamknięcia oferowała zniżki na burrito z owocami morza. Nigdy nie przepuścił okazji, żeby tam wpaść na wyzerkę.

Dzwonienie na komórkę odpadało – istniało zbyt wielkie ryzyko, że telefon jest na podsłuchu. Na szczęście znałam na pamięć numer do restauracyjki.

Wystukałam go i czekając, aż ktoś odbierze, spoglądałam z niepokojem na drzwi – w każdej chwili August albo Eva mogli spytać, co właściwie robię. Nie było to nic wielkiego, po prostu używałam ich telefonu, jednak moja paranoja narastała z każdą chwilą. Kolejny dowód na to, że stałam się ostatnio

nadwrażliwa.

– Barrio na Uniwerku, w czym mogę służyć? – Mężczyzna w słuchawce mówił z wyraźnym obcym akcentem.

Na dźwięk jego głosu ogarnęło mnie przyjemne wzruszenie – znałam go, przypominał mi o moim dawnym życiu.

– Cześć, Rubio – powiedziałam. Oczami wyobraźni widziałam, jak przyciska sobie do ucha ramieniem słuchawkę, podczas gdy obiema rękami obsługuje kasę. – Mówi Quinn. Czy jest u was mój tata?

– Jeszcze nie – odparł ze śmiechem Rubio. – Ostatnio chyba jada gdzie indziej.

To była fatalna wiadomość. Uwierzyłam, że świetnie znam jego zwyczaje, co oczywiście było kretyńskim założeniem. Nigdy tak naprawdę nie poznałam tego człowieka.

– Dzięki. Gdyby...

– Zaczekaj, Quinn – wszedł mi w słowo Rubio. – Właśnie wszedł na salę. Zaraz go zawołam.

– Dziękuję... – powiedziałam, słysząc, że przekazuje komuś słuchawkę nad kontuarem. Poczułam, jak zjada mnie trema.

– Do mnie? – rozległ się zdziwiony głos mojego ojca. Potem było jeszcze trochę trzasków, a na koniec usłyszałam: – Mówi Thomas McKee.

Od naszego spotkania upłynęło zaledwie kilka godzin, miałam jednak wrażenie, jakbyśmy nie rozmawiali od tygodni. Nagle poczułam do niego złość, urazę, a równocześnie opanowało mnie niesamowicie dojmujące poczucie straty. Łamiącym się głosem powiedziałam do słuchawki:

– Cześć, tato. – Nie wiedziałam, jak inaczej mogłabym się do niego zwracać.

Usłyszałam, jak przekłada słuchawkę do drugiej ręki. Mówił teraz przyciszonym głosem.

– Co się stało? Dobrze się czujesz?

Było to najbardziej kretyńskie pytanie, z jakim mógł wyskoczyć. Oczywiście, że nie czułam się dobrze. I w dużej mierze była to właśnie jego wina. Mimo to... tęskniłam za nim. Brakowało mi poczucia, że mam rodzinę. Brakowało mi jej iluzji. Z oczu popłynęły mi łzy. Próbowałam stłumić płacz, ale nie szło mi zbyt dobrze.

– Quinn, jest przy tobie Deacon? – spytał ojciec. – Daj go do telefonu.

Mój ojciec i Deacon nie przepadali za sobą, jednak tata zawsze uważał go za znakomitego sobowtóra. Ufał mu na tyle, by powierzyć mnie jego opiece. Ja zresztą ufałam Deaconowi równie mocno. Okazało się jednak, że wszyscy ludzie, których kochałam, zdradzili mnie. Ta myśl była tak straszna, że trochę mnie otrzeźwiła.

– Uciekłam od niego – powiedziałam, ocierając łzy. – Zostawiłam go na dworcu autobusowym. I właśnie dlatego do ciebie dzwonię. Nie mam nikogo innego, komu mogłabym się wyzalić.

– Co się stało? – spytał ojciec przestraszonym tonem. – Przecież byliście nierozłączni. Nieraz próbowałam was rozdzielić, sama wiesz. Rozumiem, że nie dogadujecie się, ale Deacon wie, jak się o ciebie zatroszczyć. To moment, żebyście...

– Tato, Deacon coś ukrywa – przerwałam mu. – Nie mogę mu ufać. Dostał SMS-a od kogoś, kto mnie szuka. A w autokarze jechała z nami jakaś kobieta, która chyba mnie śledzi. Nie wiem, czy Deacon nie ma z nią czegoś wspólnego. Nie wiem, w co on gra. I właśnie dlatego musiałam zwać, zniknąć.

– Uważasz, że Deacon współpracuje z wydziałem żałoby? – zdziwił się ojciec. – Jakoś nie chce mi się w to wierzyć...

– Nie wiem, kto wysłał tego SMS-a. Wiem jedno: w trakcie naszej ucieczki Deacon nie powinien komunikować się z nikim poza mną. Naraził nas na niebezpieczeństwo. Dlaczego miałby to robić? – Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza. Pomyślałam, że ojciec jest zbyt zszokowany moimi rewelacjami, żeby zdobyć się na jakąś sensowną reakcję. Wcale mu się nie dziwiłam. – Tato, nie wiem, co robić. Muszę odnaleźć Arthura Pritcharda. Tylko od niego dowiem się, kim naprawdę jestem. Muszę...

– Skarbie – wszedł mi w słowo ojciec. W jego głosie pobrzmiwała wielka łagodność, która zupełnie zbiła mnie z tropu. – W tej sytuacji to chyba nie jest najlepszy pomysł. Nie uda ci się samej dobić targu z Arthurem. Powinnaś zapomnieć o tym wszystkim. I uciec jak najdalej.

– Nie wątpię, że tego właśnie pragniesz – odparłam, czując narastający gniew. – Okradłeś mnie z mojego prawdziwego życia. Oszukałeś mnie, udawałeś, że...

– Moja miłość do ciebie nigdy nie była udawana – uprzedził moje słowa. – I dobrze o tym wiesz, w przeciwnym razie nie dzwoniłabyś do mnie. Jestem twoim ojcem, jedynym, jakiego znasz. I zrobię wszystko, by cię chronić.

– Jeśli mam być bezpieczna, muszę przede wszystkim dowiedzieć się, kim jestem – wypaliłam bez zastanowienia.

Przemawiała przeze mnie desperacja, która równocześnie dawała mi siłę i jasność myślenia.

– Rozumiem – odezwał się ojciec. – Ale pamiętaj, Quinlan, że musisz uważać. Tak naprawdę Arthur nie jest twoim największym zmartwieniem. Tak jak ci mówiłem, w wydziale żałoby są ludzie, których twoje zniknięcie poważnie zaniepokoi. Odkąd kontrolę nad tą instytucją przejął wieloosobowy zarząd, nastąpiła pewna korekta jej celów. Nie pochwalam niektórych działań tej grupy ludzi. Nie chcę, żebyś znalazła się na ich celowniku.

Dalej kręciło mi się w głowie. Położyłam się na plecach i wpatrzyłam w wirujący na suficie wiatrak.

– O jakich celach mówisz? – spytałam. – Co jeszcze mogą mi zabrać?

– Dobrze się czujesz? Mówisz jakoś niewyraźnie.

– Wypiłam piwo – przyznałam, oblewając się rumieńcem, bojąc się, że zaraz dostanę burę za picie alkoholu.

– Z kim?

– Poznałam tu parę osób. Spędzam tę noc u nich w domu. Tato, przysięgam, to było tylko jedno piwo. Chyba mam słabą głowę. A teraz zupełnie się rozkleiłam.

– Quinlan – ojciec mówił teraz bardzo poważnym głosem – moim zdaniem to nie wina alkoholu. Musisz jak najszybciej opuścić ten dom.

Serce zabiło mi żywiej. Usiadłam na łóżku, czując, jak ciąży mi głowa.

– O czym ty mówisz?

– Ktoś podał ci narkotyki – stwierdził ojciec.

– Nie – odparłam ze śmiechem. – Przez cały czas patrzyłam im na ręce. Niby jak mieli...

I nagle uświadomiłam sobie, że rzeczywiście przez chwilę nie widziałam, co dzieje się z moją butelką.

Kiedy August przyniósł mi ją, była już otwarta. Ale przecież nie miało to sensu. Chyba że...

Poszłam do sklepiku mojego dawnego klienta i to tam chłopak mnie odnalazł. Wydział żałoby oczywiście dysponował informacjami o miejscu zatrudnienia moich klientów. Ale skąd niby wiedziałby, że właśnie tam należy mnie szukać? Mój umysł nie ogarniał tej dziwnej logiki, jednak z wolna stawało się dla mnie jasne, że pójście do sklepu rowerowego nie było najmądrzejszym posunięciem. Powinnam była lepiej to przemyśleć.

– Pewnie brzmię, jakbym popadał w paranoję. I pewnie faktycznie nie ma w tym krztyny prawdy. Wiem jednak, do czego zdolny jest wydział. Poza tym... – Nagle urwał.

W tym samym momencie w słuchawce ucichł harmider restauracyjnej sali. Od razu wyczułam, że coś nie gra. Zdjęta nagle paniką zerwałam się z łóżka.

Odchrząknąwszy, ojciec powiedział:

– Słuchaj, Quinn, wszystko się ułoży. – Jego ton stał się nagle bardziej beztroski, ale równocześnie dziwnie nienaturalny. Ojciec mówił jak ludzie, którzy wiedzą, że są podsłuchiwani. – Skontaktuję się z wydziałem i wszystko wyjaśnię. I to zaraz. Powiedz, gdzie jesteś, to po ciebie przyjadę.

I nagle zrozumiałam, że ojciec nie jest sam. Może ktoś go śledził, kiedy szedł do restauracji. Albo kogoś celowo powiadomił, że ze mną rozmawia. Odrzuciłam szybko tę drugą możliwość – tata na pewno próbował mi pomóc. Musiałam w to wierzyć, w przeciwnym razie nie miałabym już nikogo.

– Podaj adres i wszystko się ułoży. Daj też znać Marie, że może bezpiecznie wrócić do domu – powiedział, choć przecież doskonale wiedział, że Marie nie ma przy mnie. – Quinlan, możesz na mnie liczyć.

Ton, jakim wypowiedział to ostatnie zdanie – dziwnie mechaniczny i beznamiętny – sugerował coś dokładnie przeciwnego.

Zamknęłam oczy. Ogarniał mnie strach, wiedziałam jednak, że nie mogę mu się poddać. Jeśli chcę poznać prawdę, muszę być silniejsza.

– Tato, tak bardzo się boję – szepnęłam.

– Wszystko będzie dobrze.

Otworzyłam oczy i próbowałam dojrzeć coś we mgle, która zasnuwała mi oczy. Pociągając nosem, odsunęłam słuchawkę od ucha i odłożyłam na widełki. A potem bez zastanowienia podeszłam szybko do szafy. Podczas wyjmowania z niej pościeli zauważyłam w środku stary plecak. Wyciągnęłam go teraz i zaczęłam pakować do niego swoje rzeczy.

Ojciec aluzyjnie dał mi znać, że nie może już ze mną rozmawiać. Przekazał mi też ostrzeżenie dla

Marie, choć przecież nie miałam pojęcia, gdzie podziewa się moja doradczyni. Wszystko wskazywało na to, że wydział momentalnie odszukał ojca, nie rozumiałam jednak, jakim cudem namierzyli mój telefon. Drżały mi palce i usta. Może więc tata miał rację, kiedy mówił o narkotykach. Ich działanie było dziwne – nie chciało mi się spać, tylko zmienił mi się nastrój. Czyżby podany mi narkotyk wzmacniał zaufanie?

Walcząc z zawrotami głowy, wyjrzałam przez okno. Pokój, w którym przebywałam, znajdował się na piętrze. Była noc i nie miałam dokąd pójść. Moja sytuacja była nie do pozazdroszczenia, wiedziałam jednak, że muszę zaufać ojcu. Miałam tylko nadzieję, że nie podpowiada mi tego substancja krążąca w moich żyłach.

Otworzyłam okno na oścież, uważając, żeby nie narobić przy tym hałasu. Nie chciałam porzucić Evy. Nie chciało mi się też wierzyć, że August stanowi zagrożenie, jednak nie mogłam ze stuprocentową pewnością wykluczyć takiej ewentualności. Byłoby to skrajnie nieodpowiedzialne i głupie z mojej strony.

Przełożyłam najpierw jedną, a potem drugą nogę za okno i po chwili stanęłam na spadzistym dachu. Rozległy się ciche skrzypnięcia, ale nie miałam czasu stąpać na palcach; poza tym obawiałam się, że mogłabym stracić równowagę. Posuwając się w ciemności, dotarłam do miejsca, gdzie zaczynał się daszek nad werandą. Spuściłam nogi i po chwili wyczułam pod nimi chwiejne ogrodzenie wokół domu. Zwolniłam uchwyt i w następnej sekundzie wylądowałam na ziemi, czemu towarzyszył donośny, głuchy łomot.

Poderwałam się z ziemi i nie oglądając się za siebie, wymknęłam się przez furtkę na ulicę, pozwalając, by pochłonęła mnie noc.

## Rozdział piąty

**B**ył mglisty poranek, zbliżała się siódma. Kiedy wychodziłam z motelu, który znalazłam niedaleko miasteczka studenckiego, włosy miałam jeszcze wilgotne po prysznicu.

Okolica była zupełnie wymarła. Skierowałam się do centrum, gdzie miałam nadzieję znaleźć jakąś otwartą kawiarnię, a w niej dziewczynę w moim wieku. Wiedziałam, że muszę upolować kogoś, kogo mogłabym skopiować. Kogoś, czyją tożsamość mogłabym przyjąć.

Zaraz po przebudzeniu miałam na tyle jasny umysł, że mogłam trzeźwo ocenić swoją sytuację. Jedną z możliwości była ucieczka, zniknięcie, dokładnie tak jak, radził mi ojciec. Wiedziałam jednak, że nie mogę tego zrobić. Nie mogłam tak po prostu zrezygnować z odkrycia prawdy.

Podjęłam decyzję: muszę odszukać Arthura Pritcharda, tyle że nie będę wchodzić z nim w żadne układy. Ludzie jego pokroju zwykli sami ustanawiać reguły. Dlatego musiałam teraz zmienić zasady stworzone przez niego.

Wiedziałam już, co zrobię – zaszantażuję go.

Musiałam w jakiś sposób zyskać przewagę nad Pritchardem, tak by zagwarantować sobie jego pomoc. I chyba już nawet znalazłam sposób, jak to osiągnąć. Kluczem do rozwiązania wszystkich zagadek była jego córka. Dziewczyna, którą odgrywałam podczas mojego ostatniego zlecenia, Catalina Barnes, popełniła samobójstwo. Okoliczności jej śmierci utajniono. Po jakimś czasie okazało się, że klient Aarona też odebrał sobie życie. Wkrótce odkryliśmy, co łączyło obie te śmierci – i w jednym, i w drugim przypadku denat kontaktował się z Virginią Pritchard.

Arthur spotkał się z obiema rodzinami, jednak nie wspomniał o udziale swej córki w śmierci ich dzieci. Nigdy nie wyjawiał, kim ona jest, nie powiadomił też o tym wydziału. Była to jego zazdrośnie strzeżona mała tajemnica. Rodziło się więc pytanie: jaką rolę Virginia odegrała w śmierci tych dzieciaków? Co takiego ukrywał przed światem Arthur?

Wiedziałam, że kiedy poznam odpowiedź na to pytanie, będę mogła ją wykorzystać przeciw niemu. Zagrozę, że opowiem wydziałowi o związkach, jakie on i jego córka mieli z samobójstwami nastolatków. Jeśli Arthur będzie chciał, żebym trzymała język za zębami, zażadam, żeby wyjawiał mi prawdę o tym, kim naprawdę jestem. Byłam gotowa zrobić wszystko, by ją poznać.

W pierwszej kolejności musiałam odszukać Virginię Pritchard.

Kierując się do śródmieścia, starałam się wyciszyć emocje. Bez tego dalsza podróż byłaby niemożliwa. Nie miałam pewności, co zrobił Deacon – zatrzymał się w mieście czy może pojechał beze mnie do Roseburga? Jakaś część mnie – no dobrze, całkiem spora część – wolałaby, żeby tu został. I w głębi duszy domyślałam się, że tak właśnie postąpił. Potrzebowałam czasu, żeby przeanalizować sytuację. Potrzebowałam czasu bez Deacona.

W skroniach bez przerwy czułam miarowe łupanie. Z początku myślałam, że to kac, teraz jednak zaczynałam się martwić, że to oznaka, iż moja psychika zaczyna się kruszyć. Coś takiego przydarzyło mi się w zeszłym tygodniu, kiedy byłam jeszcze Cataliną. Nadal znajdowałam się w stanie szoku, a przedłużający się stres mógł sprawić, że wychodziłam z roli. Ale zaraz, przecież ja...

Wtem ból stał się nie do zniesienia – miałam poczucie, że mój mózg pęka na tysiąc kawałeczków niczym delikatny talerz. Przystanąłam na środku chodnika, opuściłam głowę i przyłożyłam dłoń do czoła. Zgrzytając zębami, czekałam, aż ból ustąpi. Zaległa się we mnie obawa, że może to być tętniak.

Aż nagle, jak przypomniały sobie sen z zeszłej nocy, w moim umyśle pojawiła się scena z przeszłości. Równocześnie ból nieco zelżał, jakby jego zadaniem było tylko uchylenie wrót pamięci, przez które przeciśnie się to wspomnienie. Nie mogłam go jednak umiejscowić w czasie i miejscu.

Razem z Marie byłam w poczekalni gabinetu lekarskiego. Pod pomalowanymi na biało ścianami stał rząd niewygodnych krzeseł. Marie siedziała tuż obok mnie i zabijała czas, przeglądając czasopismo psychologiczne. Niedaleko, za półprzezroczystym kontuarem, siedziała ubrana w bladoniebieski fartuch pielęgniarka. W pewnym momencie obrzuciłam Marie nienawistnym spojrzeniem, a ona musiała je wyczuć, bo odłożyła czasopismo i rzekła uspokajającym tonem:

– Quinn, naprawimy to. Będzie tak jak ostatnio. Obiecał, że tym razem poskutkuje.

Po tych słowach wróciła znów do studiowania prasy, ja jednak szybkim ruchem wyrwałam gazetę z jej dłoni. Magazyn wylądował na podłodze. Marie zrobiła marsową minę, ale w tej samej chwili otworzyły się drzwi gabinetu. Ten dźwięk sprawił, że zrobiło mi się niedobrze z nerwów.

Wspomnienie urwało się gwałtownie, a ja z wrażenia zaczerpnęłam haust rześkiego porannego powietrza i zachwiałam się na nogach. Rozejrzałam się szybko wkoło, ale na ulicy dalej nie było żywej duszy. Nerwy miałam w strzępach, a w głowie dalej mi łupało – ból spowodowało pojawienie się wspomnienia, którego nie umiałam powiązać z żadnym konkretnym wydarzeniem ze swojej przeszłości. Było niczym urywek filmu, którego nigdy nie oglądałam w całości. Nie miałam pojęcia, dokąd zabrała mnie Marie i co takiego chcieli we mnie naprawić.

Zamrugałam szybko, poszukując w pamięci wspomnień, które mogłyby nadać sens tym oderwanym obrazom. Nic jednak do nich nie pasowało. Czy były prawdziwe? Gdyby były, chybabym ich nie zapomniała. Poza tym nienawistne spojrzenie, jakie posłałam Marie, było zupełnie nie w moim stylu. Podobnie jak wyrwanie jej z ręki czasopisma. Nigdy bym na nic takiego sobie nie pozwoliła, Marie była dla mnie jak matka. To znaczy tak ją postrzegałam, mimo że w rzeczywistości mnie okłamywała.

Nagle poczułam łaskotanie na górnej wardze. A kiedy ją oblizałam, na języku pojawił się metaliczny smak. Szybko wytarłam usta wierzchem dłoni, a kiedy uniosłam ją do oczu, zobaczyłam na skórze czerwoną plamę. Leciła mi krew z nosa.

Żeby pozbyć się z ust paskudnego smaku, splunęłam w trawę. Krew jednak nadal spływała mi do gardła. Nachyliłam się i palcami uchwyciłam od góry nos. Nie pamiętałam już, kiedy ostatnio przytrafiło mi się coś takiego. Pamiętałam natomiast, że kilka miesięcy temu, kiedy siedzieliśmy w ogródku jakiejś



pizzerii, Deaconowi poszła krew z nosa. Podleciała wtedy do nas jakaś przemądrzała baba i zaczęła się wydzierać na mojego towarzysza, twierdząc, że nie powinien odchyłać głowy. Nie mogła znieść, że wszyscy popełniają wciąż ten sam błąd. Deaconowi nie spodobał się ton tej kobiety; spytał, czy należy do jednostki policyjnej ścigającej osoby, którym pociekła krew z nosa. A chwilę później puścił nos i pozwolił, by krew zalała mu brodę. Zrobił to tylko po to, żeby dopiec tej babie. Poskutkowało – kobiecie zrobiło się słabo i dała nam spokój.

Zaśmiałam się do siebie, czując, jak krew zbiera mi się w ustach. Splunęłam jeszcze raz, cały czas pochylając głowę – zapamiętałam tę technikę z zajęć pierwszej pomocy. Trwało to wszystko strasznie długo; bałam się, że ktoś wreszcie wyjdzie przed dom i zastanie przed nim krwawiącą na chodnik dziewczynę. W końcu jednak krwotok ustąpił. Wyprostowałam się i odczekałam chwilę, aż spadnie ostatnia kropla. W nozdrzach czułam zaschniętą krew, miałam poplamioną koszulkę.

*Tego się nie spodziewałam*, pomyślałam. Z umazaną na czerwono twarzą musiałam wyglądać jak bohaterka jakiegoś horroru. Dlatego pobiegłam na tyły najbliższego domu i odnalazłam hydrant z węzłem ogrodowym. Odkręciłam zawór. Woda była lodowata; najpierw opłukałam ręce, a potem umyłam twarz. Zakręciłam piszczący przy każdym ruchu kranik, podłączyłam z powrotem wąż, a na koniec strząsnęłam z dłoni krople wody.

Dziwne wspomnienie z poczekalni nie dawało mi spokoju. Tkwiło w moim umyśle niczym cień na pograniczu jawy i snu. Z wolna narastało we mnie przekonanie, że muszę rozmówić się z Marie. To ona z polecenia Arthura zaprowadziła mnie do mojego ojca po śmierci jego prawdziwej córki i to ona pomogła mi odkryć, że jestem sobowtórem Quinlan McKee. Podczas wczorajszej rozmowy telefonicznej ojciec wspominał o Marie. Nie wiedziałam tylko, co chciał przez to powiedzieć – czy miało to być ostrzeżenie dla niej czy może wskazówka dla mnie? Może chciał, żebym ją odszukała?

W pewnym momencie z domu po drugiej stronie ulicy wyszła jakaś kobieta. Zatrzasnęła za sobą drzwi i odwróciła się do mnie plecami, zamykając je na klucz. Korzystając z tego, że mnie nie zauważyła, ruszyłam przed siebie w stronę śródmieścia. Nie chciałam, żeby wzięła mnie za złodziejkę, która rozgląda się za potencjalnym celem. Nie byłam jeszcze pełnoletnia, więc gdybym trafiła w ręce gliniarzy, w pierwszej kolejności zawiadomiliby mojego ojca. Nie, wróc – zawiadomiliby wydział żałoby. Przecież mój ojciec, jak się okazało, nigdy tak naprawdę nie był moim prawnym opiekunem.

Czując narastającą panikę, przyspieszyłam kroku. Kiedy kobieta mijała mnie swoim minivanem, odwróciłam głowę w drugą stronę. Wiedziałam już, co zrobię – moim celem nadal był Roseburg, jednak musiałam odszukać też Marie; to właśnie sugerował mi z jakiegoś powodu ojciec. Pozostała tylko jedna osoba, do której mogłam się zwrócić o pomoc – Aaron Rios.

Aaron to mój najlepszy przyjaciel. Zawsze mnie krył i był chyba jedynym człowiekiem, który mnie nie zdradził. Tyle że Aaron planował wyjechać ze swoją dziewczyną. Twierdził też, że nie może podzielić się ze mną informacjami na temat warunków, na jakich wydział zwalnia go z kontraktu, istniało więc ryzyko, że był tak samo umoczony jak wszyscy pozostali. Musiałam jednak zaryzykować.

Tylko on był w stanie namierzyć Marie. Musiałam znaleźć telefon.

\* \* \*

Kilka przecznic dalej, na rogu ulicy, znalazłam kafejkę. Kiedy jednak zobaczyłam, że w środku nie ma zbyt wielu gości, zawahałam się przy drzwiach. Sytuacje, gdy nie mogłam wmieszać się w tłum, były potencjalnie niebezpieczne, dlatego ruszyłam dalej. Mokre palce drętwiały mi z zimna, a w skroniach dalej czułam pulsujący ból.

W pewnym momencie zauważyłam nadchodzącą z naprzeciwka parę; oboje w rękach trzymali papierowe kubki. Kiedy się mijaliśmy, rzucili w moją stronę „cześć”, jednak schyliłam głowę i uciekłam spojrzeniem w bok. Ruszyłam w stronę, z której nadeszli, i po chwili znalazłam kolejną kawiarenkę. Mieściła się w niewielkim budyneczku z gontowym dachem. Na werandzie ustawiono kilka metalowych krzeseł i małych stolików; przy wszystkich siedzieli goście, a rzut oka na szklane drzwi upewnił mnie, że w środku też jest tłoczno. Idealnie.

Nos nadal miałam zatkany skrzepniętą krwią, ale i tak wyczułam cudowny aromat orzechów i świeżo parzonej kawy. Stałam w kolejce do baru. Przede mną stał z rękami w kieszeniach facet w lekkiej kurteczce. Przyglądałam mu się uważnie, kiedy jednak uznałam, że raczej nie ma przy sobie komórki, natychmiast straciłam dla niego zainteresowanie i zaczęłam rozglądać się po sali. W rogu dostrzegłam chłopaka piszącego coś na komputerze. Na brzegu jego stolika leżała komórka, z drugiej zaś strony rozłożona książka. Dłonie chłopaka biegały szybko po klawiaturze. Sprawiał wrażenie przemęczonego i rozkojarzonego. Wymarzony cel.

Nie spuszczać go z oka, zamówiłam przy barze waniliowe latte. Kubek z kawą, kiedy oplotłam go palcami, był cudownie ciepły. Sięgając po mieszadełko, omiotłam jeszcze raz spojrzeniem całe wnętrze. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Poprawiłam kaptur bluzy, tak żeby ukryć w nim jak najwięcej twarzy, po czym nasunęłam głębiej na oczy daszek czapeczki. Odczekałam jeszcze chwilę, a kiedy jeden z gości przechodził obok stolika, przy którym siedział chłopak z komputerem, bez zastanowienia ruszyłam w tamtą stronę.

Świetnie wymierzyłam czas. Przechodząca dziewczyna powiedziała do mnie „przepraszam”, a ja, żeby ją przepuścić, musiałam stanąć przy samym stoliku; na chwilę zrobiło się tłoczno. Chłopak dalej pisał na komputerze, kiedy jednak trąciłam go udem, przechylił się w drugą stronę, żeby zrobić nam więcej miejsca. Przeprosiłam go półgłosem, a w tym samym momencie moje palce chwyciły jego komórkę. W następnej sekundzie, zanim zdążył dokończyć pisać zdanie, telefon był już w mojej kieszeni.

Zaraz po wyjściu z kawiarenki skierowałam się do parku, który wypatrzyłam już wcześniej. Kiedy zdjęłam czapeczkę, natychmiast owionęło mnie rześkie poranne powietrze. Zwinęłam baseballówkę, wsunęłam ją do kieszeni kurtki i potrząsnęłam głową, żeby rozprostować włosy. Przy pochylonym drzewie znalazłam ławkę, częściowo ukrytą przed wzrokiem postronnych obserwatorów. Usiadłam

i przyjrzałam się zdobyczej komórce.

Nie miała blokady klawiatury, co przyjął z pewnym zdziwieniem. Jako sobowtór musiałam złamać kilkadziesiąt kodów dostępu w komórkach, żeby poznać intymne szczegóły z życia moich klientów. Nie było to zbyt trudne. Gość, któremu zwędziłam aparat, jako tapetę ustawił zdjęcie psa w okularach przeciwsłonecznych. Musiał być z niego uroczy i ufny chłopak. I najwidoczniej kochał swojego psiaka. Momentalnie opadły mnie wyrzuty sumienia. Oby komórka była ubezpieczona.

Aaron zapewne nie posługiwał się już tym samym numerem co kiedyś, ponieważ chciał na dobre zniknąć z miasta i nie życzył sobie, by ktoś go namierzył. Wyjechał jednak, zanim odkryłam, że ojciec i Marie oszukiwali mnie przez całe życie. Dlatego nie mógł wiedzieć, jak niebezpieczny obrót przyjęły ostatnio sprawy. Liczyłam, że w związku z tym ani on, ani jego dziewczyna nie przesadzali ze względami bezpieczeństwa.

Aaron zawsze żartował, że gdy tylko skończy mu się kontrakt, razem z Myrą wyjadą i zamieszkają w domku w lesie w Dakocie Północnej. Do tego czasu mogli być już w połowie drogi. Podejrzewałam, że moje rewelacje niezbyt ich ucieszą.

Kiedy wystukiwałam numer komórki Myry, ból głowy z wolna zaczął znów narastać. Zanim wcisnęłam „połącz”, rozejrzałam się po parku. Na sąsiedniej ławce leżał mężczyzna przykryty gazetą, a niedaleko klombów przechadzała się para trzymająca się za ręce. Kiedy kobieta się roześmiała, złapałam się na tym, że bezwiednie próbuję naśladować jej śmiech.

Powstrzymałam się siłą woli – naśladowanie innych było strasznym nawykiem wyniesionym jeszcze z czasów mojej współpracy z wydziałem żałoby. Zerknęłam znów na wystukany na komórce numer, a oczami wyobraźni zobaczyłam Aarona i Myrę przy kominku w leśnej chatce. Wyobraziłam sobie, że on zaplata jej warkoczyki, podczas gdy ona narzeka, że życie w dziczy jest strasznie nudne. Mimo to wiedziałam, że są szczęśliwi – byli wolni.

Nie powinnam im tego odbierać. Powinnam pozwolić im uciec.

Byłam jednak zbyt wielką egoistką, żeby posłuchać tych podszeptów sumienia. Wcisnęłam „połącz” i utkwivszy spojrzenie w fontannie po drugiej stronie parku, czekałam, aż ktoś odbierze. Kiedy dość długo nikt się nie zgłaszał, zaczęłam się niepokoić, czy Myra nie zostawiła gdzieś komórki. W końcu jednak w słuchawce rozległ się jej głos, tak samo zdecydowany i agresywny jak zawsze:

– Słucham, kto mówi?

– Potrzebuję pomocy – powiedziałam cicho, czując, jak wzruszenie odbiera mi głos.

Myra powiedziała niewyraźnie, żebym chwilę poczekała. Wolałabym, żebym porozmawiała ze mną trochę dłużej. Dzięki niej mogłabym sobie przypomnieć, jak to było, zanim poznałam prawdę o sobie. Jednak ona od razu oddała aparat Aaronowi. Wiedziała, że tylko w ten sposób może mi pomóc.

– Nic ci nie jest? – spytał na wstępie mój przyjaciel.

Brzmiał, jakby był rozkojarzony. Domyśliłam się, że siedzi za kierownicą. W jego głosie dosłyszałam też niepokój.

– Muszę odnaleźć Marie – powiedziałam. – Ona zniknęła.

– Nie wierzę, że po to do mnie dzwonisz, Quinn. Jeśli Marie faktycznie przepadła, żadne z nas nie zdoła jej odnaleźć. To samo powiedziałem wczoraj wieczorem Deaconowi.

– Co takiego? Rozmawiałeś z Deaconem? – zdziwiłam się. Momentalnie przeszły mnie ciarki.

– Jak to? To nie jesteście w tej chwili razem?

– Nie – przyznałam, rozglądając się wokół, jakbym spodziewała się, że Deacon przez cały czas ukrywa się tuż obok.

Wkoło zobaczyłam jednak tylko park. Aaron zaklął pod nosem.

– Co się dzieje? – spytał. – Najpierw on dzwonił i wypytywał mnie o Marie, a teraz dzwonisz ty. Quinn, mówiłem ci przecież, że już się tym nie zajmuję, pamiętasz? Co, do cholery, stało się wczoraj w mieszkaniu Marie?

– Nie zastałam jej – wyjaśniłam. A po chwili dodałam, czując, że do oczu napływają mi łzy: – Ale zostawiła mi teczkę.

– Teczkę z dokumentacją twoich zleceń?

– Nie, *moją* teczkę. Quinlan McKee to tylko rola, zlecenie. Przez całe życie byłam jej sobowtórem.

Na moment po drugiej stronie zapadła cisza.

– Co ty, do diabła, pleciesz?

– Prawdziwa Quinlan McKee zmarła w wieku sześciu lat. Marie i Arthur Pritchard wybrali mnie i wyszkolili do roli sobowtóra Quinn. Jednak na tym nie koniec. Uznali, że będę im jeszcze potrzebna, więc pozwolili, żeby ojciec Quinlan zatrzymał mnie u siebie na stałe. Aaronie, całe moje życie było jedną wielką mistyfikacją. Nie jestem nawet prawdziwa.

– To znaczy... że Tom nie jest twoim biologicznym ojcem?

– Właśnie.

Aaron nie odzywał się przez dłuższą chwilę. Wyobraziłam sobie, jak w tym czasie spogląda ze zdumieniem na siedzącą obok Myrę.

– Zaczekaj – powiedział w końcu. – Muszę zaparkować.

W pewnym momencie w tle usłyszałam głos Myry – pytała, czy nic mi nie jest. Od razu zrobiło mi się cieplej na duszy. Równocześnie jednak nie mogłam opędzić się od pewnej myśli: czy Myra w ogóle chciałaby się przyjaźnić z prawdziwą mną, gdybym nie była sobowtórem? Nagle uświadomiłam sobie, że wszystkie moje znajomości stanęły pod znakiem zapytania.

– Jesteś tam? – spytał Aaron, a kiedy się odezwałam, westchnął ciężko. W jego głosie słychać było niedowierzanie. – Cholera, nie cierpiałem Toma. Nigdy nie mogłem zrozumieć, jak to się stało, że miałaś takiego dupka za ojca, a wyrosła z ciebie taka fajna dziewczucha. Teraz chyba znamy rozwiązanie tej zagadki.

– Na to wygląda – przyznałam.

– A więc Marie też cię oszukiwała?

– Tak.

Wiedziałałam, że dla Aarona myśl, iż nasza doradczyni nas zdradziła, była równie szokująca, jak dla mnie. Ufaliśmy jej bezgranicznie. Tak nas wyszkolono.

– Jak się trzymasz? – spytał po chwili nieco cichszym głosem.

Pod wpływem tego, co mu powiedziałam, zaszła w nim jakaś zmiana.

– Bywało lepiej.

– No, nie dziwię się. A co o całym tym bajzlu sądzi Deacon? – spytał. – Nie rozumiem, dlaczego mi o tym nie powiedział.

– On... – Zawahałam się na moment i omiotłam jeszcze raz spojrzeniem park.

Nagle odniosłam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Było to niemal fizyczne doznanie czyjegoś wzroku, który przyklepił się do moich pleców. Podniosłam się szybko z ławki i obejrzałam za siebie.

– Mam nadzieję, że nie wciskasz mi kitu – rzekł Aaron, błędnie interpretując niepokój pobrzmiewający w moim głosie. – Opowiadał, że wyjeżdżacie razem z miasta. Prosił, żebym podał mu namiary na Marie. Powiedziałem, że nie mam. Zarzekał się, że między wami dwojgiem jest już dobrze.

– No cóż, powinieneś wiedzieć, że jeśli ktoś się zarzeka, że coś jest prawdą, po prostu znaczy to tyle, iż bardzo zależy mu, żeby cię oszukać. – Po chwili zaś dodałam: – Odszukaj dla mnie Marie i przekaz jej, żeby spotkała się ze mną w Roseburgu. Jak tylko tam dotrę, prześlę ci swój nowy numer. Aaronie, pamiętaj, że jeśli odezwie się do ciebie Deacon, nie możesz mu się przyznać, że ze mną rozmawiałeś. Nie tym razem. Proszę, zachowaj to w tajemnicy.

– Powinnaś wiedzieć, że jeśli ktoś prosi cię o zachowanie czegoś w tajemnicy, na sto procent jest o krok od zrobienia jakiegoś wielkiego głupstwa.

Nagle zatęskniłam za naszą przyjaźnią. Dawniej spędzaliśmy razem całe dni, krążąc samochodem po ulicach, opowiadając sobie różne historie, żartując ze wszystkiego. Jako sobowtóry nie mieliśmy łatwego życia, ale zdarzały się fajne momenty.

– Przekaż Myrze, że przepraszam, że zadzwoniłam – powiedziałam na koniec. – I że brakuje mi tej wredoty.

– Zrobię to na pewno – odparł ze śmiechem. – Do usłyszenia niebawem.

Wyłączyłam komórkę i wsunęłam ją do kieszeni. Wiedziałałam, że muszę się pozbyć aparatu, najpierw jednak chciałam załatwić kilka spraw. Podniosłam się z ławki i ruszyłam ku niedalekim budynkom. Poczucie, że ktoś mnie obserwuje, nie było już tak dokuczliwe, ale towarzyszyło mi nadal. Mimo wszystko dobrze było usłyszeć głos Aarona, dodał mi pewności siebie. Przypomniał o tym, kim jestem.

Byłam przecież świetnym sobowtórem. Umiałam wcielić się w każdego. A jeśli chciałam podróżować anonimowo, musiałam stać się kimś innym.

## Rozdział szósty

**P**oranna mgła z wolna ustępowała. Wiedziałam, że muszę ruszać w drogę, jeśli chcę dotrzeć do Roseburga, zanim w szkołach skończą się lekcje. Kiedy przeczesałam dłonią włosy, ze zdziwieniem przypomniałam sobie, jakie są krótkie – ścięłam je tydzień temu, żeby wyglądać jak Catalina. Teraz jednak musiałam znów zmienić wygląd.

Ruszyłam w kierunku usytuowanych obok siebie budek sklepowych. Większość była jeszcze nieczynna, ale odnalazłam wśród nich barek, w którym sporo osób zamawiało kawę. Wśród gości wypatrzyłam jakąś blondynkę o dość pospolitej urodzie. Przez ramię przewieszoną miała olbrzymią torbę – jej rozmiar wskazywał, że w środku są ubrania. Dziewczyna wyglądała na studentkę, być może wpadła tu na kawę przed zajęciami na uczelni.

Przypatrywałam się jej, kiedy rozmawiała przez telefon. W pewnym momencie wybuchnęła śmiechem, a chwilę potem zmarszczyła nos. Upewniłam się, że nikt mnie nie podgląda, po czym zaczęłam ją naśladować. Kiedy coś mówiła, lewy kącik jej ust unosił się lekko, jakby warga zahaczała o wystający ząb. Był w tym pewien urok. Mogłam się domyślać, że jej znajomi uwielbiają w niej ten drobny defekt urody.

Dziewczyna odrzuciła włosy na ramię i postawiła torbę na kontuarze. Wkoło niej stało sporo innych osób, jednak wszyscy utrzymywali pewien dystans. Ona tymczasem dalej rozmawiała przez komórkę. Odniosłam wrażenie, że w ten sposób chce się odciąć od zgiełku wokół. Jej włosy były dłuższe od moich, więc potrzebowałabym doczepianych sztucznych pasm. Niedaleko widziałam drogerię, więc nie byłoby z tym problemu. Wcielenie się w tę dziewczynę przyszłoby mi z łatwością.

Rozejrzałam się ostatni raz, po czym ruszyłam w jej stronę. Zajęłam miejsce obok niej przy kontuarze i udawałam, że czekam na kawę. Dziewczyna posłała mi obojętne spojrzenie, po czym odwróciła się w drugą stronę.

– W takim razie jest ciężkim idiotą – mówiła do komórki. – Powiesz mu...

Przestałam przysłuchiwać się jej rozmowie, a zamiast tego skupiłam się znów na sali wokół nas. Musiałam mieć pewność, że nikt na mnie nie patrzy. Następnie nachyliłam się do dziewczyny i zanurzyłam rękę we wnętrzu jej torby. W pierwszej chwili ogarnęła mnie panika, że w środku trzyma zbyt wiele przypadkowych rzeczy, bym mogła znaleźć to, co mnie interesuje, w końcu jednak wymacałam portfel i szybko go wyciągnęłam. Był to niewielki portfelik z czarnej skóry. Błyskawicznie wsunęłam go do kieszeni, odwróciłam się i odeszłam od baru – wszystko to w jednym płynnym ruchu.

Kiedy znalazłam się po drugiej stronie kawiarnianej wiaty, wyjęłam z portfela prawo jazdy i kartę kredytową. Wiedziałam, że muszę działać szybko, zanim dziewczyna zablokuje ją w banku. Kiedy już miałam to, na czym mi zależało, położyłam portfel na kontuarze przy kasie.

– Ktoś go chyba zapomniał – zwróciłam się do przyjmującego zamówienie baristy, unikając kontaktu wzrokowego. Barista podziękował mi, po czym szybko wycofałam się w stronę głównej alei. Zgubienie portfela to zawsze niefajna przygoda. Kiedy dziewczyna zorientuje się, co się stało, na pewno spyta w pierwszej kolejności baristę, myśląc, że zostawiła go przy kasie. Mimo to czułam się fatalnie z powodu kradzieży. Gdyby nie przymusiły mnie do tego okoliczności, nigdy nie posunęłabym się do czegoś takiego. Choć kto wie, może tak naprawdę byłam nałogową kleptomanką. Mogłam być każdym.

Kiedy oddaliłam się od kawiarenki, przyjrzałam się dokładniej prawu jazdy. Dziewczyna, którą okradłam, nazywała się Elizabeth Major i miała osiemnaście lat. Idealny wiek, doskonale nadawała się do moich celów. Przypatrując się jej zdjęciu, mimowolnie dotknęłam swoich włosów – wielka szkoda, że nie były już tej samej długości co kiedyś, w czasie gdy wiedziałam, kim jestem.

Prawo jazdy i kartę kredytową schowałam do kieszeni i ruszyłam w stronę drogerii, którą wypatrzyłam kawałek dalej. Nadeszła pora na całkowitą zmianę wyglądu.

Ponad rok temu siedziałam w pokoju Deacona i patrzyłam, jak podziwiał w lustrze efekt własnej przemiany. Zgolił króciutko swoje kasztanowe włosy i ufarbował je na blond. Na nosie miał okulary w czarnych oprawkach. Obracał głowę to w jedną, to w drugą stronę i stroił różne miny do lustra. Nazajutrz miał rozpocząć nowe zlecenie – wcielił się w Kyle’a Kelseya, szesnastolatka ze Springfield, który zginął w wypadku na farmie. Kyle prowadził vloga, dzięki czemu Deacon mógł podrobić też jego głos. Ciągle jednak nie umiał uśmiechać się w taki sposób jak denat.

– Do twarzy ci w okularach – pochwaliłam.

Siedziałam po turecku na łóżku, Deacon zaś podziwiał się w lustrze, które postawił na komodzie.

– Tak sądzisz? – odezwał się, robiąc jeszcze jedną minę specjalnie dla mnie.

Tak, byłam jego wierną fanką. Uklękłam i przywołałam go do siebie gestem. Ruszył w moją stronę, jednak zatrzymał się w pół kroku i uniósł rękę.

– Quinlan, nie masz sobie równych w odciąganiu mnie od roboty. Muszę jednak nauczyć się odgrywać tego gościa – stwierdził, kierując znów spojrzenie w lustro. – Gdy tylko się z tym uporam, zedrę z siebie ubranie i pozwolę, żebyś mnie zgwałciła.

Ze śmiechem opadłam na poduszki. Kiedy obserwowałam Deacona, z mojej twarzy nie schodził uśmiech. Przez ostatni rok pracowaliśmy razem, a od pół roku byliśmy też parą. Nigdy mu nie powiedziałam, że mam bzika na jego punkcie. Ale w sumie nie musiałam, bo chociaż on też nigdy mi o tym nie mówił, wiedziałam, że jest we mnie zakochany do szaleństwa.

– Mam nieodparte wrażenie – odezwałam się, spoglądając w sufit – że mój ojciec rozmyślnie planuje nasze zlecenia w taki sposób, żeby nas rozdzielić.

– Co ty pleciesz? – zdziwił się Deacon. – Nadal pracujemy razem: przecież podczas zleceń komunikujemy się ze sobą.

– Niby tak – przyznałam – ale nie rozmawiamy wtedy tak naprawdę ze sobą. Na przykład w ten weekend będę rozmawiać z wersją Kyle’a Kelseya.

Deacon odwrócił się do mnie z ciężkim westchnieniem. Ujawszy oprawki okularów w dwa palce, spytał:

– Zostawić czy zdjąć?

– Zdjąć – poradziłam.

Ściągnął z nosa okulary, uwolnił się też od koszuli i położył się na brzuchu obok mnie. Brodę oparł na złożonych rękach, wydawał się pogrążony w myślach. Odwróciłam się do niego i zaczęłam drapać go po plecach.

– W takim razie skończmy z tym – powiedział przyciszonym głosem. – Ile jeszcze wytrzymamy w tej robocie?

Nachyliłam się bliżej, pocałowałam go w ramię, a potem przytuliłam się do tego miejsca policzkiem i zamknęłam oczy.

– Jeszcze tylko to jedno zlecenie – obiecał.

– Powtarzasz to za każdym razem – poskarżyłam się. – A potem nic z tego nie wychodzi. Łatwo ci mówić o odejściu z pracy, bo nie masz ojca, który byłby równocześnie twoim szefem.

Deacon przewrócił się na bok, tak że leżeliśmy teraz zwrócenieni do siebie. Jego piwne oczy odnalazły moje.

– Twój tata nie jest ze mną spokrewniony, ale to nie znaczy, że nie ma nade mną pewnej władzy. W życiu sobowtóra nic nie jest proste. Nic z wyjątkiem tego, co istnieje między nami. Z wyjątkiem tego...

Po tych słowach nachylił się i mnie pocałował.

Ale mylił się co do nas. Koniec końców nasza znajomość stała się wyjątkowo skomplikowana. Deacon zawiódł mnie, kiedy najbardziej go potrzebowałam. Porzucił mnie, i to więcej niż jeden raz. Najgorsze było to, że nie wiedziałam, dlaczego tak postąpił. *Dlaczego* spiskował przeciwko mnie? Miałam nadzieję, że jeśli znajdę odpowiedzi na inne nurtujące mnie pytania, być może zrozumieć również to.

W drogerii odnalazłam regał z doczepianymi włosami i zaczęłam szukać takich, które najbardziej pasowałyby kolorystycznie do moich kosmyków. Myślami przez cały czas byłam jednak przy Deaconie – analizowałam, jak bardzo go nienawidzę za to, że tak bardzo go kocham.

W końcu jednak musiałam odepchnąć od siebie te myśli, a wraz z nimi uczucia, jakie we mnie budziło jego wspomnienie. Zdecydowałam się na dopinki w kolorze blond i wrzuciwszy opakowanie do koszyka, przeszłam do działu z kosmetykami. Na produkty do make-upu i pędzelki wydałam czterdzieści dolarów – twarz Elizabeth Major różniła się od mojej i upodobnienie się do dziewczyny wymagało sporo wysiłku. Oczywiście nie byłam w stanie odtworzyć charakterystycznej dla niej wady zgryzu, jednak mogłam naśladować sposób, w jaki próbowała ją ukryć.

Po wizycie w drogerii poszłam na najbliższą stację benzynową, żeby skorzystać z toalety. Kiedy znalazłam się w ciasnej, brudnej łazieneczce, wyjęłam z kieszeni prawo jazdy Elizabeth i oparłam je o płytkę ścienną nad umywalką. Przez chwilę przypatrywałam się uważnie zdjęciu. Z ulgą odkryłam, że



mamy oczy w podobnym kolorze. Całe szczęście, bo nie pomyślałam o kupnie soczewek kontaktowych.

Najpierw nałożyłam podkład, żeby ukryć piegi. Kiedy już moja twarz zamieniła się w czyste płótno, zaczęłam delikatnymi pociągnięciami pędzelka modyfikować kształt rysów – musiałam nieco poszerzyć usta i sprawić, by kości policzkowe nie były tak wyraziste.

Kiedy skończyłam się malować, wyjęłam z torby doczepiane włosy i przeczesalam je palcami. Następnie przyłożyłam je do swojej fryzury i przypięłam zatrzaskami. Natychmiast przypomniałam sobie, jak bardzo nienawidzę tego rodzaju doczepek. Te, które dawała mi Marie, były przynajmniej droższe i lepszej jakości. Na koniec uczesałam włosy i nadałam im taki kształt, żeby przypominały fryzurę Elizabeth.

Kiedy przejrzałam się w lustrze, efekt pozostawiał jednak wiele do życzenia. W swojej odmienionej twarzy nadal mogłam dostrzec wspomnienie Quinlan McKee – dziewczyny, którą kiedyś byłam. Od razu poczułam też nostalgię. Pewnie to kwestia włosów.

Poczekalam, aż opadnie fala emocji, po czym schowałam kosmetyki do torby. Narzuciłam na głowę kaptur i wyszłam z łazienki w światło poranka. Liczyłam, że Elizabeth nie odkryła jeszcze braku karty kredytowej i zdążyła ją zapłacić za bilet. I rzeczywiście mi się to udało.

Wykupiłam bilet na przejazd jadącym do Roseburga autokarem linii osiemdziesiąt cztery. Wgrałam do komórki kod kreskowy biletu i ruszyłam ku stanowisku, na które miał podjechać autokar. Wkoło niego kręciło się już mrowie ludzi, co dodało mi otuchy. Szykujące się do odjazdu autokary ustawiły się jeden za drugim. Na końcu dostrzegłam też mój oznaczony numerem osiemdziesiąt cztery.

W pewnym momencie kilka metrów ode mnie po drugiej stronie ulicy na chodnik wjechał jakiś samochód. Ze zgrozą uświadomiłam sobie, że kierowca zatrzymał się ze względu na mnie.

*Odnaleźli mnie*, pomyślałam tknięta złym przeczuciem.

Otworzyły się drzwi po stronie kierowcy. Kiedy zobaczyłam, kto wysiada z za kierownicy, poczułam tak wielką ulgę, że moja dłoń bezwiednie powędrowała do serca. To był August. Uśmiechnięty od ucha do ucha zamknął za sobą drzwi szarego sedana i ruszył w moją stronę.

– Cześć, piękna – zawołał, wkładając ręce do kieszeni sztruksowych spodni.

Czułam ulgę przez krótką chwilę, bo zaraz przypomniałam sobie strach, jaki towarzyszył mi zeszłej nocy. Czy August rzeczywiście podał mi narkotyki? I dlaczego miałyby to zrobić?

– August – odezwałam się na powitanie, próbując nadać swojemu głosowi naturalne brzmienie – jakim cudem... Skąd wiedziałeś, że to ja?

– Twoja twarz się zmieniła, ale nadal masz tę samą figurę. No i ten sam kolor oczu.

– Jesteś bardzo spostrzegawczy.

– I kto to mówi – zauważył ze śmiechem.

Z nerwów byłam cała spięta. Starłam się jednak, żeby zdenerwowanie nie odmalowało się na mojej twarzy. Z wolna zaczęłam sobie uświadamiać, że zbyt łatwo zaufałam temu chłopakowi.

– Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać? – spytałam, ciekawa, jaką wymijającą odpowiedź wymyśli tym

razem.

– Biorąc pod uwagę, że wymknęłaś się przez okno na piętrze, uznałem, że będziesz chciała czmychnąć z miasta. Dworzec autobusowy to była moja ostatnia szansa. Prawdę mówiąc, jestem zdziwiony, że jeszcze cię tu zastałem.

– No cóż, faktycznie to dziwne – przyznałam, zaciskając dłoń na pasku plecaka. – Wybacz, że wyniosłam się bez słowa. Nie chciałam was budzić. Stwierdziłam, że jednak chcę jak najszybciej wrócić do domu.

– Nic by się nie stało, gdybyś nas obudziła – zapewnił wesoło August. – Wychodzenie przez okno i ryzykowanie życia to chyba nie najlepszy pomysł.

– Wybacz, że napędziłam wam strachu – powiedziałam.

Dopiero teraz, w świetle poranka, zaczęłam dostrzegać szczegóły wyglądu Augusta, które umknęły mi w nocy. Przede wszystkim zwróciłam uwagę na jego włosy, które przy skórze były jaśniejsze niż sięgające mu ramion końcówki. Wyglądało to na odrosty – znak, że używał farby. Tęczówki miał też nieco większe niż przeciętny człowiek, a ich kolor dokładnie pokrywał się z barwą tęczówek Deacona. Nagle stało się dla mnie jasne, że August nosi soczewki kontaktowe. Mało tego – wypowiadał się nawet w podobny sposób jak Deacon.

A więc mój tata miał rację. Na myśl o tym przełknęłam nerwowo ślinę.

– Trochę się martwiłem – powiedział chłopak, zbliżając się o krok. – Lekko się wstawiłaś, a potem znalazłaś się sama w obcym mieście. Dobrze, że cię znalazłem, Brooke. Możesz zostać u nas, ile tylko chcesz. Nasza chata to dobra kryjówka.

– Czyżby? – bąknęłam pod nosem, równocześnie zerkając nad jego ramieniem. Autokar numer osiemdziesiąt cztery właśnie podjechał na stanowisko.

August zmarszczył brwi, jakby chciał dać mi do zrozumienia, że zachowuję się dziwnie. Byłam jednak pewna, że doskonale wie, co się dzieje. Zbliżył się jeszcze krok. Ręce przez cały czas trzymał w kieszeniach, sprawiając wrażenie totalnie wyluzowanego.

– No to może pozwól chociaż, żebym podrzucił cię do domu – zaproponował. – Twój ojciec musi umierać z niepokoju.

Wszystko we mnie zamarło – nigdy nie wspominałam mu o moim tacie. Wręcz przeciwnie, powiedziałam, że jestem na utrzymaniu państwa. I że nie mam rodziny. Miałam przed sobą *sobowtóra*, który święcie wierzył, że go nie przejrzałam. Starał się naśladować mojego chłopaka, żeby wytworzyć we mnie złudne poczucie bezpieczeństwa i zdobyć moje zaufanie. No cóż, najwyraźniej mnie nie doceniał.

– To bardzo miłe z twojej strony – powiedziałam z uśmiechem, ściągając z głowy kaptur. – Ale i tak mieliście ze mną już dość kłopotów.

– No coś ty! – zaprzeczył żarliwie. – Psy, które przygarniamy, sprawiają więcej problemów niż ty.

Parsknęłam udawanym śmiechem. Mimo jego słów w domu nie widziałam żadnego psa. Ciekawa

byłam, kim w takim razie była Eva – przyjaciółką czy sobowtórem? Nie miałam teraz czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Wykonałam ruch, jakbym zamierzała wsiąść do jego samochodu.

– Byłoby super, gdybyś mnie podrzucił – powiedziałam. – Wielkie dzięki. Ale może najpierw zatrzymamy się na stacji benzynowej i kupimy coś do przegryzienia?

Kiedy podchodziłam do samochodu, kątem oka widziałam, jak August gmera w kieszeni. Nie mogłam być pewna, ale istniało ryzyko, że chował w niej nóż.

Gorączkowo rozważałam, co mogę zrobić. Mogłabym rzucić się do ucieczki, wołając o pomoc. Może ktoś zdążyłby mnie obronić, zanim ten chłopak zrobi mi coś złego. Jednak nie obesłoby się wtedy bez przesłuchania na policji. A ponieważ byłam niepełnoletnia, odesłano by mnie do domu rodzinnego. Tak, zwracanie na siebie uwagi było w moim przypadku ostatecznością.

August szedł obok, opowiadając coś beztroskim tonem. Najwyraźniej kompletnie się nie domyślał, że przejrzałam już jego gierkę. Posłałam mu niewinny uśmiech, udając ciągle, że wszystko jest w porządku. Równocześnie jednak co chwila zerkałam w stronę mojego autokaru. Czekałam na moment, gdy wszyscy pasażerowie już wsiądą i autokar będzie miał ruszać.

Potrzebowałam jeszcze trzech, może czterech minut. A wtedy wmieszam się w tłum, popędzę do autokaru i wskoczę do środka na chwilę przed odjazdem. Obym tylko zdążyła go dopaść, nim August mnie dogoni.

Teraz musiałam po prostu grać na zwłokę. Obeszłam samochód, tak że znalazłam się obok drzwi od strony pasażera. Spodziewałam się, że August zajmie miejsce za kierownicą, nagle jednak zorientowałam się, że stoi tuż obok mnie. W mgnieniu oka poczułam, jak ogarnia mnie panika, a cały mój plan wali się w gruzy.

– Co robisz? – spytałam, cofając się odruchowo o krok.

August uśmiechnął się, jednak tym razem nie był to ten przyjacielski uśmiech, z którym zachęcał mnie do przejażdżki. Teraz wyglądał on złowieszczo, jakby nagle do głosu doszła prawdziwa, skrywana pod maską osobowość chłopaka.

– Otwieram ci drzwi – wyjaśnił beztroskim tonem, sięgając równocześnie do klamki.

Nagle zabrakło mi powietrza w płucach, a wewnętrzny głos podpowiedział, że nie ma czasu do stracenia – muszę uciekać! Odepchnęłam jego rękę, próbując go wyminąć, ale August miał dobry refleks. Chwycił mnie za plecak i przyciągnął z powrotem do siebie. Poczułam, jak jedną ręką chwyta mnie w tali i unosi nad ziemię. Drugą ręką złapał mnie za brodę i zamknął mi usta tak, że nie mogłam wydać z siebie głosu. Z szaleństwem w oczach próbowałam wyrwać się z jego uścisku.

Obrócił mnie tak, że plecami opierałam się teraz o karoserię samochodu. Z daleka mogliśmy wyglądać jak zwyczajna para żegnająca się czule pod dworcem autobusowym. August napierał na mnie całym ciałem, przez co nie mogłam nawet zaczerpnąć tchu, żeby wezwać pomoc.

– Spokojnie – wysyczał. – Nic ci nie grozi.

To rzekłszy, sięgnął do kieszeni sztruksów, skąd ku mojemu przerażeniu wyjął strzykawkę. Na jej

widok zaczęłam miotać się ze zdwojoną siłą, próbując wymierzyć mu cios kolanem. August obrzucił szybkim spojrzeniem ulicę, sprawdzając, czy nie mamy świadków. Nikt jednak nie patrzył w naszą stronę. Następnie jednym ruchem kciuka zdjął pomarańczową zatyczkę z igły.

– To tylko środek uspokajający – powiedział, jakby moja reakcja była niewspółmierna do tego, co zamierzał zrobić. – Wczoraj podałem ci fenyloetyloaminę, ale słabo zadziałała. Zachowałeś się totalnie kretyńsko, uciekając w środku nocy.

Ten chłopak nie miał pojęcia, z kim zadziera. Wiedziałam jedno – nie mogę pozwolić, żeby wbił mi tę igłę. A ponieważ nie miałam w tej chwili szansy się uwolnić, rozluźniłam się zupełnie i zaczęłam, aż zbliżył strzykawkę do mojej ręki. Kiedy przestałam się bronić, August nachylił się lekko nade mną. A wtedy wywinęłam się z jego uścisku i prześlizgnęłam za jego plecy. Następnie pchnęłam go z całej siły, tak że piersią uderzył w karoserię. Miałam już ruszyć biegiem ku autokarowi, kiedy dotarł do mnie jego skowyt. Brzmiało to naprawdę źle, zawahałam się więc i obejrzałam na niego. Nie chciałam go zranić. Na myśl o tym, że coś mu się stało, opuściła mnie część odwagi.

Kiedy odwrócił się do mnie, zobaczyłam sterczącą mu z biodra strzykawkę. Wyrwał ją i odrzucił, pojękując.

– Ależ to szczybie – wymamrotał, krzywiąc się.

– Jakoś niezbyt mnie wzrusza to, że sam ją sobie wbiłeś – oznajmiłam, choć prawdę mówiąc, czułam lekkie wyrzuty sumienia. Po chwili dodałam oskarżycielskim tonem: – Podałeś mi wczoraj narkotyki.

August parsknął śmiechem i kulejąc, oparł się o maskę samochodu. Teraz, kiedy wiedział już, że mnie nie złapie, opuścił go wojowniczy nastrój.

– To prawda, ale to był zupełnie nieszkodliwy specyfik. Powinien był wprowadzić cię w euforyczny stan.

– No cóż, ostatnio nie mam zbyt wielu powodów do euforii – stwierdziłam. – Czemu to robisz? Kto cię przysłał?

– Panno McKee, wydział żałoby domaga się twojego powrotu – rzekł, masując obolałe miejsce na biodrze. Widziałam, że środek zaczął już działać, mięśnie jego twarzy zwiótzczały jak podczas snu. –

Zostałem wczoraj poinformowany, że zniknęłaś im z radaru i jesteś w moim mieście. Zapoznałem się szybko z nagraniami twojego chłopaka i jego zeznaniami, które składał na spotkaniach z doradcą. Natknąłem się też w dokumentach na wzmiankę, z której wynikało, że miałaś tu kiedyś zlecenie. Przejrzałem szybko materiały na temat rodziny, z którą pracowałaś. Okazało się, że prowadzą sklep rowerowy. Cóż, Quinlan, niezbyt się popisałaś, wybierając akurat to miejsce.

– Na to wygląda – przyznałam, wściekła na siebie, że nie zachowałam należytej ostrożności. August na widok mojej reakcji parsknął śmiechem. – A co z Evą? – zapytałam.

– Przecież mówiłem ci, że marzy o karierze sobowtóra – odparł. – Tymczasem jednak tylko zadaje się z sobowtórami, pomaga mi. Jest w tym naprawdę niezła. Ale polubiła cię, jeśli chcesz wiedzieć.

– Nie chcę – uciełam.

Myśl, że nawet Eva odgrywała przede mną swoją rolę, była naprawdę bolesna. Boże, ależ ja jestem naiwna! Jeśli mam przetrwać, muszę być w przyszłości ostrożniejsza.

– Biedna Quinlan – szedził August. – Ale pomyśl o plusach: niedługo wrócisz do domu.

– Nie dzisiaj – wyjaśniłam. – Może jeszcze na to nie wpadłeś, ale jesteś załatwiony. A ja zaraz się stąd zerwę.

– No cóż – przyznał z zakłopotaniem August – oczywiście to wszystko nie powinno się w ogóle wydarzyć. Moje zadanie było proste: miałem cię obserwować i zdobyć twoje zaufanie. Dowiedzieć się, co knujesz. Wszystko zmieniło się w momencie, gdy skontaktowałaś się ze swoim ojcem. Polecono mi sprowadzić cię z powrotem do domu. Złamałaś warunki kontraktu.

Kątem oka dostrzegłam, że kierowca autobusu zszedł po schodkach i wzywa do wsiadania spóźnialskich pasażerów. Musiałam biec.

– Augustcie czy jak tam masz na imię – odezwałam się, zarzucając na ramiona plecak – wyświadczysz mi przysługę?

– Nazywam się Roger – sprostował, uśmiechając się nieznacznie.

– No więc, Rogerze, przekaz ludziom z wydziału, że jestem na wakacjach.

Żartobliwie uniósł dwa palce do czoła, jakby mi salutował. Powieki mu już opadały. Nie czekając dłużej, pobiegłam do autokaru. Obejrzałam się jeszcze po drodze, żeby sprawdzić, czy mnie nie śledzi, wyglądało jednak na to, że został unieszkodliwiony.

Stojącemu przy drzwiach kierowcy pokazałam na wyświetlaczu komórki kod kreskowy biletu. A kiedy mężczyzna odwrócił się, żeby wejść do autobusu, rozmontowałam szybko aparat i wyciągnęłam kartę SIM oraz baterię, a potem podbiegłam do najbliższego śmietnika i wyrzuciłam wszystkie elementy. W ostatniej chwili przed odjazdem wskoczyłam do autokaru. Kierowca obrzucił mnie niechętnym spojrzeniem, a ja skierowałam się ku tylnym siedzeniom. Pasażerów było niewielu. Wybrałam miejsce obok okna, by widzieć ulicę, przy której Roger zaparkował swój samochód. Obserwowałam, jak chłopak, zataczając się, podchodzi do drzwi od strony kierowcy i wsiada. Przez chwilę martwiłam się, że odjedzie i spowoduje wypadek, jednak sił nie starczyło mu nawet na przekręcenie kluczyka w stacyjce.

Kiedy go mijaliśmy, widziałam, jak zwija się w kłębek na fotelu. Chwilę potem straciłam go z oczu. Serce dalej tłukło mi się w piersi, jednak powoli się uspokajałam. Przymknąwszy oczy, próbowałam wyrównać oddech. Zaufanie temu chłopakowi i pójście z nim do domu było totalną głupotą z mojej strony. Całe szczęście, że zadzwoniłam do ojca – to on mnie ocalił.

Otworzyłam oczy i spojrzałam na przód autokaru. Odtąd nie zaznam już spokoju, to pewne. Wydział żałoby wiedział, dokąd się udaję. Pytanie tylko, czy znał powody, dla których się tam wybieram.

## Rozdział siódmy

**K**iedy dotarłam do Roseburga, byłam kłębkim nerwów. Znalazłszy się na płycie dworca, schowałam ręce do kieszeni kurtki i niepewnie rozejrzałam się wokół. Mimo woli spodziewałam się, że dostrzegę gdzieś Deacona. A kiedy nigdzie go nie wypatrzyłam, poczułam równocześnie ulgę i rozczarowanie.

Nigdy wcześniej nie byłam w tym mieście, ale z jakiegoś powodu wydało mi się znajome. Może dlatego, że przypominało mi miasteczko, z którego pochodzę. Próbowałam znaleźć konkretny budynek albo drzewo, które odpowiadałoby za to skojarzenie, jednak na próżno – po prostu Roseburg sprawiał wrażenie miasta, które się skądś zna. Jednak po doświadczeniach z Rogerem wiedziałam już, że mam skłonność do dopatrywania się w świecie rzeczy, których tam tak naprawdę nie ma. Nie ulegało wątpliwości, że potraktowałam tego chłopaka jak przyjaciela tylko dlatego, że tęskniłam za Deaconem. Również teraz mogła przeze mnie przemawiać tęsknota za domem.

Musiałam poszukać motelu. A potem, gdy nadejdzie pora, kiedy kończą się lekcje, miałam zamiar wybrać się do liceum Marshalla, gdzie spodziewałam się spotkać Virginie. Nie mogłam przecież porozmawiać z nią, dopóki siedziała w klasie.

Idąc ulicą, w pewnym momencie zauważyłam na jednym z budynków szyld. Przybytek wyglądał na dość zapuszczony, w szyldzie brakowało jednej litery: \_otel pod Sosnami. Właśnie czegoś takiego szukałam. W takim miejscu będzie mnie stać na wynajęcie pokoju na tydzień.

Ruszyłam w kierunku moteliku, ciesząc się już na myśl o gorącym prysznicu i długim śnie. Zanim poszukam Virginii, dam sobie trochę czasu na wypoczynek. Musiałam mieć jasny umysł, zanim się z nią rozmówię.

Dopiero gdy minęłam parking i znalazłam się bliżej recepcji, zobaczyłam, że cały budynek niedawno odmalowano na różowo, okiennice zaś pociągnięto zieloną farbą. Było to najstraszniejsze z możliwych połączeń kolorystycznych. Kiedy podziwiałam efekt, z wolna umierała we mnie wiara, że w pokoju zastanę jakiegokolwiek nowoczesne udogodnienia. Ale za to, pocieszyłam się, miałam do dyspozycji basen wypełniony po brzegi zeschniętymi liśćmi. Był to ten szczególny rodzaj motelu, w którym chętnie zatrzymalibyśmy się z Deaconem tylko po to, żeby mieć potem co opowiadać znajomym. Deacon często żartował, że zapuszczone moteliki to najlepsza scenografia dla wszelkich niesamowitych opowieści, bo zawsze można w nich znaleźć plamy krwi na wykładzinie w pokoju. Boże, miałam nadzieję, że tym razem obejdzie się bez tego.

W recepcji zastałam niskiego mężczyznę o nierównym zaroście i ruchliwych brwiach. Wylegitymowałam się prawem jazdy Elizabeth (przedstawiałam się teraz jako Liz) i zapłaciłam gotówką z góry za cały tydzień. Facet rzucił mi tylko przelotne spojrzenie, wyraźnie niezbyt zainteresowany tym,

jak wyglądam. Chciałam go prosić o pokój z widokiem na basen. Miałam to już na końcu języka, ale w ostatniej chwili uznałam, że takimi dowcipami mogłabym niepotrzebnie zwrócić na siebie uwagę.

– W pokoju może spać tylko jedna osoba – poinformował mężczyzna, podając mi kartę magnetyczną do otwierania drzwi. – Goście płacą dziesięć dolców.

– Zrozumiano – odparłam, biorąc ją od niego.

Facet przyjrzał mi się zmrużonymi oczami, jakby nie bardzo mi wierzył, a po chwili odwrócił się na pięcie i zniknął za zasłonką dzielącą recepcję od zaplecza.

Z ciężkim westchnieniem omiotłam spojrzeniem lobby. Miałam nadzieję, że znajdę gdzieś maszynę z napojami. W rogu pomieszczenia dostrzegłam tylko plastikowy żółty kubek stojący na składanym stoliku. Coś mi podpowiedziało, że kubek stoi tam nie od dzisiaj i że lepiej będzie zaryzykować i napić się kranówki w pokoju.

Pokój, ku mojemu zdziwieniu, był w całkiem przyzwoitym stanie. Wrażenie psuł nieco smrodek tytoniowego dymu, który pozostawili po sobie poprzedni lokatorzy. Nie wiedziałam jeszcze, ile czasu przyjdzie mi spędzić w Roseburgu, ale miałam nadzieję, że nie zabawię tu długo. Przede wszystkim chciałam poznać prawdę, a potem zająć się moim życiem. Odciać się od wydziału żałoby i żyć jako prawdziwa ja.

Rzuciłam torbę na łóżko i usiadłam przy stoliku niedaleko okna. Byłam zbyt niespokojna, żeby zasnąć. Odsunęłam zasłonkę i omiotłam spojrzeniem najbliższą okolicę. Na zewnątrz nie wypatrzyłam żywej duszy. To tylko wzmoгло mój strach.

*Niemal mnie dzisiaj uprowadzono.* Gdy sobie to uświadomiłam, poczułam się, jakby nagle przygniótł mi serce wielki kamień. Kiedy cofnęłam się pamięcią do szamotaniny z Rogerem, zrozumiałam, jak bardzo jestem bezbronna. Cała moja pewność siebie i poczucie własnej wartości pierzchły w jednej chwili. Mało brakowało, a by mnie dopadł. Dorwaliby mnie.

Czego tak naprawdę chciał ode mnie wydział żałoby? Co takiego chciał mi zrobić? Może chodziło mu o to, żeby mnie uciszyć; sprawić, żebym przestała wyjawiać szczegóły dotyczące pracy sobowtórów – żadne inne wytłumaczenie nie przychodziło mi do głowy. Po chwili pomyślałam, że ta pogoń ma związek z samobójstwem Cataliny. Nie miałam jednak pewności, mogłam tylko zgadywać. Myśl, że nie wiem, czego się spodziewać, była przerażająca.

Postanowiłam, że poczekam do jutra, aż Aaron odnajdzie Marie. Jeśli mu się to nie uda, będę zmuszona zaryzykować jeszcze raz i zadzwonić do ojca. Obiecałam sobie, że nie będę się już zadawać z żadnymi obcymi. Z wyjątkiem, oczywiście, Virginii Pritchard.

Zegarek na nocnym stoliku pokazywał, że nie ma jeszcze nawet południa. Sprawdziłam, czy drzwi są zamknięte na zamek, dodatkowo zablokowałam klamkę, podstawiając pod nią krzesło, po czym poszłam do łazienki, żeby wziąć prysznic. Miałam nadzieję, że dzięki temu trochę się odprężę. A potem, postanowiłam, spróbuję się spokojnie ułożyć jakiś plan.

Pod liceum Marshalla zjawiłam się nieco za wcześnie. Zatrzymałam się na skraju parkingu pod szkołą i próbowałam nie rzucać się w oczy. Lekcje jeszcze trwały. Szkoła mieściła się w skromnym parterowym budynku, do którego droga wiodła przez bramę; na tyłach znajdował się dziedziniec. Zapewne uczyło się w niej niewielu uczniów. A tym samym samobójstwo (a być może nawet dwa przypadki samobójstw, do jakich tu doszło) musiało tu być wielkim wydarzeniem.

Z rozmyślań wyrwał mnie natarczywy dźwięk dzwonka na przerwę. Ruszyłam w kierunku stojących na parkingu samochodów, kiedy drzwi otworzyły się i z wnętrza budynku zaczęli wysypywać się uczniowie. Bez żadnego problemu wmieszałam się w tłum, nic w moim wyglądzie nie przyciągało uwagi uczniów. Dotarłam do połowy długości parkingu i zatrzymałam się, żeby dyskretnie rozejrzeć się wkoło. Nie miałam pojęcia, jak wygląda Virginia. Przez chwilę ślizgałam się wzrokiem po nieznanym twarzach, w końcu jednak musiałam spojrzeć prawdzie w oczy – to, że kilka dni temu przez chwilę widziałam jej ojca, nie wystarczy, bym teraz domyśliła się, która z mijających mnie dziewcząt jest jego córką. Stało się jasne, że będę musiała kogoś o nią zapytać.

Nadałam swojej twarzy beznamiętny wyraz, który podpatrzyłam w kawiarni u Elizabeth. Spróbowałam się roześmiać, równocześnie marszcząc nos tak jak ona. A kiedy wyłuskałam z tłumu nierzucającą się w oczy szatynkę w sweterku, przywołałam na twarz miły, łagodny – i niezbyt ostentacyjny – uśmiech i ruszyłam w jej stronę.

– Przepraszam – Starłam się, żeby zabrzmiało to, jakbym była w rozterce, ale równocześnie sprawiała wrażenie pewnej siebie, tak jakbym była uczennicą tej szkoły. Dziewczyna uniosła głowę i spojrzała na mnie wyczekująco. Po chwili zagadnęłam, marszcząc nos i uśmiechając się: – Cześć, widziałas może Virginię Pritchard?

Przyglądałam się bacznie twarzy dziewczyny, aż wreszcie zobaczyłam w jej oczach błysk, jakby skojarzyła, o kogo pytam.

– Hm... – mruknęła, po czym obejrzała się do tyłu i opatulila szczelniej swetrem. No cóż, nie takiej reakcji oczekiwałam. – A kto pyta?

Musiała upłynąć chwila, zanim znalazłam właściwe słowa.

– Mam na imię Liz. Niedawno przeniosłam się do waszej szkoły. W sekretariacie kazano mi zwrócić się o pomoc do Virginii. Ma mnie jutro oprowadzić po szkole. Nie mogę jej znaleźć, dlatego... – Nie dokończyłam. Zamiast tego wzruszyłam tylko ramionami. Uznałam, że najlepszy będzie gest, który sugeruje, że wcale nie jestem zbyt pewna siebie. To był strzał w dziesiątkę.

– Przepraszam – odezwała się dziewczyna. – Kręci się tu ostatnio mnóstwo dziennikarzy. Rano weszły tu nawet ktoś z „New York Timesa”.

– Serio? A co chcą wiedzieć? – spytałam, kiedy jednak dziewczyna drgnęła zaskoczona, szybko pospieszyłam z wyjaśnieniem: – Przeniosłam się do was z Eugene.



Ta wiadomość uspokoiła ją chyba na moment.

– No trudno, najwyżej złapię Virginie jutro – rzuciłam.

Nie chcąc wydać się zbyt wścibska, wykonałam powoli obrót, jakbym chciała odejść. Dawałam mojej rozmówczyni czas, żeby mnie powstrzymała.

– Virginia jest na sali gimnastycznej – zawołała za mną dziewczyna. – Po lekcjach chodzi na kółko siatkarskie.

– Dzięki! – rzuciłam przez ramię, posyłając jej ciepły, serdeczny uśmiech.

A chwilę później, klucząc wśród uczniów, zaczęłam podążać w stronę szkoły. Gdy tylko odwróciłam się plecami do dziewczyny, uśmiech spełził z moich ust.

Ta opowiastka o „świeżo upieczonej uczennicy” przyszła mi do głowy zupełnie spontanicznie, ale była w gruncie rzeczy całkiem niezła. Nawet gdybym musiała się przedstawić w sekretariacie, zawsze mogłam wypełnić formularze, podając się za Elizabeth Major. Wpisałabym zmyślane informacje o sobie i o szkole, do której chodziłam dotychczas. A zanim sekretariat ściągnąłby faksem więcej informacji na mój temat, minąłby tydzień. Do tego czasu rozpułnęłabym się w powietrzu.

Główny korytarz szkoły był szeroki i przestronny. Wzdłuż obu ścian ciągnęły się rzędy szafek na ubrania i książki. Obok drzwi prowadzących do klas wisiały tablice, na których widniały uczniowskie rysunki i wiersze. Nie miałam teraz czasu, żeby się na nich skupiać, zarejestrowałam tylko w myśli, że wszystko to sprawia miłe wrażenie. Szkoła dawała poczucie bezpieczeństwa. Dzieciaki czuły się tu chyba dobrze, na pewno lepiej niż ja, kiedy oglądałam jednym okiem w telewizji talk show, pisząc równocześnie zadane mi przez Internet wypracowanie. Pomyślałam nawet, że z przyjemnością poszłabym do takiej szkoły.

Na końcu korytarza dostrzegłam metalowe drzwi, nad którymi umieszczono wielki napis „Sala gimnastyczna”. Kierując się ku nim, żałowałam, że nie zabrałam z motelu plecaka albo czegoś innego, co nadawałoby mi wygląd uczennicy. Czułam się tutaj zbyt widoczna. Było jednak już za późno, żeby się wycofać. Jeszcze kilka kroków i miałam poznać Virginie Pritchard.

Uchyliłam drzwi i wślizgnęłam się na salę, próbując nie ściągnąć na siebie uwagi ćwiczących. Momentalnie usłyszałam popiskiwanie tenisówek na parkiecie i pokrzykiwania graczy. Nie spoglądałam jednak w ich stronę – z opuszczoną głową ruszyłam szybko ku trybunom, na których siedziało parę osób.

Kiedy usiadłam na jednej z wyżej położonych ławek, skrzyknęła pod moim ciężarem. Odczekałam chwilę i dopiero gdy poczułam, że nikt na mnie nie patrzy, odważyłam się unieść wzrok. Omiotłam spojrzeniem boisko, próbując wśród grających dziewczyn wypatrzeć Virginie.

I właśnie wtedy dotarło do mnie, że wcześniej nie próbowałam sobie nawet wyobrazić, jaka będzie ta dziewczyna, dla której tu przyszłam. Czy spodziewam się kogoś przygnębionego śmiercią dwojga przyjaciół z Lake Oswego? Może podświadomie oczekiwałam, że Virginia będzie podobna do ojca – wyrachowana i oziębła? A może być jednak gorsza, nibym przypuszczała.

Ślizgałam się wzrokiem po twarzach zawodniczek, ale żadna nie przykuła mojej uwagi. W końcu

przestałam się wysilać i postanowiłam po prostu obserwować ich grę. Były w trakcie meczu treningowego – podsłuchiłam rozmowę dziewczyn siedzących przede mną. Sama nigdy nie uprawiałam żadnego sportu. Obserwując te wysportowane dziewczyny, nie mogłam się nadziwić, z jaką łatwością idzie im gra. W pewnym momencie jedna z nich rzuciła się do przodu i zanim jej łokieć zderzył się boleśnie z parkietem, w ostatniej chwili zdążyła odbić piłkę wewnętrzną stroną złączonych nadgarstków. A już w następnej sekundzie znów była na nogach, jakby nic się nie stało. Uśmiechnęłam się, podziwiając jej waleczność.

Minęło piętnaście minut i po jakimś czasie zupełnie zapomniałam, co mnie tu sprowadziło. W pewnym momencie jednak moją uwagę przykuła jedna z dziewczyn. Miała ciemne oczy, związane w koński ogon kasztanowe włosy, a pod kostiumem sportowym wyraźnie rysowały się jej mięśnie. Nagle zyskałam pewność, że to ona – Virginia Pritchard. Nie umiałabym wskazać, co ją zdradziło. Może to, że w jakiś sposób wyodrębniła się spośród koleżanek. Nie w sensie fizycznym – była bowiem częścią drużyny – lecz emocjonalnym. Odniosłam wrażenie, że nie angażuje się w rozgrywany mecz w takim samym stopniu co pozostałe zawodniczki.

Po chwili Virginia zanurkowała do przodu, próbując odbić piłkę. Zdołała wystawić ją do ścięcia koleżance, a sama obróciła się w powietrzu i wylądowała na plecach. Dziewczyna, do której podała, dokończyła akcję, po czym pomogła się podnieść Virginii. Na koniec obie przybiły sobie piątkę.

Obserwowałam to wszystko z zapartym tchem. Nie mieściło mi się w głowie, jakim cudem dziewczyna, która niedawno doświadczyła tak wielkiej tragedii, może być na takim luzie. Zaraz jednak pojawiła się inna myśl – przecież ja sama niedawno odkryłam, że całe moje życie było tylko maskaradą i wcale nie przeszkodziło mi to w kupieniu sobie w drodze do szkoły burrito. Chyba nawet opłakując kogoś, musimy jakoś żyć – nadal gramy w siatkówkę i dalej zajadamy fast foody.

Przy okazji dowiedziałam się jednak pewnej istotnej rzeczy: Virginia Pritchard umiała udawać i była w tym naprawdę świetna.

## Rozdział ósmy

Kiedy rozległ się gwizdek kończący mecz, dziewczyny klaskaniem i wspólnym śmiechem podziękowały sobie za grę. Kibice siedzący na ławce przede mną wstali i ruszyli na boisko, żeby porozmawiać ze znajomymi siatkarkami. Ja też wstałam, przypatrując się Virginii, która zagadnęła o coś trenerkę. Nie zaplanowałam, jak to rozegram, uznałam bowiem, że jeśli będę improwizować, wszystko wypadnie bardziej naturalnie. Postępowałam tak czasem podczas pracy z klientami. Teraz jednak dopadła mnie trema – żeby zdobyć zaufanie Virginii i informacje na temat Cataliny, muszę okazać się naprawdę przekonująca.

Zeskoczyłam z trybun i zbliżyłam się do krawędzi boiska. Nie chciałam wydać się dziewczynie zbyt napastliwa. Zaczekałam, aż skończy rozmawiać z trenerką, i dopiero wtedy ruszyłam w jej stronę, wołając ją po imieniu.

Virginia obejrzała się zaskoczona i zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów, marszcząc lekko brwi.

– No leć – zachęciła ją trenerka, kładąc jej dłoń na ramieniu. – Pogadamy potem i omówimy strategię na turniej w najbliższy weekend.

Kiedy trenerka odeszła, Virginia wygładziła wilgotne włosy spięte w koński ogon i dopiero wtedy odwróciła się w moją stronę.

– Dla kogo pracujesz? – spytała lodowatym tonem.

Myślałam, że serce wyskoczy mi z piersi, tak bardzo w tej chwili łomotało. Starłam się ze wszystkich sił nie dać po sobie poznać, że ogarnęła mnie totalna panika: *A więc Virginia już wie!*

– Słucham? – spytałam, udając zakłopotanie. – Jestem nową uczennicą.

Namyślała się przez chwilę nad tym, co usłyszała, po czym rzuciła przeproszającym tonem:

– Nie chciałam być niemiła. Obawiałam się po prostu, że jesteś następną reporterką. W tym tygodniu musiałam się już opętać przed dwiema. Mam serdecznie dość powtarzania dziennikarzom, żeby spadali na drzewo.

Po tych słowach pokazała zęby w szerokim uśmiechu. Od razu zapałałam do niej sympatią.

– Wcale się nie dziwię – odparłam i przywołałam na twarz uśmiech, jakiego można by się spodziewać po Liz. – Wybacz, że przeszkodziłam ci w rozmowie z trenerką.

– Nic się nie stało. – Machnęła ręką. – Gdyby nie ty, głądziłaby bez końca. Trenerka Bryant zawsze spodziewa się najgorszego, przez co ja muszę odgrywać rolę programowej optymistki. A dzisiaj, prawdę mówiąc, nie mam na to siły.

Minęła mnie i podeszła do sterty białych ręczniczków leżących u podnóża schodów wiodących na trybuny. Ruszyłam za nią, czując się potwornie niezręcznie. W gruncie rzeczy byłam tak stremowana, jakby to naprawdę był mój pierwszy dzień w nowej szkole. Virginia sięgnęła po ręcznik i otarła nim pot

z czoła. Następnie zaczęła wycierać sobie szyję i pachy.

Ja tymczasem stałam bez ruchu, czekając, aż skończy. Dopiero kiedy napiła się wody z butelki i usiadła na ławce, poklepała miejsce obok siebie, dając znak, żebym do niej dołączyła. Zachęcona usiadłam, ale zanim zdążyłam się przedstawić, ze zdziwieniem zauważyłam, jak inaczej Virginia wygląda z bliska.

Z początku wydawało mi się, że jest ciemnooka. Teraz jednak dostrzegłam, że jej oczy tak naprawdę mają kolor zielony czy może orzechowy. Jej źrenice były tak bardzo powiększone, że zakrywały niemal całą tęczówkę. Na jej twarzy dojrzałam też miejsca, gdzie spod podkładu wyzierała blada, kredowobiała skóra. Było w tym coś niepokojącego, jakbym nagle zajrzała pod maskę, za którą kryła się prawdziwa twarz. Nie chcąc dłużej jej podglądać, uciekłam szybko wzrokiem w bok.

– Tak jak wspomniałam – odezwał się, dobierając starannie w myśli kolejne słowa, tak by nawiązać między nami nic porozumienia – jestem nowa w tej szkole. Nazywam się Elizabeth Major. Ale przyjaciele mówią do mnie po prostu Liz.

Ostatnie słowa wypowiedziałam z uśmiechem. Virginia przypatrywała mi się z rozbawieniem, popijając wodę z butelki.

– Miło mi – rzuciła, jednak zabrzmiało to tak, jakby chciała raczej spytać: *Po co mi to wszystko mówisz?* Mimo to wyczułam, że widząc moje pokojowe nastawienie, powoli zaczyna się przy mnie odprężyć.

– Kiedy po południu poszłam do sekretariatu, żeby wypełnić jakieś dokumenty, spotkałam tam czekającą na swoją kolej dziewczynę. Nie pamiętam jej imienia... W każdym razie podpytałam ją, gdzie najchętniej spotykacie się po lekcjach. A ona poradziła mi, żebym zwróciła się z tym pytaniem do ciebie.

– Serio? – Virginia aż zakrzuszyła się wodą. Po chwili otarła usta wierzchem dłoni. – A zdradziła, skąd ten pomysł?

– Powiedziała, że wszystkich tu znasz.

Trafiłam w dziesiątkę – na jej twarzy dojrzałam przez chwilę cień melancholijnej zadumy. Przed wszystkim promieniowała z niej jednak satysfakcja, że ktoś ją docenił. Wyglądało na to, że Virginia ma kłopoty z poczuciem własnej wartości. W sumie nic dziwnego, biorąc pod uwagę, przez co musiała przejść.

Usiadłam nieco wygodniej – plecami wsparłam się o oparcie ławki i podwinęłam nogi pod siebie. To mogła być moja szansa. Siedziałyśmy jak dwie zajęte pogawędką przyjaciółki, którym rodzice pozwolili przenocować w jednym pokoju.

– Przeniosłam się z mamą z Eugene. Mama pracuje całymi dniami. Byłam prawie pewna, że nie poznam tu nikogo i całe moje życie towarzyskie będzie toczyło się w Internecie. Przez cały czas jednak miałam cień nadziei... – dodałam z uśmiechem.

– A gdzie twój tata? – zainteresowała się Virginia.

Jej pytanie kompletnie mnie zaskoczyło. Lekki ton, który próbowałam nadać naszej rozmowie, momentalnie prysł.

– Nie żyje – stwierdziłam.

W chwili, kiedy wypowiedziałam te słowa, natychmiast ogarnęło mnie poczucie winy. Przecież ojciec, którego znałam, żył i miał się całkiem dobrze. No, może niezbyt dobrze, ale na pewno pozostawał wśród żywych. Jednocześnie opanowało mnie dziwne przeczucie, że mój biologiczny ojciec faktycznie może już nie żyć. Tak jakby wypowiedzenie tych słów na głos uczyniło to w ogóle możliwym. W moim sercu załągł się fantomowy ból z powodu straty ukochanej osoby, której nigdy przecież nie znałam.

– Przykro mi – odezwała się nagle Virginia. Na dźwięk jej głosu drgnęłam przestraszona. Miałam wrażenie, że dziewczyna umie czytać mi w myślach. – Nie chciałam wydać się wścibska. Moja matka też nie żyje, dlatego... interesują mnie te sprawy.

Zawahała się na chwilę, po czym przewróciła oczami i dodała szybko, wyraźnie zawstydzona:

– Chore, wiem. Wyobraź sobie moje zdziwienie, gdy odkryłam, że wokół mnie wcale nie ma zbyt wielu dzieciaków, których rodzice by nie żyli. Zaczęłam myśleć, że tylko mi się to przydarzyło.

Półgłosem zapewniłam, że bardzo jej współczuję. Równocześnie w myślach zanotowałam, że można będzie kiedyś zrobić użytek z tej łączącej nas cechy. Wcześniej jednak musiałam sprawić, żeby Virginia jeszcze bardziej mi zaufała.

– No to co porabiacie po lekcjach? – odezwałam się lżejszym tonem. – Tam, gdzie mieszkałam wcześniej, szwendaliśmy się głównie po okolicznych wzgórzach. Spędzaliśmy też czas na zakupach.

– Tutaj jest w sumie podobnie – powiedziała Virginia, zdejmując gumkę z włosów, które opadły jej na ramiona kasztanowymi falami. Dziewczyna zaczęła pocierać głowę, jakby miała obolałą skórę od zbyt długiego spinania włosów w koński ogon. Zrobiła gwałtowny ruch, pozwalając włosom opaść swobodnie, po czym założyła gumkę na nadgarstek. Zerknęła na zegar wiszący nad drzwiami i nagle zerwała się na równe nogi.

– Muszę lecieć – powiedziała, wskazując szatnię. Zanim zdążyłam dać jej do zrozumienia, że jestem rozczarowana, podparła się pod boki i spytała z uśmiechem: – A może dasz się namówić na kolację?

Na myśl, że zaprosi mnie do siebie do domu, przełknęłam nerwowo ślinę.

– Jasne... – odparłam niepewnie, obmyślając gorączkowo jakąś wymówkę na wypadek, gdyby okazało się, że będzie tam też Arthur Pritchard.

– Super – ucieszyła się Virginia, ruszając do drzwi. – Taty nigdy nie ma w domu. Około dziewiętnastej będę zamawiać coś w barze Mill. To jak, widzimy się?

– Dobrze – zgodziłam się z ulgą. – Do zobaczenia w Mill.

Virginia pomachała mi, po czym odwróciła się na pięcie i popędziła do szatni. Odprowadzałam ją wzrokiem, cały czas czując serce w gardle. Kiedy miała już otworzyć drzwi do szatni, ściągnęła gumkę z nadgarstka i znowu związała włosy wysoko na głowie w koński ogon. Przez chwilę poprawiała jeszcze fryzurę, wsuwając pod gumkę niesforne kosmyki. Zanim minęła próg szatni, wyprostowała się. Od razu zorientowałam się, co robi – zakładała maskę przeznaczoną dla innych.

Kiedy w końcu zniknęła, zaczęłam gorączkowo obmyślać strategię, żeby zaskarbić sobie zaufanie tej

dziewczyny i żeby zdradziła mi tajemnice, do których nie dopuszczała nikogo innego.

\* \* \*

Mill okazał się maleńkim barem – stało tam zaledwie kilka stolików, większość zajęta była przez stałych bywalców. Przy jednym posilał się jakiś starszy pan. Na stojącym obok krześle położył kapelusz, na talerzu przed nim leżała duża kanapka klubowa. Nieco dalej siedział mężczyzna w średnim wieku. Ze spojrzeniem utkwionym w ekranie komórki zajadał sałatkę z makaronem. Po chwili dojrzałam też mamę z dwójką dzieci. Kiedy do ich stolika podeszła kelnerka i podała dziewczynce planszę do kolorowania, kobieta podziękowała jej uśmiechem.

Wybrałam stolik w głębi sali i zamówiłam colę. Kelnerka zdążyła jeszcze dwukrotnie podejść i spytać, czy życzę sobie coś do jedzenia, kiedy rozległ się dzwonek umieszczony nad drzwiami i do baru weszła Virginia. Omiotła spojrzeniem pomieszczenie i dojrzała mnie wśród gości. Mimo woli napięłam wszystkie mięśnie, ręce złożyłam przed sobą na stoliku. Nagle poczułam się nieswojo z powodu doczepianych włosów i makijażu. Wydawało mi się, że moje przebranie jest dla wszystkich widoczne. Kiedy jednak Virginia ruszyła do mojego stolika, jej uśmiech podpowiedział mi, że nie dostrzega we mnie nic nietypowego.

Przyglądałam się jej uważnie, kiedy podchodziła, lawirując między stolikami. Zamiast stroju gimnastycznego miała teraz na sobie biały T-shirt, a na szyi jasnoniebieską apaszkę. Kasztanowe włosy opadały jej falami na ramiona. Przez mgnienie oka miałam wrażenie, jakbym znała ją od dawna. Oczywiście było to złudzenie. Zaczynałam rozumieć, że faktycznie mogła przyjaźnić się z Cataliną – obie dziewczyny miały podobny styl.

Virginia usiadła naprzeciw mnie, odwiązała apaszkę i odłożyła ją na bok. Następnie poszukała wzrokiem kelnerki, a ta pospiesznie podeszła do stolika.

– Co podać? – spytała zachrypniętym głosem.

Virginia położyła łokcie na stole, podpierając brodę dłońmi.

– Dla mnie napój Dr Pepper – powiedziała, po czym zerknęła w moją stronę. – A co powiesz na ciasto? Jest naprawdę pyszne.

– Z chęcią – zapewniłam, choć po popołudniowym burrito nadal czułam się najedzona.

– W takim razie poprosimy ciasto z nadzieniem jabłkowym. I dodatkowym kremem – powiedziała Virginia, a kiedy kelnerka odeszła, zwróciła się do mnie: – To ciacho w ramach przeprosin, że byłam wobec ciebie taka wredna, kiedy mnie zaczepiłaś.

– Ależ wcale nie byłaś wredna – zapewniłam ze śmiechem. – Dziękuję. I dzięki, że pozwoliłaś mi wleźć z butami w swoje życie. Zazwyczaj nie narzucam się nikomu ze swoim towarzystwem.

– Prawdę mówiąc, potrzebuję przyjaciółki – wyjaśniła Virginia. – Gratuluję wyczucia chwili.

Po tych słowach wyjrzała przez okno, a ja obserwowałam, jak z twarzy opada jej maska. Na usta

cisnęły mi się setki pytań – o Catalinę, o samobójstwa – wiedziałam jednak, że na to jeszcze nie pora.

– Musiałam zostawić moich przyjaciół – odezwałam się po chwili bardziej szczerze, niżbym sobie życzyła. – Brakuje mi ich.

– Przeprowadzki są do dupy – powiedziała Virginia, a z jej oczu wycierało współczucie. – Wiem, jak to jest. Mieszkałam w Waszyngtonie, ale ostatnie lato spędziłam w Lake Oswego i zaprzyjaźniłam się tam z kilkoma osobami. Niesamowite, że to tylko parę godzin drogi stąd, a człowiekowi wydaje się, że to miejsce znajduje się na innej planecie.

Na dźwięk nazwy Lake Oswego moje serce zabiło żywiej.

– Dokładnie. A Corvallis jest nawet bliżej.

Virginia przechyliła lekko głowę na bok.

– Wydawało mi się, że mówiłaś, że jesteś z Eugene...

– Mój były chłopak chodził do szkoły w Corvallis – wyjaśniłam niezrażona. W myślach jednak obsypałam się wyzwiskami za to potknięcie. *Brawo, Quinn. A może od razu przyznasz się jej, że tam mieszkasz i pracujesz dla wydziału żałoby?* Chcąc jak najszybciej zmienić temat, powiedziałam: – No dobrze, dość już o moim nudnym życiu.

– Chyba żartujesz! – zawołała Virginia. – Byli chłopcy to moja specjalność. Musisz mi opowiedzieć o nim wszystko. Bo sądząc po twojej minie, wcale nie jest takim byłym, jakbyś chciała.

– Aż tak to widać? – spytałam.

Świadomość tego, jak łatwo dziewczyna przejrzała moje prawdziwe uczucia wobec Deacona, była dla mnie szokiem.

– Jasne – przyznała. – No to opowiadaj! Jaki on jest: śliczny, zabawny?

– Wydaje mu się, że jest zabawny – odezwałam się po chwili. Fajnie było mówić o Deaconie, mimo że oczywiście nie mogłam powiedzieć jej całej prawdy o naszym związku. – No dobrze, naprawdę zabawny z niego gość.

– Typ słodziaka?

– Oj tak, jest strasznie słodki.

– O rany... – zawołała żartobliwie Virginia, opadając na oparcie krzesła. – Mów dalej.

Spełniając jej prośbę, zaczęłam mówić o tych cechach Deacona, które najbardziej w nim lubiłam. Uważałam przy tym, żeby ani razu nie wspomnieć jego imienia. Kiedy skończyłam, zauważyłam, że Virginia przygląda mi się badawczo.

– No co? – spytałam niepewnie.

– Nadal go kochasz – powiedziała. – Może ten chłopak wcale nie powinien być twoim „byłym”.

– Powinien, możesz mi wierzyć – zapewniłam, po czym zaczęłam nerwowo bawić się papierkiem po słonce do napojów.

Nie było sensu dłużej udawać, że Deacon jest zwyczajnym chłopakiem i że żyliśmy w normalnym związku. Prawda była znacznie bardziej pokręcona.

– Szkoda – szepnęła Virginia.

– Owszem... – powiedziałam. Na chwilę zapadło milczenie. W końcu spojrzałam na nią, chcąc naprowadzić naszą rozmowę na właściwy kurs. – Wspomniałaś wcześniej, że spokoju nie dają ci reporterzy. O co im chodzi?

Virginia momentalnie się spięła, jakbym swoim pytaniem poruszyła jakąś wyjątkowo czułą strunę.

W tej samej chwili przy stoliku pojawiła się kelnerka i postawiła przed Virginią szklanę Dra Peppera.

– Zaraz przyniosę ciasto – poinformowała nas.

– Dzięki – rzuciła Virginia, po czym sięgnęła po szklanę i pociągnęła łyk napoju. Siedzieliśmy w milczeniu, kiedy kelnerka wróciła do naszego stolika, niosąc wielki kawałek ciasta ozdobionego z wierzchu kremem. Położyła talerz na środku stołu i spytała, czy życzymy sobie czegoś jeszcze.

– To wszystko – odparła Virginia.

Kelnerka skinęła głową i oddaliła się od stolika. W sali wkoło nas robiło się tłoczno – przyszło paru nowych klientów, którzy zajęli miejsca przy barze. Cieszyłam się z tej wrzawy, która sprawiała, że mogliśmy rozmawiać bez obawy, że ktoś nas podsłucha. Widziałam, że Virgini też to jest na rękę.

Dziewczyna wzięła do ręki widelec i nałożyła sobie na talerz porcję ciasta. Spróbowała go, po czym posłała mi rozanielony uśmiech. Poszłam za jej przykładem. Virginia miała rację – ciasto było przepyszne.

Jadłyśmy w milczeniu. Wyczuwałam, że nastrój przy naszym stoliku się zmienił. Popełniłam błąd, wspominając o reporterach. Dopiero kiedy kelnerka przyniosła rachunek i odeszła od stolika, Virginia spojrzała mi w oczy.

– Nie chciałam, żeby nas podsłuchiła – wyjaśniła ściszym głosem. – Opowiedziałaby o wszystkim mojemu ojcu.

Coś w jej głosie sprawiło, że po plecach przeszły mi ciarki. Z jej słów przebijała paranoja, która była zaraźliwa. Odruchowo rozejrzałam się po sali, nagle zdjęta obawą, że jesteśmy obserwowane.

– O czym miałyby mu powiedzieć? – spytałam, nachylając się do Virgini i wspierając łokcie na stole.

– Przykro mi, Liz, że przyjechałaś tutaj – odezwała się dziewczyna, uśmiechając się smutno. – I żałuję, że mnie spotkałaś. Chociaż na tym etapie pewnie i tak nie ma już znaczenia, gdzie się znajdujesz.

– To znaczy? – spytałam. – Co się dzieje?

– Nie powinnam o tym mówić. Tak naprawdę nie powinnam nawet o tym wiedzieć.

– Zaczynasz mnie przerażać. O czym nie powinnaś rozmawiać?

– O śmierci.

Ton, jakim wypowiedziała słowo „śmierć”, sprawił, że dostałam gęsiej skórki, a przez całe ciało przebiegł mi lodowaty dreszcz. Zastanawiałam się gorączkowo, czy chodzi jej o Catalinę. Czy zaraz usłyszę od niej o sprawach, dzięki którym będę mogła szantażować jej ojca? Byłam zdecydowana wykorzystać Virginię, jednak mimo to czułam się fatalnie z tego powodu.



– Czyjej śmierci? – dopytywałam, mimo woli ścisząc głos.

Nie od razu odpowiedziała. Jej oczy zaszklily się od łez. Kiedy zamruła, łzy potoczyły się po jej policzkach.

– Moi przyjaciele odbierają sobie życie – powiedziała w końcu. – Trąbią o tym we wszystkich wiadomościach. Opisują ich zgony, podając krwawe szczegóły. I bez przerwy spekulują, co było przyczyną śmierci. Wszyscy w kółko zadają sobie pytanie: *czemu, czemu, czemu?* Tak jakby nie byli w stanie myśleć o niczym innym. Jakby stało się to jakąś obsesją. Ojciec zakazał mi tego słuchać, a także rozmawiać o tym, chyba w obawie, że sama myśl jest zaraźliwa.

– Może faktycznie jest – odezwałam się ostrożnie. – Mechanizm naśladownictwa, szczególnie często występujący wśród nastolatków.

Virginia spojrzała na mnie zaskoczona. A ja momentalnie uświadomiłam sobie, że za bardzo się przed nią odkrywam.

– Przepraszam – powiedziałam szybko. – Czytałam o tym w jakiejś gazecie.

Napiłam się coli, czując na sobie badawcze spojrzenie Virginii. Byłam wściekła na siebie: pozwoliłam, by emocje wzięły u mnie górę nad rozsądkiem. Czułam się rozczarowana, że dziewczyna nie wyjawiała mi na temat Arthura Pritcharda tego, na co liczyłam. Czyżby nie informował wydziału żałoby o znajomości córki z Cataliną, ponieważ chciał oszczędzić Virginii szczegółów na temat samobójstwa? Jeśli faktycznie tak było, trudno uznać to za informacje, którymi da się kogoś szantażować.

– Podobnego zdania jest część lekarzy zajmujących się tą sprawą – powiedziała Virginia, siadając wygodniej. Oddychała teraz ciężko. Rozejrzała się jeszcze raz ukradkiem po sali, żeby sprawdzić, czy nikt nas nie podsłuchuje. – Jako pierwsi w naszym mieście zabili się Brandon Vega i Tracy Thurgood. Oboje zmarli na skutek spożycia własnoręcznie przygotowanej trucizny. Potem doszło jeszcze do pięciu samobójstw.

– Aż tylu? – spytałam zszokowana.

– Owszem – odparła. – I to zaledwie w ciągu ostatnich sześciu tygodni.

Wydawało mi się niewyobrażalne, jak szkoła może poradzić sobie z tak wielką tragedią. W samym Roseburgu w ostatnim czasie życie odebrało sobie siedmiu młodych ludzi. Nie licząc Cataliny i Mitchela.

– Ludzie są przerażeni – ciągnęła Virginia, przypatrując się trzymanemu w ręce widelcowi. – Z początku media powstrzymywały się przed publikacją tych tekstów, aby nie zachęcać innych do pójścia w ślady denatów. Odkąd jednak opinia publiczna wie już o serii samobójstw, historie te nie schodzą z pierwszych stron gazet. Przez cały czas podawane są nowe informacje. Nikt już o niczym innym nie mówi.

Virginia odłożyła widelec na talerz i nachylając się nad stołem w moją stronę, powiedziała:

– I ciągle nam powtarzają, że nie mamy prawa czuć się przygnębieni. Sprowadzono do szkoły terapeutów specjalizujących się w leczeniu żałoby. Musimy też teraz częściej niż kiedyś prowadzić zapisy w dziennikach, a także uczestniczyć w terapii. Wszystko to są jakieś chybione próby *uleczenia* nas,

choć my marzymy tylko o tym, żeby po prostu dali nam spokój.

W jej głosie wyczułam złość. Zaczynałam się domyślać, że czekała od dawna, żeby się komuś zwierzyć. Nie przeszkadzało jej najwidoczniej, że jestem obcą osobą. Choć prawdę mówiąc... wcale nie czułam się jak ktoś obcy. Im więcej czasu spędzałam z Virginią, tym większą zyskiwałam pewność, że mogłybyśmy się zaprzyjaźnić. Inna sprawa, że taki sam błąd popełniłam z Evą.

Virginia tymczasem nie przestawała mówić, obarczając winą lekarzy. Zalęgła się we mnie myśl, że może ona również padła ofiarą zbiorowej hysterii. Może to było prawdziwą przyczyną wybuchu epidemii? Jasne, na własne oczy widziałam, jak wygląda to z drugiej strony. Wiedziałam, na czym polega fundowana przez państwo terapia; rozumiałam, jak wielki budzi strach. Służyła z jednej strony do dyscyplinowania sobowtórów, z drugiej – do mobilizowania klientów, by zwracali się do nas o pomoc. Terapia obecnie nie przypominała już tego, czym była kiedyś; nie chodziło w niej tylko o rozmowę. Jej istotą była teraz manipulacja – w każdym razie tak właśnie się działo, kiedy etyka schodziła na drugi plan, co było nagminne w przypadku eksperymentalnych metod leczniczych. Zwłaszcza kiedy w grę wchodziły pieniądze.

– Zrobiliśmy wszystko, co nam kazali – opowiadała Virginia. – Nie przyniosło to żadnego skutku, ale przynajmniej próbowaliśmy. Aż w końcu ktoś wykradł i upublicznił zapisy z naszych dzienników i notatki lekarzy prowadzących terapię. W środowisku lekarskim wywołało to konsternację. Obecnie lekarze siedzą cicho, ale domyślamy się, że potajemnie nad czymś pracują. Wyczuwamy, że coś się zbliża.

– Kto stoi za przeciekami wpisów z dzienników?

Spróbowałam sobie wyobrazić, jak musi czuć się ktoś, kto otworzył duszę przed terapeutą, a niedługo potem jego najintymniejsze sekrety zostały rzucone na żer opinii publicznej. Czy można wyobrazić sobie straszniejszy scenariusz?

– Nikt tego nie wie. Ale było to skrajnie okrutne działanie. Wszyscy dostali wgląd w nasze prawdziwe myśli i emocje. Każdy mógł poznać nasze sekrety. Nasi rodzice, przyjaciele i opinia publiczna byli przerażeni tym, co znaleźli w tych materiałach. I właśnie wtedy jedna z moich przyjaciółek, Diana... –

Zawahała się, po czym pochyliła głowę i ciągnęła szeptem: – Kilku uczniów przeczytało jej dziennik i zaczęło się znęcać nad nią w Internecie. Zamienili jej życie w piekło. Jeden z nich napisał, że powinna się zabić. I to właśnie zrobiła. A na niej się nie skończy. Terapeuci powtarzają nam, że wszystko będzie dobrze. Przekonują, że nic nam nie dolega. Nie pozwalając nam skonfrontować się z naszym cierpieniem i angażując sobowtóry, pozbawiają nas umiejętności samodzielnego radzenia sobie z kryzysem. To, że robimy dobrą minę do złej gry, nie znaczy wcale, że jesteśmy zdrowi. Cały ten system jest chory. Ale komu mamy się poskarżyć? Komu możemy zaufać?

– Mnie możesz ufać – zapewniłam żarliwie.

Czułam promieniujący od niej ból. Mimo że nie wspomniała ani słowem o swojej znajomości z Cataliną ani o tym, co wie na temat sobowtórów, i tak zapragnęłam jej pomocy. Nie obchodziło mnie już, czy pomoże mi zdobyć jakieś istotne informacje.

Moje słowa przyniosły jednak odwrotny do zamierzonego skutek – zamiast pocieszyć Virginie, wyrwały ją z transu, w którym się pogrążyła. Odgarnęła włosy opadające jej na twarz i z zawstydzeniem zaczęła skubać brzeg koszulki.

– No pięknie – odezwała się, próbując ukryć prawdziwe emocje pod maską uśmiechu. – Przepraszam, że tak się przed tobą wywnętrzam.

– Nie szkodzi – powiedziałam, licząc, że powie coś jeszcze.

Virginia miała jednak inne plany. Nabrała czubatą łyżkę bitej śmietany i włożyła ją do ust. Unikała teraz mojego spojrzenia. Widziałam, że stara się zachowywać jak gdyby nigdy nic.

– Umiesz słuchać – odezwała się po chwili. – Pewnie wiele osób ci to mówi.

– Nie tak wiele – odparłam z uśmiechem. – Mam niewielu znajomych.

Skrzywiła się, jakby nie bardzo w to wierzyła. Gdyby tylko wiedziała, jak wielką nienawiść budzę w ludziach jako sobowtór... Inna sprawa, że gdyby się dowiedziała, sama również mogłaby mnie znienawidzić.

Dokończyliśmy ciasto, a Virginia opowiedziała mi jeszcze o szkole, o rozgrywkach siatkówki, o tym, która dziewczyna spotyka się z którym chłopakiem – typowe tematy, jakimi interesują się normalni ludzie. W jej słowach czaiła się jednak pustka. Wyczuwałam, że pragnie podzielić się ze mną czymś więcej – zdradzić mi sekrety, na które tak liczyłam – jednak nie jest jeszcze gotowa.

– A może masz ochotę wyskoczyć na imprezkę? – zaproponowała.

Zatkało mnie. Po naszej szczerzej rozmowie wypad na imprezę był ostatnią rzeczą, jaka przyszłaby mi do głowy. Virginia musiała wyczuć moje wahanie.

– Pytałaś wcześniej, co robimy po lekcjach – przypomniała. – No więc prawda jest taka, że kiedy jesteśmy wśród ludzi, imprezujemy. A na łzy pozwalamy sobie, kiedy nikt nas nie widzi. Dzisiaj jest impreza. Powinnaś wpaść.

Zerknęła na rachunek zostawiony na stole przez kelnerkę, po czym sięgnęła do portfela i odliczyła potrzebną kwotę. Znów spojrzała na mnie błagalnym wzrokiem.

*Nie zostało jej wielu przyjaciół, pomyślałam. To dla mnie szansa, żeby uwiarygodnić moją rolę. Szansa, że w końcu dowiem się, kim naprawdę jestem.* Równocześnie jednak nie opuszczało mnie przeświadczenie, że postępuję wobec Virginii skrajnie niemoralnie. Wykorzystywałam przecież jej nieszczęście, a świadomość tego pogłębiała tylko moje poczucie winy. Znów zatem miałam być sobowtorem, tyle że tym razem wchodziłam w rolę, żeby pomóc samej sobie, a nie komuś innemu. Nie miałam jednak innego wyjścia.

– Dla mnie bomba – odezwałam się, na co zareagowała uśmiechem.

Zerknęłam na swoje ubranie, sprawdzając, czy wyglądam wystarczająco dobrze. Virginia machnęła jednak ręką.

– Wyglądasz świetnie. Nic się nie martw. Wszyscy będą tobą zachwyceni. Może pójdziemy od razu? Nie imprezujemy do późna – stwierdziła, a jej twarz spochmurniała. – Nie chcemy martwić rodziców.

Niewykluczone, że jej obawa miała realne podstawy. Ale równie dobrze mogła być tylko kolejnym urojeniem – być może żaloba powodowała, że popadała w paranoję.

Kiedy Virginia wstała od stolika, rozejrzałam się po sali. Zauważyłam, że kelnerka przypatruje się jej uważnie. Tak jakby bacznie śledziła jej zachowanie. Gdy przeniosła spojrzenie na mnie, schyliłam szybko głowę i ruszyłam za Virginią w stronę drzwi. Opuszczając bar, zachodziłam w głowę, czy urojenia dziewczyny przypadkiem nie stają się też moim udziałem.

## Rozdział dziewiąty

Niebo skąpane było w pomarańczowej poświacie zachodzącego słońca. Kiedy podeszliśmy do zaparkowanego przed barem srebrnego samochodu, zauważyłam wiszące na lusterku wstecznym pędy szaławii. Wnętrze auta wypełniał przyjemny relaksujący aromat. *Aromatoterapia*, domyśliłam się. Czasami też stosowaliśmy tę metodę w pracy z klientami.

– To stary samochód mojego ojca – wyjaśniła Virginia, kiedy zauważyła, z jakim zainteresowaniem przypatruję się powieszonym ziołom. – Prawdę mówiąc, nie mam prawa jazdy. Ale nic się nie martw, świetnie prowadzę.

Przypomniałam sobie, jak wyglądało moje życie przed zdaniem egzaminu na prawo jazdy. Oczywiście też zdarzało mi się siadać za kółkiem. W przeciwnym razie ilekroć chciałam dokądś pojechać, byłam zdana na uprzejmość taty albo Deacona.

– W porządku, tylko nas nie zabij – powiedziałam z uśmiechem.

Gdy tylko wypowiedziałam te słowa, uświadomiłam sobie, jak niefortunnie musiały zabrzmieć. Virginia udawała, że nie usłyszała mojej uwagi. Rozejrzałam się powoli po wnętrzu samochodu Arthura Pritcharda. Podświadomie liczyłam chyba, że wypatrzę jakąś wskazówkę dotyczącą mojej przeszłości, ale oczywiście nic takiego tam nie było.

Virginia tymczasem wsunęła płytę do odtwarzacza. Po chwili wnętrze wypełniła tęskna, niepokojąca muzyka, w której dominowały długie, rzewne dźwięki gitary. Wokalistka śpiewała zbolalym głosem, tekst piosenki był mroczny i przygnębiający. Kiedy jednak zerknęłam na Virginie, od razu zorientowałam się, że te dźwięki wywierają na nią zupełnie inny efekt niż na mnie. Prowadziła samochód z uśmiechem na ustach.

Ja jednak powoli zaczynałam się dusić. Nie chodziło tylko o tę mroczną muzykę, ale też o uczucie strachu, które się we mnie zaległo. Był to egoistyczny, osobisty lęk. Odgrywałam kolejną rolę – rolę Liz Major, dziewczyny, której tożsamość wykrałam, jednak pragnęłam być sobą. Pragnęłam tego każdą komórką mojego ciała. Chociaż przecież nie miałam pojęcia, co to może znaczyć. Nie wiedziałam, kim tak naprawdę jestem.

Na myśl o tym poczułam jeszcze bardziej dojmującą samotność. Skrzyżowałam ramiona na piersi, po czym zaczęłam przyglądać się mijanym budynkom. Próbowałam sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz byłam na jakiejś imprezie – nie jako Catalina, ale Quinlan McKee.

Wtedy wróciło do mnie pewne wspomnienie, a ja uczepliłam się go kurczowo. Niemal całkiem wyparłam je z pamięci, bo wydawało mi się kiedyś mało ważne. Teraz jednak miałam wrażenie, że jest wszystkim. Było niczym łańcuch, który wiązał mnie z tym, kim kiedyś byłam, czy raczej z tym, za kogo kiedyś się miałam.

Wspomnienie dotyczyło pewnej nocy z czasów, kiedy nie byłam już z Deaconem. Było to kilka tygodni po jednej z naszych niemądrych prób zejścia się na nowo. Deacon zachowywał się potem, jakby do niczego między nami nie doszło, a ja kolejny już raz przyplącałam to złamanym sercem. Uznaliśmy potem oboje, że nasza relacja powinna być platoniczna, jednak nawet wtedy przez cały czas czułam na sobie jego tęskne spojrzenia, którymi mógł zepsuć wszystko to, nad czym pracowaliśmy.

Tamtej nocy razem z Aaronem, Myrą i Deaconem wracaliśmy z jakiejś nieudanej imprezy niedaleko kampusu. Po raz pierwszy od dłuższego czasu ani Aaron, ani ja nie mieliśmy żadnego zlecenia, korzystaliśmy więc z wolnego czasu. Impreza odbywała się u jakiegoś chłopaka, a my zamelinowaliśmy się w dużym pokoju wokół stołu do bilardu. Wynieśliśmy się stamtąd dopiero, kiedy do domu zwalił się tłum członków jakiegoś uniwersyteckiego bractwa. Deacon usiadł za kółkiem. Jechaliśmy do domu Aarona, gdzie miałam spędzić noc, ponieważ mój ojciec wyjechał na konferencję. Siedziałam z Myrą na kanapie z tyłu. Dziewczyna była zalana w pestkę i przebierała się w samochodzie, nic sobie nie robiąc z tego, że ma widownię.

Deacon stukał rytmicznie w kierownicę, bez reszty zatopiony w dźwiękach smooth jazzu, którego koniecznie chciał posłuchać w samochodzie. Przez cały czas starał się nie patrzeć we wsteczne lusterko. Kiedy wreszcie Myra założyła z powrotem T-shirt i poprawiła włosy, odwróciła się do mnie.

– Od razu lepiej – odetchnęła z ulgą. – Nie cierpię tych staników push-up.

– A ja całkiem je lubię – zawołał z przodu Aaron, nie odwracając się nawet do nas.

Kopnęłam w żartach oparcie jego fotela, na co zareagował śmiechem. Myra połaskotała mnie palcem po kolanie.

– Quinn, co z tobą? Tamten chłopaczek przez cały wieczór wodził za tobą oczami. Jak mu było?

– Gleason – przypomniałam.

– Właśnie ten! – Uśmiechnęła się.

Myra mówiła na tyle głośno, żeby mógł usłyszeć ją Deacon. Chyba chciała, żeby nie uronił ani słowa. Od naszego rozstania bez żenady prowadził się publicznie z różnymi dziewczynami, a ja udawałam, że nic mnie to nie obchodzi.

– Nie był w moim typie – wyjaśniłam.

Taka była prawda. Gleason to po prostu jeszcze jeden przypadkowy koleś na imprezie, któremu wydawało się, że jeśli nauczy mnie grać w bilard, pozwolę mu na coś więcej.

– Nie żeby był straszny – dodałam. – Po prostu mi nie pasował.

– Żaden nie jest w twoim typie – powiedziała cicho Myra, po czym dodała, wskazując ruchem głowy Deacona: – No prawie żaden.

Deacon nie zrozumiał chyba jej ostatniego komentarza, ale chwilę potem spojrzął w lusterko.

– Mam nadzieję, że nie instruujesz Quinn, jak może wykorzystać swe zdolności sobowtóra do zwodzenia na manowce niczego niepodważających młodych mężczyzn. Oznaczałoby to ostateczne pogrzebanie wszystkich kłamstw, którymi się karmię, na temat prawdziwej miłości i braterstwa dusz.

Przez sekundę wytrzymałam jego spojrzenie we wstecznym lusterku, po czym wpatrzyłam się w noc za oknem.

– Nigdy nie wykorzystuję swoich zdolności do złych celów – odezwał się. – Powstrzymuję się przed tym nawet wtedy, kiedy wydzwaniasz do mnie o trzeciej w nocy i błagasz, żebym życzyła ci dobrych snów, bo inaczej nie zmrużysz oka.

– Auć – zawołał wesoło Aaron.

– Trafiony zatopiony – mruknął Deacon.

– Wyłizesz się – pocieszyłam go, próbując się nie uśmiechnąć.

Myra przez chwilę teatralnie przenosiła spojrzenie z niego na mnie. W końcu skrzyżowała ramiona na piersi i zrobiła zamyśloną minę.

– Dzwoni do ciebie o trzeciej w nocy? Całe szczęście, że ze sobą zerwaliście – rzuciła tonem pełnym sarkazmu, po czym wymieniła porozumiewawcze spojrzenie z Aaronem, który szczyrzył się do niej z przedniego fotela jak skończony idiota. – A co z Reedem Castle'em, tym sobowtórem z Tillamook? Widziałam, jak z nim gadałaś. Przystojniak z niego. Jestem niemal pewna, że grał kiedyś na pozycji rozgrywającego w szkolnej drużynie futbolowej.

– Był silnym skrzydłowym – poprawiłam.

– Nie wątpię.

– No dobrze, szanowne panie – odezwał się z przodu Deacon. Wjechaliśmy właśnie na parking pod blokiem Aarona. Zauważyłam, że Deacon ściska kurczowo kierownicę. Jego knykie były zupełnie białe.

– Tak się składa, że znam Reeda. Kumplowaliśmy się, zanim się wyprowadził z naszego miasta. Wolałbym, żebyście mi oszczędziły teraz komentarzy na temat poszczególnych części jego ciała.

– No więc tę część oceniłabym na A – stwierdziłam, zwracając się do Myry.

– No coś ty – odparła śmiertelnie poważnym głosem. – Zasługuje co najmniej na A z plusem. Może nawet z dwoma plusami.

Deacon parsknął śmiechem.

Tak naprawdę spotkałam się z Reedem tylko parę razy. Nigdy nie widziałam go nago.

Deacon zaparkował moją hondę na tyłach budynku z cegły i zaciągnął ręczny hamulec. Wysiadł pierwszy i otworzył mi drzwi. Kiedy wysiadałam, przytrzymał je dla mnie, udając, że ogląda sobie paznokcie.

– A więc podoba ci się Reed? – spytał, nie patrząc na mnie.

– Kto wie – odparłam, sięgając po torebkę. Jakaś część mnie chciała, żeby cierpiał. Choć trochę.

– Ja tylko próbuję zachowywać się jak kumpel – powiedział bezceremonialnie Deacon. – Sądziłem, że taki mamy plan.

Teraz to ja poczułam się zraniona. Wyminęłam go bez słowa, poprawiając pasek torebki, i ruszyłam w stronę domu Aarona.

– Lepiej już jedź – zawołałam, odwracając się, żeby go widzieć. – Dochodzi trzecia w nocy. Pora na

spanie. Inaczej twoja uroda ucierpi.

– No coś ty, Quinlan! Przecież jestem najpiękniejszym okazem ludzkim w okolicy.

– Nie byłabym tego taka pewna.

Deacon zamknął za mną drzwi samochodu, po czym dogonił mnie i szedł u mojego boku.

– Masz rację. To ty jesteś najpiękniejsza. Ale ja plasuję się tuż za tobą.

Uśmiech spełził mi z ust. Kiedy zerknęłam na niego, podążał ze wzrokiem utkwionym przed siebie, jakbyśmy wcale nie prowadzili tej rozmowy. Zwolniliśmy kroku, chcąc przeciągnąć w nieskończoność ten moment sam na sam. Każda sekunda była teraz na wagę złota. Myra wyminęła nas, posyłając mi uśmiech, a po chwili razem z Aaronem zniknęła w budynku.

Zanim dotarliśmy pod drzwi, Deacon ujął mnie pod ramię, a ja bez zastanowienia przyłgnęłam do niego, wtulając twarz w zagłębienie jego szyi. Cała moja dusza czekała na tę chwilę. Staliśmy przez długi moment przytuleni, czując na sobie swoje oddechy. W pewnym momencie Deacon nachylił się, zbliżając usta do mojego ucha. Jego palce wślizgnęły się w moje włosy.

– Nadal za tobą szaleję – wyszeptał, jakby powierzał mi sekret.

A ja zamknęłam oczy i dałam się porwać tej myśli.

\* \* \*

Z rozmyślań wyrwało mnie przekleństwo rzucone przez Virginie. Musiała upłynąć chwila, zanim uwolniłam się od wspomnienia dotyku Deacona. W końcu jednak również ono uleciało. Znalazłam się z powrotem w świecie, który namalowała dla mnie Virginia.

– Co się stało? – spytałam lekko zachrypniętym głosem.

Virginia włączyła wycieraczki. Z początku na przedniej szybie rozbijały się pojedyncze krople, ale już po chwili lało jak z cebra.

– Znowu deszcz – wyjaśniła. – Mam go już po dziurki w nosie. W tym roku chyba nie będzie lata, słowo daję. Każdego roku deszczowy okres jest coraz dłuższy.

Nie wiedziałam, czy faktycznie tak jest, rozumiałam jednak, o co jej chodzi. Zawsze zakładałam, że to kwestia percepcji: kiedy tak pada, można odnieść wrażenie, że pora deszczowa ciągnie się bez końca.

Z głośników dalej dobiegała ta sama nastrojowa, mroczna muzyka. Moje myśli krążyły wokół Deacona. Tęskniłam za nim i za moim dawnym życiem. Przyłapałam się nawet na myśli, że mogłabym wrócić do tamtego świata – nie tylko ja, ale my wszyscy. A co, jeśli zaczęlibyśmy udawać, że nic się nie stało? Moglibyśmy przecież okłamywać samych siebie, żeby żyło się łatwiej.

Zamrugałam szybko, próbując wrócić na ziemię. Powoli zaczynałam tracić właściwą perspektywę. Przecież życie, które kiedyś wiodłam jako Quinlan, nie było prawdziwe. A teraz miałam wreszcie szansę dowiedzieć się, kim jestem, kim mogłam być. Wiedziałam, że nie mogę pozwolić, by coś pokrzyżowało mi plany.



Postanowiłam, że wybiorę się z Virginią na imprezę, a potem skoncentruję się na tym, co mnie tu przywiodło – na ustaleniu, jaką rolę dziewczyna odegrała w samobójstwie Cataliny. Tak właśnie zrobię – wykorzystam ją. Jeśli będę się z tego powodu czuła fatalnie – trudno. Arthur Pritchard, jej ojciec, ukradł moją tożsamość, i zamierzałam ją odzyskać. A potem odszukam swoją prawdziwą rodzinę. Dowiem się, skąd tak naprawdę jestem.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmiła Virginia, kiedy podjechałyśmy pod czterokondygnacyjny budynek. Po frontowej ścianie pięły się schody pożarowe; nie wyglądały na zbyt solidne. Cały gmach sprawiał wrażenie dość zapuszczonego, przez co miał w sobie pewien niezaprzeczalny urok. Uświadomiłam sobie w tej chwili, jak bardzo potrzebuję znaleźć się wśród ludzi. Chciałam być otoczona przez tłum, byle tylko nie myśleć dłużej o sobie.

Virginia zgasiła silnik i sięgnęła na tylne siedzenie po śliczną kurteczkę. Zarzuciła ją na ramiona i zerknęła we wsteczne lusterko, sprawdzając fryzurę. Ponieważ nie miałam ze sobą żadnych kosmetyków, czekałam beczynn timer, aż podmaluje usta różowym błyszczkiem i nałoży na policzki trochę pudru.

Kiedy skończyła, posłała mi czarujący uśmiech. Gdybym na własne oczy nie widziała, jak rozkleiła się w barze, nigdy bym się nie domyśliła, w jak kiepskim jest stanie. Wydawała się teraz radosna i zrównowazona. Ale oczywiście było to złudzenie. Przywołałam na usta taki sam uśmiech i wysiadłyśmy z samochodu.

Z nieba siąpiła już tylko mżawka. Powietrze było jednak nieprzyjemnie chłodne, szybko więc schowałam dłonie do kieszeni kurtki. Virginia obeszała samochód i otworzyła bagażnik. Wyciągnęła z niego butelkę wódki, po czym zbliżyła się do mnie i wskazała okno na czwartym piętrze. Zza zasłon pobłyskiwały światła, widać było przesuające się sylwetki.

– To chata Rodericka – rzuciła. – Fajny z niego chłopak i robi niezłe imprezy. Nie zdarzają się na nich żadne głupie akcje.

– W takim razie zabawmy się trochę – powiedziałam.

Virginia skinęła ochoczo głową na znak, że moje podejście bardzo jej odpowiada. Ruszyłyśmy do bramy, a potem po schodach na górę.

W mieszkaniu ogrzewanie było chyba rozkręcone na cały regulator i panował straszny zaduch. Gdy tylko znalazłyśmy się w środku, musiałyśmy zdjąć kurtki. Przyszło sporo gości, nie było ich jednak tylu, by panował ścisk i zgiełk. Virginia zaprowadziła mnie do niewielkiej kuchni. Przy stole zastaliśmy paru chłopaków grających w karty. Byli do tego stopnia skupieni na grze, że niemal nie dostrzegli naszego pojawienia się. Kiedy Virginia postawiła na kontuarze butelkę wódki, jeden z nich skinął z aprobatą głową, ale już w następnej sekundzie powrócił do kart.

Przy zlewie stał rząd opróżnionych do połowy butelek z alkoholem. Nieopodal leżała przewrócona sterta plastikowych kubków. Na białej płycie kontuaru widniała wielka plama po jakimś czerwonym soku, pewnie niemożliwa do wywabienia.

– Daj mi kurtkę – powiedziała Virginia, dotykając mojego ramienia.

Zrobiłam, o co prosiła, i przeszliśmy do jadalni. Mijając przesuwane szklane drzwi balkonowe, Virginia przywitała się z paroma gośćmi, jednak nie zatrzymywała się, żeby zamienić z nimi choćby kilka słów. Kiedy dotarliśmy do dużego pokoju, rzuciła nasze kurtki na stertę innych okryć piętrzącą się na fotelu.

To tutaj zgromadziło się najwięcej gości. Światła w pokoju przyciemniono, a na środku, w miejscu gdzie na podłodze rozłożono okrągły pleciony dywanik, tańczyły cztery dziewczyny. Muzyka puszczana z podłączonego do głośników iPoda była nastrojowa. Kojarzyła się z piosenkami, jakich słuchaliśmy w samochodzie. Tutaj jednak linia basu była jeszcze głębsza, a tańczące dziewczyny bujały się niespiesznie w jej rytm. Co chwila też pochylały się do siebie, żeby coś sobie powiedzieć, po czym wybuchały śmiechem. Na fotelu niedaleko okna dostrzegłam jakąś całującą się parę. Musieli być już mocno wstawieni, bo ilekroć chłopak przechylał głowę, żeby pocałować partnerkę, wylewał na podłogę piwo z trzymanej w ręce butelki.

Na popękanej skórzanej sofie siedział jakiś śliczny chłopak wpatrzony w ekran telefonu. Miał krótko ścięte ciemne włosy – z fryzury przypominał trochę Aarona. Na nogach miał parę cytrynowych adidasów, tak jasnych, że niemal świeciły w ciemnym pokoju. Był przystojny. W pewnym momencie spojrzał w moim kierunku, jakby wyczuł na sobie mój wzrok. Jego oczy przesunęły się w bok i kiedy zauważył Virginie, uniósł rękę. Dziewczyna pomachała do niego, po czym nachyliła się do mnie i ściszym głosem powiedziała:

– To Micah Thompson. Strasznie na niego lecę.

– Wcale się nie dziwię.

Virginia westchnęła melancholijnie. Kiedy zerknęłam na nią, odniosłam wrażenie, że ma już lepszy nastrój. Wyparła chyba ze świadomości lęki, którym pozwoliła wcześniej dojść do głosu. Może właśnie tego wszyscy potrzebujemy? Chwili, kiedy możemy odetchnąć pełną piersią i poczuć się wolni.

– Pogadaj z nim – zachęciłam Virginie, dając jej lekkiego kuksańca łokciem w bok. – Chyba ucieszył się na twój widok.

Dziewczyna nie umiała ukryć zadowolenia – na jej usta natychmiast wypełznął uśmiezek. Odwróciła się szybko w inną stronę, na co Micah się roześmiał, jakby właśnie przyłapał nas na pożeraniu go wzrokiem.

– Nie łączy nas nic poważnego – tłumaczyła bez większego przekonania Virginia. – Kumplujemy się, to wszystko.

– Hm... – mruknęłam, udając, że poważnie się namyślam. – To samo sobie powtarzałam. A chwilę potem całowałam się z chłopakiem, o którym ci mówiłam.

Virginia zachichotała, mrużąc oczy.

– A może przedstawię cię wszystkim gościom? – spytała, zataczając szeroki gest obejmujący ludzi tłoczących się w pokoju. – Przecież jestem dziewczyną, którą wszyscy znają w liceum Marshalla.

– Sama się przedstawię – zapewniłam. – A ty lepiej idź i się zabaw.

Obrzuciła jeszcze raz spojrzeniem Micaha.

– No dobrze, raz się żyje – zawołała w końcu.

Zanim zdążyłam pomyśleć o tym, jak brzmią te słowa w kontekście fali samobójstw nastolatków, Virginia zaczęła się przeciskać przez tłumek. Po chwili siedziała już na sofie tuż obok Micaha.

Kiedy tamtych dwoje wdało się w pogawędkę, wróciłam do kuchni po coś do picia. Skłamałabym, gdybym powiedziała, że wszyscy ci ludzie nie budzili we mnie fascynacji. Chłonełam wszystko, co widziałam wokół siebie. Nalewając sobie wódki żurawinowej, wyłapałam strzępy rozmowy chłopaków grających w karty.

– Widzieliście gdzieś Rodericka? – spytał chłopak w niebieskiej koszulce Nike, który podnosił właśnie rozdane karty. – Słyszeliście, co stało się z jego dziewczyną?

– Nie, a co? – spytał siedzący naprzeciw niego chłopaczek w baseballówce. Jego oczy ginęły w cieniu daszka.

Chłopak w niebieskiej koszulce rzucił swoje karty na stół.

– Ja odpadam – stwierdził, po czym zwracając się do swojego kolegi w czapeczce, wyjaśnił: – Zamknęli ją. Chyba wylądowała w psychiatryku. Moi rodzice coś o tym wspominali. W sumie dziwne, że Roderick w ogóle urządził dziś tę imprezę. Jest bardzo zżyty z tą panną.

Z wrażenia zacisnęłam kurczowo palce na kubku. Mroczny świat, w którym żyły te dzieciaki, stał w jaskrawej sprzeczności z pozornie radosną atmosferą imprezy, na której się bawili.

– Nie gadaj – odezwał się chłopak w baseballówce. – Ari jest w szpitalu? Niefajnie, lubiłem tę laskę.

Zabrzmiało to tak, jakby właśnie dowiedział się, że Ari nie żyje. On też odłożył karty i odchylił się na krześle, zaglądając przez drzwi do drugiego pokoju, gdzie spodziewał się chyba znaleźć Rodericka.

– Tam jest – powiedział po chwili. – Stoi w kącie. Szkoda koleś.

Z miejsca, gdzie stałam, nie mogłam go dojrzeć. Wystarczyło jednak spojrzeć na współczujący wyraz twarzy chłopaka w baseballówce, żeby stało się jasne, że Roderick jest w koszmarnej formie. Po co w takim razie zaprosił ludzi na imprezę? Przecież musiała to być dla niego straszna męczarnia.

Rozdający postawił na blacie miskę z chipsami i zaczął tasować karty przed następną partią. Nastrój przy stole stał się jednak mroczniejszy, rozmowa się nie kleiła. Uniosłam kubek do ust. Alkohol był tak ciepły, że z trudnością mogłam go przełknąć. Kiedy wróciłam do dużego pokoju, Virginia z Micahem siedzieli pogrążeni w rozmowie. Na sofie z drugiej strony przysiadł jakiś inny chłopak.

Ponieważ Virginia nie zauważyła mojego nadejścia, postanowiłam, że nie będę im przeszkadzać. Stałam pod ścianą. Nadal byłam częścią tej imprezy, ale równocześnie stałam z boku, dzięki czemu miałam chwilę, żeby spokojnie się zastanowić. Popijając wódkę, przyglądałam się gościom. Ciekawa byłam, czy pasuję do tego towarzystwa. Czy gdyby przed laty Arthur i Marie nie przyprowadzili mnie do Toma McKee, mogłabym być jednym z tych dzieciaków? Czy mogłabym wieść normalne życie?

Pociągnęłam kolejny łyk alkoholu. Czy naprawdę pragnęłabym dla siebie innego życia?

Moje myśli powędrowały do Cataliny Barnes – dziewczyny, którą przez jakiś czas chciałam się stać. Spotkał ją jednak marny koniec. Popełniła samobójstwo, choć mogłoby się wydawać, że jej życie było idealne. Nadal nie wiedziałam, co skłoniło ją do podjęcia tej decyzji. Miałam wrażenie, jakby przez cały czas brakowało mi jakiegoś elementu tej układanki. Jakbym czytała książkę, w której brakuje jednego rozdziału. Rozdziału dotyczącego Virginii.

Virginia nie wspomniała wprost o Catalinie, wiedziałam jednak, że obie dziewczyny się znały. Nie chciało mi się co prawda wierzyć, żeby Virginia sama stanowiła zagrożenie, ale może niebezpieczne było to, co mówiła? Nasza rozmowa nie trwała długo, a mimo to zdążyłam odczuć emanujące z niej bezradność i lęk. Czyżby tym właśnie zaraziła Catalinę? Czyżby...

W tym momencie moją uwagę przykuł chłopak stojący w rogu pokoju. *To Roderick*, pomyślałam. Chłopak był wysoki, miał sięgające ramion rude włosy i niesamowicie bladą, nakrapianą piegami skórę, która wydawała się jeszcze bledsza w zestawieniu z granatowym T-shirtem. W pierwszej chwili nie byłam pewna, co w jego wyglądzie sprawiało, że tak bardzo wyróżniał się z tłumu. Może była to kwestia wyprostowanej postawy albo fakt, że stał zupełnie osamotniony, ze wzrokiem utkwionym w przesuwane szklane drzwi balkonowe.

Ja jednak go dostrzegłam.

Momentalnie, kierowana profesjonalnym nawykiem, oceniłam jego stan i rozpoznałam wszystkie symptomy skomplikowanej żałoby. W jego przypadku przybrała ona jednak wyjątkowo straszną formę. Widziałam mnóstwo zdruzgotanych ludzi, jednak Roderick był szczególnym przypadkiem. Najbardziej niepokojący był ten bezruch, w jakim stał w pokoju pełnym poruszających się ludzkich ciał. W pewnym momencie dostrzegłam, że z kącika jego ust sączy się nitka śliny.

Z nerwów zrobiło mi się niedobrze. Błyskawicznie poszukałam wzrokiem Virginii, ona jednak nadal zajęta była rozmową. Nagle kątem oka zarejestrowałam jakieś poruszenie w miejscu, gdzie stał Roderick. Kiedy spojrzałam w jego stronę, siedł już w kierunku balkonu.

Odprowadzałam go wzrokiem, ciekawa, co robi. Po drodze potracił ramieniem kilka osób, jednak ani na chwilę nie zwolnił. Pomyślałam, że może zbiera mu się na wymioty i dlatego idzie na balkon. Przez cały czas nie zamienił ani słowa z żadnym z gości.

W końcu stanął przed drzwiami balkonowymi i odsunął je na bok. Po chwili wyszedł na zewnątrz i nie zasuważąc za sobą drzwi, zbliżył się do barierki. Tymczasem znów rozpadał się deszcz. Widziałam, jak moczy włosy Rodericka, które po chwili zaczęły lepić mu się do twarzy.

Serce podskoczyło mi do gardła. Patrzyłam sparaliżowana, jak Roderick opiera się o barierkę i podciąga na niej. Z przerażenia otworzyłam szeroko oczy.

– Zaczekaj! – zawołałam, próbując przekrzyczeć muzykę.

Wypuściłam z ręki kubek z czerwonym płynem. Jego zawartość rozprysła się na dywan u moich stóp. Ruszyłam ku drzwiom balkonowym, ale było już za późno.

Roderick, nie oglądając się, rzucił się z czwartego piętra.

## Rozdział dziesiąty

Rozległ się przeraźliwy krzyk. Przeciskałam się w kierunku balkonu, ale ubiegli mnie chłopcy, których widziałam wcześniej w kuchni. Byli już na balkonie i wychylając się przez barierkę, spoglądali w dół.

– Ożesz kurwa mać! – zawołał jeden z nich.

Z jego ust popłynął potok przekleństw. Przeczesał palcami włosy i mrugając szybko, próbował dojrzeć coś w zalewającej mu twarz ulewie.

Z głośników nadal płynęła muzyka, ale nikt już nie tańczył. Dźwięki piosenki łączyły się teraz z zawodzeniem przerażonych gości, brzmiąc niczym wspomnienie koszmarne snu, które prześladowuje śniącego jeszcze długo po przebudzeniu. Rozglądałam się wkoło szeroko otwartymi oczami. Byłam w szoku, moim ciałem zaczynały wstrząsać dreszcze. Parę osób trzymało już przy uszach komórki, próbując dodzwonić się na pogotowie. Jeden z chłopaków pobiegł do kuchni i wrzucił wszystkie butelki po wódce do śmietnika. Próbował uprzątnąć ślady mogące wskazywać, że odbyła się tu impreza. Robił to jednak bez większego przekonania. Wiedział już, że nie ma to żadnego znaczenia, choć postanowił udawać, że to działanie ma jakiś sens. W ten sposób łatwiej mu było poradzić sobie z brutalną prawdą tej chwili.

Wszyscy byliśmy przerażeni i zdruzgotani.

Nagle tuż obok mnie zjawiała się Virginia. W rękach trzymała nasze kurtki. Obrzuciłam ją spojrzeniem, nie bardzo nawet wiedząc, na kogo patrzę.

– Musimy stąd zniknąć – powiedziała, jednak nie mogłam się ruszyć. W pewnym momencie poczułam, jak dziewczyna chwyta mnie za ramię. Jej paznokcie wbijały się w materiał rękawa. Zachowując pozory stoickiego spokoju, powiedziała z naciskiem: – Liz, musimy natychmiast wyjść.

Ludzie wylegli już na balkon i stali w deszczu. Jakaś dziewczyna szlochała. Kiedy przyjrzałam się Virginii, nie odnalazłam na jej twarzy znamion szoku. Sprawiała raczej wrażenie wylęknionej. Zamrugałam szybko, próbując wziąć się w garść. Virginia rzuciła mi kurtkę. Założyłam ją bez słowa i ruszyłam za nią w kierunku drzwi wyjściowych.

Lawirując między gośćmi, którzy rozmawiali w napięciu albo, przytulając się, płakali, zdołaliśmy dotrzeć na półpiętro, po czym pobiegliśmy schodami w dół. Nikt za nami nie wołał, nikt nie pytał, dokąd się wybieramy. Wszyscy wydawali się przytłoczeni tragedią, której właśnie byli świadkami.

Virginia pchnęła z całej siły bramę. Drzwi odskoczyły i uderzyły kłamką w ścianę. Po chwili puściła się biegiem przed siebie, ja jednak zatrzymałam się w pół kroku. Rozpędzona Virginia wypuściła moją rękę. Żeby stłumić krzyk, zakryłam szybko usta dłonią.

Przed nami leżało pogruchtane ciało. Krew, która trysnęła z niego w chwili upadku, rozlewała się po

chodnikowych płytkach. Zaparkowany przy krawężniku samochód miał obryzganą karoserię. Ciało Rodericka leżało na tyle daleko od miejsca, gdzie się zatrzymałam, że nie widziałam żadnych przerażających szczegółów. *To tylko sterta ubrań*, powtarzałam sobie w myśli. Jednak równocześnie mój umysł gorączkowo starał się połączyć to, co widzę, z tym, co wydarzyło się u góry. Stopniowo mimo woli zaczęłam rozróżniać szczegóły zmasakrowanego ciała przed sobą – rozpoznałam kształt złamanej ręki, skrzywą pod nienaturalnym kątem szyję, strzaskane biodro...

– Liz! – usłyszałam nagle warknięcie Virginii. – Nie patrz na to.

Poczułam, jak dziewczyna chwyta mnie mocno za nadgarstek. A po chwili znów biegłyśmy przed siebie, deszcz zalewał nam twarze. Wreszcie znalazłyśmy się przy samochodzie. Virginia otworzyła drzwi od strony pasażera i wepchnęła mnie do środka. Kiedy zatrzasnęła za mną drzwi, zapadła przejmująca cisza.

Nigdy wcześniej nie widziałam na własne oczy, jak ktoś umiera. Przez całe życie odgrywałam rolę zmarłych osób, lecz ani razu nie pozwolono mi zobaczyć żadnego ciała. Nie mieściło mi się w głowie, dlaczego coś tak naturalnego jak śmierć sprawia tak niesamowicie nienaturalne wrażenie.

Drzwi od strony kierowcy otworzyły się, a w kabinie znów zaświeciła się górna lampka. Virginia spytała, gdzie mieszkam. Podałam jej nazwę motelu. Włączyła silnik i z piskiem opon wyprowadziła samochód na ulicę, nie sprawdzając nawet w lusterkach, czy nie zajeżdża komuś drogi. Ulewny deszcz zalewał przednią szybę, wycieraczki poskrzypywały miarowo, trąc o szkło, zastygały, po czym znów przystępowały do pracy z charakterystycznym kliknięciem; brzmiało to niczym uderzenia uszkodzonego serca.

– Zrobił to z premedytacją – szepnęłam, odwracając się do Virginii. Do oczu napłynęły mi łzy. – Może powinniśmy powiadomić policję?

– Przecież było tam mnóstwo innych świadków – przypomniała. – Policja obejdzie się bez naszych zeznań.

Zacisnęła zęby. Obejmowała dłońmi kierownicę tak mocno, że aż zbieleły jej knykcie.

– Ale ja widziałam, jak to zrobił – stwierdziłam, z trudem łapiąc oddech. – Nie wiedziałam, że chce skoczyć. Byłam...

Nie dokończyłam, głos odmówił mi posłuszeństwa.

– Posłuchaj – odezwała się Virginia, spoglądając na mnie. – Nic nie widziałaś. W ogóle nie było nas na tej imprezie. Zrozumiano?

Wbiłam w nią nierozumiejące spojrzenie. Po policzkach zaczęły płynąć mi łzy.

– Co takiego?

– Liz, nie możesz się w to mieszać – stwierdziła Virginia, spoglądając na mnie poważnie. – Tak jak ci mówiłam: większość nastolatków nie ma już mechanizmów obronnych. Jesteśmy zupełnie bezsilni wobec tego, co się dzieje. Jutro w miasteczku zaroi się od reporterów. Pamiętaj, że nie możesz czytać w prasie żadnych relacji na temat tego, co się wydarzyło. Zapomnij, że w ogóle istniał ktoś taki jak Roderick.

Kiedy to mówiła, z jej oczu wycierał jednak ból. Nie chcąc go okazać, skierowała szybko spojrzenie z powrotem na drogę.

Dopiero kiedy zatrzymałyśmy się na następnych światłach i spojrzała znów na mnie, zobaczyłam, że płacze. Łzy rozmazały jej makijaż.

– Sama widzisz, co się dzieje – powiedziała łamiącym się głosem. – Nie mamy żadnych szans.

Kiedy światło zmieniło się na zielone, ruszyliśmy. Twarz Virginii miała teraz martwy wyraz. Dziewczyna siedziała z opuszczonymi ramionami. Nie ścisnęła już tak mocno kierownicy.

Pod wpływem jej słów zamilkłam na dobre. Przeraziły mnie, ponieważ niemal uwierzyłam w to, co powiedziała. Nagle... sama też poczułam beznadziejność naszej sytuacji. Świadomość ta była absolutnie przerażająca.

Myślami znów cofnęłam się do Rodericka. Próbowałam odtworzyć w pamięci po kolei wszystko, co robiłam na imprezie. Chciałam sprawdzić, czy był taki moment, kiedy mogłam go powstrzymać. Co by się stało, gdybym z nim po prostu pogadała? Może wystarczyłoby to, żeby go powstrzymać?

Dałam się opanować poczuciu winy za to, że pozostaję przy życiu, a ktoś inny zginął. Byłam tak pogrążona w mrocznych myślach, że dopiero gdy podjechałyśmy pod Motel pod Sosnami, ze zdziwieniem zorientowałam się, że jesteśmy na miejscu. Virginia zaparkowała niedaleko recepcji. Miałam już wsiąść, kiedy zwróciła się do mnie po imieniu.

– Możesz wyświadczyć mi przysługę? – spytała. – Jeśli spotkamy się następnym razem, a ja nie będę pamiętała o tym, co się stało... przypomnij mi, dobrze?

Zmarszczywszy brwi, świdrowałam ją przez chwilę wzrokiem. Nie miałam już jednak siły zadawać kolejnych pytań. Moja zdolność przyswajania wiedzy tej nocy się wyczerpała.

– Proszę... – nalegała Virginia, przywołując na usta uśmiech.

Niezależnie od tego, jak usilnie wypierała rzeczywistość, nie bardzo rozumiałam, jak miałyby zapomnieć o tej tragedii. Mimo to jednak skinieniem głowy dałam znać, że się zgadzam.

Wysiadłam z samochodu na deszcz i skierowałam się do budynku motelu. Dygotałam z zimna, szczękały mi zęby. Usłyszałam, jak za moimi plecami Virginia wycofuje samochód, ale nawet się nie obejrzałam. Marzyłam tylko o tym, żeby jak najszybciej odpocząć.

Zaczęłam się wspinać po zewnętrznych schodach. Pokonanie każdego kolejnego stopnia wymagało coraz większego wysiłku. Opanowała mnie tak przemożna słabość, że z największym trudem dowlekłam się na półpiętro. Gdyby Marie mogła mnie zobaczyć, stwierdziłaby, że tak objawia się szok. Poradziłaby, żebym wzięła jak najszybciej gorący prysznic. Poczęstowałyby mnie herbatą. Oczywiście miętową. No a potem opowiedziałabym jej o wszystkim, co zaszło. Powiedziałyby jej całą prawdę. Wyznałabym przed nią, jak bardzo boli mnie serce. I dusza.

Kiedy dotarłam na pierwsze piętro, musiałam skrzyżować ramiona na piersi – miałam wrażenie, jakbym za chwilę miała rozlecieć się na kawałki. Nawiedzał mnie obraz martwego ciała leżącego na chodniku. Nie umiałam się go pozbyć. Przed oczami bez przerwy miałam kałużę krwi, w uszach

rozbrzmiewały mi krzyki przyjaciół Rodericka.

Przystanąłam i opierając się o ścianę, próbowałam powstrzymać cisnący mi się do gardła szloch. Mój umysł był w tej chwili niczym czarne spiralne zejście w głąb mrocznej otchłani. Opanowało mnie obsesyjne pragnienie doświadczenia bólu. Wnikania w niego coraz głębiej. Chciałam poczuć to, czego doznał Roderick. Chciałam, aby jego ból stał się też moim udziałem.

– Przestań – wydyszałam, zaciskając powieki.

Wiedziałam, że z wolna osuwam się w szaleństwo.

*Dojść do swojego pokoju*, nakazałam sobie w myślach. Odepchnęłam się od ściany i z bocznej kieszeni dzinsów wyjęłam kartę magnetyczną do otwierania drzwi. Ręce trzęsły mi się przeraźliwie. W końcu stanęłam pod drzwiami swojego pokoju. Kiedy wsunęłam kartę do czytnika, dioda zapaliła się na czerwono. Pociągnęłam nosem i spróbowałam uspokoić oddech.

*Dasz radę. Zawsze dajesz radę.*

Za drugim razem karta została przyjęta – dioda zaświeciła się na zielono. Wsunęłam się do środka, odwróciłam i zamknęłam drzwi na zasuwę. Oparłam się o nie czołem. Karta wysunęła mi się z dłoni i upadła na podłogę.

W pokoju było dość ciepło, ale nadal marzłam w moich przemoczonych ubraniach. W głowie łomotała mi myśl: *Mogłaś ocalić tego chłopaka. Może rzeczywiście mogłam.*

Nagle dobiegł mnie z tyłu jakiś dźwięk. Coś jak skrzypnięcie sprężyn materaca na moim łóżku. Ze strachu poczułam, jak po skórze niczym prąd przebiega mi dreszcz. Odwróciłam się, kierując spojrzenie w głąb pomieszczenia. Ze zdenerwowania brakowało mi tchu. W ciemności po drugiej stronie pokoju dostrzegłam ludzką postać. Macając na oślep, wyszukałam na ścianie włącznik lampy.

Kiedy w pokoju zrobiło się jasno, na tapczanie przed sobą zobaczyłam Deacona. Siedział ze wzrokiem utkwionym w podłodze, jakby nie śmiał na mnie spojrzeć. Był rozczochrany, kasztanowe włosy sterczały mu na wszystkie strony. Czyżby wielokrotnie mierzwił je dłonią? W wymiętym ubraniu wyglądał, jakby parę ostatnich nocy spędził na ulicy. Jednak to był on. Zjawił się dokładnie w tym momencie, kiedy najbardziej go potrzebowałam.

Zrobiłam krok w jego stronę. Ulga na jego widok była tak wielka, że mimo woli przyłożyłam dłoń do serca.

– Deacon... – szepnęłam.

Uniósł głowę i dopiero wtedy zobaczył, w jakim jestem stanie. Momentalnie zerwał się z tapczanu, a jego posępny wyraz twarzy gdzieś przepadł. W następnej sekundzie stał już obok i mocno mnie przytulał. Był moim pocieszeniem, moim łącznikiem z rzeczywistością.

– Mogłam go uratować – łkałam, wtulając twarz w szyję Deacona, podczas gdy on kurczowo wpił się palcami w moją koszulę.

Woń jego skóry przywracała mnie do życia, wyrывała ciemności. Nie byłam do końca świadoma, jak strasznie go potrzebuję. I dopiero po chwili Deacon, z policzkiem opartym o czubek mojej głowy,



szepnął:

– Quinn, muszę ci o czymś powiedzieć.

## Część II

### How Not to Disappear Completely<sup>1</sup>

1. Nawiązanie do tytułu piosenki Radiohead. [\[wróć\]](#)

## Rozdział pierwszy

**D**opiero po trzech miesiącach chodzenia z Deaconem zrozumiałam, że się w nim zakochałam. Odkrycia tego dokonałam zupełnie przez przypadek i było to dla mnie totalnym szokiem, bo nigdy wcześniej z nikim tak bardzo się nie związałam. Pasowaliśmy do siebie.

Pracowaliśmy ze sobą od pewnego czasu, dlatego na początku naszego romansu byliśmy bardzo ostrożni. Ani on, ani ja nie chcieliśmy pójść na całość. Jako sobowtóry byliśmy nauczeni ostrożności. Nasze zawodowe sukcesy zależały od tego, czy zdołamy nie związać się emocjonalnie z rodzinami, którym pomagaliśmy. To nastawienie mimo woli przenosiliśmy też na życie prywatne.

W tamtym czasie Deacon był jednak czarującym chłopakiem: zabawnym, bystrym i niesamowicie przystojnym. A co najważniejsze, był też dobry. Nigdy wcześniej nie spotkałam sobowtóra, któremu tak bardzo zależałoby na dobru innych. Był w tym bardzo podobny do mnie. I to właśnie przejawiane przez niego współczucie działało na mnie niczym magnes. To, a także umiejętność przewidzenia, co inni chcą usłyszeć.

Tamtego dnia poszliśmy na podwórko na tyłach mojego domu i planowaliśmy zabrać się do koszenia wybujałej trawy. W pewnym momencie w żartach przewróciłam Deacona na ziemię. Zatopiliśmy się w oceanie sięgających kolan źdźbeł. Deacon wybuchnął śmiechem. Zaczęliśmy się turlać w trawie, aż w końcu zdołał wyswobodzić się z mojego uchwytu i usiadł na mnie okrakiem. Uśmiechnął się wtedy, nachylił i cmoknął mnie w usta.

Miał już ze mnie zejść, ale chwyciłam go za koszulę i przyciągnęłam do siebie. Nie wiem, co mną kierowało w tamtej chwili. Nagle poczułam się przeraźliwie samotna i wiedziałam, że tylko Deacon jest w stanie zapełnić pustkę w moim życiu. Może brało się to stąd, że akceptował mnie taką, jaką byłam, to znaczy jako sobowtóra.

Musiał domyślić się, co chodzi mi po głowie, bo szepnął mi na ucho coś miłego. Po chwili położył się obok, podpierając się na łokciu.

– Uwielbiam patrzeć na twoją twarz – powiedział rozmarzonym tonem.

Jego palec błędził przez chwilę po moich ustach. Dopiero potem nachylił się i mnie pocałował.

Zamknęłam oczy, czując, jak dłoń Deacona wędruje po mojej szczęce i szyi. Upał, intensywna woń trawy, delikatny dotyk ukochanego – wszystko to sprawiło, że zupełnie się zatraciłam.

*Kocham go*, pomyślałam rozmarzona. Sens tych słów zaskoczył mnie. Spojrzałam szybko na niego, czując się nagle obnażona i bezbronna, tak jakby wiedział już, o czym myślę. I może faktycznie tak było, ponieważ nagle zamarł. Nie byłam w stanie wyczytać z jego twarzy, co chodzi mu po głowie. Nagle nachylił się i pocałował mnie gwałtownie. Był to tak namiętny pocałunek, że jęczałam, nie odrywając swoich ust od jego, a palcami wpiłam się w jego ubranie.

Aż do dzisiaj nie usłyszałam ani razu od Deacona, że mnie kocha. Czasami jednak dawał mi to do zrozumienia. Jak teraz, kiedy trzymał mnie w ramionach w pokoiku w obskurnym motelu i pozwalał, bym kompletnie się przy nim rozkleiła.

– Muszę ci o czymś powiedzieć – szepnął.

W tej samej sekundzie poczułam, że jego ramiona wcale nie są już bezpieczną przystanią. Zataczając się, zrobiłam krok do tyłu. Próbował mnie schwycić, ale odtrąciłam jego rękę. Niewiele widziałam załamionymi oczami. Smutek i przerażenie odepchnęłam jednak na bok, pozwalając, by przepełniła mnie wściekłość.

– Quinn, uspokój się – powiedział.

– Nie każ mi się uspokoić – warknęłam. – Nawet się nie waż.

Nie zdążyłam jeszcze poradzić sobie z wydarzeniami, których świadkiem byłam na imprezie, a tymczasem okazywało się, że już muszę stawić czoła własnym problemom. Największy stanowił właśnie ten chłopak stojący w tej chwili naprzeciw mnie. Chłopak, którego wyszkolono w sztuce manipulacji.

– Jakim cudem mnie tu odnalazłeś? Nie powinno cię tu być.

– Tłumaczyłem ci już – odezwał się cichym głosem. – Quinn, jesteś dla mnie całym światem. Dlatego nietrudno cię wypatrzyć.

Podszedł do krzesła stojącego przy oknie. Usiadł na nim i oparł łokcie o kolana.

– Kręciłem się koło szkoły – podjął po chwili. – Uznałem, że tam właśnie się wybierzesz. No i w końcu zobaczyłem cię na parkingu.

W myślach zaczęłam wyrzucać sobie, że nie byłam bardziej ostrożna. Powinnam była się zorientować, że ktoś mnie obserwuje. Nie doceniłam Deacona, a to był błąd.

– Kiedy już odkryłem, że faktycznie jesteś w mieście i że zmieniłaś wygląd, zacząłem sprawdzać wszystkie motele. Ten jest piąty z kolei. Facet w recepcji ochoczo poinformował mnie, że się tu zatrzymałaś. Stwierdził, że jeśli chcę zamieszkać z tobą w pokoju, muszę dopłacić dziesięć dolców.

– Włamałeś się tutaj?

– Nie. Dałem mu siedemdziesiąt dolarów za cały tydzień z góry, a on wręczył mi kartę magnetyczną. – Na potwierdzenie swoich słów Deacon wyjął kartę z tylnej kieszeni spodni i położył na łóżku. Posłał mi przy tym uśmiech, ostrożny i nienachalny. Uśmiech, który miał mnie rozbroić. Tylko że tym razem to Deacon mnie nie docenił.

– Nie możesz tu zostać – oznajmiłam, śledząc bacznie zmiany, jakie moje słowa wywołują na jego twarzy. Nie tylko Deacon był sobowtórem, który wiedział, jak manipulować ludźmi. Miałam wszelkie powody, by sądzić, że mną manipuluje. Do zaufania mu skłaniała mnie tylko miłość, która nie była dobrym doradcą. Uznałam, że powinnam obrać bezpieczniejszą drogę. – Najpierw odpowiesz na moje pytania, a potem znikniesz.

– Śledziłem cię, bo porzuciłaś mnie bez słowa wyjaśnienia – odezwał się zachrypniętym głosem.

Pobrzmiewało w nim autentyczne cierpienie. Na jego dźwięk wzdrygnęłam się zaskoczona. – Quinn, wykańczasz mnie. Nie zachowuj się teraz, jakbym to ja od ciebie uciekała.

Prawda jego słów uderzyła mnie niczym cios obuchem.

– Uciekłam, bo musiałam przemyśleć parę spraw – wyjaśniłam.

– A kiedy jesteśmy razem, nie możesz myśleć? – spytał, wyraźnie urażony moimi słowami.

– Nie mogę – odparłam, siadając na łóżku naprzeciw niego. – Nie ufam ci już. Widziałam tamtego SMS-a na twojej komórce. Przez cały czas byłeś przeciwko mnie.

Uniósł spojrzenie i nagle rozchylił usta, a w jego oczach pojawiło się przeraźliwe poczucie winy. *O Boże, a więc to wszystko prawda.* Poczułam, jak twarz rozpala mi wściekłość. Nagle pomyślałam, by przeprowadzić z nim spokojną rozmowę, wydał mi się nedorzecznym. Czułam się zraniona jak jeszcze nigdy w życiu.

– Ty pieprzony dupku! – powiedziałam drżącym od tłumionych emocji głosem. – Zdradziłeś mnie!

Deacon pochylił się w moją stronę, składając przed sobą dłonie w błagalnym geście.

– Nigdy cię nie zdradziłem. Quinn, w autokarze naprawdę byłem z tobą. Ja też wtedy uciekałem. Jak w ogóle mogłaś pomyśleć...

Uciszyłam go gestem.

– To tylko słowa.

– Uwierz mi. Wcale nie spodziewam się, że mi to ułatwisz. Zresztą nie powinnaś. Masz rację, jestem pieprzonym dupkiem. Ale wcale nie dlatego. SMS-a, który widziałaś, wysłał Arthur Pritchard. Martwił się o ciebie.

Na dźwięk tego nazwiska poczułam nagły przypływ paniki.

– Jeśli nawet było tak, jak mówisz, po jaką cholere Arthur Pritchard miałby pisać akurat do ciebie?

Deacon zamarł.

– Ponieważ pracuję dla niego – rzekł tonem, z którego wyzierał bezbrzeżny smutek. – To trwa od ośmiu miesięcy, właściwie od ośmiu i pół.

Ta rewelacja była dla mnie niczym siarczysty policzek. Kompletnie się tego nie spodziewałam. Cały świat wokół mnie zawirował. Osiem i pół miesiąca temu Deacon i ja zerwaliśmy ze sobą. Strasznie źle zniosłam rozstanie, ale potem było jeszcze gorzej – schodziliśmy się wiele razy i za każdym razem znów rozstawaliśmy; Deacon przyciągał mnie do siebie, to znów odpychał. Teraz okazywało się, że pracował w tym czasie dla człowieka, który ukradł moje prawdziwe życie.

Nagle opanowało mnie poczucie, że wszystko, co kiedykolwiek powiedział mi Deacon, było jednym wielkim kłamstwem. A więc pracuje dla Arthura Pritcharda. Ze zwieszonymi bezwładnie ramionami spoglądałam na niego martwym wzrokiem. Czułam się zupełnie zdruzgotana.

– Coś ty zrobił? – spytałam, kręcąc powoli z niedowierzaniem głową.

– Masz moje słowo, że nigdy nie...

– Dość obietnic! – krzyknęłam. Deacon z wrażenia poderwał się z miejsca. – Prawda, po prostu mów

prawdę. Na czym polega twoja praca dla Pritcharda?

– Sądziłem, że w ten sposób będę cię chronił – odparł żarliwie. – Arthur twierdził, że to jedyny sposób.

– Przed czym miałeś mnie chronić? Przed wydziałem żałoby?

– Nie. Przed samą sobą. Arthur chciał, żebym został twoim agentem. Uznał, że ze względu na naszą relację nadaję się do tej roli jak nikt inny. Moim zadaniem było obserwowanie cię. Miałem zgłaszać wszelkie zmiany w twoim zachowaniu, kryzysy, utraty kontaktu z rzeczywistością. Jeden z nich przydarzył się, kiedy odgrywałaś rolę Cataliny Barnes. Miałem natychmiast powiadamiać doktora o takich przypadkach, żeby w razie konieczności mógł się tobą zająć. Pritchard twierdził, że bez jego pomocy grozi ci śmierć.

– Czy to ty poinformowałeś go, że przerwałam zlecenie i przyjechałam do ciebie? – spytałam. Na samą myśl zrobiło mi się niedobrze. – Czy to dlatego Pritchard zjawił się wtedy w rezydencji Barnesów? Jezus, Deaconie, wezwałeś go, bo byłeś zazdrosny o Isaaca?

– Nie – zaprzeczył żarliwie. – To znaczy tak, byłem zazdrosny, ale nie wezwałem doktora. Musiał obserwować ich dom. Zrozum, nie chodzi o zazdrość albo egoizm. Nigdy, za żadne skarby, nie wydałbym cię przed Arthurem. Zaprzedałem duszę diabłu po to, by cię chronić. Nie mogłem dopuścić, aby ktoś inny został twoim agentem. Nie chciałem, by Arthur znalazł kandydata do tej roli. To ja musiałem się tym zająć.

Tak, pięknie powiedziane, ja jednak nie dawałam się tak łatwo przekonać. Deacon od dawna łął bez mrugnięcia okiem, nie powinnam o tym zapominać.

– I twierdzisz, że kiedy zjawiłeś się na przystanku autokarowym, żeby razem ze mną uciec z miasta, nie byłeś już moim agentem?

– Właśnie tak. Kiedy zadzwoniłaś do mnie z mieszkania Marie i powiedziałaś, że wyjechała, wiedziałem, że Arthur i wydział żałoby będą chcieli cię złapać. Marie nie zniknęłaby bez powodu, musiało dziać się coś złego. Przedzwoiłem do biura Arthura i poinformowałem go, że zrywam współpracę. Powiedziałem, że kończę z tym. I nic mnie nie obchodzi, że zobowiązałem się na piśmie do wykonywania zlecenia.

*Nie uda ci się samej dobić targu z Arthurem, powiedział mi zeszłej nocy ojciec. Całkiem możliwe, że Deaconowi groziło teraz poważniejsze niebezpieczeństwo niż mnie. A jeśli tak faktycznie było, narażał się na nie ze względu na mnie.*

– W coś ty się wpakował...

– Podpisałem kontrakt – powiedział, siadając obok mnie na łóżku. Pod jego ciężarem materac ugiął się nieco, tak że siedzieliśmy teraz całkiem blisko siebie. – Jest w nim paragraf mówiący, że jeśli wyjawię cele mojego działania, mogą odesłać mnie na bezterminowe leczenie. Zostanę osadzony w ośrodku zamkniętym. Nie wiem, co stanie się ze mną potem.

Czułam, że z wolna opuszcza mnie gniew. Byliśmy sobowtórami. Tacy jak my nie byli traktowani jak

zwyczajni pacjenci. Terapia była dla nas zawsze najczarniejszym scenariuszem. Wiedzieliśmy, że po niej nie będziemy już sobą. Wiedzieliśmy też, że musimy uniknąć jej za wszelką cenę. Groźba Arthura, że ześle Deacona na bezterminową terapię, była w gruncie rzeczy gwarancją, że Deacon, jakiego znam, zostanie uśmiercony. Taki był jej prawdziwy cel.

Deacon utkwiał wzrok w podłodze. Wyglądał na pokonanego i zrozpaczonego. Wiedziałam, że jeśli każę mu wyjść, posłucha. Rozgorzała we mnie walka, w której po jednej stronie stał rozum, a po drugiej serce.

– Jeszcze jedno – odezwałam się. – Wiedziałeś o prawdziwej Quinlan McKee? Wiedziałeś, że całe moje życie było odgrywaniem roli?

– Oczywiście, że nie. Nie ukrywałbym tego przed tobą.

– Ukrywałeś coś innego.

– Ale to dwie zupełnie różne sprawy. Mówię ci teraz prawdę: tak, jestem twoim agentem. Tak, moim zadaniem było obserwowanie cię. Jedyne informacje, jakie przekazywałem Arthurowi, były zapewnienia, że świetnie sobie radzisz. Nawet kiedy wyczuwałem, że dzieje się z tobą coś złego, zawsze cię kryłem. Zawsze.

– I dlatego ze mną zerwałeś?

– Tak. Chciałem, żebyś spróbowała ułożyć sobie normalne życie. Chciałem, żebyś uciekła od tego wszystkiego. Przede wszystkim uciekła ode mnie. Próbowałem usunąć się na bok. Koniec końców nie udało mi się. Ale naprawdę się starałem.

Arthur popełnił fatalny błąd, obsadzając Deacona w roli mojego agenta. Jasne, chłopak miał do mnie dostęp, ale w rzeczywistości próbował go ograniczyć, jak tylko mógł. Widziałam to teraz wyraźnie. Chyba zawsze to przeczuwałam. I pewnie dlatego do szaleństwa pokochałam Deacona.

On był i zawsze będzie lojalny wobec mnie. Nikt, nawet Arthur Pritchard, nie jest w stanie tego zmienić.

Wiedziałam już, że nie każę mu się wynosić. Deacon był dobrym sobowtórem, ja jednak byłam jeszcze lepsza. Znaliśmy się na wylot i widziałam teraz, że jest absolutnie szczery. Niemożliwe, by był w stanie mną teraz manipulować. Obnażył przede mną duszę, był zupełnie bezbronny. Zawsze tego pragnęłam, ale teraz... obawiałam się, że to nie wystarczy. Może zawsze będzie mi mało szczerości z jego strony, skoro żadne z nas nie umie powiedzieć całej prawdy.

Teraz jednak nad pragnieniem, by go ukarać, górę wzięła moja tęsknota za nim.

– Stało się coś strasznego – powiedziałam.

W miarę jak opuszczał mnie gniew, w serce znów wkradł się smutek.

Deacon musiał coś wyczuć, bo uklęknął przede mną na wytartej bordowej wykładzinie.

– Co takiego? – spytał.

Jego głos był taki spokojny i łagodny. Był naprawdę świetnym sobowtórem.

– Wyglądał jak sterta łachmanów – powiedziałam głośno, pozwalając, by zalała mnie fala smutku.

W głębi duszy wiedziałam, że ta sterta była ciałem samobójcy. Te ubrania jeszcze niedawno należały do żyjącego człowieka, a teraz stały się elementem masakry. Oczami wyobraźni ujrzałam ciało Rodericka roztrzaskane na chodniku. Po skórze przebiegł mi lodowaty dreszcz, zaczęłam dygotać z zimna. Rozboleła mnie głowa. Marzyłam tylko o tym, żeby uciec na bezpieczną odległość, tak bym nie musiała podzielić losu chłopaka.

Z oczu pociekły mi łzy. Było ich tak wiele, że niemal nie widziałam Deacona, który zbliżył dłoń do mojej twarzy i ocierał mój policzek.

– Przyniosę ci trochę wody, dobrze? – spytał łagodnie.

Wstał, dopiero kiedy skinęłam głową. Nie poszedł jednak do umywalki, tylko wyjął butelkę z worka marynarskiego, który położył w rogu pokoju. Po chwili siedział znów obok mnie na łóżku, nasze uda się stykały.

Wzięłam butelkę i się napiłam. Gardło miałam tak wyschnięte od płaczu, że w pierwszej chwili się zakrztusiłam. Wierzchem dłoni otarłam wodę z ust. Wiedziałam, co powiedziałaby Marie, gdyby zobaczyła mnie w takim stanie. Rzekłaby, że muszę się uspokoić. Ale nie mogłam. Oczy miałam suche i obolałe. Deacon nie nalegał, żebym coś powiedziała. Zawsze wiedział, kiedy dać spokój.

Odstawiłam butelkę na stół obok lampki. Następnie, nie zdejmując nawet butów, zwinęłam się w kłębek na łóżku. Co jakiś czas wstrząsał mną dreszcz, jakbym miała czkawkę. Czułam się trochę tak, jakbym dostała pomieszania zmysłów. W pewnym momencie Deacon wziął z drugiego łóżka kołdrę i narzucił ją na mnie, zamiast kazać mi przykryć się tą, na której się położyłam. Opatulił mnie dokładnie. Kiedy spojrzałam na niego, z całej jego postawy emanowały nieskończone pokłady miłości. I winy.

– Przepraszam, Quinn – szepnął.

Nie musiał nic mówić. Przepraszał za to, ile cierpienia przysporzył mi dzisiaj. I za wszystko, o czym wciąż mi nie powiedział. Ja jednak chciałam teraz tylko zapomnieć choć na chwilę o wszystkim, co złe. Nie chciałam być dłużej sama. Nie po tym, czego byłam dziś świadkiem.

Chwyciłm go za rękę i przyciągnęłam do siebie. Położył się obok. Nie dotykał mnie, jednak czułam żar bijący od jego ciała. Słyszałam jego przyspieszony oddech.

– Tęskniłem za tobą – powiedział takim tonem, jakby znajdował się milion kilometrów stąd.

Zapadałam w sen z myślą, że Deacon jest moim jedynym pocieszeniem.

– Deaconie, ja zawsze za tobą tęsknię – szepnęłam, zamykając oczy.



## Rozdział drugi

Kiedy się przebudziłam, pokój zalany był słonecznym światłem. Otworzyłam oczy i zaraz musiałam je przysłonić dłonią, tak mocno świeciło słońce za oknem. Usiadłam powoli na łóżku, byłam trochę otępiąła. Twarz miałam opuchniętą od płaczu, czułam się wydrążona i wykończona.

Ale przynajmniej żywa.

Po chwili zobaczyłam siedzącego przy stoliku Deacona. Przed nim stał wysoki papierowy kubek, chyba z kawą, drugi ustawił po swojej lewej stronie. Z pochyloną głową szkicował coś na odwrocie paragonu. Z miejsca, gdzie siedziałam, nie mogłam dojrzeć, co przedstawia rysunek. W pewnym momencie Deacon wziął jeden z kubków do ręki i pociągnął łyk. Dopiero wtedy zauważyłam, że już nie śpię. Odłożył długopis i gestem wskazał drugi kubek.

– To gorąca czekolada dla ciebie – powiedział. – Ale jeśli masz ochotę na coś innego, zaraz ci przyniosę.

– Nie, chętnie się napiję czekolady – zapewniłam.

Gorączkowo próbowałam przypomnieć sobie wszystko to, o czym wczoraj mówiliśmy. Powoli powracały do mnie kolejne wspomnienia. Odsunęłam kołdrę i spuściłam nogi z łóżka. Przez chwilę przypatrywałam się ze zdziwieniem swoim stopom w skarpetkach. Nie pamiętałam, żebym ściągała w nocy buty.

W końcu wstałam i podeszłam do Deacona, który przypatrywał mi się uważnie, sprawdzając, czy już mu przebaczyłam. Czy zaproszę go na nowo do swojego życia. Przystanąłam po drugiej stronie stolika i sięgnęłam po kubek z czekoladą.

Na widok jego rysunku poczułam lekkie ukłucie w sercu. Był to na razie tylko szkic, ale od razu rozpoznałam na nim nas oboje – ja i on, stojący obok siebie ramię w ramię. Nasza postawa była jednak napięta, a postacie dziwnie puste. Z rysunku emanowała straszna samotność.

Uniosłam kubek do ust, moje podniebienie zalała czekoladowa słodycz.

Deacon miał delikatny zarost na brodzie i zaczerwienione z niewyspania oczy. Domyślałam się, że oczekiwanie na to, co powiem, nie pozwalało mu zmrużyć oka. Kiedy podeszłam bliżej, schylił się, oparł czołem o moje biodro i zamknął oczy. Wydawał się skruszony i załamany.

Zanim zorientowałam się, co robię, zanurzyłam dłoń w jego czuprynie. Jak niezliczoną ilość razy wcześniej, moje palce mierzwiły teraz jego miękkie włosy. Potem ześlizgnęły się na jego szyję. Jego ciepły oddech przenikał przez moje ubranie. Na łydce czułam jego dotyk. Kiedy spojrzał w górę, twarz miał poważną.

– Kocham cię – szepnął. Zabrzmiało to tak, jakby przygotowywał się do wypowiedzenia tych słów przez całe życie.

Nagle cały mój świat się zatrzymał. Jego wyznanie kompletnie wytrąciło mnie z równowagi. Nie sądziłam, że kiedykolwiek usłyszę z jego ust te słowa.

– Kocham cię od dnia, w którym pierwszy raz pojawiłem się u ciebie w domu i zacząłem ci się naprzykrzać – ciągnął. – Kochałem cię także wtedy, kiedy pierwszy raz z tobą zerwałem. Zrobiłem to, bo byłem zbyt przestraszony tym, co do ciebie czułem. Chciałem, żebyś znalazła sobie kogoś lepszego. Chciałem, żebyś miała wszystko, czego tylko zapragniesz. Kocham cię tak bardzo, Quinn, że ta miłość może mnie zniszczyć. Mam jednak zamiar kochać cię do samego końca, bo nie znam innego życia poza miłością do ciebie.

Nie wierzyłam, że kiedykolwiek usłyszę te słowa. Teraz jednak, kiedy wreszcie je wypowiedział, zupełnie nie wiedziałam, co z nimi począć. Dlatego dałam mu po prostu jedyną odpowiedź, na jaką było mnie teraz stać.

– Ja też cię kocham – szepnęłam. – Ale to i tak nic nie zmienia.

Po tych słowach odwróciłam się i usiadłam na łóżku. Pewnie nie takiej odpowiedzi oczekiwał, ale i tak odniosłam wrażenie, że kamień spadł mu z serca, ponieważ nareszcie przyznał, co czuje. Wiedział też, że mam rację, mówiąc, iż w niczym to nie zmienia naszej sytuacji. Osiągnęliśmy chociaż tyle, że wreszcie byliśmy wobec siebie szczerzy, a to nigdy nie było mocną stroną naszego związku.

Domyślałam się, czego ode mnie oczekuje – chciał, bym raz na zawsze rozstrzygnęła, czy możemy żyć razem. Ja jednak nie byłam jeszcze gotowa do podjęcia takiej decyzji. Potrzebowałam jego pomocy w czymś znacznie ważniejszym niż nasza relacja.

– Musimy porozmawiać o czymś jeszcze – odezwałam się.

Deacon napił się kawy. Był nieco bardziej rozluźniony niż przed chwilą. Teraz, kiedy oczyścił sumienie, sprawiał wrażenie bardziej skoncentrowanego niż dotychczas.

– Chodzi o zeszły wieczór? – domyślił się.

– Tak – przyznałam. Nie umiałam mu opowiedzieć o tym w nocy. Wszystko było zbyt świeże. Teraz jednak byłam spokojniejsza. Trzymałam emocje na wodzy, jakbym wykonywała kolejne zlecenie. –

Byłam na imprezie. Poszłam na nią w towarzystwie Virginii Pritchard. Widziałam, jak pewien chłopak popełnił samobójstwo. To on był gospodarzem tej imprezy. Zabił się na oczach wszystkich.

Deacon unosił właśnie do ust kubek, jednak gdy usłyszał moje słowa, jego ręka zamarła w pół ruchu.

– Widziałaś, jak to zrobił? – upewnił się, marszcząc brwi.

– Widziałam wszystko od początku do końca – odparłam.

Z nerwów dopadły mnie nudności. Wykręcając palce, zaczęłam przywoływać po kolei wszystkie szczegóły ostatniego wieczoru. Dzieliłam się z Deaconem wszystkimi myślami, jakie przelatywały mi wtedy przez głowę. Nie odzywał się, ale nie znaczyło to wcale, że jego umysł nie pracuje. Deacon zawsze myślał.

Kiedy skończyłam opowiadać, uniosłam oczy i natrafiłam na jego utkwione we mnie spojrzenie. Zanim się odezwał, oblizwał dolną wargę. Mówił, ważąc słowa:

– To nie pierwszy taki przypadek. Kiedy zobaczyłem cię wczoraj, poszperałam trochę w Internecie, żeby zdobyć informacje na temat tego liceum. Tylko w tym tygodniu ukazało się kilkanaście artykułów na temat tej szkoły. – Umilkł na chwilę, żeby przygotować mnie na to, co zaraz powie. – Quinlan, uczniowie tej placówki popełniają samobójstwa. I nikt nie wie dlaczego.

Przez chwilę spoglądaliśmy na siebie bez słowa. Każde z nas w myślach analizowało sytuację, chcąc zrozumieć, co się dzieje, zanim ustalimy jakiś plan. W taki sam sposób działaliśmy też podczas zleceń. I właśnie takiego Deacona znałam najlepiej i takiemu najbardziej ufałam.

– Jak myślisz, jak poważna jest sytuacja? – spytałam. – Wiem tylko tyle, ile powiedziała mi Virginia. Obawiam się jednak, że ona nie jest obiektywna.

– Media nazwały tę serię zgonów epidemią samobójstw. Ostatni artykuł, jaki czytałem, powoływał się na wypowiedź przedstawiciela służby zdrowia stanu Oregon. Paru oficjeli domaga się poddania wszystkich niepełnoletnich w hrabstwie Douglas przymusowej terapii.

– Przymusowej? – powtórzyłam. Słowo to budziło najgorsze skojarzenia. Kryło się za nim przejmowanie pełnej kontroli nad ludźmi. – Jak niby mieliby wprowadzić w życie taki nakaz?

– W przyszłym tygodniu w ratuszu odbędzie się spotkanie poświęcone tej sprawie. Zapewne na nim zostanie poruszona kwestia wprowadzenia tego projektu w życie.

– A więc planują zatrzymać wszystkich niepełnoletnich. Virginia wspominała, że sprowadzają do miasta terapeutów specjalizujących się w żałobie. Myślisz, że kroi się coś grubszego? O jaką terapię może chodzić?

– Nie mam bladego pojęcia – odparł Deacon. – Biorąc pod uwagę, że zostanie narzucona odgórnie, całkiem prawdopodobne, że będzie znacznie bardziej inwazyjna niż dotychczas stosowane metody.

– Ale czy pomoże? – spytałam, zdając sobie równocześnie sprawę z tego, jak dwuznacznie to musiało zabrzmieć. – Widziałam na własne oczy, jak umiera Roderick. Deacon, nie wydaje mi się, żeby człowieka mogło spotkać cokolwiek gorszego.

– Zawsze może być gorzej – mruknął Deacon. – Jego śmierć może stanowić zachętę dla innych.

Chyba miał rację. Samobójstwo Rodericka faktycznie mogło skłonić innych, by poszli w jego ślady. Sama poczułam, jak wielkie wrażenie wywarła na mnie jego śmierć. Tyle że ja zostałam przeszkolona do kontrolowania emocji. Oczywiście bycie sobowtórem nie zawsze mi odpowiadało, ale niewątpliwie miało swoje zalety. W tym przypadku zdobyte umiejętności pozwoliły mi odgrodzić się od bólu. Co jednak ze znajomymi Rodericka, którzy bawili się na imprezie? Jak oni poradzą sobie z tym, czego byli świadkami?

– Virginia – odezwałam się zatopiona w myślach.

W obliczu samobójstwa zachowała stoicki spokój. Wyglądała na kogoś, kto spotkał się ze śmiercią niezliczoną ilość razy. Mimo to jednak nawet na niej musiało to zrobić wrażenie.

– Wiem, że czujesz się odpowiedzialna za rodzinę Barnesów. Rozumiem też, jak ważny jest związek Virginii ze śmiercią Cataliny. Quinn, naprawdę wspaniale świadczy o tobie, że próbujesz zdobyć

odpowiedzi na dręczące cię pytania, ale...

– Nie chodzi tylko o Catalinę – weszłam mu w słowo. – Zamierzam wykorzystać Virginie do szantażowania jej ojca.

Gdy wypowiedziałam te słowa, zrozumiałam, jak bezdusznie brzmią. Deacon musiał odebrać je tak samo, bo poruszył się niespokojnie na krześle. Bez słowa utkwiał wzrok w kubku z kawą. A do mnie zaczęło docierać, że wcale nie jestem krystalicznie czystym, dobrym człowiekiem. Kto wie, może nigdy nie byłam. Przez całe życie odgrywałam rolę Quinlan McKee. To była ta dobra część mnie. Ale teraz nie wiedziałam już, kim jestem.

– Niezależnie od twojego planu – odezwał się cichym głosem Deacon – uważam, że powinniśmy wyjechać z miasta. Jeśli tego nie zrobimy, prędzej czy później zjawi się tu ktoś z wydziału żałoby i odstawi cię do Corvallis.

– Ktoś od nich już mnie odnalazł – stwierdziłam, a Deacon poderwał gwałtownie głowę. – W autokarze, którym uciekaliśmy, jechała z nami jakaś lekarka albo terapeutka. Sądziłam, że... pracujecie razem.

– Co takiego? – zaperzył się Deacon. – Po pierwsze, nie miałem ze sobą żadnych współpracowników. Po drugie, nie zauważyłem nikogo podejrzanego. Może twoja nieufność względem mnie sprawiła, że wszystko zaczęłaś postrzegać opacznie.

Pewnie miał rację, mimo to nie miał prawa w zawołowany sposób nazywać mnie paranoiczką.

– Jasne, to, że jestem nieufna, dowodzi, że jestem wariatką – rzuciłam. Deacon westchnął, jakby chciał coś powiedzieć, jednak tylko skinął głową i pozwolił mi mówić. – W Eugene zaatakował mnie agent. Przedstawiał się jako August, choć tak naprawdę na imię miał Roger. Dosypał mi czegoś do drinka, a kiedy to nie poskutkowało, próbował zrobić mi zastrzyk ze środkiem uspokajającym, żeby mnie zawlec z powrotem do wydziału żałoby.

Ujrzałam, jak w oczach Deacona budzi się wściekłość. Uciszyłam go jednak gestem uniesionej ręki, dając mu do zrozumienia, że minęła już pora, by gniew dyktował nam kolejne kroki.

– Deaconie, umiem sama o sobie zadbać. Skończyło się na tym, że facet stracił przytomność. Zostawiłam go odurzonego na przednim siedzeniu samochodu. Zdążył wyjawić mi, że władze wydziału uważają, iż złamałam postanowienia kontraktu. Mój ojciec twierdzi, że szykują dla mnie jakieś „przeniesienie”. Domyślasz się, co to wszystko może znaczyć?

Deacon zmarszczył brwi, jakby nad czymś intensywnie się zastanawiał. Po chwili jednak jego twarz się wypogodziła.

– Kiedy spotkałem się z Arthurem osiem i pół miesiąca temu, powiedział, że twoja pamięć została poddana manipulacji. Uznałem, że stało się to po tym, jak umarła twoja mama. – Skrzywił się i poprawił: – To znaczy po tym, jak umarła mama Quinlan. Teraz zaczynam rozumieć, że chodziło pewnie o inny moment: ten, w którym sprowadził cię, abyś została sobowtórem zmarłej córki Thomasa. Arthurowi zależało, żebym wypatrywał u ciebie wszelkich objawów wskazujących, że odklejasz się od

rzeczywistości. Byłaś dla niego studium przypadku. Mówił też, że jesteśmy świadkami wybuchu jakiejś epidemii i nikt nie wie, jak ją powstrzymać. Obserwując cię, miał nadzieję dowiedzieć się, czy stosowana na tobie metoda leczenia przynosi jakiś skutek. Quinn, to jest to przymusowe leczenie, o którym teraz mówią. Założę się, że chodzi właśnie o manipulację dokonywaną na wspomnieniach pacjenta.

– Wygląda na to, że Arthur stawką w tym zakładzie uczynił moje życie – zauważyłam. Czułam się wykorzystana, zbrukana. – Ukradł mi je. Ukradł mi moje wspomnienia. A teraz planuje postąpić tak samo w przypadku innych. Ależ z niego drań.

– Totalny dupek – przyznał mi rację Deacon, jednak już po chwili wziął mnie za rękę i spojrzał mi głęboko w oczy. – Ale i tak nie chcę, żebyś wykorzystwała jego córkę, aby go szantażować. To zupełnie nie w twoim stylu, Quinn. Nigdy byś...

– Skąd możesz wiedzieć, co bym zrobiła? – przerwałam mu, wrywając rękę z jego uścisku. – Przez całe życie udawałam kogoś, kim nie jestem. Skąd możemy wiedzieć, do czego jestem zdolna?

– Znam cię – stwierdził Deacon, przełykając głośno ślinę. – Wiem, jaka jesteś.

– W takim razie jesteś jedynym wtajemniczonym – rzuciłam sarkastycznie.

Tak bardzo pragnęłam, żeby się nie mylił. Nie chciałam być obca dla niego, ale przede wszystkim dla samej siebie. Nie wiedziałam jednak, co mam myśleć. Byłam przecież nikim – jednym wielkim kłamstwem. Skąd niby miałabym czerpać jakąkolwiek pewność na temat siebie?

– No dobra – odezwał się po chwili Deacon. – W takim razie wytłumacz mi, czego konkretnie szukasz i jak zamierzasz to wykorzystać przeciwko Arthurowi?

Wyczuwałam, że nie pochwała moich metod. Jednak mimo to zamierzał pomóc mi w walce. Doceniałam to. Miałam nadzieję, że zrozumie, że nie mogę postąpić inaczej.

– Virginia jest w jakiś sposób powiązana z samobójstwami w Lake Oswego – powiedziałam. – Wiemy o tym od rodziny Cataliny, od jej chłopaka, a także z jej pamiętnika. Arthur posłał tam sobowtóry i starał się zatuszować całą sprawę. Odbił nawet rozmowę z rodziną denatki, aby ukryć fakt, że jego córka miała jakiś związek ze śmiercią dziewczyny. Najwyraźniej nie życzy sobie, żeby wydział żałoby dowiedział się o Virginii. Pytanie tylko: dlaczego? Co takiego zrobiła, że jej ojciec tak bardzo pragnie to ukryć? Kiedy już się dowiem...

– ...wykorzystasz tę wiedzę, szantażując Arthura – dokończył za mnie Deacon. – Chcesz w ten sposób zmusić go do wyjawienia, kim naprawdę jesteś. No dobra...

Splótł dłonie na karku i odchylił się na krześle, jakby pogodzony z tym, że misja, w którą chcemy się zaangażować, będzie wyjątkowo popieprzona.

– Czego zdążyłaś się dowiedzieć? – zapytał.

– Niewiele. Wczoraj w nocy, po tym jak Roderick się zabił, nadarzyła się idealna sposobność, żeby Virginia się wygadała. Zamiast tego jednak kazała mi zapomnieć o wszystkim, co zobaczyłam. Sugerowała, żebyśmy przestała o tym nawet myśleć. I żebyśmy nie zaglądała do gazet, bo będą trąbić o tym

samobójstwie.

– Miała rację co do prasy – stwierdził Deacon, a po chwili dodał, zmrużywszy oczy: – Ale nie rozumiem, dlaczego kazała ci unikać tego tematu w rozmowach. Podała jakiś powód?

– Twierdziła, że większość nastolatków nie umie sobie radzić z takimi nowinami. Wspomniała też o sobowótach. Oczywiście nie jest ich wielką fanką. Całe szczęście, że się nie ujawniłam.

– Nadal nie rozumiem, jaki ona może mieć związek z tymi zgonami. Znała dzieciaki, które popełniły samobójstwo? W porządku, ale to tylko tragiczny zbieg okoliczności. Jakie są szanse, że Virginia wie na temat swojego ojca coś, co mogłoby mu zaszkodzić? Są ze sobą blisko związani?

– Wątpię... Martwiła się, że kelnerka w barze może nas podsłuchać i powtórzyć wszystko Arthurowi. Jakoś nie wydaje mi się, żeby był jej kochanym tatusiem.

– Jakoś mnie to nie dziwi – zauważył sarkastycznie Deacon, na co parsknęłam śmiechem.

– Virginia ma poważne problemy w swoich relacjach z ojcem.

– Tak samo poważne jak ty? – spytał Deacon, unosząc brew.

– Symptomatyczne jest już to, że w ogóle bierzemy ją pod uwagę jako ofiarę.

Deacon wybuchnął śmiechem, ale po chwili spoważniał.

– W sumie to nie jest śmieszne.

– A co, mamy płakać? – spytałam.

– Nie podoba mi się, że nie mamy innego wyboru.

Uśmiechnęłam się smutno. Jasne, nasza sytuacja była nie do pozazdroszczenia. Skrzyżowałam nogi i oparłam łokcie na kolanach. Fajnie było znowu pogadać z Deaconem. Dzięki tej rozmowie spoglądałam na naszą sytuację z odpowiedniej perspektywy. Znowu byłam skoncentrowana. Nie wybaczyłam mu, że oszukiwał mnie w sprawie Arthura, teraz jednak mieliśmy poważniejsze zmartwienia. I choć raz nie miały one związku z naszą relacją.

Deacon przypatrywał mi się w zamyśleniu. W końcu podniósł się z krzesła i stanął naprzeciw mnie, tak że kolanem musnął moje biodro. Jego dotyk był palący, nasze spojrzenia się skrzyżowały, a ja wstrzymałam oddech. Czułam, jakby moja skóra ożyła. Przez chwilę miałam wrażenie, że zaraz się na mnie rzuci i zasypie mnie namiętными pocałunkami. W głębi duszy nawet na to liczyłam. Pragnęłam, by naprawdę do mnie wrócił. Chciałam sama siebie odzyskać.

Deacon przeczesał jednak tylko włosy drżącą dłonią, po czym ruszył po swój worek marynarski.

– Powinniśmy stąd zniknąć. W tym moteliku brakuje zabezpieczeń. Poza tym muszę kupić dla nas parę rzeczy. Czy... – zawahał się, oglądając się na mnie przez ramię. W jego twarzy odbiła się nagle cała niepewność, która wciąż musiała go dręczyć. – Idziesz ze mną?

– Tak – odparłam, siląc się na chłodny ton.

Byłam wystraszona. Nie zamierzałam zupełnie się przed nim odkrywać, ale tak... chciałam z nim pójść. Kiedy wstałam z tapczanu, zauważyłam, że kąciki ust Deacona unoszą się w uśmiechu. Odwrócił się, chcąc to ukryć, ale miałam refleks.

Nareszcie udało mi się go rozgryźć. Wiedziałam, że nigdy już nie dam mu się oszukać.

## Rozdział trzeci

Stałam przed zaparowanym lustrem w łazience i przetarłam je ręką. Był poniedziałkowy poranek. Rozczesałam palcami doczepiane blond włosy i umocowałam na głowie. Dłuższe pasemka opadały mi na ramiona. Owinięta ręcznikiem zaczęłam nakładać makijaż. Musiałam się podmalować tylko trochę, tak żeby wygląd zgadzał się ze zdjęciem w prawie jazdy. Karta kredytowa Elizabeth była już zablokowana, ale z prawka mogłam korzystać do chwili, aż komuś przyjdzie do głowy przedzwonienie do stosownego urzędu i sprawdzenie, na kogo jest wystawione.

W weekend przenieśliśmy się z Deaconem do nowego, bardziej przytulnego motelu. Zaliczka wpłacona w tym starym na poczet naszego pobytu przepadła. Przed wyjazdem z Corvallis Deacon wypłacił wszystkie pieniądze ze swojego konta, dlatego teraz mógł zapłacić za motel gotówką. Wylegitymował się fałszywym dowodem. Następnie kupił jakiś zdezelowany samochód przypominający moją starą hondę, którą jeździłam w Corvallis, po czym odszukaliśmy dom Virginii. Zaczailiśmy się na ulicy i obserwowaliśmy go przez cały weekend. Jednak nie widzieliśmy, żeby ktoś wchodził albo wychodził. Nikt, nawet ojciec Virginii.

Deacon stanął w drzwiach łazienki i oparł się o framugę. Zerknęłam na niego przelotnie i zanim założył białą koszulkę, mignął mi jego tors. Odwróciłam szybko wzrok, żeby nie zorientował się, jak bardzo jestem zachwycona tym, co zobaczyłam. Byliśmy znów partnerami zawodowymi i przyjaciółmi. Kochaliśmy się, ale uznałam, że potrzebuję trochę więcej czasu. Nie mogłam udawać, że ostatnie osiem i pół miesiąca nigdy się nie zdarzyło.

– Jaki mamy plan? – spytał Deacon. – Idziemy do szkoły?

– Nie. *Ja* idę do szkoły – przypomniałam. – A ty będziesz się zajmował swoimi sprawami. Spróbuję dorwać Virginie jeszcze przed lekcjami. Chcę wiedzieć, co wydarzyło się w piątek na imprezie i co robiła od tamtego czasu. Mam nadzieję, że przyjdzie do szkoły.

– Będę się o ciebie martwił, jeśli pójdziesz sama.

– Nic mi nie będzie.

Deacon wszedł do łazienki i stanął za mną. Nasze spojrzenia w lustrze się skrzyżowały. Przez cały czas doskwierała mi świadomość tego, że pod ręcznikiem jestem całkiem naga. Deacon nie dotknął mnie jednak, choć oboje tego chcieliśmy.

Po chwili, która zdawała się trwać całą wieczność, odsunął się i oparł o umywalkę. Ostatnie dwie noce spędziliśmy na osobnych łózkach. Rozmawialiśmy o wszystkim. Opowiedziałam mu o krwawieniu z nosa i wspomnieniu dotyczącym Marie. Uznaliśmy, że to jeszcze jedna sprawa, o którą musimy ją zapytać, gdy w końcu się spotkamy.

Deacon i Aaron zaczęli znów ze sobą rozmawiać. Nie wtajemniczyliśmy go w żadne szczegóły, jednak



Aaron był zachwycony, że znów jestem z Deaconem. Niestety tymczasem nie zdołał zdobyć żadnych informacji na temat miejsca pobytu Marie. Trochę mnie to martwiło. Chcieliśmy jak najszybciej uzyskać odpowiedzi na dręczące nas pytania, a ja pragnęłam odzyskać tożsamość. I spieprzać stąd gdzie pieprz rośnie.

– Wiem, że już to sobie obiecaliśmy – odezwał się Deacon, obrzucając mnie spojrzeniem – ale gdy tylko skończymy naszą misję, uciekniemy na dobre. Zaszycemy się w miejscu, gdzie nareszcie będziemy mogli być sobą. Koniec z udawaniem.

– Nie znam nic poza nim – przypomniałam. Zrobiło mi się trochę żal samej siebie. Deacon zrobił zaniepokojoną minę, ale machnęłam szybko ręką, chcąc go uspokoić. – Chcę wierzyć, że tak będzie. Chcę wierzyć, że uciekniemy. Ale nawet jeśli faktycznie nam się to uda, skąd będę wiedziała, co to znaczy być sobą? A co, jeśli znienawidzę prawdziwą siebie? Co, jeśli odzyskam rodziców i okaże się, że są strasznymi ludźmi?

– Racja, twoi rodzice... – odezwał się ze zdziwieniem Deacon. – W ogóle o tym nie pomyślałam...

– Przecież nawet duchy mają rodziców. A ja od dawna byłam duchem Quinlan. Zachowałam chyba tylko jedno wspomnienie z mojego poprzedniego życia. Widzę w nim jakąś kobietę leżącą na szpitalnym łóżku. Obawiam się, że... umarła. – Na myśl o tym poczułam ukłucie w sercu, choć przecież nie wiedziałam, kim jest. – A co, jeśli żyje i mnie szuka? No i mój ojciec... Ten prawdziwy. Może nie jest skończonym dupkiem.

– To byłoby coś nowego w twoim życiu – zauważył Deacon, posyłając mi pełen współczucia uśmiech.

Nie chciałam dłużej gdybać i wymyślać historyjek na temat moich wyobrażonych rodziców. Nie byłam aż taką optymistką, bliżej mi było do realistki.

– Wiesz, że cię kocham, prawda? – upewnił się Deacon. – Mogę ci o tym przez cały czas przypominać, jeśli tego właśnie potrzebujesz.

– Dobrze, przypominaj mi – powiedziałam, oblewając się rumieńcem. – Jesteś mi to chyba winien.

– Kocham cię, Quinlan – powtórzył posłusznie Deacon. Po chwili przechylił głowę na bok, jakby się nad czymś zastanawiał. – Zaraz, a może powinienem powiedzieć: Kocham cię, Liz?

– Racja – roześmiałam się. – Na razie skupmy się na Liz.

Deacon zmarszczył nos, po czym stanął przede mną i obrzucił mnie spojrzeniem od stóp do głów.

– Dlaczego Liz, a nie na przykład Beth?

– Sama nie wiem. Lubię imię Liz.

– A mnie bardziej podoba się Beth.

– W sumie jakie to ma znaczenie, skoro i tak nie nazywam się Elizabeth? – rzuciłam, po czym przytrzymując ręcznik, odepchnęłam go lekko i wyszłam z łazienki. Podniosłam z łóżka rzucone tam wcześniej ubrania. Po chwili zerknęłam na Deacona, który też wyszedł z łazienki. – A w każdym razie nie wydaje mi się, żebym tak miała na imię...

Deacon położył się na tapczanie i utkwił spojrzenie w suficie. Ubrałam się, po czym usiadłam na

drugim łóżku i założyłam buty.

– Jeśli okaże się, że masz na imię Elizabeth, będę wołał na ciebie Beth.

Ze śmiechem podniosłam z podłogi ręcznik i rzuciłam w niego. Zdołał schwycić go w locie, nim ten dosięgnął celu.

– Muszę lecieć, żeby zdążyć do szkoły przed pierwszym dzwonkiem – powiedziałam, wsuwając do kieszeni jedną z dwóch komórek, które kupiliśmy w weekend. Do drugiej kieszeni włożyłam prawo jazdy Liz.

– Będę na ciebie czekał – zawołał Deacon, odprowadzając mnie wzrokiem.

\* \* \*

Niebo zasnuwane było szarymi chmurami. Po drodze do szkoły udało mi się ominąć największe korki. Zatrzymałam samochód w bocznej części parkingu, blisko wyjazdu. Miejsca było sporo, więc wcale nie musiałam zostawiać auta tak daleko od wejścia, ale nie chciałam, żeby ktoś mnie zastawił. Spoglądając na dziwnie pusty parking, zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem część uczniów nie została w domach po ostatnim samobójstwie.

Niedaleko wejścia do gmachu szkoły ustawili się szereg telewizyjnych wozów transmisyjnych. Z ich dachów sterczały gigantyczne anteny. Jakiś mężczyzna w garniturze z mikrofonem próbował zaczepiać wchodzących do budynku uczniów, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Reporter wydawał się sfrustrowany. Kiedy jednak odwrócił się do kamery, do twarzy przyklejony miał szeroki uśmiech.

Czego właściwie oczekiwał od tych dzieciaków? I po co właściwie się tu zjawił? Żerowanie na czyjejś tragedii wydawało się pozbawione wyczucia. Ale przecież w wyobrażeniu niektórych tym właśnie parały się sobowtóry. Oczywiście nie wierzyłam, że coś takiego jest możliwe. Sama nigdy nie wykorzystywałam czyjegoś nieszczęścia. Pragnęłam pomagać. I chyba... udawało mi się. Dzięki mnie moi klienci wychodzili z żałoby. Tak, byłam lepszym człowiekiem niż ten reporter bez zasad.

Przez chwilę rozglądałam się po parkingu w poszukiwaniu samochodu Virginii. W końcu go wypatrzyłam, ale niestety był pusty. Dziewczyna musiała więc wejść już do budynku. Zerknęłam na zegarek – do dzwonka na lekcję pozostało tylko parę minut.

Spojrzałam znowu na budynek szkoły, bijąc się z myślami. Tak, jakaś część mnie pragnęła być jak reszta uczniów. Widziałam, jak kilkoro dzieciaków weszło tylnymi drzwiami. Rozległ się dzwonek na lekcję. Wiedziałam, że muszę podjąć decyzję: mogłam odejść i poszukać Virginii dopiero po lekcjach, albo... pójść do szkoły jak wszyscy pozostali uczniowie. Mogłabym wejść do klasy i odnaleźć Virginie. Przy okazji może przyjrzeć się też innym dzieciakom. Moje fałszywe prawo jazdy wystarczy, żeby się w razie czego wylegitymować. A poza tym wypełniłam już potrzebne dokumenty. Dla stworzenia pozorów mogłabym poprosić Virginie, żeby podpytała trenerkę, czy mogę zapisać się na te same zajęcia WF-u co ona. Byłabym absolutnie przekonująca. Nie, tak naprawdę byłoby to skrajnie głupie

i nieodpowiedzialne z mojej strony.

Jaka szkoda, że nie miałam potrzebnych rzeczy – plecaka, zeszytów i ołówków. Raz się żyje, kupiłabym nawet marker. Z ekscytacji i zdenerwowania rozboleł mnie brzuch. Zdecydowanym krokiem ruszyłam w stronę wejścia do budynku.

Postanowione – idę na lekcję.

\* \* \*

Do końca roku szkolnego zostało tylko kilka tygodni. Musiałam teraz dostarczyć do sekretariatu skróconą wersję dokumentów. Od dawna wiedziałam, jak to się robi, bo nieraz pomagałam tacie, kiedy musiała wypełniać papiery dla innych sobowtórów. Jako że dzieciaki te znajdowały się pod kuratelą państwowych urzędów, ojciec pomagał im w załatwieniu formalności w zastępstwie ich rodziców. Kiedy Deacon zjawił się pierwszy raz w Corvallis, to ja wypełniałam jego dokumenty.

Wiedziałam, jakie są procedury przy przyjmowaniu nowego ucznia – sekretarka wyśle teraz faks do liceum w Południowym Eugene z prośbą o przesłanie karty moich, to znaczy Liz, ocen. Oczywiście nie miałam zielonego pojęcia, do którego liceum chodziła Liz. Ale było to teraz bez znaczenia, ponieważ ani jej oceny, ani świadectwa szczepień i tak nigdy nie miały dotrzeć do sekretariatu.

Wręczając mi plan lekcji, sekretarki sprawiały wrażenie nieco oszołomionych, jakby nadal nie mogły otrząsnąć się po śmierci następnego ucznia. W pewnym momencie rozdzwonił się stojący na biurku telefon, ale nikt nie zareagował. Pewnie dobijał się kolejny reporter.

Kiedy jedna z sekretarek, podsuwając mi plan lekcji, otarła ukradkiem łzy, zrobiło mi się jej naprawdę żal. Wyglądała, jakby zupełnie nie umiała poradzić sobie z cierpieniem. Miała je wypisane na twarzy.

Po załatwieniu formalności powiedziano mi, żebym dołączyła do klasy na drugiej lekcji. Zanim ktokolwiek zorientuje się, że wcale nie nazywam się Elizabeth Major, nie będzie już po mnie śladu.

Kiedy stanęłam pod salą sto siedemnaście, było jeszcze za wcześnie. Zaczekałam pod drzwiami klasy, aż rozlegnie się dzwonek i pierwsza lekcja dobiegnie końca. Kiedy wreszcie zaczęła się przerwa i uczniowie zaczęli wysypywać się z klasy, wślizgnęłam się do środka i ciekawie rozejrzałam.

Ławki ustawiono w pięć równych rzędów. Taki układ pewnie świetnie się sprawdzał na matematyce. Znałam się odrobinę na szkolnej etykietce i wiedziałam, że nie powinnam nikogo podsiąść. Ponieważ nauczyciel nie przyszedł jeszcze do klasy, stanęłam na tyłach sali, czując się trochę niezręcznie. Ścianę, przy której stałam, pokrywały plakaty, dzięki czemu nie rzucałam się za bardzo w oczy. Powoli zaczynałam rozumieć, że w liceum przydadzą mi się moje umiejętności sobowtóra. Ciągle nie mogłam uwierzyć, że tu jestem.

Przez głowę przeleciała mi myśl, że gdyby Arthur Pritchard nie wykradł mnie w dzieciństwie rodzicom, mogłabym wieść dokładnie takie życie. Byłabym zwyczajną uczennicą, która po powrocie do domu narzeka na trudne zadanie domowe... albo robi coś innego, czym zajmują się zwykle nastolatki.

Po chwili przypomniałam sobie, że przecież nic nie wiem na temat mojego poprzedniego życia. Kto wie, może wcale nie zostałam wykradziona.

W pewnym momencie moje spojrzenie przypadkiem skrzyżowało się ze wzrokiem jakiegoś wysokiego długowłosego chłopaka. Uciekłam oczyma w bok, ale za późno. Chłopak usiadł w ławce i nachylił się do kolegi. Po chwili obaj zerknęli w moją stronę. Przeniosłam spojrzenie na sufit i skrzywiłam lekko usta, jakbym niecierpliwie na coś czekała.

W końcu rozległ się dzwonek na lekcję, jednak nauczyciel nie nadchodził. Czułam na sobie wzrok coraz większej liczby uczniów, dlatego ostatecznie postanowiłam wyjść z kryjówki na tyłach klasy i poszukać miejsca. Powoli zaczynałam żałować swojej decyzji, żeby pójść na lekcje.

W końcu usiadłam. To musiało uspokoić ciekawskich, bo znowu skupili się na sobie. W pewnym momencie chłopak siedzący przede mną odwrócił się i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Grzywka opadała mu na lewe oko. Było w tym coś głupiego, ale równocześnie uroczonego.

– Pan Roth ostatnio często się spóźnia – poinformował mnie chłopak. – Ale w końcu przyjdzie.

Uśmiechnęłam się do niego niezobowiązująco, tak jakbym wiele już razy odbywała podobną pogawędkę. Po chwili chłopak odwrócił się przed siebie, a ja zaczęłam rozglądać się uważniej po klasie. Równocześnie starałam się przeprowadzić pobieżną analizę uczniów.

Jedna z dziewczyn pisała coś na komórce. Jej koleżanka po chwili też wyciągnęła swój aparat z plecaka. Nie one jedne bawiły się telefonami. Było to chyba niedozwolone, ale domyślałam się, że nie ma to znaczenia, skoro nauczyciel wciąż nie przychodził.

Wyciągnęłam swoją komórkę i napisałam do Deacona: „Czy to normalne, że nauczyciel spóźnia się na lekcję?”.

„Hm... Zazwyczaj się nie spóźniają” – odpisał Deacon.

Lekcja trwała pięćdziesiąt minut, a nauczyciel spóźnił się już pięć. Najwyraźniej nikt sobie z tego nic nie robił, ja jednak byłam zaniepokojona.

„Postanowiłaś wybrać się na lekcje? – napisał Deacon. – Jak ci się podoba pierwszy dzień w szkole?”

„Na razie nie znalazłam Virginii. I wszyscy patrzą na mnie jak na dziwadło”.

„Wyobraź sobie, jak by zareagowali, gdyby wiedzieli, kim naprawdę jesteś i że podoba ci się rola nowej dziewczyny w szkole”.

„Racja”.

Nagle otworzyły się drzwi do klasy. Uczniowie zaczęli pospiesznie chować komórki. Kiedy do sali wszedł nauczyciel, ze zdziwieniem stwierdziłam, że jest bardzo młody. Nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia kilka lat. Był rozczochrany, miał krzywo zawiązany krawat. Wniósł do klasy stos papierów i nie nawiązując z nikim kontaktu wzrokowego, podał kartki uczniom z pierwszych ławek, żeby rozdali je pozostałym.

– Odpowiedzcie na pytania – polecił cichym głosem. – Kiedy skończycie, zostawcie kartki na ławkach. Zbiorę je, gdy już wyjdziecie.

Nauczyciel w ogóle nie zwracał na mnie uwagi. Paru uczniów spojrzało po sobie ze zdziwieniem. Zaczynałam się domyślać, że profesor Roth zazwyczaj tak się nie zachowuje. Kiedy zasiadał przy wielkim biurku, utkwiał spojrzenie w jednej ze stojących z przodu ławek. W końcu ukrył twarz w dłoniach. Nagle jeden z chłopców siedzących w przedniej ławce zaczął pociągać nosem. Jakaś dziewczyna otarła ukradkiem łzę.

Wyglądało na to, że Roderick chodził do tej klasy. Siedział w tej ławce z przodu.

Chłopak przede mną podał mi kartkę. Spytał też, czy potrzebuję ołówka. Podziękowałam mu uprzejmie, kiedy mi pożyczył jeden ze swoich. Po chwili spojrzałam na papier i ze zdziwieniem stwierdziłam, że zadanie nie ma nic wspólnego z matematyką.

„Czy w ciągu ostatniego dnia czułaś się samotna albo przytłoczona?”.

To było bardzo intymne pytanie. Zrobiło mi się nieswojo. *Chwileczkę, co to właściwie za sprawdzian?* Kiedy rozejrzałam się po klasie, odniosłam wrażenie, że wszyscy uczniowie są zmieszani. Jeden z chłopców podniósł rękę, ale nauczyciel chyba go nie dostrzegął.

– Przepraszam, profesorze Roth – zawołała jakaś dziewczyna z tylnej ławki.

Kiedy nauczyciel podniósł głowę, zobaczyłam, że ma wokół oczu czerwone obwódki. Spoglądał w kierunku uczennicy niewidzącym wzrokiem. Usłyszałam, jak jeden z chłopaków siedzących przede mną cicho przeklina.

Nagle ciszę przeciął przenikliwy dźwięk syreny alarmu pożarowego. Ze strachu podskoczyłam, boleśnie uderzając łokciem o krawędź ławki. Zawodzenie syreny wyrwało wszystkich z tego dziwnego odrętwienia. Profesor Roth podniósł się z krzesła i polecił, abyśmy wszyscy opuścili klasę.

Wyglądało na to, że nie jest mi pisane przeżycie zwyczajnego dnia w szkole. Panował w niej totalny chaos. Przecież dyrekcja nie miała prawa wypytywać uczniów o tak intymne szczegóły. A co ważniejsze, kto właściwie interpretował udzielone przez nas odpowiedzi?

Wychodząc na korytarz, minęłam stojącego przy drzwiach nauczyciela. Wydawał się całkowicie zatopiony w myślach. Jego spojrzenie prześlizgnęło się po mojej twarzy, ale chyba w ogóle nie dotarło do niego, że nigdy wcześniej nie byłam na jego lekcji. Ciekawe, czy wszyscy profesorowie byli w takim stanie? Czy oni też są bezradni i nie wiedzą, co zrobić, by nie dopuścić do kolejnego samobójstwa wśród swoich podopiecznych?

Wraz z pozostałymi uczniami przeszłam do holu, po czym bocznymi drzwiami wydostałam się na dziedziniec. Rozglądałam się za Virginią, ale nigdzie jej nie było. Gdybym wcześniej nie zauważyła jej samochodu na parkingu, pomyślałabym teraz, że w ogóle nie przyszła dziś na lekcje.

Zawodzenie syreny urwało się gwałtownie. Przez chwilę w powietrzu unosiło się tylko jej echo. Wszyscy uczniowie zachowywali się cicho, ale dopiero po chwili zrozumiałam dlaczego. Wcale nie wydawali się zagubieni czy zaniepokojeni. Nie byli w szoku. Najwidoczniej nie po raz pierwszy ogłaszano w szkole alarm.

Po chwili znowu zawyła syrena. Kiedy zobaczyłam podjeżdżającą pod budynek karetkę na sygnale,

z nerwów zrobiło mi się niedobrze. Jakaś ciemnowłosa dziewczyna stojąca obok mnie wybuchnęła płaczem.

– To Micah Thompson – powiedziała, połykając łzy. – On nie żyje.

Błyskawicznie spojrzałam znów na gmach szkoły, czując, jak ogarnia mnie panika i przerażenie. Micah Thompson – chłopak, z którym Virginia gawędziła na imprezie. Jej *ulubieniec*.

Widziałam, jak do budynku wbiegają sanitariusze. Zarejestrowałam, że nie pojawiła się policja. Prześlizgnęłam się spojrzeniem po twarzach wstrząśniętych nauczycieli i dopiero wtedy zaczęło do mnie docierać, że Micah musiał popełnić samobójstwo. To dlatego wszczęto alarm.

## Rozdział czwarty

Kiedy czekaliśmy przed budynkiem szkoły, podszedł do nas mężczyzna w stalowoszarym garniturze i cytrynowym krawacie. Zatrzymał się i uniósł ręce, prosząc o uwagę. Jego władcza postawa podpowiadała mi, że to dyrektor szkoły.

– Proszę o ciszę – zawołał, a kiedy uczniowie skupili na nim uwagę, poprawił krawat, drugą dłoń zaś zacisnął w pięść. – Ze względu na tragiczny wypadek odwołuję pozostałe lekcje. Proszę, abyście...

Jego dalsze słowa zagłuszyła wrzawa. Dyrektor uciszył tłum gestem uniesionej dłoni. Po chwili ciągnął podniesionym głosem:

– Proszę, abyście udali się prosto do domów. Powiadomiliśmy już waszych rodziców, że dzisiaj wróćcie wcześniej. Zbierzcie teraz swoje rzeczy i opuście niezwłocznie teren szkoły. – Mężczyzna umilkł na chwilę, a ja dostrzegłam, jak wzdraga się na myśl o tym, co ma powiedzieć. – Proszę też, żebyście omijali skrzydło budynku, w którym odbywają się lekcje angielskiego. Uczniom, którzy zostawili swoje rzeczy w tej części szkoły, nauczyciele za moment przyniosą je do sekretariatu.

Wszyscy sprawiali wrażenie oszołomionych. Niektórzy kierowali się na parking, inni ruszyli pieszo do domu. Uczniowie wymieniali szeptem domysły na temat śmierci Micaha, jednak nie układały się one w żadną spójną opowieść. Wyglądało na to, że będę musiała poczekać, aż przedstawiona zostanie oficjalna wersja wypadków. Przepęłniał mnie smutek, że padło akurat na tego chłopaka. Musiałam teraz odszukać Virginię i upewnić się, że nic jej nie dolega.

Kiedy przechodziłam obok wejścia do szkoły, odetchnęłam z ulgą, widząc, że wozy transmisyjne na razie zniknęły. Pewnie na wieść, że w szkole zdarzył się kolejny wypadek, producenci programów informacyjnych będą sobie pluć w brodę, że przepuścili okazję na świetny materiał. Media żerują na ludzkim nieszczęściu.

Skupiłam się na komórce, próbując napisać SMS-a do Deacona, i nieomal wpadłam na dwie dziewczyny stojące na chodniku. Obie zalewały się łzami i przytulały. Przeprosiłam je za swoje roztargnienie, ale chyba to do nich nawet nie dotarło, były zbyt pogrążone w rozpacz. Ominęłam je i weszłam na jezdnię. I nagle moją uwagę przykuła jakaś postać – jedyna nieruchoma pośród morza falujących ciał.

Serce zamarło mi w piersi. Starłam się nie dać po sobie nic poznać, ale mężczyzna musiał już się zorientować, że go dostrzegłam. Oparty o maskę sportowego czerwonego samochodu prezentował się jak model z sesji ekskluzywnego magazynu z modą męską. Kiedy nasze spojrzenia się skrzyżowały, uciekł wzrokiem w bok, jakbym w ogóle go nie interesowała. Zdażyłam jednak dostrzec nieznaczny uśmiech w kąciu jego ust.

Oczywiście od razu go rozpoznałam, nic się nie zmienił – był to Reed Castle, przystojny i znający się

na swoim fachu sobowtór. Znałam go, a co ważniejsze, on znał mnie. Podlegał kiedyś Marie.

Po szamotaniu z Rogerem w Eugene nie mogłam być pewna motywów Reeda. Nie miałam pojęcia, czy realizuje normalne zlecenie, czy może zjawił się tutaj, żeby porwać mnie i odstawić do wydziału żałoby. Wiedziałam już jednak więcej niż podczas konfrontacji z Rogerem i nie miałam zamiaru dać się łatwo zastraszyć.

Wyprostowałam się i udając, że Reed nie robi na mnie żadnego wrażenia, skierowałam się ku niemu. Nie raczył na mnie spojrzeć, dopóki nie stanęłam tuż przed nim, opierając się biodrem o jego auto. Dopiero wtedy uniósł na mnie wzrok, a ponieważ raziło go słońce, musiał zmrużyć oczy. Był klasycznym przystojniakiem – brunetem z niesamowicie ostro zarysowaną szczęką. Jego męska uroda zawsze wydawała mi się nieco zbyt doskonała.

– Quinlan McKee – odezwał się na powitanie, wyszukawszy w odmętach pamięci moje imię. – Wyglądasz jeszcze bardziej olśniewająco niż zazwyczaj.

Skrzyżował ramiona na piersi, eksponując imponujących rozmiarów bicepsy, i z uśmiechem spojrzał w moją stronę.

– Co ty tu robisz, Reed? – spytałam niewinnym głosem, choć domyślałam się, że musi spod niego przebijać skrywana wrogość.

– No cóż, na pewno nie wybieram się na lekcję – odparł, parskając śmiechem. – Co ty kombinujesz? Tylko mi nie mów, że idziesz na matkę.

– Kiepski moment na żarty – zauważyłam.

– Tak, zdążyłem się domyślić – stwierdził, poważniejąc. – Ale może parę dowcipów to wcale nie taka zła rzecz, zważywszy, że wszystko tu stoi na głowie. Cała ta szkoła niedługo przestanie istnieć. To dlatego tu jesteś?

– To, co tu robię, nie ma żadnego znaczenia. Nie pracuję już dla wydziału żałoby – wyjaśniłam. Reed sprawiał wrażenie zaskoczonego. Żeby ukryć zdziwienie, odwrócił twarz w kierunku budynku szkoły. – Ale ty dalej pracujesz dla Christophera, prawda?

– Dla doktora Leviego – poprawił mnie takim tonem, jakbym popełniła jakąś gafę. – Tak jest, odkąd przeniosłem się do Tillamook. Zjawiłem się tutaj, żeby przyjrzeć się jednej z uczennic.

Obrzucił mnie spojrzeniem, a ponieważ zrobiłam zdziwioną minę, dodał szybko:

– Oczywiście klientce. McKee, ty i te twoje nieprzyzwoite skojarzenia. Prowadzę jej obserwację.

– Dziwne, ale niedawno o tobie myślałam. Jakoś samo tak wyszło – odezwałam się.

Był to jeden z tych rzadkich momentów, kiedy zdobywałam się na szczerłość. Było to możliwe tylko w towarzystwie innych sobowtórów.

– Dziwne, że „samo tak wyszło” – zauważył żartobliwie.

– Wybacz, że nie śnię o tobie dniami i nocami – stwierdziłam ze śmiechem. – Ostatnio byłam trochę zajęta.

– Tak – odparł, odprowadzając wzrokiem grupkę uczniów skręcających za róg budynku. – Chyba



wszyscy ostatnio mamy sporo roboty.

Obserwując go, przypomniałam sobie, że sama też powinnam kogoś wypatrywać. Odsunęłam się od samochodu.

– Jak długo zostaniesz w mieście?

– Kilka dni – odparł. – A ty?

Uśmiechnęłam się tylko w odpowiedzi. Reed, widząc moją reakcję, zachichotał i odwrócił twarz w inną stronę. Wiedział, że nie zdradziłabym mu swoich planów, nawet gdybym nadal była związana z wydziałem. Sobowtóry cenią dyskrecję, niekiedy bywają nawet skryte. To nasz sposób na zachowanie poczucia własnego „ja”. Na myśl o tym poczułam niemiły ucisk w żołądku; przecież nie wiedziałam już, co tak naprawdę w moim wypadku oznacza owo „ja”.

– Do zobaczenia – rzuciłam.

– Ano do zobaczenia – odparł Reed.

Musiał domyślać się, że nie znalazłam się tu przypadkiem. Byłam najlepszym sobowtórem w całym wydziale żałoby. Nie mogłam tak po prostu wrócić do normalnego życia, nie obesłoby się bez jakichś skutków ubocznych wieloletniej pracy w roli sobowtóra. Mimo to Reed umiał ukryć swoje podejrzenia.

Pożegnałam się i odeszłam w swoją stronę. Samochód Virginii dalej stał zaparkowany w tym samym miejscu. Ruszyłam w tamtą stronę – pomyślałam, że zaczekam na nią przy aucie. Napisałam SMS-a do Deacona:

„Właśnie spotkałam w szkole sobowtóra”.

„Kogo?”

„Reeda Castle’a”.

„Nic ci nie jest?”

„Wszystko gra – odpisałam. – Twierdzi, że obserwuje klientkę. Ciekawy zbieg okoliczności”.

„No właśnie. Uważaj na niego. Jak bardzo przystojny ci się wydał?”

„Bardzo”.

„Wyobrażam sobie. Wracasz już?”

„Ale to jeszcze nie koniec – napisałam, przygryzając dolną wargę. – Lekcje zostały odwołane”.

„Czemu?”

„Dyrektor ogłosił, że zdarzył się wypadek. Wszyscy wkoło uważają, że chodzi o chłopaka o imieniu Micah. To jeden ze znajomych Virginii. Podejrzewam, że popełnił samobójstwo”.

„Gdzie jest teraz Virginia?”

Serce zamarło mi w piersi. A co, jeśli Micah nie był sam? Co, jeśli... O Boże. Przecież Virginia mogła potrzebować pomocy, tak samo jak Roderick na imprezie, a ja nie zrobiłam nic, żeby jej pomóc.

Miałam już puścić się biegiem w stronę budynku, żeby przekonać się, czy moje domysły są słuszne, ale w tej samej chwili zobaczyłam idącą w moją stronę Virginie. Ulga była tak wielka, że poczułam ją w całym ciele.

„Już ją znalazłam” – wystukałam szybko na klawiaturze, po czym wsunęłam komórkę do tylnej kieszeni spodni i wybiegłam naprzeciw dziewczynie.

– Cześć – zawołałam, nieco zdyszana. – Nic ci nie jest? Słyszałam, że to Micahowi coś się stało.

Virginia zwolniła kroku i wbiła we mnie nieruchome spojrzenie. Przypatrywała mi się lekko zmrużonymi oczami, jakby usiłowała mnie rozpoznać. Była nienagannie uczesana, ubranie miała świeżo wyprane i wyprasowane. Spoglądała na mnie przez długą chwilę, jednak nic w jej twarzy nie zdradzało, żeby wiedziała, kim jestem.

– Micahowi? – powtórzyła takim tonem, jakby słyszała to imię pierwszy raz w życiu. Wsunęła klucz do zamka w drzwiach samochodu i spytała: – Przypomnij mi z łaski swojej, jak się nazywasz.

Momentalnie poczułam się urażona i zaniepokojona.

– Jestem Liz – wyjaśniłam, wskazując na siebie. – Poznałyśmy się... w piątek. Poszłyśmy razem do baru, a potem na imprezę.

Nagle Virginia odwróciła się do mnie. Zrobiła to tak gwałtownie, że niemal upuściła na ziemię trzymane w rękach książki.

– Byłyśmy tam? Chodzi o tę imprezę, o której rozpisują się w gazetach?

– No tak.

Teraz dla odmiany to ja poczułam się zbита z tropu. Nagle przypomniało mi się, że Virginia prosiła mnie, żebym przypomniła jej wydarzenia z tamtego wieczoru, jeśli z jakiegoś powodu ulecą jej z pamięci. *Ale jak niby mogła o tym zapomnieć?*

– Virginio, co jest grane? – spytałam. – Uprzedzałaś mnie, że możesz nie pamiętać, ale... Chwileczkę, wiesz, co się stało?

W tym samym momencie dwa wozy transmisyjne wtoczyły się na parking i zatrzymały niedaleko nas. Błyskawicznie wysypało się z nich kilku reporterów i operatorów kamer, którzy zabrali się do przygotowywania sprzętu.

– Wskakuj – rzuciła krótko Virginia, otwierając drzwi.

Usiadła za kierownicą, zatrzasnęła za sobą drzwi i szybko uruchomiła silnik. Biegiem ruszyłam do drzwiczek po stronie pasażera, licząc po cichu, że nie odjedzie beze mnie. Byłam totalnie zaskoczona jej zachowaniem. Nie chciałam zostawić jej samej w takim stanie.

Gdy wsiadłam, Virginia zawróciła i wyprowadziła samochód na ulicę. Kierowałyśmy się na zachód. Pierwsze skrzyżowanie przejechałyśmy na żółtym świetle. Najpierw pomyślałam, że napiszę do Deacona i dam mu znać, co się dzieje. Zaraz jednak przypomniałam sobie o tym, z jaką podejrzliwością Virginia odnosiła się do kelnerki w barze. Uznałam, że wysyłanie SMS-ów w jej obecności tylko pogłębiłoby jej paranoję.

Kiedy zerknęłam na nią, uderzyła mnie bladość jej twarzy, której nie mogła ukryć ani nienaganna fryzura, ani czyste ciuchy. Virginia wyglądała jak ktoś przeżywający załamanie nerwowe. Nie była w stanie tego ukryć, choć bardzo się starała.

– Naprawdę nie pamiętasz, co zdarzyło się w piątek wieczorem? – upewniłam się możliwie najbardziej łagodnym tonem.

Virginia potrząsnęła głową, nie odrywając wzroku od jezdni.

– Co dokładnie powiedziałam ci na temat mojej pamięci? – spytała.

– Nic. Prosiłaś tylko, żebym przypomniała ci, jeśli o czymś zapomnisz.

Słyszac to, zacisnęła usta. Przestraszyłam się, że zaraz wybuchnie płaczem. Ona jednak spojrzała na mnie z zaciekawieniem.

– Wobec tego opowiedz mi teraz, co się stało tamtego wieczoru. Liz, widzę cię pierwszy raz w życiu. I nigdy nie słyszałam o żadnym Micahu. Najlepiej zacznijmy od tego.

– Ale dlaczego tego nie pamiętasz? – spytałam, tknięta nagłym przypuszczeniem.

– Nie wiem.

Dotarło do mnie, że mamy coś wspólnego: obie doznałyśmy utraty pamięci i obie miałyśmy kontakt z jej ojcem. Jakoś nie chciało mi się wierzyć, żeby był to tylko zbieg okoliczności.

Kiedy wyjechałyśmy na autostradę, po mijanych drogowskazach zorientowałam się, że zmierzamy w stronę wybrzeża.

– Dokąd jedziemy? – spytałam. Byłam przestraszona, lecz to nie Virginii się bałam.

– Za miasto – wyjaśniła. – To tylko godzina drogi. Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza.

Kiedy na mnie spojrzała, w jej wzroku wyczytałam obawę, że może nie mam czasu na przejażdżki. Najwyraźniej Virginia faktycznie nie rozumiała, dlaczego jej towarzyszę.

– Możemy jechać.

– Super – ucieszyła się, dodając gazu. – No to opowiadaj: kiedy się poznałyśmy?

## Rozdział piąty

**N**o więc opowiedziałam Virginii, jak zaczepiłam ją po treningu siatkówki. Również tym razem wykorzystałam historyjkę o tym, że jestem nową uczennicą. Nie wdawałam się w szczegóły, dając jej do zrozumienia, że nie mają wielkiego znaczenia. Samo moje pojawienie się w życiu Virginii powinno dać jej do myślenia – ni stąd, ni zowąd jakaś przypadkowa dziewczyna zawiera z nią znajomość i dostaje się do kręgu bliskich jej osób. Jednak Virginia sprawiała wrażenie, jakby interesowała ją tylko feralna impreza. Cała reszta nie miała dla niej najwidoczniej znaczenia. Kiedy napomknęłam znów o Micahu, umilkła. Nie zachowała żadnych związanych z nim wspomnień, jakby ten chłopak w ogóle nie istniał. Kiedy przypatrywałam się jej z boku i widziałam obojętność, z jaką reaguje na moje słowa, byłam w szoku.

Wreszcie moja opowieść o śmierci Rodericka dobiegła końca. Virginia zachowywała stoicki spokój, wyglądała na zupełnie nieporuszoną. Podobnie zareagowała tamtej nocy na samo samobójstwo.

– Tak wyglądał tamten wieczór – podsumowałam, przypatrując się jej uważnie w nadziei, że znajdę jakiś wyłom w jej masce.

– Dziękuję – odparła, nie spuszczać z oczu drogi. – Nie pierwszy raz zdarza mi się coś takiego. Miałam szczęście, że byłeś tam ze mną. Inni przestali mi już pomagać, nie chce się im tłumaczyć za każdym razem, co się stało.

– Jak często ci się to przytrafia?

– Ostatnio? Podejrzewam, że co drugi tydzień. Mój tata, który jest lekarzem, uważa, że doświadczam tymczasowej utraty pamięci. Uspokaja mnie jednak, że to nic groźnego. Jego zdaniem to objawy wywołane przez nadmierny stres. Podejrzewam, że nawet jeśli to byłoby coś poważnego, i tak by mi nie powiedział. Jego specjalnością jest mechanizm wyparcia.

– To znaczy?

– W pracy zajmuje się sobowtórami. – Ostatnie słowo wypowiedziała z wyraźną pogardą. – Słyszałaś kiedyś o nich? Stworzył je mój ojciec. Sobowtóry to ludzie wyszkoleni do wchłaniania żałoby innych, a tym samym specjaliści w prowokowaniu wyparcia. Ich działalność ma zapewne szczytne cele, ale w gruncie rzeczy jest drapieżcza i obrzydliwa.

Miałam ochotę się bronić, przywołać historie wszystkich ludzi, którym zdołałam pomóc, wiedziałam jednak, że nie wolno mi zrzucić maski. Virginia najwyraźniej nie pamiętała, że opowiadała mi już o swoim ojcu.

– I to właśnie mechanizm wypierania prawdy nas zabija. Mój ojciec nie zgadza się z tą teorią. Nie chce mnie słuchać. – Zamilkła i potarła w zamyśleniu policzki. Wydawała się coraz bardziej sfrustrowana. – Ciągle zapominam o różnych ważnych sprawach. Podejrzewam, że to sprawka mojego

ojca.

Arthur Pritchard wymazał mi pamięć, ale czyżby posunął się do wywoływania amnezji u swojej córki?

– Dlaczego sądzisz, że to on za tym stoi? – spytałam, chcąc zdobyć jak najwięcej informacji na temat jej życia prywatnego.

– Kiedy byłam małą, umarła moja matka – odezwała się cichym głosem. – Podobno zmarła na raka. Niepokoi mnie jednak to, że prawie jej nie pamiętam. Wiem tylko, że jej śmierć odmieniła mojego ojca. Podejrzewam, że od tamtej pory bez przerwy mnie oszukuje.

– W jakich sprawach?

– Zabrał niektóre moje zdjęcia, inne nieco zmodyfikował. Jedno zdjęcie przedstawiające moją matkę zostało wycięte z innego, większego. Ojciec uparcie twierdzi, że to nieprawda. Ja jednak jestem bystrzejsza, niż mu się zdaje. Przechytrzę go, choćby nie wiem jak wymyślne były jego kłamstwa. I tak go pokonam.

I właśnie wtedy zwęszyłam swoją szansę. Nie musiałam wcale zdradzać Virginii, żeby szantażować jej ojca – być może chciałyby pomóc mi z własnej woli. Miałam już na końcu języka pytanie, czy ma na ojca jakiegoś haka, którego mogłabym użyć. Jednak w tej samej chwili Virginia oderwała rękę od kierownicy i wskazała coś przy szosie.

– To tutaj – mruknęła.

Zatrzymałyśmy się na poboczu, przed nami stał znak informujący, że znalazłyśmy się w ślepej uliczce. Musiała upłynąć chwila, zanim dotarło do mnie, co robimy na tym pustkowiu.

Byłyśmy chyba blisko oceanu, bo w powietrzu wisiała lekka mgła. W oddali dojrzałam niewysoką latarnię morską, zwróconą jednak nie w stronę oceanu, lecz pasu lądu, który z daleka wydawał się nieco bagnisty.

– No chodź – zachęciła mnie Virginia, otwierając drzwi. – Muszę ci coś pokazać.

Niechętnie wysiadłam i rozejrzałam się wkoło, próbując zorientować się, gdzie jesteśmy. W powietrzu unosił się intensywny aromat morskiej soli i wodorostów. Pod stopami miałam głazy, które po chwili ustąpiły piaskowi; gdzieniegdzie wyrastały z niego kępy trawy.

Podążając za Virginią, po chwili dotarłam w okolice latarni morskiej. Ze ścian budynku obłaziła biała farba, spod której wзираł goły metal rdzewiejący pod wpływem powietrza pełnego soli. Nie było to miejsce, do którego zaglądałyby wycieczki krajoznawcze, niemniej była to prawdziwa, choć niewielka i zapuszczona latarnia morska.

– Nazywamy ją Końcem Świata – wyjaśniła Virginia. – Kiedyś często przyjeżdżałam tu ze znajomymi. Teraz zaglądam tutaj tylko ja. Kiedy przed laty niedaleko zbudowano molo i zorganizowano przystań, ludzie zapomnieli o latarni. Nikt już nawet nie pamięta, że ona w ogóle istnieje. Nie ma jej na żadnych mapach.

– A co się stało z ludźmi, z którymi tu przyjeżdżałaś?

– Umarli.

Pod wpływem jej słów ogarnęło mnie przerażenie. Virginia tymczasem zaczęła się wspinać po stromych schodkach wiodących do wejścia do latarni. Poszukałam w kieszeni spodni komórki – jej dotknięcie dodało mi odwagi. Powinnam powiadomić Deacona, gdzie jestem. Przecież to miejsce mogło być przekłete albo niebezpieczne. Znowu jednak uznałam, że lepiej będzie z tym poczekać – wyczuwałam, że jeszcze chwila i zdobędę pomoc Virginii, dlatego nie chciałam teraz ryzykować, że przestanie mi ufać z powodu SMS-a.

Na drzwiach wisiała wielka kłódka. Virginia wyjęła pęk kluczy i po chwili odnalazła wśród nich mały kluczyk pasujący do zamka.

– Założyliśmy kłódkę – wyjaśniła głosem, w którym pobrzmiewało poczucie winy – żeby nikt poza nami się tu nie kręcił.

– Logiczne – rzuciłam w odpowiedzi.

Na myśl o tym, co znajdziemy w środku, ogarniał mnie jednak lęk.

Otwartą kłódkę Virginia odwiesiła na kołku, po czym naparła ramieniem na drzwi. Z miejsca, gdzie stałam, wewnątrz wydawało się całkowicie ciemne. Wcale nie miałam ochoty tam wchodzić – mogłabym zaplątać się w kłęby pajęczyn albo nadepnąć na mysz.

– Nie martw się – uspokoiła mnie ze śmiechem Virginia, kiedy zobaczyła moją minę. – W środku nie jest tak źle, słowo honoru.

– Bez urazy – odezwałam się, pokonując ostrożnie kolejne stopnie – ale może wejdiesz tam pierwsza.

Virginia, wyraźnie rozbawiona moimi obawami, wsunęła się do środka i po chwili zniknęła mi z oczu. Przestraszona omiotłam wzrokiem bezludny teren wokół. Prawdę mówiąc, wołałabym, żeby był z nami ktoś jeszcze. Znalazłam się na pustkowiu sam na sam z dziewczyną, która miała związek z serią samobójstw. Nie było już jednak odwrotu. Musiałam wejść za nią do środka.

Przestąpiłam próg i zaczęłam, aż mój wzrok przywyknie do panujących w środku ciemności. Kiedy zaczęłam rozpoznawać szczegóły pomieszczenia, zrozumiałam, że Virginia miała rację. Pomieszczenie było ciasne i zagracone, ale panowała w nim względna czystość. W kątach dostrzegłam kupki nawianego piachu. Z kolistych okien u szczytu klatki schodowej przedostawały się do wewnątrz promyki słońca. Virginia stanęła na pierwszym stopniu i zanurzyła dłoń w torebce. Po chwili wyciągnęła z niej marker i dopiero wtedy zaczęła iść schodami w górę.

Panował tu niesamowity spokój. Całe to miejsce wcale nie wydawało się teraz opuszczone – przeciwnie, w miarę jak wchodziłam coraz wyżej, na ścianach odnajdywałam ślady czyjejś obecności. Pokrywały je zapiski wykonane różnokolorowymi markerami i długopisami. Wyglądało to tak, jakby ktoś odwiedzający latarnię przed nami brał to miejsce w posiadanie. Wszystkie zapiski miały też daty, niektóre pochodziły z zeszłego roku. Na widok charakteru pisma, którym wykonany był jeden z wpisów, zatrzymałam się w pół kroku.

Oddech zamarł mi w piersi, a moja dłoń powędrowała do miejsca na murze, gdzie dojrzałam napis. Rozpoznawałam to pismo – należało do Cataliny. A więc była tutaj. Spojrzałam oskarżycielsko na

Virginie, jakby to przez nią moje życie wyglądało właśnie w ten sposób. Dziewczyna dotarła już na platformę na półpiętrze i bazgrała coś na ścianie. Korzystając z jej nieuwagi, skupiłam się na napisie wykonanym ręką Cataliny:

*Isaac chce mi pomóc, ale nie umie. Czuję to teraz, dokładnie tak, jak przewidziała Virginia. Miała rację – zaraziłam się tym jak jakimś wirusem. Nagle stało się to moją obsesją. Mam wrażenie, jakbym przekreślała nóż wbity w moją pierś, żeby poczuć większy ból. A najstraszniejsze jest to, że im bardziej boli, tym bardziej chcę tego doświadczać.*

Do oczu napłynęły mi łzy, kiedy odczytywałam słowa zapisane przez dziewczynę, w której rolę niedawno się wcieliłam. Znowu wróciło do mnie poczucie wielkiej straty, jakie stało się udziałem jej rodziny. Wiedziałam, co musiał czuć Isaac. Catalina była tutaj i szukała pomocy. Kiedy odwróciłam się znowu do Virginii, oczy miałam mokre od łez.

– Wiedziałaś, że jest chora – odezwałam się oskarżycielskim tonem. Echo podchwyciło mój głos. Virginia spojrzała na mnie zaskoczona. – Wiedziałaś, że Catalina chce się zabić. Czemu jej nie powstrzymałaś? Dlaczego nikogo nie ostrzegłaś?

– Nie wiem, kim jest Catalina – powiedziała Virginia, opuszczając rękę z markerem. Jej twarz była jak martwa. – Ale czytałam ten napis milion razy. Liz, ja nie pamiętam, kim jest Catalina. Tak samo jak zapomniałam piątkowy wieczór. I to wszystko.

Przy tych słowach omiotła wzrokiem niezliczone napisy pokrywające ściany. Po chwili jednak przechyliła głowę i obrzuciła mnie podejrzliwym spojrzeniem.

– Ale skąd właściwie ją znasz? Kim jest Catalina?

Nie mogłam wyjawic jej prawdy. Uznałam, że pora zmienić temat. Rozejrzałam się wkoło – napisy na ścianach przypominały notatki z dzienników, całe strony intymnych wpisów różnych ludzi.

– Virginio, co to za miejsce?

– Przechowuję tu to, co mi zostało – wyjaśniła, prostując się. – Ilekroć zapominam, przyjeżdżam tu, żeby przeczytać te wpisy i przypomnieć sobie na nowo. Ale to nie wystarczy. Czy w ogóle możesz to sobie wyobrazić...? Liz, ja *znikam*. Wkrótce nie będę już wiedziała, kim jestem. Przestanę istnieć.

Jej słowa raniły mnie niczym sztylety. Nie tylko dlatego, że wyzierała z nich przerażająca prawda, ale też dlatego, że wcale nie musiałam sobie wyobrażać, co się za nimi kryje: doświadczałam tego samego.

– Zapisałam tu to, co opowiedziałaś mi o imprezie – odezwała się Virginia, wskazując świeży wpis. – Zachowam tę opowieść, żeby o niej nie zapomnieć.

Przełknęłam głośno ślinę i poszłam schodami na górę. Stałam w pewnej odległości od Virginii i zaczęłam studiować napis. Faktycznie, zapisała niemal słowo w słowo wszystko to, co opowiedziałam jej w samochodzie. Pomyślałam, że to w sumie dziwne – było tak, jakbym to ja znalazła się na tej ścianie. Stałam się duchem, takim samym jak Catalina. Obrzuciłam spojrzeniem inne wpisy, wszystkie były przygnębiające. Stanowiły zapis wspomnień – mroku i smutku. Były niczym krzyk rozpacz.

Nagle ściany wokół mnie się zachwiały. Zabrakło mi tchu w piersi i musiałam wesprzeć się o poręcz schodów, żeby nie stracić równowagi.

– Cierpisz na klaustrofobię? – spytała zaniepokojona Virginia.

Potrząsnęłam przecząco głową. A przynajmniej nic mi o tym nie było wiadomo.

Virginia podeszła do mnie i położyła mi dłoń na ramieniu.

– U góry jest bardziej przestronnie – powiedziała, wiodąc mnie w górę schodów. – To miejsce może być nieco przytłaczające dla kogoś, kto jest tu pierwszy raz.

Kiedy dotarłyśmy na szczyt, zalała nas powódź światła. Najwyższe piętro zbudowane było na planie okręgu. Był typowy dla Oregonu mglisty poranek, ale i tak ze wszystkich stron do niewielkiego pomieszczenia wpadały słoneczne promienie. Odetchnęłam głęboko, a Virginia oparła się plecami o ścianę. Ze zdziwieniem stwierdziłam, że nie pokrywa jej żaden napis.

– Przychodzę na Koniec Świata, kiedy czuję, że brakuje mi jakiegoś fragmentu układanki. A potem widzę wszystkie te wpisy i uświadamiam sobie, że tak naprawdę umyka mi znacznie więcej. Połowa z tych napisów jest już dla mnie zupełnie niezrozumiała, nie umiem ich z niczym połączyć – wyznała, a kiedy zorientowała się, że omiataam spojrzeniem puste ściany, wyjaśniła: – Nie piszę tutaj. To miejsce służy mi do odzyskiwania nadziei. Jest niczym czyste płótno pełne możliwości.

Z okien rozpościerał się widok na suchy ląd, który niegdyś był częścią oceanu. Po obu jego stronach piętrzyły się sterty głazów, które odgradzały go od wody. Z tego punktu obserwacyjnego naprawdę wyglądało to jak koniec świata: nie widać było żadnej żywej duszy. Było pięknie.

Kiedy znów spojrzałam na Virginię, na jej twarzy zauważyłam nadzieję, o której przed chwilą wspomniała. Zrozumiałam wtedy, że nie mogę już dłużej jej oszukiwać. Wiedziałam, że ta dziewczyna doświadcza jakiegoś koszmaru. Gdybym nadal ją okłamywała, nie byłabym wcale lepsza od Arthura Pritcharda. Przecież mogliśmy pracować razem, miałyśmy wspólny cel: obie pragnęłyśmy poznać swoją przeszłość.

– Przepraszam – odezwałam się cicho.

Na myśl o tym, że zaraz wyjawię jej prawdę, serce zaczęło mi się tłuc w piersi. Virginia spojrzała na mnie szybko.

– Za co?

– Okłamałam cię.

Dziewczyna drgnęła, po czym oderwała się od ściany i zacisnęła dłoń w pięść. Nie spodziewałam się tak gwałtownej reakcji.

– Chodzi o tę imprezę?

– Nie, to akurat była prawda. Chodzi o mnie. Nie mam na imię Liz i nie pochodzę z Eugene – powiedziałam, przełykając nerwowo ślinę. – W zeszłym tygodniu byłam w Lake Oswego, to właśnie wtedy dowiedziałam się o Catalinie...

– Lake Oswego? – weszła mi w słowo Virginia. – Znasz Mitchela Caprice’a?

Zupełnie zbiła mnie tym z tropu. Mitchel Caprice był ostatnim klientem Aarona. Dziwne, że zapamiętała właśnie jego, a nie Catalinę.



– Można tak powiedzieć – przyznałam ostrożnie.

– Wiesz, co się z nim stało?

– Owszem, odebrał sobie życie.

Widziałam, że stara się zachować spokój i się nie rozpląkać.

– Wiedziałam – szepnęła. – Po prostu nie chciałam w to uwierzyć.

– A więc pamiętasz go?

– Tak – przyznała pełnym żalu tonem. – Poznałam Mitchela w Lake Oswego. Zostaliśmy parą, ale ukrywałam ten fakt przed moim ojcem. I nagle, z dnia na dzień... Mitchel przepadł bez śladu. Przeszła odpowiadać na SMS-y, nie odbierał telefonu. Podejrzywałam, że nie żyje. Teraz jednak mam pewność.

– Przykro mi, że to ja jestem posłańcem złych wieści – powiedziałam, czując, jak przytłacza mnie poczucie winy. Przecież ta dziewczyna wycierpiała dzisiaj już wystarczająco wiele.

– Wiedziałam – powtórzyła Virginia. – W zeszłym tygodniu nagle miałam przecucie, straszne przecucie. Przeszukując dokumenty mojego ojca, natknęłam się na teczkę z nazwiskiem Mitchela. Z dokumentów wynikało, że do jego sprawy przydzielono sobowtóra. Stąd domyśliłam się, że nie żyje. Nie mogłam jednak okazać choćby cienia bólu. Bałam się, że jeśli pozwolę sobie na żal, zaraz zapomnę, że Mitchel w ogóle istniał. Nie chciałam stracić jego wspomnienia.

Próbowałam wczuć się w jej sytuację – ukrywanie cierpienia jest niezwykle wyczerpujące, potrafi zżerać człowieka od wewnątrz. Kiedy Virginia znów się odezwała, jej głos przybrał nieco ostrzejszy ton:

– A teraz chciałabym się dowiedzieć, jaką rolę w tym wszystkim odgrywasz ty. Znałaś Mitchela i Catalinę. Czy w takim razie znałaś też mnie?

– Nie.

I właśnie wtedy zobaczyłam, jak dociera do niej nagle ta straszna myśl. Serce tłukło mi się w piersi, kiedy obserwowałam zmiany zachodzące na jej twarzy.

– Jesteś sobowtórem, prawda? – spytała zdławionym głosem, równocześnie wycofując się pod ścianę. – To dlatego się tu zjawiaś. Przysłali cię, żebyś pomogła mi pożegnać się z życiem? Mój ojciec sądzi, że niedługo umrę, tak?

– Nie – odparłam krótko, unosząc ręce w geście kapitulacji i postępując krok w jej stronę. – Wydział żałoby nie ma nic wspólnego z moją obecnością tutaj. I nie przysłał mnie twój ojciec. Ale faktycznie jestem tu z jego powodu. Odszukałam cię, jednak nie po to, żeby przygotować cię do śmierci. Nawiasem mówiąc, nie na tym polega praca sobowtóra.

– Dobrze wiem, na czym polega wasza popieprzona robota – warknęła.

– W takim razie jesteś zapewne świadoma, że nigdy nie spotykamy się z klientami za ich życia.

– Może twój doradca uznał, że jestem beznadziejnym przypadkiem – krzyknęła.

W jej oczach dojrzałam szaleństwo. Miała oczywiście prawo być zdenerwowana, jednak pomyślałam, że może być też niebezpieczna. Ludzie postawieni pod ścianą decydują się czasem na zupełnie nieprzewidywalne kroki.

– Nie – odparłam, próbując jakoś ją uspokoić. – Nie mam nad sobą żadnego doradcy, byłam sobowtórem, ale już z tym skończyłam. Przysięgam.

Virginia skrzyżowała ramiona na piersi. Z wolna jej złość zaczęła przeradzać się w rozgoryczenie. Sprawiała teraz wrażenie, jakby nie wierzyła już w ani jedno moje słowo.

– Czyli zrezygnowałaś z pracy u mojego ojca, a mimo to zjawiałaś się w mieście, w którym mieszka, dobrze rozumiem? Liz czy jak tam masz na imię, jeśli to prawda, to niezbyt mądry ruch z twojej strony.

– Mam na imię Quinlan – powiedziałam. – Pewnie masz rację. Jednak twój ojciec zabrał mi coś, co należało do mnie. I zanim zacznę żyć swoim życiem, muszę to odzyskać. Bez tego nie wiem, co dalej.

Moje słowa musiały odsunąć chociaż część jej obaw, bo Virginia stała się mniej wojownicza. Opuściła ramiona, twarz jej pobladła, a spojrzenie powędrowało ku schodom.

– Zostaw mnie samą – powiedziała bezbarwnym głosem. – Wyjdź na zewnątrz. Chcę coś zapisać.

Na końcu języka miałam pytanie, co takiego, w ostatniej chwili uznałam jednak, że sprawiłam jej wystarczająco dużo cierpienia. Poza tym planowała pewnie zapisać prawdę na mój temat: że nie powinna mi ufać. Chwila prywatności – chociaż tyle mogłam jej dać.

Zawstydzona ruszyłam w dół schodami, po drodze odczytując mijane napisy. Żaden nie przykuł mojej uwagi, wszystkie zawierały mniej więcej to samo. Zanim zesłam na sam dół, ostatni raz położyłam dłoń na ścianie w miejscu, gdzie wpisała się Catalina. Ojciec Virginii zapewne nie miał pojęcia, że takie miejsce w ogóle istnieje. Jego córka ukrywała przed nim wszystkie swoje najbardziej intymne myśli. Wyglądało więc na to, że Virginia faktycznie znalazła sposób, żeby przechytryć system stworzony przez Arthura. I za to ją podziwiałam.

## Rozdział szósty

Gdy tylko znalazłam się na zewnątrz, zobaczyłam, że mgła nareszcie się przerzedziła i świeci słońce. Zwróciłam twarz w jego kierunku i przez chwilę chłoniłam rozkoszne ciepło. Było takie dobre i czyste. Dzięki niemu znowu odzyskiwałam pewność tego, kim jestem.

Zerknęłam przez ramię, żeby sprawdzić, czy Virginia ciągle jest w latarni morskiej, po czym wyjęłam komórkę. Zwrócona plecami do budynku wystukałam szybko na klawiaturze wiadomość do Deacona.

„Sprawy trochę się skomplikowały. Nie wszystko przebiega zgodnie z planem”.

Odpowiedź przyszła niemal natychmiast, jakby Deacon czekał na wieści.

„A miałaś w ogóle jakiś plan?”

„Słuszna uwaga. Jestem teraz na pustkowiu z Virginią. Sytuacja jest bardziej pokręcona, niż sądziłam. Podejrzewam, że ojciec usuwa jej wspomnienia. No i nawiasem mówiąc, Virginia wie już, że jestem sobowtórem”.

Deacon odpowiedział, zanim jeszcze dokończyłam pisać poprzednie zdanie.

„Przyznałaś się jej?”

„Nie chciałam jej okłamywać”.

„Zabolało” – napisał.

To stwierdzenie nie było wymierzone w niego, ale po chwili zorientowałam się, dlaczego mogło go urazić. Pewnie musi upłynąć jeszcze sporo czasu, zanim nauczymy się żyć z tym, co sobie zrobiliśmy.

Wracając do tematu, napisałam:

„Nie bardzo wiem, w którą stronę to dalej pociągnąć. Jeśli Virginia nie pamięta, jaką rolę odegrała w śmierci Cataliny, możliwe, że nie zdołam wykorzystać jej do szantażowania Arthura. Poza tym nie chcę pogarszać jej stanu. Co robić?”

„Wracaj do domu”.

Uśmiechnęłam się nieznacznie. Deacon użył słowa „dom”, jakbyśmy rzeczywiście mieli coś takiego. Albo jakby to on sam był moim domem. Mimo że trudno to było uznać za sensowną poradę, odpisałam:

„Będę niedługo”.

Wyłączyłam komórkę, wsunęłam ją do kieszeni spodni i podeszłam do samochodu. Byłam teraz zdana na łaskę jednego z najbardziej niebezpiecznych ludzi w tym mieście. Wystarczy, że Virginia wspomni moje imię w rozmowie z ojcem i znajdę się w poważnych tarapatach. Przecież ten człowiek może ściągnąć tu dosłownie cały wydział żałoby, byle tylko mnie schwytać. Jeśli zostaną ujęta, kto wie, jaki los mnie czeka. Nie przemyślałam tego tak, jak powinnam. Trzeba było cierpliwie szukać haków na Arthura, a zamiast tego pozwoliłam dojść do głosu sumieniu. W rezultacie być może straciłam jedyną szansę, by odzyskać tożsamość.

W końcu Virginia wyszła z latarni, zamknęła za sobą drzwi na kłódkę i zbliżyła się do mnie. Oczy miała pełne łez, a ja poczułam się strasznie. To była moja wina. Virginia byłaby w lepszym stanie, gdybym nie zaczepiła jej dzisiaj.

W milczeniu wsiadłyśmy do samochodu. Dziewczyna uruchomiła silnik i obejrzała się, po czym wycofała auto i zawróciła. Szczęki miała zaciśnięte, zachowywała się tak, jakby w ogóle nie było mnie w kabinie. Kiedy wyjechałyśmy na autostradę, odważyłam się odezwać:

– Nie chciałam cię zdenerwować.

– Nie wątpię. Ale na pewno zrozumiesz, jeśli uznam, że wolałabym więcej z tobą nie rozmawiać. Nie życzę sobie, żebyś miała dostęp do mojego prywatnego życia.

– Virginio – zaczęłam. Świadomość, że zupełnie się nie rozumiemy, zaczynała mnie frustrować. – Nie jestem tu w roli sobowótora. Nie przyjechałam, żeby przygotować cię na śmierć.

– A może powinnaś – powiedziała cicho.

Z wrażenia otwarłam usta. Nagle ogarnął mnie strach, że Virginia się załamie. Jeśli tak się stanie, będzie to moja wina.

– Jeśli potrzebujesz pomocy, mogę...

– Potrzebuję – weszła mi w słowo – żeby wszyscy wreszcie przestali mi pomagać. Chcę zająć się sama sobą. Chcę wreszcie żyć swoim życiem, a zamiast tego tracę nad nim kontrolę. Tracę je po kawałku i chcę je odzyskać. Pragnę znowu być kompletna.

Kiedy jej słuchałam, w mojej głowie zaczął tworzyć się pewien plan – pierwszy plan z prawdziwego zdarzenia. Dzięki niemu obie mogłybyśmy zdobyć to, na czym nam zależało. A ja nie musiałabym ranić Virginii bardziej, niż to było konieczne. Spoglądając na jej twarz z profilu, poczułam, jak w moim sercu kiełkuje nadzieja.

– A gdybym tak pomogła ci odkryć, co ci się przydarzyło?

Virginia odwróciła się do mnie. Oczy miała szeroko otwarte ze zdziwienia, ale wyzierała z nich nieufność.

– Niby jak?

– Podejrzewam, że to twój ojciec jest odpowiedzialny za twoją utratę pamięci. Jeśli zdołamy odkryć, dlaczego to zrobił, może zrozumiemy też, co takiego ci zabrał. Ja i moi partnerzy mamy smykałkę do zdobywania informacji i...

– Partnerzy? – powtórzyła z niesmakiem.

– Żadne z nas nie pracuje już jako sobowótór – zapewniłam, próbując odzyskać jej zaufanie. – I nie mamy zamiaru zostać tu na dłużej. Zanim ruszymy dalej, muszę najpierw... coś znaleźć.

Virginia parsknęła gniewnie.

– Nie wątpię. A co to takiego? I czego chcesz w zamian?

– Jak już dowiemy się, co ukradł ci ojciec... chcę, żebyś pozwoliła mi wykorzystać tę wiedzę przeciwko niemu. Chcę, żeby to był mój hak na niego, hak, dzięki któremu odda mi to, co mi zabrał.

– Czyli co?

– Moją tożsamość.

Virginia skierowała spojrzenie z powrotem na szosę i w zamyśleniu zmarszczyła czoło.

– A więc ty też nie pamiętasz, kim jesteś? – spytała. – I sądzisz, że on ci to zrobił? Mój ojciec wymazał ci pamięć?

– Nie wiem dokładnie, co mi zrobił, ale sam przyznał się do manipulowania moją pamięcią. Nie wiem, kim jestem... to znaczy, kim byłam. Przyprowadził mnie jako małą dziewczynkę do pewnego domu i dorastałam tam pod fałszywą tożsamością. Dopiero w zeszłym tygodniu poznałam prawdę. Między innymi dlatego uciekłam z wydziału żałoby. Virginio, nie mogę już zaufać tym ludziom. Wydział, twój ojciec i mój tata, wszyscy oni z premedytacją ukrywali przede mną prawdę. A ja po prostu chcę nareszcie dowiedzieć się, kim jestem.

Virginia milczała przez długą chwilę, prawdopodobnie próbując pogodzić się z myślą, że jej ojciec jest jeszcze większym potworem, niż dotychczas sądziła.

– Jak miałybyśmy zdobyć te informacje? – spytała cicho.

– Wspominałaś wcześniej, że po zniknięciu Mitchela szperałaś w dokumentach ojca i natrafiłaś na wzmiankę o sobowtórze, którego przydzielono do tej sprawy. Muszę zdobyć dostęp do tych teczek. Do całej dokumentacji twojego ojca. – Virginia spojrzała na mnie jak na wariatkę, ja jednak ciągnęłam niezrażona: – Znajdź sposób, żeby wprowadzić mnie do jego biura, a gwarantuję, że przywrócimy twoje wspomnienia, twoje prawdziwe wspomnienia. Potrzebuję tylko kodu, klucza, czegoś, co pomoże mi dostać się do środka. Wszystkie niezbędne informacje znajdziemy właśnie tam.

Virginia skierowała spojrzenie przed siebie. Nie umiałam wyczytać z jej twarzy, co dzieje się w jej głowie, ale ogarnął mnie strach, że nie wierzy, że jestem w stanie jej pomóc.

– Błagam, pomóż mi odzyskać życie, które mi odebrano – jęknęłam.

Nie wiem, co stało za jej decyzją: czy zrobiła to z dobroci serca, czy może odwagi dodała jej myśl, że obie cierpimy na zanik pamięci. W każdym razie Virginia oderwała jedną rękę od kierownicy i uściśnęła mi dłoń. Jej uścisk trwał dłuższą chwilę, a ja poczułam nagły przypływ wzruszenia. Wiedziałam, że wytworzyła się między nami prawdziwa więź. Virginia przez cały ten czas nie wypowiedziała ani słowa.

Kiedy w końcu uwolniła moją dłoń, miałam poczucie, że milcząco uzgodniłyśmy, iż naszą misją jest pomóc sobie nawzajem. Pod wpływem tej myśli samotność, jaka rozgościła się w moim sercu, nieco zelżała. Nasza sytuacja była nie do pozazdroszczenia, ale przynajmniej pojawiła się nadzieja na przyjaźń, i to wystarczyło, bym poczuła się trochę lepiej.

\* \* \*

Pod szkołą przesiadłam się do czekającego na mnie samochodu kupionego przez Deacona i pojechałam do naszego hoteliku. Numer do Virginii miałam zapisany w komórce. Kiedy weszłam do pokoju, zastałam

Deacona przy stole. Błat zawalony był stertą papierów, a on siedział z telefonem przy uchu. Wystarczył sam widok mojego ukochanego, żeby przepędzić strach, który nosiłam w sobie. Deacon uniósł palec, dając mi znać, że zaraz skończy rozmawiać. Zanim wrócił do papierów, otaksował mnie uważnym spojrzeniem od stóp do głów.

– Tak, słucham – powiedział do aparatu. – Martho, byłoby super. Naprawdę doceniam, że chcesz nam pomóc.

Zachichotał, a ja od razu zauważyłam, że używa swojego głosu czarusia. Nie poczułam się zazdrosna, zrobiło mi się tylko żal, że dawno już ze sobą tak nie rozmawialiśmy. Nagle opanowała mnie tęsknota za tym, jacy kiedyś byliśmy.

– To bardzo miłe z twojej strony – mówił Deacon do aparatu. – Ty też masz miły głos.

Uniosłam pytająco brew, dając mu do zrozumienia, że trochę chyba się zagalopował. W odpowiedzi puścił do mnie oko. W żartach posłałam mu całusa, a Deacon udał, że chwytą go w locie. Roześmiałam się na głos, ale szybko zakryłam usta dłonią. Mój chłopak spiorunował mnie wzrokiem i odwrócił się szybko, nadal przyciskając aparat do ucha.

– No dobrze, Martho – powiedział. – Tak, jasne, nie jestem zajęty. Wpadnę do ciebie. Do zobaczenia.

Po tych słowach rozłączył się, odetchnął głęboko i spojrzał wreszcie na mnie.

– Czyżbyś właśnie umówił się na randkę?

– To tylko lunch – wyjaśnił, po czym potrząsnął głową, dając mi w ten sposób do zrozumienia, że nie powinnam wierzyć, że naprawdę wybiera się na randkę.

– Moim zdaniem to niezbyt moralny sposób zdobywania informacji.

– Racja, nasza etyka zawodowa... – mruknął, przewracając oczami. Położył telefon na łóżku i stanął naprzeciw mnie. – Miałem straszny dzień. Nie udało mi się nawet dopić gorącej czekolady.

Odruchowo wyciągnęłam do niego rękę, ale próbował zbyć mnie uśmiechem. Z jego oczu wyzierała jednak mieszanka strachu i ulgi, że nareszcie mnie widzi.

– Umierałem z niepokoju – szepnął w końcu, zapominając o pozorach. – Nic ci nie jest?

Kiedy zapewniłam go, że czuję się dobrze, porwał mnie w ramiona i mocno przytulił. Zamknęłam oczy i oparłam policzek o jego tors. Najchętniej zapomniałabym o wszystkich mrocznych sprawach, które towarzyszyły mi tego dnia, ale nie mogłam. Zagnieździły się już w mojej duszy i domagały się, by o nich opowiedzieć.

– We wszystkich mediach trąbią już o wypadku w szkole. – Kiedy mówił, czułam na włosach jego ciepły oddech. – Ten dzieciak Micah... chodził do liceum. Nie żyje.

Całe szczęście, że tym razem nie widziałam, jak to się stało. Jednak gdy tylko ta myśl przemknęła mi przez głowę, poczułam wyrzuty sumienia, że jestem bezduszną. Przecież taka reakcja świadczyła o moim egoizmie. Chyba naprawdę byłam sobowtórem pozbawionym serca.

Deacon przez chwilę gładził mnie po włosach, aż nagle jego ręka zawisła nieruchomo.

– Jak skończyła się rozmowa z Virginią? – spytał. – Jak bardzo mamy przerąbane?

Wysunęłam się z jego objęć i natychmiast za nimi zatęskniłam. Podeszłam do łóżka i przysiadłam na skraju materaca.

– Opowiedziałam jej o wszystkim.

– Naprawdę o wszystkim? – dopytał, wpatrując się we mnie nieruchomym spojrzeniem.

– Przyznałam się jej, że byłam sobowtórem i że to jej ojciec sprowadził mnie do wydziału żałoby. I że przez ostatnie jedenaście lat to on fałszował moje życie. Zaproponowałam, że jej pomożemy, a w zamian poprosiłam ją o współpracę.

– Faktycznie poszłaś na całość – stwierdził z niedowierzaniem Deacon. – A co konkretnie jej obiecałaś?

– Virginia doświadcza co jakiś czas zaników pamięci. Wiele jej wspomnień zostało wymazanych bez śladu. Obiecałam, że dowiemy się, co zrobił jej ojciec, i odzyskamy jej wspomnienia.

– Chwileczkę, co takiego? Niby jak mamy to zrobić? Sądzisz, że Arthur wszystko nam wyśpiewa? Jak możesz obiecywać komuś coś takiego?

– Nie miałam wyjścia. Virginia była o krok od zerwania znajomości. Ona ma dostęp do dokumentów ojca, przeglądała je już wcześniej. Obiecała, że znajdzie sposób, byśmy również mogli w nich pobuszować.

Deacon założył ręce na kark i splótł palce. Ze spojrzeniem utkwionym w suficie rozmyślał nad moimi rewelacjami.

– To nie wszystko – odezwałam się, a Deacon wbił we mnie zaniepokojony wzrok. – Virginia jest w złym stanie. To, co robi jej ojciec, wyrządza jej wielką krzywdę. Ta dziewczyna jest bliska załamania. Przeraza mnie to.

– Opowiedz mi o tych zanikach pamięci Virginii – poprosił Deacon, siadając obok mnie. – Coś przykuło twoją uwagę?

– Wydaje mi się, że Virginia traci pamięć, ilekroć w jej życiu wydarza się coś traumatycznego, na przykład ktoś umiera. Nie pamięta piątkowej imprezy, nie pamięta Micaha. Może dlatego, że on też był na tej imprezie, nie wiem. Nie pamięta też Cataliny. Zapisuje swoje wspomnienia, żeby móc je potem samodzielnie przywoływać.

– Quinn – odezwał się Deacon, marszcząc brwi – to przypomina mi...

– Co takiego?

– Ciebie.

– Pewnie masz rację, ale trudno porównywać sytuację moją i Virginii. Byłam dzieckiem, kiedy Pritchard zabrał mnie od moich biologicznych rodziców, dlatego nie musiał zbyt wiele wymazywać z mojej pamięci.

– Nie o to mi chodzi.

Widziałam, że gorączkowo nad czymś rozmyśla, jakby dopasowywał do siebie elementy układanki. Kiedy przyglądałam się jego poważnej twarzy, serce zabiło mi szybciej z niepokoju.

– Zastanawiasz się nad moim ostatnim zleceniem? – domyśliłam się.

Żenujące, jak całkiem odkleiłam się od rzeczywistości, odgrywając rolę Cataliny. W pewnym momencie nie byłam w stanie przypomnieć sobie nawet, która tożsamość jest moja. Świącie wierzyłam, że jestem Cataliną Barnes, a potem doszłam do wniosku, że jestem równocześnie wszystkimi dziewczętami, w których role wcieliłam się w swoim życiu. Świadomość, że doszłam do tego punktu, napawała mnie teraz przerażeniem. Wstyd mi było, że nie okazałam się silniejsza.

Pod wpływem moich słów Deacon skrzywił się. Ten okres był straszny dla nas obydwójga, mimo to pomógł mi go przetrwać. Znalazł sposób, by przypomnieć mi, kim naprawdę jestem, czy może raczej – za kogo się uważałam.

– Wybacz, że poruszam ten temat – powiedział Deacon, nachylając się do mnie – ale chodzi mi o dzień, w którym się rozstaliśmy.

Ze zdenerwowania poczułam ucisk w żołądku. Tamtego dnia Deacon zranił mnie, złamał mi serce. Co prawda wiedziałam już teraz o układzie, jaki zawarł z Arthurem Pritchardem, jednak wcale nie uśmierzyło to mojego bólu. Skrzyżowałam ramiona na piersi, próbując osłonić się przed ciosami, które mogą na mnie spaść.

Deacon przypatrywał mi się przez dłuższy czas zmrużonymi lekko oczami.

– Nie do wiary, że wcześniej na to nie wpadłem. Zakładałem chyba, że nie chcesz o tym rozmawiać.

– To znaczy? – dopytałam, czując, jak w żyłach zaczyna krążyć mi adrenalina.

– Pamiętasz moment, kiedy przyszedł do mnie do domu?

– Oczywiście, że pamiętam. Naprawdę sądzisz, że mogłabym to zapomnieć? W ciągu ostatnich ośmiu i pół miesiąca przerabiałam tę chwilę w głowie niezliczoną ilość razy.

– A pamiętasz, jak puściła ci się krew z nosa? – spytał Deacon, przełykając nerwowo ślinę, jakby właśnie odkrył rozwiązanie zagadki.

Nagle poczułam, jakby ktoś pod skórę wszczepił mi warstwę lodu. I jakbym razem z tym lodem zaczęła się topić. Błyskawicznie odtworzyłam w myśli wszystkie wydarzenia tamtego dnia. Nie... wcale nie krwawiłam z nosa. Zjawiłam się w mieszkaniu Deacona i usłyszałam od niego, że nie chce się ze mną spotykać. Błagałam go, żeby mnie nie porzucał, on jednak zamknął mi drzwi przed nosem.

– Jesteś pewien, że zapamiętałeś dokładnie to, co się wtedy stało? – spytałam.

Deacon spuścił głowę i utkwił wzrok w podłodze, jakby czuł się winny.

– Jak mogłem tego nie widzieć? – spytał półgłosem. – Przecież Arthur powiedział...

Zachnęłam się, słysząc to imię. Deacon rzucił mi przepraszające spojrzenie, po czym podjął opowieść:

– Arthur powiedział, że zbyt utożsamiasz się z dziewczynami, których role odgrywasz podczas zleceń. Poleciał, żebym obserwował cię pod kątem nietypowych zachowań. Zapewniłem go, że jesteś w dobrej formie. Ale tamtego dnia... stanęłaś na progu mojego domu i... byłaś w strasznym stanie. Twierdziłaś, że uciekłaś. A potem zaczęłaś wyciągać moje ubrania z szuflad. Zachowywałaś się jak obcy człowiek. Przestraszyłem się, że dowiedziałaś się o moim spotkaniu z Arthurem. Poczułem się jak



skończony potwór. Zrozumiałem wtedy, że muszę się od ciebie odsunąć. Powiedziałem, że powinniśmy przestać się widywać. Ty jednak sprzeczałaś się ze mną. Twierdziłaś, że nic nie rozumiem. I nagle z nosa poleciała ci krew. Chwilę potem wpadłaś w histerię i musiałem zadzwonić po twojego tatę.

Nie mogłam dłużej słuchać tych wierutnych kłamstw. Opowieść Deacona brzmiała jak wyszana z palca, ponieważ ja zapamiętałam tamte wydarzenia zupełnie inaczej. Ale przecież nie okłamywałby mnie teraz, nie w takiej sprawie.

– I co stało się potem?

– Twój tata zjawił się u mnie w domu. Powiedział, że to wszystko moja wina. Twierdził, że to ja doprowadziłem cię do takiego stanu. Nie wiedział o moim układzie z Arthurem. Potwierdziły się jednak moje najgorsze obawy: to ja sprawiam ci cierpienie. Nie chciałaś dać się wyprowadzić swojemu tacie. Obiecał mi, że ci pomoże, a ja mu uwierzyłem. Nie miałem innego wyjścia. Wtedy jeszcze sądziłem, że cię kocha.

Wzdrygnęłam się, a wtedy Deacon szybko mnie przeprosił.

– Źle to zabrzmiało – przyznał, jednak poprosiłam, żeby mówił dalej. To, czy mój ojciec kochał mnie czy nie, nie było teraz moim największym zmartwieniem.

– Kazał mi wyjść z pokoju – podjął opowieść Deacon. Usta drżały mu tak bardzo, że musiał przygryźć wargę, żeby się nie rozplakać. – Powiedział, że jeśli naprawdę chcę ci pomóc, muszę się od ciebie odsunąć. W przeciwnym razie nasz związek cię zabije. Dlatego wyszedłem z pokoju. Poszedłem do sypialni i zamknąłem za sobą drzwi. I nagle twoje krzyki ucichły. Pomyślałem wtedy, że twój ojciec ma rację: pewnie faktycznie to ja sprawiałem, że cierpiałaś. A kiedy zobaczyłem cię znowu po kilku dniach, pałałaś już do mnie nienawiścią.

– Nigdy nie czułam wobec ciebie nienawiści.

– No cóż, takie miałem wrażenie. Ale przynajmniej byłaś w lepszym stanie. A dla mnie było to potwierdzenie, że muszę trzymać się z dala. Wiedziałem równocześnie, że nie zdołam odsunąć się od ciebie całkowicie. Nigdy dotychczas nie rozmawialiśmy na temat tego, co zdarzyło się tamtego dnia. I dopiero teraz uświadomiłem sobie dlaczego. Po prostu tego nie pamiętasz.

Dłonie miałam zaciśnięte w pięści. Przeszukiwałam pamięć, licząc, że natrafię choćby na cień wspomnienia chwil, o których opowiadał Deacon. Na próżno. Pamiętałam rozmowę na progu jego domu. Pamiętałam, jak mówi mi, że to już koniec. Pamiętałam, że krzyczałam i wzywałam na pomoc tatę. Z wolna jednak zaczynałam teraz podważać w myśli prawdziwość tych wspomnień. Im dłużej się nad nimi zastanawiałam, tym bardziej sztuczne mi się wydawały.

– Zmanipulowali moje wspomnienia – odezwałam się, nie podnosząc wzroku. – I to nie raz, nie tylko po tym, jak zabrali mnie z prawdziwego domu. To samo robią teraz Virginii. A to znaczy... że tamto wspomnienie, w którym pojawia się Marie, jest prawdziwe. Deaconie, ona wiedziała o wszystkim od samego początku. Pomogła im wymazać mi pamięć.

## Rozdział siódmy

Deacon skontaktował się z Myrą i zdobył od niej numer nowej komórki Aarona. Kazał dziewczynie wyrzucić jej stary aparat, a następnie dodzwonił się do Aarona i obaj zaczęli obmyślać plan wytropienia naszej niegdysiejszej doradczynie.

Marie kłamała i była współwinna tego, co mi zrobiono. Wiedziałam jednak, że to właśnie ona jest naszą szansą. Istniało prawdopodobieństwo, że Marie posiada informacje, które mogliśmy wykorzystać do szantażowania Arthura. Znaczyło to, że to od niej zależy ocalenie mnie i Virginii. Mimo że między innymi przez nią znalazłam się w niebezpieczeństwie, potrzebowaliśmy teraz jej pomocy.

Deacon krążył po pokoju, posyłając mi od czasu do czasu uspokajające spojrzenia, jakby niepokoił się moim stanem emocjonalnym.

W pewnym momencie zatrzymał się i rzucił do komórki:

– Co znaczy „nic”? A nie możesz po prostu prześledzić jej trasy od momentu, kiedy wyszła z domu? No tak. Nie, Tom nie wspominał, gdzie powinniśmy jej szukać – powiedział, zerkając na mnie, po czym dodał z uśmiechem: – Tak, dupek z niego.

Było jasne, że Aaron nie zdołał zlokalizować Marie. Pewnie w znikaniu była jeszcze lepsza niż. Niewątpliwie przewyższała nas w sztuce kłamstwa.

– Dobra – odezwał się pojednawczo Deacon, wzdychając ciężko. – Rób, co tylko możesz. Tak, też cię kocham, brachu.

Po tych słowach odsunął komórkę od ucha, wyłączył ją i rzucił na tapczan.

– Aaron twierdzi, że Marie celowo się przed nami ukrywa – powiedział wyraźnie sfrustrowany. – Próbuje wszystkich sztuczek, żeby ją wytropić, ale nie ma większych złudzeń. Uważa, że my też powinniśmy zniknąć.

– Ma rację – przyznałam. – Ale nie jesteśmy wystarczająco cwani, żeby to zrobić.

– Musimy ją znaleźć – jęknął Deacon, trąc twarz. – Czemu ona nam to robi? Dlaczego nie chce nam pomóc?

Usiadł na drugim tapczanie. Wyglądał jak człowiek, do którego nagle dotarło, że został zdradzony. Obserwując jego reakcję, rozpoznałam ten sam rodzaj bólu, który i ja czułam. Nigdy tak naprawdę nie miałam szans w starciu z wydziałem żałoby. Przeciwno mnie działała zbyt liczna armia ludzi. Na myśl o tym poczułam, jak ogarnia mnie fala beznadziei.

– Hej – zawołałam. Deacon powoli poszukał spojrzeniem moich oczu. Chwilę potem powtórzyłam nieco łagodniejszym głosem: – Hej!

Jeśli uda mi się ukoić jego ból, może przy okazji uśmierzę też ten, który dręczy mnie samą. Podeszłam do tapczanu i stanęłam między nogami Deacona. Pochylił się wtedy i oplótł mnie ramionami. Dłońmi

chwycił mnie od tyłu za uda, a jego spojrzenie powędrowało ku górze.

– Zawiodłem cię – powiedział. – Mogłem to powstrzymać. Powinienem być przewidzieć, że tak się stanie. A teraz nie wiemy nawet, co ci ludzie ci zrobili. I to ja do tego dopuściłem. Pozwoliłem, by eksperymentowali na tobie.

– Przecież o niczym nie wiedziałaś – przypomniałam, siadając obok niego tak blisko, że stykaliśmy się udami.

Deacon miał rację – zawiódł mnie, ale nie miałam prawa go winić. Ludzie, którym ufałam najbardziej, manipulowali mną. Wymazywali moje wspomnienia. Najbardziej doskwierała mi myśl, jak bezbronna stałam się przez ich zabiegi.

Mój chłopak wydawał się zupełnie zdruzgotany. Oparł policzek na moim ramieniu, a palcami muskał od tyłu moją nogę na wysokości kolana. Jego dotyk przyprawiał mnie o ciarki. Zamknęłam oczy. Zapewne zupełnie nieświadomie Deacon sprawił, że opanowało mnie teraz całkiem inne uczucie.

Chciałam poczuć się znów silna. Chciałam mieć kontrolę nad moim życiem. Nasze usta były teraz bliżej siebie. Położyłam dłoń na jego policzku, a on powoli gładził mnie po udzie. W pewnym momencie odsunęłam się nieco, żeby dokładniej mu się przyjrzeć.

Miał opuszczone powieki. Zanim wyszeptał moje imię, oblizwał dolną wargę. I nagle jego palce wpiły się w moje udo, a ja nachyliłam się i namiętnie go pocałowałam. Miał takie miękkie wargi.

Pomogłam mu ściągnąć koszulę i znów odnalazłam jego usta. W dotyku jego skóra wydawała się rozpalona. Dałam się porwać tej chwili, która była dla mnie wszystkim – i równocześnie niczym. To było takie łatwe – trawiące mnie pożądanie było wszechogarniające, żadna myśl nie była zdolna przebić się przez jego pancerz. Po chwili opadliśmy na tapczan. Deacon zasypał pocałunkami moją szyję i twarz. Raz za razem szeptem powtarzał, jak bardzo mnie kocha.

I nagle leżeliśmy obok siebie, on i ja, nadzy. I cały świat prócz nas przestał istnieć. Czułam tylko, jak Deacon unosi się nade mną.

Uważaliśmy, jak zawsze. Ale kiedy się sobie nawzajem oddawaliśmy, nasze serca były już wyczerpane, złamane i szczerne. Oboje żałowaliśmy wielu rzeczy, oboje nosiliśmy w sercach stare tajemnice. A przed sobą mieliśmy przerażającą przyszłość.

A jednak, tak jak liczyłam, pożądanie zwyciężyło strach, spychając go gdzieś na obrzeża świadomości, gdzie musiał zaczekać na dogodny moment, żeby powrócić.

A tymczasem pozwalałam sobie bez reszty zatopić się w dzikiej i niemądrej miłości do Deacona.

\* \* \*

Przytuliłam się do ramienia Deacona i pocałowałam je, a potem przywarłam do chłopaka całym ciałem. Z zamkniętymi oczami pieściłam swoim udem jego udo. Nasłuchiwałam bicia jego serca. Było powolne i miarowe.

– W sumie pogodziliśmy się całkiem szybko – zauważyłam wesoło.

– No nie wiem, zajęło nam to dwa długie dni – odparł zachrypniętym głosem. – Możesz mi wierzyć, to była cała wieczność.

Jasne, mogliśmy żyć w związku platonicznym, ale właściwie po co? Dlaczego mielibyśmy zmuszać się, żeby trzymać dystans? Byłam już zmęczona ciągłym ukrywaniem swoich uczuć, postępowaniem w taki sposób, żeby inni byli zadowoleni. Teraz chciałam nareszcie zacząć korzystać z życia. Ocalić siebie. Znaczyło to, że jeśli chcę się przespać z moim chłopakiem, to się z nim prześpię.

Rozległo się buczenie wibrującej komórki. Deacon zerknął na nocny stolik, ale nie było jej tam. Przeklinając pod nosem, zaczął przetrząsać pościel. W końcu wstał i sprawdził pod łóżkiem. Po chwili uniósł rękę z aparatem w triumfalnym geście.

Odebrał, nie spuszczając mnie z oka, jakby rozważał, czy nie wskoczyć by z powrotem do łóżka. Po chwili jednak usłyszał w słuchawce coś, co kazało mu przenieść błyskawicznie spojrzenie gdzieś w bok. Od razu wstał.

– Tak, jestem – powiedział, podnosząc ubrania z podłogi. Przytrzymał komórkę ramieniem, równocześnie próbując założyć spodnie. – Kiedy?

Najchętniej zasypałabym go gradem pytań, czekałam jednak cierpliwie, aż skończy rozmawiać. Serce podchodziło mi do gardła. Szybko się ubrałam i przyczesalam włosy. Przypadkiem zahaczyłam przy tym paznokciem o jedno z doczepianych pasemek i oderwałam je od reszty włosów. Wkurzona odpięłam po kolei wszystkie doczepione kosmyki i rzuciłam je na łóżko. Nareszcie mogłam znowu nacieszyć się krótkimi włosami. Z przyjemnością poczułam na szyi chłód powietrza. Miałam już dość bycia Liz Major.

W końcu Deacon rozłączył się i popatrzył na mnie ponuro.

– Dzwoniła moja informatorka z ratusza – powiedział. – Przenoszą naradę na wieczór. Twierdzi, że zostanie przyjęte nowe rozporządzenie. W efekcie wszystkie nastolatki w tym okręgu zostaną poddane przymusowym badaniom.

– Co takiego? Niby jakim prawem?

– Potraktują to jako precedens. Władze miejskie powołują się na rozporządzenie w sprawie przymusowych szczepień, które wprowadzono, by powstrzymać rozprzestrzenianie się chorób zakaźnych. Żeby wzmocnić to skojarzenie, przywołują wypowiedź jakiegoś lekarza, który uważa, że seria samobójstw jest wynikiem jakiejś mutacji. Twierdzi on, że to zaraźliwe.

– To w ogóle możliwe? – spytałam.

Zachowanie skłaniające do naśladownictwa to przecież nie to samo co choroba zakaźna. Chyba nie można stawiać znaku równości między obydwojma zjawiskami.

– Nie wiem – stwierdził w zamyśleniu Deacon. – O to będziemy musieli spytać Arthura Pritcharda. To on został powołany przez władze na stanowisko eksperta do spraw medycznych.

Kiedy pomyślałam o tych wszystkich dziwnych zbiegach okoliczności, zakręciło mi się w głowie. Każdy mógł kłamać. A z drugiej strony każdy mógł chcieć pomóc. I nie umiałam rozróżnić, co jest

prawdą – może obie możliwości były równie prawdziwe. Spoglądając na Deacona, pomyślałam, że siedzimy w tym razem po uszy. I pomyślałam, że poproszę go o pomoc w realizacji pewnego strasznie głupiego pomysłu. W końcu właśnie na tym między innymi polega miłość.

– Spotkanie w ratuszu odbędzie się dzisiaj, tak? – spytałam, zakładając buty.

– Owszem – odparł powoli. – Ale nie pójdziemy tam. Kiedy wspominałem, że powinniśmy rozmówić się z Arthurem, wygłupiałem się tylko.

Podeszłam do stołu, podniosłam telefon i szybko wybrałam numer Virginii. Zgodziła się nam pomóc pod warunkiem, że my odwzajemnimy się tym samym. Miałam nadzieję, że nie zmieniła zdania.

– Słucham? – rozległ się głos w słuchawce.

Momentalnie poczułam przyływ paniki. Nie chciałam jej zrazić, prosząc o pomoc zbyt wcześnie, wiedziałam jednak, że nie możemy przepuścić takiej okazji.

– Mówi Quinn – stwierdziłam i po drugiej stronie zapadła grobowa cisza. Niezbyt dobrze to wróżyło. Deacon stał podparty pod boki, ciekawy, co wykombinowałam. Kiedy odezwałam się znowu, starałam się nadać swojemu głosowi zdecydowany ton. – Słuchaj, oszukałam cię wcześniej, ale kiedy twierdziłam, że chcę ci pomóc, mówiłam zupełnie poważnie. Okazuje się, że musimy przystąpić do działania już dzisiaj wieczorem. Wchodzisz w to?

Virginia milczała tak długo, że w końcu odsunęłam komórkę od ucha, żeby sprawdzić, czy przypadkiem się nie rozłączyła. Po chwili usłyszałam, jak dziewczyna odchrząkuje.

– A co planujesz?

Odetchnęłam z ulgą. Właśnie wykonałyśmy mały krok we właściwym kierunku.

– Czy twój ojciec przechowuje dokumenty u was w domu? – spytałam, myślą cofając się do mojej ostatniej wizyty w mieszkaniu Marie. Panował w nim straszny bajzel, wszędzie walały się teczki z dokumentami.

– Tata ma gabinet w domu – powiedziała ostrożnie Virginia. – Nie wiem, jakie dokumenty tam trzyma. Ale to właśnie w gabinecie odnalazłam informacje dotyczące Mitchela.

– Świetnie – ucieszyłam się. – Myślisz, że ojciec wchodzi z domowego komputera na firmową skrzynkę mailową?

– Chyba tak.

– W takim razie mam wielką prośbę: czy uda ci się zdobyć hasło do jego skrzynki? Może mogłabyś umieścić niedaleko klawiatury kamerkę i nagrać, jak wpisuje ciąg znaków.

Virginia wybuchnęła śmiechem, jakby wzięła moją propozycję za dobry dowcip.

– Mogę spróbować – powiedziała po chwili. – Nie zamienię się w Jamesa Bonda, ale chyba wiem, od czego mogłabym zacząć.

– Doskonale – stwierdziłam, po czym odetchnęłam głęboko i przysiadłam na brzegu stołu. Deacon posłał mi nieznaczny uśmiech, z którego wyczytałam, że również on zdaje sobie sprawę z tego, jak bardzo obłąkany jest to plan. Czasami zapominałam, jak doskonale umie czytać w moich myślach. Odwróciłam

się tyłem do niego, przyciskając komórkę do ucha.

– I jeszcze jedna sprawa – powiedziałam, zwracając się do Virginii. – Wieczorem włamiemy się do waszego domu.

\* \* \*

O dziwo, Virginia zgodziła się na wszystko bez mrugnięcia okiem. Obiecała, że wychodząc z ojcem na spotkanie w ratuszu, zostawi niezamknięte drzwi garażowe. A niedługo po naszej rozmowie wysłała mi SMS-em hasło do jego konta mailowego. Nie zdradziła jednak, jak weszła w jego posiadanie.

Przed wyjściem zjedliśmy z Deaconem parę kanapek, po czym pojechaliśmy na drugi koniec Roseburga, gdzie usytuowany był skromny dwukondygnacyjny dom Pritchardów. Deacon zaparkował nieco dalej i w oczekiwaniu, aż Arthur i Virginia wyjdą z domu, zaczął grać w jakąś grę na komórce. Ja tymczasem przypatrywałam się garażowi, obgryzając z nerwów paznokcie. Przez głowę przeleciała mi myśl, że Virginia mogła zastawić na nas pułapkę. Zaraz jednak uspokoiłam się, dochodząc do wniosku, że nie miałyby to większego sensu. Tak czy owak, nie znałam prawdziwych intencji Arthura. Liczyłam jednak, że za kilka godzin nareszcie wszystko się wyjaśni.

– Kocham cię – odezwał się Deacon, nie podnosząc oczu znad komórki – ale w tej chwili zachowujesz się strasznie upierdliwie.

Uśmiechnął się, mówiąc to, i wreszcie zerknął na mnie, wskazując brodą mój obgryziony paznokieć. Uświadomiłam sobie wtedy, że ten dźwięk musiał go doprowadzać do szału. Szybko opuściłam rękę.

– A ty się nie denerwujesz? – spytałam. – A co, jeśli Arthur i Virginia nie wybiorą się na tę naradę? Albo pójdą, a my włamiemy się do ich domu i złapie nas policja? Wylądujemy w więzieniu albo, co gorsza, zostaniemy odesłani do domu.

– Z tak optymistycznym nastawieniem jak twoje porażka nie wchodzi w grę.

Rąbnęłam go w odpowiedzi w ramię. Deacon się roześmiał i w końcu oderwał się od gierki na komórce, którą umieścił w uchwycie na kubek.

– Wszystko będzie dobrze – zapewnił mnie nieco poważniejszym tonem. – Mam nadzieję, że nie dręczy cię poczucie winy. Po tym, co ten dupek ci zrobił, masz święte prawo włamać się do jego gabinetu.

– Jak mogłabym się czuć winna, skoro działałam razem z człowiekiem tak moralnym jak ty? – spytałam ironicznie.

Deacon nachylił się, żeby mnie pocałować, a ja położyłam dłoń na jego policzku. W tym samym momencie moją uwagę przykuł jakiś ruch. Odwróciłam się błyskawicznie w stronę domu, tak że Deacon ustami trafił w kącik moich warg. Białe drzwi garażowe przy domu Pritchardów uniosły się, a my odruchowo skurczyliśmy się na siedzeniach. Po chwili ujrzeliśmy, jak Arthur wyprowadza samochód na podjazd. W kabinie widać było dwie postacie. Założyłam, że drugim pasażerem jest Virginia.

Odczekaliśmy w milczeniu, aż odjadą. Kiedy wreszcie ich auto zniknęło za zakrętem, Deacon odwrócił

się do mnie. W jego oczach dojrzałam błysk dzikiej radości.

– Nadszedł... – zaczął, ale od razu weszłam mu w słowo:

– Tylko mi nie mów, że nadszedł czas na zabawę.

Zamknął usta, a ja posłałam mu uśmiech. Jak dobrze, że był ze mną i umiał ukoić moje zszargane nerwy. Naprawdę wolałabym nie być taka przestraszona. Deacon trafił w sedno, kiedy stwierdził, że mam prawo włamać się do gabinetu doktora. Mój strach nie dotyczył tylko tego, że możemy zostać schwytani podczas włamania. Równie wielkim lękiem napawała mnie myśl, co znajdziemy.

## Rozdział ósmy

Ruszyliśmy chodnikiem w kierunku domu. Próbowaliśmy się zachowywać jak zwyczajni przechodnie, tak żeby nie zwracać na siebie niczyjej uwagi i niczym się nie wyróżniać. Wkoło nie widać było żywego ducha, woleliśmy jednak nie rozglądać się zbyt ostentacyjnie, gdyż to również mogłoby się wydać sąsiadom podejrzanym.

Po dotarciu w pobliże posesji Pritchardów zakradliśmy się chyłkiem do garażu. Drzwi garażowe nie były zamknięte na zamek, dokładnie tak, jak obiecała Virginia. Rozejrzawszy się ostatni raz, wślizgnęliśmy się do garażu, a stamtąd przedostaliśmy się do domu.

Co prawda przez większość życia mieszkałam pod jednym dachem z lekarzem, ale nasz dom miał całkiem normalny wystrój. Za to wnętrze domu Arthura Pritcharda przypominało wielki gabinet lekarski. Jakoś wcale mnie to nie zdziwiło.

Wejście do domu od strony garażu prowadziło przez kuchnię. Meble i wystrój kazały się domyślać, że całkiem niedawno była odnawiana. Blaty były z białego marmuru, na ścianach wisiały śnieżnobiałe szafki, a podłogę wyłożono białymi płytkami. Gdy znaleźliśmy się w środku, uderzył mnie intensywny zapach płynów do czyszczenia. Całe to miejsce sprawiało wrażenie nieskazitelnie sterylnego. Zbliżyłam się do zlewu w nadziei, że znajdę w nim jakieś brudne naczynia. Byłby to dowód, że gospodarz tego przybytku jest mimo wszystko żywym człowiekiem. Nic z tego, zlew był tak samo czysty jak cała reszta. Przerazające.

– Cholera – odezwał się Deacon. – Myślisz, że mają gosposię, czy może Arthur jest maniakiem czystości?

– Nie wiem – odparłam. – Ale jeśli jest tak dokładny podczas sprzątanego, całkiem możliwe, że z równie wielką skrupulatnością przechowuje dokumentację pacjentów.

– Tak, a w piwnicy trzyma truposza w plastikowym worku – rzucił Deacon.

Roześmiałam się cicho, po czym ruszyłam niespiesznie w głąb mieszkania.

Virginia nie zdradziła mi, w której części domu znajduje się gabinet jej ojca. Dlatego teraz, szukając go, musieliśmy otwierać i zamykać po kolei wszystkie drzwi. W ten sposób natknęliśmy się na łazienkę i dwie sypialnie. W końcu stanęliśmy na progu niewielkiego pokoiku. Przy oknie stało duże rzeźbione biurko.

Ten pokój, w przeciwieństwie do pozostałych, nie miał białego wystroju. Przy ścianach stały szafy wypełnione książkami. Zgromadzenie takiej ich liczby na niewielkiej przestrzeni sprawiało, że pomieszczenie wydawało się nieco przeładowane. Uznałam, że to ciekawe: sam Arthur rezydował w bogato urządzonej wnętrze, za to swoją córkę skazał na życie w przestrzeni niemal aseptycznej.

Podeszłam szybko do biurka i zaczęłam przetrząsać zawartość szuflad, Deacon natomiast zajął się



szafkami na dokumenty. Ani on, ani ja nie znaleźliśmy nic godnego uwagi. W końcu usiadłam w fotelu na kółkach, a Deacon zajął miejsce na drugim siedzisku, które przyciągnął z kąta pokoju. Przysunęliśmy się do biurka i spojrzeliśmy na komputer.

– No to do roboty – mruknął pod nosem Deacon.

Poruszyłam myszką, żeby uruchomić monitor. Po chwili rozbłysnął i oblał nas błękitną poświatą. Deacon ustawił stoper w swojej komórce na sześćdziesiąt minut. Umówiliśmy się wcześniej, że to limit czasu, jaki możemy spędzić w domu Arthura. Wyjęłam swoją komórkę i wpisałam na klawiaturze komputera kod podany mi w SMS-ie przez Virginie: GINNY1205.

Kiedy na ekranie pojawiła się plansza pulpitu, odetchnęliśmy z ulgą. Podejrzewałam, że hasło jest połączeniem zdrobnienia i daty urodzenia Virginii. Ciekawe, jak ona się czuła z tym, że informacje te stanowią klucz do wspomnień, które odebrał jej ojciec.

Kiedy zerknęłam na Deacona, jego uśmiech zdawał się mówić: *Nie wierzę, że się udało*. Po chwili skupiłam się znów na ekranie i zaczęłam przeglądać po kolei foldery. Liczyłam, że natrafię na taki, który będzie w jakiś sposób powiązany z nami.

– A może ten? – zastanowił się Deacon, wskazując ikonkę folderu podpisaną: BADANIA DOT. S-BÓJSTW.

W środku znaleźliśmy zbiór dokumentów. Po kliknięciu pierwszego z brzegu pokazał się jakiś arkusz, czytało się go jednak trudno, ponieważ w tekście roiło się od poprawek. Na szczęście wiele specjalistycznych terminów, którymi naszpikowany był tekst, znałam jeszcze z czasów szkoleń w wydziale żałoby. Musiała upłynąć chwila, nim przywołałam w pamięci odpowiednie definicje, jednak w końcu czytane zdania zaczęły układać się w logiczne całości.

Przeglądaliśmy opracowania dotyczące serii samobójstw z różnych części świata: Stanów Zjednoczonych, Niemiec, Rosji i Finlandii. Studia te pochodziły sprzed dziesięciu lat; wynikało z nich, że w krajach rozwiniętych w grupie osób między piętnastym a czterdziestym siódmym rokiem życia samobójstwa stanowiły podstawową przyczynę zgonów. We wszystkich analizowanych przypadkach serie te prędzej czy później wygasały bez żadnej widocznej przyczyny. Życie wracało do normalności, a potem przez wiele lat nie notowano kolejnych tego typu incydentów.

Aż do teraz.

Deacon pochylił się nad monitorem, posyłając mi chmurne spojrzenie. Ostatni plik zawierał analizę ostatniej serii samobójstw w Roseburgu. Wynikało z niego, że to, czego jesteśmy tutaj świadkami, stanowi tylko część szerszego procesu. W naszym regionie problem ten faktycznie przybrał większe rozmiary, jednak dotyczył całego kraju. W Oregonie, a więc naszym stanie, umierał obecnie co piąty nastolatek.

Dane te wprowadziły mnie w osłupienie. Tak nie może być, to absolutnie przerażające. Jak to możliwe, że władze nie nagłaśniają tych statystyk? A więc Virginia mówiła prawdę, kiedy twierdziła, że wszyscy jej znajomi już nie żyją.

– Mamy do czynienia z prawdziwą epidemią – odezwał się Deacon, przełykając głośno ślinę. – To dzieje się naprawdę.

Zobaczenie tych danych czarno na białym było prawdziwym szokiem. Jako sobowtóry na co dzień stykaliśmy się ze śmiercią. Wiedzieliśmy, co znaczy i jak oddziałuje na rodzinę zmarłego.

– To najgorsze, co mogło się wydarzyć – powiedziałam. – Może dlatego Arthur zaangażował sobowtóry. My też chcielibyśmy, żeby to się skończyło.

Deacon skinął powoli głową. Twarz miał skąpaną w błękitnej poświacie monitora. W milczeniu przeglądaliśmy kolejne pliki. Natrafiliśmy na kilka opracowań sporządzonych przez państwową agencję epidemiologiczną. Niektóre pliki zawierały analizy dotyczące metod leczenia; wśród nich wymieniano lobotomię, podkreślając jej wady i zalety. Oczywiście Arthur miał inny plan. W historii leczenia chorób psychicznych przez instytucje państwowe były niechlubne karty. Nie chciało mi się wierzyć, żebyśmy mieli teraz wracać do tej archaicznej metody.

W pewnym momencie natrafiłam na folder opisany jako REMEDIUM. Ukryty był wewnątrz innego, większego folderu.

Wszystko wokół mnie przyhamowało jak film odtwarzany w zwolnionym tempie. Palce, którymi obejmowałam myszkę, zastygły w bezruchu. To mogło być to, czego szukaliśmy. Choć równie dobrze mogło się okazać, że to nic takiego. Wiedziałam, że to ostatnia chwila, kiedy mogę odejść, nie sprawdzając, co jest prawdą. Mogę zdecydować, że nie będę zapuszczać się w głąb króliczej nory. Czułam, że Deacon przypatruje mi się bacznie, ale nie odezwał się ani słowem. Nadeszła chwila prawdy. Niewiele myśląc, najechałam kursorem na ikonę folderu i kliknęłam.

Pierwszy plik zawierał listę sobowtórów działających na Wybrzeżu Północno-Zachodnim. Obejmowała ona też sobowtóry pracujące na terenie stanu Waszyngton. Po chwili odnalazłam na niej również swoje nazwisko – nadal figurowałam jako czynny sobowtór. Moje nazwisko nie zostało jednak opatrzone żadną uwagą, z której wynikałoby, że w rzeczywistości wcale nie nazywam się Quinlan McKee. Nie trafiłam na jakikolwiek ślad, że kiedyś byłam kimś zupełnie innym. Rozczarowana sprawdzałam po kolei nazwiska z listy. Reed został oznaczony jako sobowtór na służbie, działający na terenie Tillamook. Nic nie wskazywało, że okłamał mnie podczas naszej rozmowy na parkingu szkolnym. Zarówno Deacon, jak i Aaron opisani byli jako sobowtóry niepracujące już dla wydziału. W kolumnie z nagłówkiem Eugene znalazłam Rogera. Obok jego nazwiska widniała notatka: „Tylko zadania specjalne”.

Lista liczyła trzydzieści pięć nazwisk. W tej liczbie odnotowano dwa przypadki śmierci, których przyczyną było samobójstwo; przyczyny śmierci jednego z sobowtórów nie udało się ustalić. Dopisek poniżej wskazywał, że średnia samobójstw wśród sobowtórów jest znacznie niższa niż w populacji zwykłych obywateli.

W kolejnym pliku znaleźliśmy szczegółowy opis procedury, której podlegał sobowtór mający się stać agentem; w dokumencie opisano też szkolenia, jakim musiał zostać poddany kandydat na agenta. Plan

przewidywał odbycie dodatkowych sesji terapeutycznych, ale w porównaniu z treningiem, jakiemu poddawani byli kandydaci na sobowtóry, szkolenia na agentów nie były zbyt rozbudowane. Miałam rację: byliśmy idealnym rozwiązaniem dla Arthura. Zostaliśmy znakomicie przygotowani, a przy tym zdawaliśmy się względnie odporni na epidemię.

Moją uwagę przykuł zapis dotyczący celu działalności agentów. Na myśl o tym, że tuż obok mnie siedzi mój niedoszły agent, robiło mi się nieswojo. Ciekawe, ile spośród wytycznych spełniał Deacon: „Zadaniem agentów jest wspomaganie pracy terapeutów. W pewnych przypadkach będą nawiązywać bliskie relacje z pacjentem w celu zaradzenia samookaleczeniu. Do zadań agenta należy też prowadzenie obserwacji wśród ludności i wypatrywanie zachowań odbiegających od normy. Ma to służyć przewidywaniu, gdzie nastąpi wybuch kolejnego ogniska epidemii”.

Pomyślałam, że tworzenie nieautentycznych relacji z innymi ludźmi jest działaniem niemoralnym. Zaraz jednak przyszło otrzeźwienie – przecież właśnie na tym polegała działalność sobowtórów. Była ze mnie totalna hipokrytka. Jedynym pocieszeniem było to, że nasi klienci sami zgłaszali się do wydziału żałoby i wynajmowali sobowtóra z własnej woli. Agenci najwyraźniej nie dawali takiej możliwości swoim klientom.

W pewnym momencie Deacon zaczął się nerwowo wiercić, a ja od razu zrozumiałam, że czuje się niezręcznie.

– Nie robiłem wszystkich tych rzeczy, o których tu piszą – odezwał się pełnym skruchy tonem. – Obserwowałem cię, to wszystko. Nie przeszedłem żadnego dodatkowego treningu. Nie tworzyłem fikcyjnych więzów. Nie udawałem, że cię kocham. Po prostu cię kochałem.

– Wiem o tym.

Podziękował mi uśmiechem i po chwili znów oboje spoglądaliśmy w ekran monitora. To wciąż nie były informacje, na których najbardziej nam zależało. Deacon wziął do ręki myszkę i zaczął sprawdzać kolejne foldery.

– Zobaczmy, czy jest tu coś na twój temat – powiedział. W jego głosie czuć było zniecierpliwienie.

Podczas gdy on buszował w komputerze, ja omiotłam jeszcze raz spojrzeniem gabinet doktora. Na półkach stały książki z dziedziny psychologii, psychoterapii oraz parę tomów klasyki literatury, między innymi *Frankenstein*. Bez trudu mogłam sobie wyobrazić, że przypominam istotę z tej opowieści i ścigam teraz własnego twórcę. Nie byłam tylko pewna, czy kieruje mną pragnienie zniszczenia go.

Nadal nie wiedziałam, jak Arthur zamierza powstrzymać epidemię samobójstw. Wykorzystanie agentów było jedynym sposobem, o którym wiedzieliśmy. Przymusowa terapia wydawała się zupełnie irracjonalnym rozwiązaniem, jednak ostatni tydzień dowiódł ponad wszelką wątpliwość, że w obliczu grozy racjonalność przestaje się liczyć. A epidemia samobójstw napawała wszystkich przerażeniem.

W pewnym momencie Deacon zaklął pod nosem.

– Nic tu nie ma na twój temat – westchnął. – Niemożliwe, żeby utrzymywał twoje istnienie w tajemnicy.

– Może jest w tym niezły – powiedziałam.

Deacon zerknął na stoper w komórce – zostało nam dwadzieścia minut.

– Zjrzę do innych pokoi – odezwał się, wstając z fotela. – A potem musimy się zwiijać. Nie uśmiecha mi się perspektywa spotkania z Arthurem Pritchardem w jego nieskazitelnie czystej kuchni.

– Dobrze – powiedziałam, otwierając folder Kosza. – Zaraz do ciebie dołączę.

Na odchodnym Deacon pogładził mnie po szyi i cmoknął szybko w policzek. Po chwili usłyszałam, jak otwiera, a następnie zamyka drzwi prowadzące do następnego pokoju. Skupiłam się z powrotem na plikach.

Musiałam coś przeoczyć. Nie znalazłam też dotychczas żadnej wzmianki na temat Virginii, a przecież winna jej byłam przysługę. Obiecałam, że pomogę jej odzyskać wspomnienia. Miałam już wyjść z folderu Kosz, kiedy moją uwagę przykuł plik opisany jakimś numerem. Pochyliłam się nad monitorem i kliknęłam w ikonkę myszką.

Kiedy odczytałam nagłówek nad tekstem: „Marie Devoroux”, z wrażenia zabrakło mi tchu w piersi.

– Deaconie! – zawołałam.

Lektura pliku poświęconego Marie pochłonęła mnie bez reszty. Deacon nie zareagował na mój krzyk, a ja nawet nie pomyślałam, żeby zawołać go jeszcze raz. Dokument zawierał listę wykroczeń przeciwko etyce doradcy, jakich miała dopuścić się Marie. Poszczególne punkty, łącznie było ich pięć, wydawały się dość enigmatyczne. Dotyczyły zgłoszeń na temat niesubordynacji, a ostatni zawierał informację o zwolnieniu Marie z obowiązków doradczyni. Było to dziwne, gdyż punkt ten nosił dzisiejszą datę, a kobieta zniknęła w czwartek. Nie została wcale wylana z pracy. Wyglądało więc na to, że wydział próbuje zatuszować sprawę jej ucieczki.

Najciekawsze okazały się notatki pod spodem. W polu u dołu strony znalazłam dane adresowe i numer telefonu niejakej Desiree Richardson. Adres wskazywał na Albany, miejscowość oddaloną od siedziby wydziału żałoby, i mojego ojca, zaledwie o dwadzieścia minut jazdy. Jeśli był to pseudonim Marie, znaczyłoby to, że nie uciekła daleko. Moja była doradczyni nie miała rodziny; podejrzewałam, że prócz mojego ojca nie miała nawet żadnych przyjaciół. Może więc nie wiedziała, dokąd pojechać, i nie znalazła w sobie dość siły, żeby samotnie uciec z miasta.

Na wszelki wypadek spróbowałam jeszcze odszukać w pamięci kogoś, kto nazywałby się Desiree Richardson. Chciałam sprawdzić, czy nazwisko to nie łączy się z kimś, kogo odgrywałam w przeszłości. Po chwili byłam już pewna, że nigdy nie spotkałam Desiree. Myśl ta z jakiegoś powodu wydała mi się niepokojąca. Nagle poczułam, że Marie zupełnie się ode mnie odcięła. Zaległa się we mnie obawa, że może tak naprawdę nigdy się dla niej nie liczyłam.

Wyciągnęłam komórkę i uruchomiłam w niej aparat fotograficzny. Zrobiłam maksymalne zbliżenie ekranu, tak żeby zrobić ostre zdjęcie numeru telefonu tajemniczej Desiree. Powtarzałam sobie w myśli, że to musi być Marie. Pewnie Arthur wpadł na jej trop. Nie wiedziałam tylko, co dalej zamierza. Liczyłam jednak, że odzyskam ją, zanim zrobi to on.

Zamknęłam plik, a ponieważ sprawdziłam już wszystkie foldery, wyłączyłam komputer. Nie miałam pojęcia, co powiedzieć Virginii. Pomogła nam się dostać do środka, a ja nie miałam jak jej się zrewanżować. Wstałam w końcu od stołu i odsunęłam fotel. Zanim odeszłam, sprawdziłam dokładnie, czy nie zostawiłam żadnych śladów swojej bytności. Nie wiedziałam co prawda, jak spostrzegawczy jest Arthur Pritchard, ale coś mi podpowiadało, że muszę uważać.

Wyjrzałam na korytarz, próbując się zorientować, w którą stronę poszedł Deacon. W domu panowała grobowa cisza, a ja nie wiedziałam, ile czasu nam jeszcze zostało.

– Deaconie! – zawołałam, ale znów nie doczekałam się żadnej odpowiedzi.

Zaniepokojona weszłam do kuchni. Gdy tylko przekroczyłam jej próg, drzwi łączące dom z garażem się uchylily. Serce zamarło mi w piersi z przerażenia.

## Rozdział dziewiąty

Virginio? – rzuciłam na powitanie, starając się dojrzeć nad jej ramieniem, czy jest sama.

Ze strachu nogi miałam jak z waty. Zatoczyłam się do tyłu i musiałam wesprzeć się na marmurowym blacie, żeby nie stracić równowagi. Kątem oka zobaczyłam, że za oknem zrobiło się już ciemno. *Za bardzo się guzdraliśmy.*

– Spokojnie – odezwała się Virginia, unosząc ręce. – To tylko ja. Pod koniec spotkania w ratuszu zamówiłam taksówkę. Ojciec zjawi się za jakiś kwadrans. Musisz wiać.

Serce waliło mi w piersi jak młot. Kiedy się odezwałam, mój głos zabrzmiał jak szept.

– O cholera – jęknęłam, podnosząc dłoń na wysokość piersi. – Ja... ja...

Nagle usłyszałam za sobą kroki. Spanikowana odwróciłam się błyskawicznie i w głębi korytarza zobaczyłam zbliżającego się Deacona. Uśmiechał się niepewnie, jakby chciał spytać, czy wszystko gra. Jego spojrzenie zatrzymało się na Virginii i stanął jak wryty.

Moje serce ani na moment nie zwalniało szaleńczego biegu. Opanował mnie tak przemożny lęk, że nie byłam w stanie wydusić z siebie słowa. Poczułam, że przestaję radzić sobie ze stresem. Dane dotyczące epidemii, a teraz jeszcze nagła trwoga, że zostałam przyłapana na włamaniu – wszystko to nagle mnie przerosło.

Zrobiło mi się ciemno przed oczami. Pomyślałam, że to cień kogoś, kto wszedł do kuchni. W następnej sekundzie dołączył do niego kolejny cień. A po nim jeszcze jeden. Wtem poczułam rozdzierający ból głowy. Był on tak potężny, jakby ktoś zdzielił mnie kijem baseballowym.

Zatoczyłam się do przodu i zobaczyłam, że podłoga wybiega mi na spotkanie. W tym samym momencie resztkami przytomności zarejestrowałam, że Deacon wymawia moje imię. Zanim upadłam na podłogę, do mojej świadomości przedarło się wspomnienie.

Byłam w domu Deacona. Leżałam na podłodze zwinięta w kłębek i przyciskałam czoło do desek parkietu, próbując ukoić ból, który rozsadzał mi głowę. W pewnym momencie rozległ się dzwonek do drzwi. Deacon ruszył biegiem do sieni i po chwili wrócił w towarzystwie mojego ojca. Tłumaczył mu coś podniesionym, przejętym głosem. Gdy tylko Tom zjawił się w pokoju, spróbowałam usiąść na podłodze. Przepełniał mnie gniew, ponieważ wiedziałam już, że ten mężczyzna wcale nie jest moim prawdziwym ojcem. Wiedziałam też, po co przyszedł.

– Nawet nie próbuj... – warknęłam, pełznąć w stronę kanapy.

Niewiele widziałam, przed oczami tańczyły mi cienie, a w świadomości migotały jedno za drugim odblokowywane wspomnienia.

Deacon spojrzał na mnie z niepokojem, ale już po chwili zrelacjonował Tomowi, że zaczęłam krwawić z nosa, a chwilę potem pojawił się ból głowy. Deacon nie wiedział, co robi, ale i tak miałam poczucie,

że mnie zdradza.

– Deaconie, wyjdź stąd – odezwał się spokojnym głosem Tom. Mówiąc to, nie spoglądał na niego, wzrok przez cały czas utkwiony miał we mnie. – Zajmę się tym. Odwiozę córkę do domu.

Widziałam, że Deacon bije się z myślami. Kiedy Tom zrobił krok w moją stronę, chwycił go za łokieć i spytał, co to wszystko znaczy.

– Tak się dzieje, kiedy sobowtór za bardzo z kimś się zwiąże – wyjaśnił uszczypliwie Tom. – Ostrzegalem cię, ostrzegalem was oboje.

Deacon puścił jego rękę i spojrzał znów na mnie. Wyglądał na przybitego. Domyślałam się, co widzi, kiedy na mnie patrzy: twarz miałam mokrą od łez, z nosa znów sączyła mi się krew. Pomyślał pewnie, że padłam ofiarą psychozy. I uznał, że stało się to z jego winy.

– Deaconie, wynoś się stąd! – warknął Tom. – Wiem, czego potrzebuje moja córka.

Po tych słowach spojrzał znów na mnie, a ja zacisnęłam zęby. Byłam w tej chwili zdeterminowana – wiedziałam, że gdy odzyskam siły, zacznę walczyć, żeby wydostać się na wolność.

W końcu Deacon wyszedł i zostawił mnie w pokoju sam na sam z kłamcą. Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, Tom McKee wyciągnął z kieszeni strzykawkę. Chwilę potem poczułam ukłucie w ramię, a zaraz po nim jeszcze gorsze pieczenie. Wiedziałam już wcześniej, że Tom nie jest moim prawdziwym ojcem; wiedziałam też, że on i Marie wykorzystali mnie, jednak teraz poczułam się na nowo zdradzona. Nagle stałam się znów jak dziecko. Samotne i przerażone.

– Proszę, nie... – szepnęłam, kiedy świat zatańczył mi przed oczami. – Oszczędź mi tego tym razem...

Tom zmarszczył brwi, a w jego oczach dojrzałam cień współczucia.

– Nie mam wyboru, skarbie – powiedział.

\* \* \*

Deacon zdołał schwycić mnie pod ramię, zanim upadłam na podłogę w kuchni domu Virginii Pritchard. Byłam półprzytomna, niemal straciłam świadomość. Postawił mnie do pionu i próbował ocucić, kładąc mi dłoń na policzku. Powoli odzyskałam przytomność. Przez chwilę wpatrywałam się w jego piwne oczy, nie bardzo rozumiejąc, gdzie jesteśmy. I co tu robimy.

Wspomnienie, które przed chwilą odzyskałam, zapadło jednak w moją pamięć. Wróciło do mnie wrażenie sprzed ośmiu i pół miesiąca, kiedy poczułam się zdradzona.

– Wiedziałam, że Tom nie jest moim ojcem – szepnęłam, a do oczu napłynęły mi łzy.

– Co takiego? – spytał Deacon, mimo woli zaciskając mocniej palce na moim ramieniu.

– Pamiętasz dzień, kiedy przyszłam do ciebie, a ty zadzwoniłeś po mojego ojca, żeby mnie zabrał? Miałam wtedy załamanie. Teraz już rozumiem, co je spowodowało: przypomniałam sobie wtedy, że jestem sobowtórem odgrywającym rolę zmarłej córki Toma. Musiałam też przypomnieć sobie coś jeszcze, bo przepełniał mnie naprawdę wielki gniew. Nie wiem jednak, co to było. Tom sprawił, że znów

wszystko zapomniałam.

Dobiegł nas brzęk przewracanych naczyń. Virginia zatoczyła się i wsparła o stół, potrącając stojącą na nim zastawę. Wpatrywała się we mnie szeroko otwartymi oczami.

– Co on ci zrobił? Jak sprawił, że straciłaś pamięć?

– Nie wiem dokładnie – odparłam słabym głosem. Nadal czułam łupanie w czaszce, tuż nad uchem. Na szczęście widziałam już wyraźnie i mogłam utrzymać równowagę. – Ale pewnie padłam ofiarą tych samych zabiegów co ty.

– Wiesz, co mi się przytrafiło? – spytała błagalnym głosem Virginia. – Dowiedziałaś się, jakie wspomnienia wymazano mi z pamięci?

Od razu wyczułam, że Deacon się spina. Wiedział, że nie zdołałam znaleźć tego, co obiecałam Virginii. Ja jednak nie umiałam w tej chwili złamać jej serca. Musiałabym zмагаć się wtedy z jej reakcją, tymczasem właśnie przed momentem odkryłam kolejny element mojej własnej układanki. Liczyłam, że to, co jest pomocne dla mnie, okaże się takie również dla Virginii. Obawiałam się jednak, że dziewczyna może tego nie zrozumieć.

– Wpadliśmy na pewien trop – powiedziałam. – Teraz musimy sprawdzić, dokąd nas zaprowadzi.

Kiedy Deacon spojrział na mnie ze zdziwieniem, posłałam mu przeproszające spojrzenie. Twarz Virginii za to rozświetlił radosny uśmiech. Poczułam się jak potwór – okłamywałam ją, udając, że pozyskane przez nas informacje mają jakiś związek z nią, podczas gdy w rzeczywistości nie miały żadnego.

– Co to za trop? – spytała. – Mogę wam jakoś...

Kiedy to mówiła, podjazd pod domem omiotły snopy przednich świateł wjeżdżającego samochodu. Przez chwilę rozświetliły wnętrze salonu.

Instynktownie schowaliśmy się wszyscy, kucając za kontuarem. Rozległ się szcęk otwieranych drzwi garażowych.

– To mój tata – jęknęła Virginia i puściła się biegiem do przesuwanych szklanych drzwi prowadzących na tylny taras. – Szybko, tędy. Obejdziecie budynek od tyłu. Brama zamknięta jest na kłódkę, więc będziecie musieli przeleźć przez płot.

– Fantastycznie – mruknął Deacon.

Jedną ręką obejmował mnie w talii. Kiedy zdołałam pewniej stanąć na nogach, pobiegliśmy ku drzwiom i wymknęliśmy się na taras.

– Przedzwonię do ciebie później – szepnęła Virginia, zamykając za nami drzwi.

Gdy tylko zbiegliśmy po schodkach z werandy na trawnik, zobaczyliśmy przez okno, że w kuchni rozbłyły światła.

Przystanęliśmy z Deaconem w miejscu, gdzie byliśmy zupełnie niewidoczni, i patrzyliśmy, jak Virginia plecami opiera się o drzwi i mówi coś, żywo gestykułując. Na szczęście ani razu nie spojrzała w naszą stronę. Chwilę później naprzeciw niej stanął Arthur.



– Lecimy – popędziłam Deacona, ciągnąc go za ramię.

Szybko obiegliśmy budynek i mijając kubły na śmieci, dotarliśmy do bocznej bramy. Tak jak uprzedziła nas Virginia, zamknięta była na kłódkę.

Deacon podsadził mnie i po chwili zdołałam postawić jedną nogę na szczytce bramy. Podciągnęłam się, zeskoczyłam i wylądowałam całkiem zwinnie po drugiej stronie. Kiedy moje stopy zetknęły się z gruntem, usłyszałam ciche chrupnięcie w kolanach. W następnej chwili tuż obok wylądował Deacon. Chwycił mnie za rękę i pociągnął w stronę czekającego na nas nieopodal samochodu. Zanim Arthur w ogóle zdążyłby wyjść z domu, żeby nas poszukać, bylibyśmy już daleko, uciekając pod osłoną nocy.

Gdy wsiedliśmy do samochodu, Deacon uruchomił silnik i ruszył. Światła włączył dopiero, kiedy minęliśmy dom Arthura. Oboje byliśmy zziązani, w naszych żyłach nadal krążyła adrenalina po tym, jak nieomal wpadliśmy na doktora. Przejechawszy jedną przecznicę, Deacon zwolnił i zahamował między jakimiś dwoma budynkami.

Przez chwilę siedzieliśmy w całkowitej ciszy. Mogłam się teraz zastanowić nad tym, co sobie przypomniałam. Nad tym, jak bardzo zdradzona się wtedy poczułam. Co prawda domyślałam się już wcześniej, że ktoś manipulował moją pamięcią, jednak dopiero teraz zyskałam pewność, czemu to służyło: nie chodziło o moje dobro, o zapewnienie mi bezpieczeństwa, tylko o kontrolowanie mnie.

– Boję się – rzekł Deacon cichym głosem. – Kiedy zasłabłaś w domu Virginii, nie wiedziałem, co się z tobą dzieje. Quinn, nie jestem w stanie sam zapewnić ci bezpieczeństwa. Potrzebujemy pomocy. I to bardzo.

Co prawda umieliśmy się troszczyć o siebie nawzajem, ale ta sytuacja nas przerastała. Nie byłam już pewna, czy mogę polegać na sobie samej. Jeśli ktoś faktycznie grzebał w mojej pamięci, nie mogłam nikomu ufać. Przecież wszyscy ludzie, którzy byli mi kiedyś bliscy, mogli mnie zdradzać, a ja nawet nie wiedziałabym o tym, bo ktoś mógłby ukraść mi związane z tym wspomnienia.

– Wiem, do kogo zadzwonimy – odezwałam się, wyjmując z kieszeni komórkę.

Jednak już po chwili cała moja odwaga znikła bez śladu. Nagła fala smutku odjęła mi mowę. Przestraszyłam się, że jestem o krok od następnej psychozy. Zbyt dużo działo się ostatnio w moim życiu; może byłam za słaba, żeby sobie z tym wszystkim poradzić? Może będę kolejną ofiarą epidemii?

– Quinn? – odezwał się Deacon. W jego głosie pobrzmiwał niepokój.

Zamknęłam oczy. Wiedziałam, że muszę wyzbyć się strachu, jeśli mam dalej działać racjonalnie. Musiałam na powrót stać się sobowtórem, najlepszym z najlepszych. A w tym celu musiałam znowu nauczyć się wyłączać uczucia.

– Nic mi nie jest – powiedziałam, unosząc powieki.

Zaczęłam przeglądać zdjęcia w telefonie. W końcu powiększyłam to zrobione w gabinecie Pritcharda i zaczęłam wystukiwać sfotografowany numer na klawiaturze. Włączyłam zestaw głośnomówiący. Po chwili w kabinie rozległ się sygnał oczekiwania na połączenie. Po każdym sygnale moje serce zdawało się bić jeszcze szybciej.

– Do kogo dzwonisz?

– Do Marie – powiedziałam bezbarwnym głosem. – Chyba znalazłam na nią namiar.

Deacon spojrział ze zdumieniem na moją komórkę, jednak nie odezwał się ani słowem.

Wspomnienie tamtego dnia, kiedy ojciec przyjechał po mnie do jego domu, utkwilo mi w świadomości niczym drzazga w palcu. Wiedziałam, co muszę teraz zrobić: nadeszła pora wytropić osobę, która jako jedyna mogła wypełnić informacjami białe plamy w mojej pamięci. Przestało się liczyć wszystko, przez co przeszłam. Musiałam porozmawiać z Marie. Być może była to moja ostatnia szansa.

## Rozdział dziesiąty

**K**iedyś Marie była osobą, do której zwracałam się z prośbą o radę. Było to w czasach, kiedy jeszcze nie znałam Deacona i Aarona. Wówczas miałam przy sobie tylko dwoje ludzi: Marie i mojego tatę. Prawdę mówiąc, czasami marzyłam nawet, żeby wzięli ślub. Marie mogłaby się wtedy do nas wprowadzić. Ale oni byli tylko przyjaciółmi i powiernikami. Spiskowcami.

W głośniku komórki rozległo się donośne kliknięcie, kiedy ktoś po drugiej stronie odebrał telefon.

– Cześć, Marie – powiedziałam chłodnym tonem.

– Szybko się uwinęłaś – odparła Marie.

Był to ten sam głęboki, kochający głos, który słyszałam przez tyle lat. Wydawało mi się, że jestem na niego przygotowana, jednak wrażenie i tak było olbrzymie. Zanim zdołałam wydusić z siebie słowo, po policzkach popłynęły mi łzy.

– Wiem, skarbie – szepnęła Marie. – Przepraszam, że nie uprzedziłam cię wcześniej.

Przez chwilę pozwalała mi się wypłakać. W pewnym momencie usłyszałam, jak siedzący obok Deacon też pociąga nosem. Nasza praca wymagała, byśmy oboje byli twardzi. Niejedno widzieliśmy w życiu. Kiedy jednak chodzi o rodzica, o najbliższego człowieka, sprawy się komplikują. I ja, i Deacon zawsze kochaliśmy Marie. Była dla nas jak matka. Dlatego wszystkie pytania, jakie chciałam jej zadać, wydawały się tym bardziej bolesne. Próbując wziąć się w garść, otarłam szybko mokrą od łez twarz.

– Marie, nie rób tego – odezwałam się. – Nie udawaj, że nagle zaczęło ci zależeć. Chcę poznać prawdę. Całą prawdę.

– Quinn, nie dopuść do tego, żeby złość dyktowała ci, co masz myśleć. Szkoliłam cię, jak tego unikać – przypomniała Marie. – Życie jest skomplikowane, czasami jesteśmy zmuszeni kłamać, ale to nie znaczy, że przestało nam na kimś zależeć. Te dwie sprawy wcale się nie wykluczają. Powinnaś to już dawno zrozumieć.

Czułam, że w tym, co mówi, jest ziarno prawdy. Usiadłam prosto w fotelu i obrzuciłam spojrzeniem Deacona. Przysłuchiwał się słowom Marie ze zwieszoną głową. Najchętniej urządziłabym jej scenę przez telefon; zaczęłabym się na nią wydzierać i płakać. Wiedziałam jednak, że byłaby to zwyczajna dziecinada, zachowanie takie świadczyłoby o mojej słabości. A ja musiałam być silna.

– Okłamywałaś mnie przez tyle lat – odezwałam się po chwili opanowanym głosem. – Jak mogłaś mi to zrobić? Co z ciebie za człowiek?

– To, jakim jestem człowiekiem, nie ma żadnego wpływu na to, kim jesteś.

– A kim jestem? – spytałam, a moje serce przyspieszyło.

– Nie wiem – odparła krótko Marie. – To znaczy nie wiem, gdzie cię znalazł.

Ten nienazwany „on”, o którym mówiła, to był oczywiście Arthur Pritchard. Nagle poczułam się

kompletnie zdołowana. Liczyłam chyba, że moja była doradczyni udzieli mi konkretnej odpowiedzi, ale nic z tego.

– W porządku – rzekłam po chwili. – Może zacznijmy od samego początku. Po śmierci Quinlan McKee zjawiała się u Arthura. Co ci wtedy powiedział? Dlaczego zgodził ci się pomóc? Tylko błagam: nie mów, że zrobił to z dobrego serca.

– Musisz zrozumieć, że oboje z twoim ojcem byliśmy pogrążeni w żałobie. Kiedy umarła jego córka, zaważyło się całe nasze życie. Kochałam Quinlan jak własne dziecko.

Słowa te sprawiły, że poczułam ukłucie zupełnie irracjonalnej zazdrości: jak to możliwe, żeby Marie kochała Quinlan bardziej niż mnie? Nie dałam jednak nic po sobie poznać. Zazdrość o nieżyjącą dziewczynkę była przecież zupełnie absurdalna.

– Nie miałam dzieci, a twój ojciec... – Marie zawahała się na moment, szukając właściwych słów. – Ojciec Quinlan był moim przyjacielem. Byłam jak członek ich rodziny. I nagle jego ukochana dziewczynka i jej matka zginęły. Zostaliśmy sami, zupełnie zdruzgotani. Postanowiłam wtedy, że pójdę do Arthura Pritcharda błagać go o pomoc. On też niedawno stracił żonę, dlatego sądziłam, że mnie zrozumie. I zrobi wyjątek.

– Jaki wyjątek? – dopytałam, ściskając mocniej komórkę.

– Nie zależało mi na sobowtórze, który byłby z nami tylko przez pewien czas. Chciałam odzyskać moją Quinlan – powiedziała łamiącym się głosem. – Chciałam moją małą dziewczynkę.

– Więc ty to wszystko zaplanowałaś? – spytałam. – To był twój plan, żeby zatrzymać mnie na zawsze? Sądziłam, że to pomysł Arthura. Sądziłam, że to on jest potworem. Teraz okazuje się, że to ty.

Marie pociągnęła nosem, ale nie próbowała zaprzeczać. Przynajmniej wreszcie była ze mną szczerą, dobre i to. Deacon chwycił mnie za rękę. Rozluźniłam też palce drugiej dłoni, w której ściskałam komórkę, i położyłam ją na kolanie.

– Próbowaliśmy najpierw z dwiema innymi dziewczynkami – odezwała się Marie mocniejszym głosem. – W tamtym czasie dzieci nie wykorzystywano jeszcze jako sobowtórów. Uważano, że narażanie ich na coś takiego byłoby niemoralne.

Zareagowałam gniewnym parsknięciem. Przecież Marie i mój ojciec koniec końców zgotowali mi właśnie taki los, przed którym rzekomo chroniono wtedy dzieci. Kwestie etyki guzik ich obchodziły.

– Dlatego te pierwsze dziewczynki były starsze, miały prawie po dziesięć lat. Kilka godzin po przyjeździe do nas zaczynały płakać. Nie umiały związać się z nową rodziną. Spytałam Arthura, czy da się temu jakoś zaradzić.

Poczułam mdłości. Marie używała tego wypranego z uczuć języka, by opowiedzieć, jak mnie porwali. Nie mogłam tego znieść.

– Gdzie mnie znalazł?

– Mówiłam ci, że nie wiem, skąd pochodzisz – odparła. – Byłaś wtedy pod kuratelą państwowej instytucji, prawo do opieki nad tobą miał jednak Arthur.

Wzdrygnęłam się i spojrzałam szybko na Deacona. Na jego twarzy odmalował się szok.

– To znaczy? – spytałam, spoglądając na komórkę. – Dlaczego miał prawo do opieki nade mną?

– Twierdził, że potrzebuje cię w pracy. I że jesteś nadzieją dla przyszłych sobowtórów. Miałaś być ulepszoną wersją sobowtóra. Zgodził się przyprowadzić cię do nas. Poprosił, żebym przygotowała Toma na spotkanie z tobą. Obiecał, że wszystkim się zajmie.

Gorączkowo próbowałam ogarnąć to wszystko umysłem. Czyżbym przed trafieniem do domu Toma żyła z Arthurem i jego rodziną pod jednym dachem? Czy może trzymał mnie w jakimś laboratorium i przeprowadzał na mnie eksperymenty? Może faktycznie byłam jakimś potworem Frankensteina?

– Znał moich rodziców?

– Naprawdę nie wiem – westchnęła Marie. – Powinnam była go zapytać. Przepraszam, że tego nie zrobiłam. Byłam wtedy w strasznym stanie. Chciałam tylko poczuć się lepiej. Zrobiłabym wszystko, żeby przestać cierpieć. Kiedy zabraliśmy cię do domu, wydział żałoby, którym kierował wtedy Arthur, dał nam do podpisu dokument, w którym zobowiązaliśmy się, że nigdy nie będziemy dochodzić prawdy o twojej przeszłości. Gdybyśmy złamali umowę, wydział by nas zniszczył.

– Ale przecież i tak ją zламаłaś.

– Tak. Zostawiłam ci twoją teczkę, a w ten sposób pokrzyżowałam plany wydziałowi. I właśnie dlatego teraz mnie ściga. Domyślam się, że właśnie w ten sposób wpadliście na mój trop.

– Twoje dane znalazłam w pliku na komputerze Arthura.

– Chyba nie chcę wiedzieć, jak dostaliście się do jego domu – rzuciła Marie, parskając śmiechem. – Ale cieszę się, że się wam udało. Wydział żałoby wkrótce mnie odnajdzie. Za bardzo im podpadłam. Złamałam postanowienia kontraktu, dlatego mają prawo wymazać mi pamięć. Nie zabiją mnie, po prostu odbiorą mi tożsamość.

Deacon zacisnął dłonie w pięści. Oboje poczuliśmy chyba, jak budzi się w nas instynktowna potrzeba chronienia tej kobiety. Wbrew wszystkiemu Marie była przecież nadal jedną z nas. A my zawsze chroniliśmy swoich.

– Porozmawiaj z moim ojcem. Może on mógłby ci pomóc? – zaproponowałam. – Albo Arthur?

– Zarząd wydziału nie będzie w tej sprawie ryzykował. Wszystkim nam grozi teraz niebezpieczeństwo: każdemu sobowtórowi, każdemu doradcy. Są tylko dwie możliwości. Albo działamy po ich stronie, albo stanowimy dla nich problem. Wydział żałoby wdraża w życie pewien wielki plan, którego realizację zapoczątkował Arthur. Przewiduje on wykorzystanie agentów. Jeśli nie zgodzisz się na zostanie agentem, pozbawią cię tożsamości.

Kątem oka widziałam, że Deacon poruszył się niespokojnie, jak ktoś dręczony wyrzutami sumienia. Odwróciłam się w drugą stronę. Myśl, że siedzi obok mnie „agent”, wydawała mi się w tej chwili nie do zniesienia.

– Kolejny raz – poprawiłam Marie. – Chciałaś powiedzieć, że kolejny już raz pozbawią mnie tożsamości. Tylko że ja zaczynam sobie przypominać, kim byłam.

Zrobiłam teraz to, co robiłam niezliczoną ilość razy w przeszłości – zaczęłam się zwierzać Marie. Pewnie z przyzwyczajenia albo pod wpływem odebranego treningu. Tak czy inaczej, cudownie było znów być z nią szczerą. – Miewam przebłyski pamięci. Towarzyszy im krwawienie z nosa i bóle głowy. Powoli wraca mi pamięć, i to nie tylko z okresu, kiedy miałam sześć lat. Marie, przyznaj się, byłam poddana wymazywaniu pamięci więcej niż raz, prawda? Ile dokładnie razy Arthur Pritchard mi to zrobił?

Zanim kobieta się odezwała, upłynęła przeraźliwie długa chwila.

– Pięć razy – powiedziała w końcu. – Po tym, jak zrobiliśmy z ciebie Quinlan, wymazywał ci pamięć jeszcze pięć razy.

To było niczym potężny cios w pierś. Musiałam zakryć usta dłonią. Miałam wrażenie, że spełnia się mój największy koszmar – nic we mnie nie było prawdziwe. Byłam nikim. Zostałam wyzerowana i stworzona od nowa tyle razy, że w gruncie rzeczy nie pozostało już nic z dawnej mnie.

Kiedy Marie odezwała się znowu, wyczułam w jej wypowiedzi wyuczone techniki, które stosowaliśmy, kiedy trzeba było kogoś pocieszyć: robiła celowo dłuższe pauzy między zdaniami, używała łagodniejszego, lecz równocześnie zdecydowanego głosu. Nie broniłam się przed tym. Zachowywałam się teraz jak moi dawni klienci – podświadomie uznałam, że w tej chwili potrzebuję tych zabiegów. Bez nich nasza rozmowa byłaby piekielnie trudna.

– Arthur ostrzegał nas wielokrotnie – podjęła po chwili Marie – że przedostające się do świadomości, wyparte wspomnienia mogą spowodować załamanie. Uprzedzał, że jeśli do tego dojdzie, nigdy już nie wrócisz do pełni sił. Wspomnienia jednak nadal powracały. Z czasem zaczęliśmy z twoim ojcem podejrzewać, co jest tego powodem: to twoje zlecenia, a konkretnie stres, który przeżywałaś podczas nich. Postanowiliśmy wtedy, że damy ci więcej luzu. Przestałam nawet dodawać substancje psychoaktywne do herbaty, którą cię częstowałam, kiedy mnie odwiedzałaś. W pewnym momencie okazało się, że musisz znowu wziąć zlecenie. To, które miało być twoim ostatnim. Arthur zmusił nas, żebyśmy zgodzili się puścić cię do pracy o wiele wcześniej niż zwykle. Nie wiem, dlaczego to zrobił. Pewnie chodziło o twoją udokumentowaną skuteczność. I proszę bardzo, minęło trochę czasu i jesteś o krok od przypomnienia sobie swojej przeszłości.

– Jak dużo pamiętałam kiedyś? – spytałam. – Pamiętałam, kim byli moi biologiczni rodzice?

– Nie wiemy, co dokładnie sobie przypominałaś. Nie ufałaś nam na tyle, żeby o tym mówić.

– W takim razie może chociaż powiesz mi, co takiego Pritchard robił, że zapominałam? – spytałam. Czułam, że powoli zaczyna narastać we mnie desperacja.

– Nie wiem. Zabieraliśmy cię do niego, wiernie wypełniając instrukcje. A kiedy wracałaś, czułaś się lepiej. Tak jakby koszmar poprzednich dni był tylko złym snem. Uważaliśmy wtedy z Tomem, że postępujemy słusznie. Chodziło nam tylko o to, żeby cię chronić. I żebyś dalej była naszą kochaną Quinlan.

– Nigdy nie byłam waszą Quinlan! – warknęłam. – A tak nawiasem mówiąc, mimo że nie potrzebuję dodatkowych dowodów na to, jak bardzo zdeprawowanym człowiekiem jest Arthur Pritchard,

podejrzewam, że nie jestem jedyną ofiarą jego eksperymentów.

– To znaczy?

– To samo zrobił swojej córce, Virginii – wyjaśniłam. – Wymazał z jej pamięci część wspomnień. Dziewczyna odchodzi przez to od zmysłów. Jakim trzeba być człowiekiem, żeby zrobić coś takiego własnemu dziecku?

– Człowiekiem, który zmusza nas do podpisania kontraktów, z których wynika, że jeśli sprzeciwimy się jego woli, wymaze również naszą pamięć – rzuciła Marie. Odniosłam wrażenie, że moje słowa wytrąciły ją z równowagi. Zaraz jednak wzięła się w garść. – Przepraszam, Quinn. Nie masz pojęcia, od jak dawna czekałam, żeby ci o tym wszystkim powiedzieć. Tak samo zresztą jak twój ojciec. Dopiero niedawno zrozumiałam, że nasze milczenie nie zapewnia ci już bezpieczeństwa. I kiedy uświadomiłam to sobie... pozwoliłam ci odejść. Dla twojego dobra wyrzekłam się całego mojego dotychczasowego życia.

Wiedziałam, że może to być z jej strony tylko szantaż emocjonalny, mimo to jednak czułam się winna, że znalazła się w tak trudnym położeniu.

– I co teraz będzie? – spytałam. – Arthur wie już, gdzie się ukrywasz. Może odnalazł też mojego ojca. Rozmawiałaś z nim?

Marie zamilkła, a ja oczami wyobraźni ujrzałam, jak rozgląda się po zastawionym pewnie tysiącem drobiazgów pokoju, w którym się zatrzymała, upewniając się, że nikt jej nie podsłuchuje.

– Nie – powiedziała w końcu. – Przepraszam. Nie mam kontaktu z Tomem. Jeśli jednak dopadł go wydział...

Urwała w połowie zdania, a ja poczułam nagły przypływ paniki. Nie mogłam przecież nawet do niego zadzwonić. Nie mogłam sama sprawdzić, jak się ma.

– A jeśli ścigają tylko nas, co powinniśmy zrobić? – spytałam.

– Możecie po prostu uciec.

Deacon spojrzał na mnie wymownie. Wiedziałam, że najchętniej namówiłby mnie właśnie do tego.

– I pozwolić, żeby Arthurowi uszło to wszystko na sucho? Ten człowiek manipulował moją pamięcią i pamięcią swojej córki. Skradł moje prawdziwe życie, a ja miałabym teraz zostawić go w spokoju? Nie, nie zrobię tego. Chcę poznać prawdę. Poza tym prócz nas jest jeszcze mnóstwo innych sobowtórów. Mamy zostawić ich, a sami uciec?

Nie od razu odpowiedziała. Kiedy w końcu się odezwała, głos miała przepełniony smutkiem.

– Przez całe życie pomagałam rodzinom, równocześnie chroniąc sobowtóry. W każdym razie robiłam, co mogłam, żeby nie stała im się krzywda. A koniec końców i tak pozwoliłam, by mój egoizm wszystko zniszczył. Wydział żałoby jest skorumpowany, a moim podopiecznym grozi niebezpieczeństwo. Tak naprawdę, Quinn, znaczenie ma nie to, kim byłaś na początku, ale to, kim ostatecznie się stałaś. Obawiam się, że was zdradziłam. Was wszystkich. Nie takim człowiekiem chciałam być. Chcę teraz to naprawić na tyle, na ile mogę.

– Ale jak? – spytałam.

– Odzyskamy twoją tożsamość, jednak najpierw musimy zająć się czymś innym. Trzeba ostrzec pozostałe sobowtóry pracujące dla wydziału. One też powinny móc dokonać świadomego wyboru: uciec albo dalej pomagać rodzinom. Musimy przy tym zachowywać się dyskretnie, żeby nie wzbudzać podejrzeń wśród tych sobowtórów, które działają już jako agenci. Nie wiemy teraz, kto jest kim. Kiedy już zbierzemy grupę, której możemy zaufać, zastanowimy się, co dalej. Naszym ostatecznym celem jest powstrzymanie Arthura Pritcharda. Miejmy nadzieję, że to wystarczy, by pogrążyć również cały wydział żałoby.

Natchniona przemowa Marie obudziła we mnie odwagę. Oczywiście pragnęłam dowiedzieć się, kim naprawdę jestem oraz odzyskać skradzione wspomnienia Virginii, jednak w pierwszej kolejności zobowiązana byłam nieść pomoc innym sobowtórom. Nadarzała się okazja, żeby ich ochronić.

– Dobra, wchodzę w to – powiedziałam.

Spojrzałam wyczekująco na Deacona, ciekawa, czy też się zdecyduje. Namyslał się przez długą chwilę, w końcu jednak uśmiechnął się kącikiem ust, jakby mówił: *W sumie robiliśmy już bardziej zwariowane rzeczy, więc czemu nie?*

– Jesteś z Deaconem, prawda? – odezwała się Marie.

– Tak – przyznałam, uśmiechając się na myśl o tym, jak świetnie mnie zna.

– Cześć, Marie – przywitał się Deacon. W jego słowach dało się wyczuć rezerwę.

– Deaconie, chcę, żebyś skontaktował się z Tabithą. Masz na nią jakieś namiary? Ona też zniknęła.

– Owszem, mam. Zostawiłem jej teczkę u... – zawahał się na moment – ...u mojego brata.

Serce zamarło mi w piersi. Posłałam mu oskarżycielskie spojrzenie. Wiedziałam, że wyczuł na sobie mój zdumiony wzrok, jednak nie chciał spojrzeć mi w oczy.

– Świetnie – ucieszyła się Marie. – Zdobądź tę teczkę. Quinlan, proszę, żebyś nie angażowała w naszą misję Aarona, rozumiano?

– Chwileczkę, dlaczego?

– To już go nie dotyczy. Aaron dokonał wyboru, odszedł. Nie próbuj wciągnąć go z powrotem w tę sprawę, wykorzystując to, że się przyjaźnicie. Musimy skupić się na tym, żeby pomóc sobowtórom, które nadal pracują dla wydziału.

– Dobra – zgodziłam się, choć w głębi duszy wcale nie miałam zamiaru rezygnować z wciągania we wszystko Aarona. Zaslugiwał przynajmniej na to, by wiedzieć, co się dzieje. Nie patrzyłam na Deacona, czułam jednak na sobie jego spojrzenie. Czekał, aż będzie mógł mi wytłumaczyć, o co, u diabła, chodzi z jego bratem.

– Spotkajmy się jutro – zaproponowała Marie. – W Myrtle Creek jest restauracyjka o nazwie Hash House. Prześlę wam SMS-em dokładny adres. Pasuje wam dziesiąta rano?

Rozmawiałam z Marie, ale równocześnie czułam, jak ogarnia mnie niepokój o Deacona, Aarona i sto innych spraw.

– Dobrze, pasuje nam.



– W porządku – odparła. – Do zobaczenia.

Kiedy odkładałam komórkę, głowę rozsadzał mi ból. Pojawiało się coraz więcej problemów, z którymi musiałam sobie jakoś radzić.

Odwróciłam się powoli do Deacona. Ze zdenerwowania twarz oblał mi rumieniec. Powiedziano mi, że kiedy mój ojciec go odnalazł, Deacon mieszkał u rodziny zastępczej. Sądziłam, że jego rodzice nie żyją. Deacon nigdy o nich nie mówił, ani słowem nie zająknął się też, że ma brata. Wspomnił o tym w tak niezobowiązujący sposób, jakby była to oczywistość. A więc również to ukrywał przede mną Deacon.

– Masz brata? – spytałam.

Deacon przypatrywał mi się przez chwilę, po czym, nie zdradzając swoich emocji, skierował znów wzrok na ulicę.

– To skomplikowane – rzucił.

Z wrażenia otwierałam usta. Musiałam z całej siły powstrzymać się przed chwyceniem go za koszulę i zmuszeniem, żeby łaskawie na mnie spojrzeć. Chciałam zaufać mu bez reszty, on jednak raz za razem udowadniał mi, że to fatalny pomysł.

– Czy cokolwiek z tego, co mówiłeś na swój temat, jest w ogóle prawdą? – spytałam, piorunując go wzrokiem.

– Byłem z tobą szczery, kiedy mówiłem o nas i o Arthurze. Po prostu nie powiedziałem ci wszystkiego – oznajmił.

Ton, jakim to powiedział, zupełnie zbił mnie z tropu. Nie próbował się bronić ani przeproszać. Zabrzmiało to jak suche stwierdzenie faktów.

Na myśl, że zostałam zdradzona, po skórze przebiegł mi dreszcz, jakbym została porażona prądem. Deacon dalej mówił w tak pokrętny sposób, że nie mogłam mieć pewności, kiedy kłamie, a kiedy mówi prawdę.

– Nie może tak dłużej być – oświadczyłam. – Muszę wszystko wiedzieć, ze szczegółami. Nie możemy mieć dłużej przed sobą tajemnic. Nie przeżyjemy, jeśli będziemy przed sobą ukrywać różne rzeczy.

Nie zareagował w żaden sposób. Bez słowa uruchomił silnik i zerknąwszy w lusterko wsteczne, wyjechał na ulicę. Poczułam, że znowu się zamyka. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Postanowiłam, że skoro nie ma innego wyjścia, będę błagać, żeby otworzył się przede mną jeszcze nieco bardziej.

– Chcę ci coś pokazać – odezwał się cicho, nie spoglądając na mnie. – Powiedziałaś, że chcesz mnie poznać. W takim razie pokażę ci wszystko, Quinn. Zobaczysz mnie w najdrobniejszych szczegółach.

Ścisnął mocniej kierownicę. Sprawiał wrażenie, jakby mówił teraz całkiem serio. Nagle ogarnął mnie strach na myśl o tym, co mi chce pokazać i jaki obraz ułoży się z tych wszystkich fragmentów. Bałam się też, że poszczególne elementy rozwieje wiatr, zanim zdążę poskładać je w logiczną całość.

Zaraz jednak przypominałam sobie, że chodzi przecież o mojego Deacona. Dla niego gotowa byłam

zaryzykować.

Wjechaliśmy na autostradę i ruszyliśmy na południe, a więc w przeciwnym kierunku niż nasz motel. Po dwudziestu minutach milczącej jazdy poczułam, jak mój gniew, a z nim poczucie zdrady, ustępują. Przypomniałam sobie słowa Deacona – twierdził, że chodzi o niego, a nie o nas.

– Dokąd jedziemy? – spytałam. – Mieliśmy przecież porozmawiać.

– Nie, powiedziałem, że chcę ci coś pokazać. W ten sposób łatwiej ci będzie zrozumieć.

– Mam nadzieję, że nie pokażesz mi jakiegoś rozkopanego grobu – rzuciłam żartobliwie, a kiedy spojrzał na mnie, parsknęłam śmiechem.

Chciałam sprowokować go do jakiejś żywszej reakcji. Deacon zacisnął zęby, ale dojrzałam, że po ustach przemknął mu lekki uśmiech. Jasne, moglibyśmy zadręczać się wzajemną niechęcią, ale tak naprawdę przecież się uwielbialiśmy.

Gdybyśmy byli przeciętnymi ludźmi i stanowili normalną parę, taka rewelacja mogłaby zniszczyć zaufanie między nami. Zawodowo zajmowaliśmy się jednak odgrywaniem ról martwych ludzi. Cały czas żyliśmy kłamstwami. Mieliśmy przed sobą tajemnice, ukrywaliśmy naszą przeszłość. A czasami ktoś ukrywał ją przed nami.

Zdarzały się jednak rzadkie momenty, w których do głosu dochodziło nasze prawdziwe „ja”. Dlatego w gruncie rzeczy nie powinnam była liczyć, że Deacon powie mi wszystko na swój temat. Po prostu poczułam się zraniona, kiedy okazało się, że nie chciał.

– Żarty żartami – powiedziałam – ale możemy przecież wrócić do motelu i tam pogadać. Pamiętaj, że jesteśmy na jutro umówieni z Marie.

– Pamiętaj, ale spotykamy się z nią dopiero rano. A to, co chcę ci pokazać, nie może dłużej czekać. Musimy sobie nawzajem ufać, dlatego muszę ci dowieść, że jestem godny zaufania. Muszę dać ci powód, żebyś ze mną została.

– Nie opuszczę cię – powiedziałam szczerze. Nie wiedziałam, ile jesteśmy w stanie znieść jako para. Nie wiedziałam też, czy w ogóle jest coś takiego, co mogłoby nas od siebie oderwać.

– W zeszłym tygodniu porzuciłaś mnie dwa razy. Sama rozumiesz, że wcale nie dramatyzuję.

Nie próbowałam przekonywać go teraz, że w głębi duszy mu ufam. I że zawsze będę mu ufać, obojętne, co jeszcze się stanie. Opadłam tylko na oparcie fotela, a Deacon włączył radio. Kiedy zabrał jedną rękę z kierownicy i oparł ją na udzie, sięgnęłam do niej i splotłam swoje palce z jego palcami. Jeśli naszym przeznaczeniem było w nieskończoność powtarzać te same błędy, to trudno, byłam na to gotowa.

## Rozdział jedenasty

Celem naszej podróży okazała się jakaś stara wioseczka leżąca na północ od miasta Grants Pass. Dotarcie tam zajęło nam około godziny. Domy ogrodzone były płótkami z drucianej siatki, po chodnikach wałęsały się bezpańskie psy. Deacon zaparkował pod niewielkim parterowym domkiem. Budynek wyglądał na zapuszczony – na frontowej ścianie brakowało kilku listew sidingu, w oknie wisiały wypaczone czarne okiennice, a ganek zapadł się i przechylił na prawą stronę.

Podenerwowana wysiadłam i zatrzymałam na chodniku. Deacon obszedł samochód i stanął obok mnie. Omiótł spojrzeniem posesję.

– Czyj to dom? – spytałam, a wtedy uśmiechnął się do siebie niewesoło.

Po chwili wzruszył ramionami, jakby pogodził się już z tym, że musi mi wszystko powiedzieć.

– Mieszka tu moja mama – stwierdził, po czym ruszył w kierunku ganku.

Oniemiała ze zdumienia pobiegłam za nim. A więc Deacon znał swoją matkę. Nie mieściło mi się w głowie, że mógł to przede mną zataić. Trudno trzymać w tajemnicy coś takiego. Weszliśmy na ganek. Nad głowami dyndała nam goła żarówka.

– Znasz swoją mamę? – spytałam cichym głosem, nie podnosząc na niego wzroku. – Znasz swoją rodzinę?

Deacon zapukał do drzwi. Spoglądał prosto przed siebie, całe jego ciało było napięte jak struna.

– Owszem – powiedział po chwili. – Ale to nie ma znaczenia. Wybrałem dla siebie inne życie.

– Wybrałeś? Przecież byłeś pod opieką państwa. Mój ojciec twierdził, że znalazł cię w rodzinie zastępczej. Okłamywałaś mnie nawet w tej sprawie?

– Twój ojciec cię okłamywał, a nie ja – zwrócił mi uwagę Deacon. – Mnie nigdy o to nie pytałaś.

– Ty...

Nie dokończyłam zdania, gdyż w tej samej chwili drzwi się otworzyły. Deacon zachwiał się lekko, jednak zdołał przywołać na twarz sztuczny uśmiech. Wpatrywał się w kogoś stojącego na progu. Nie mogłam dojrzeć twarzy tej osoby, zasłaniała ją siatka przeciw owadom powieszona w drzwiach.

– Cześć – rzucił Deacon, a ja poczułam nagły przyпіływ wzruszenia.

Zapewniał mnie wprawdzie przed chwilą, że nic nie łączy go już z tym miejscem, jednak w jego głosie dało się wyczuć skrywane emocje. Wpatrywałam się w siatkę, spodziewając się, że lada chwila zobaczę osobę, która oddała swojego syna. Równocześnie obudziła się we mnie gwałtowna potrzeba, by go chronić. Wyczuwałam, że Deacon jest w tej chwili bezbronny. I instynktownie zbierałam się na odwagę, by w razie potrzeby go osłonić.

– No patrzcie tylko, kogo lichy przyniosło – odezwał się zrzędlivy męski głos.

Deacon zachwiał się lekko i to wystarczyło mi, żebym przystąpiła do działania. Zrobiłam krok do

przodu i otworzyłam drzwi z siatką. Rozmowa z pozbawionym twarzy duchem niezbyt mi pasowała.

Facet stojący wewnątrz najwyraźniej nie spodziewał się, że jest nas dwoje. Z wrażenia cofnął się o krok w głąb domu. Ubrany był w biały podkoszulek na ramiączkach i spodnie w kolorze khaki. Miał na oko dwadzieścia kilka lat. Był blondynem, jednak jego piwne oczy miały ten sam odcień i kształt co oczy Deacona. Jasne było, że właśnie patrzę na jego brata.

Facet obrzucił mnie szybkim spojrzeniem, po czym odwrócił się z powrotem do mojego towarzysza. Z domu buchnął odór papierosowego dymu i stęchlizny. Mężczyzna skrzyżował ramiona na piersi, jakby czekał, aż Deacon poprosi go o zgodę na wejście.

– Musimy pogadać, Brandonie – powiedział w końcu mój chłopak.

Jego brat parsknął śmiechem.

– Chyba jaja sobie robisz – rzucił.

– Chodzi o ważną sprawę – dodał Deacon, po czym przełknął nerwowo ślinę i spytał: – Mama jest w domu?

– Daj mi chwilkę i zaraz ją przyprowadzę – szydził Brandon.

Zamiast jednak pójść po matkę, wyszedł na ganek i zamknął za sobą drzwi. Kiedy stanął twarzą w twarz z Deaconem, zobaczyłam, że trochę ustępuje mu wzrostem. Przez chwilę bałam się, że bracia rzucą się na siebie z pięściami, Deacon jednak nie dał się zastraszyć. Nie ruszył się z miejsca i spokojnie wytrzymał spojrzenie brata.

– Jakiś czas temu dałem ci na przechowanie teczkę – przypomniał. – Masz ją jeszcze?

– Może i mam.

– Słuchaj, to naprawdę ważne. Masz ją czy nie?

Brandon westchnął i przewrócił oczami.

– Tak, mam.

Deacon skinął tylko głową, nie dając po sobie poznać, jak bardzo mu ulżyło. Prawdopodobnie obawiał się, że brat wykorzysta fakt, że jest w posiadaniu teczki. Na myśl o tym poczułam tylko rosnącą determinację, by chronić mojego chłopaka.

Deacon tymczasem spojrzął przelotnie w nocne niebo, po czym skierował wzrok na brata.

– Chcę się z nią spotkać – powiedział. Zabrzmiało to tak, jakby spodziewał się, że Brandon będzie temu przeciwny.

– To kiepski moment.

– Jak zawsze.

I wtedy pierwszy raz dojrzałam, jak po twarzy Brandona przemknął cień sympatii. Po chwili odwrócił się i otworzył drzwi z siatką.

– Musimy się u was dziś przekimać – stwierdził ku mojemu zdziwieniu Deacon.

Brandon obejrzał się przez ramię i prychnął.

– To nie hotel.

– Wiem – odparł Deacon. – Spłaciłem za was hipotekę, pamiętasz?

Brandon zatrzymał się w progu.

– I co, teraz jesteśmy ci coś winni, tak? – spytał prowokacyjnie.

– Owszem. I świetnie wiesz, że matka była moją dłużniczką na długo przedtem. Jest mi winna życie, którego mnie pozbawiła. Ale nie przyszedłem tu, żeby domagać się zadośćuczynienia. Potrzebuję tylko teczki, którą ci zostawiłem, i pokoju na jedną noc – oznajmił, po czym wskazując mnie, dodał: – To moja dziewczyna. Masz być dla niej miły.

Brandon zaśmiał się cicho. Widać było, że nie jest zdolny nienawidzić Deacona tak bardzo, jakby chciał. Kazał nam wejść do środka. Sam zniknął we wnętrzu, puszczając skrzydło drzwi. Zamknęły się nam przed nosem z trzaskiem, zanim Deacon zdążył chwycić klamkę.

Deacon posłał mi przepaszające spojrzenie, ja jednak nie umiałam się zdobyć nawet na uśmiech. Byłam w totalnym szoku. Próbowałam zrozumieć, co to wszystko znaczy, ale w głowie wirowały mi sprzeczne myśli.

– Przepraszam – szepnął Deacon, przytrzymując dla mnie drzwi.

– Ale za co? – spytałam też szeptem.

W środku panował półmrok, a woń dymu papierosowego przybrała jeszcze na sile. Zauważyłam, że kraciasta sofa ma zupełnie wytarte podłokietniki. Poza tym w dużym pokoju panował względny ład. Zamknęłam za sobą drzwi i ruszyłam za Deaconem i Brandonem do kuchni.

Jej wnętrze było nieco lepiej oświetlone. Zastałam tam siedzącą przy stole drobną siwowłosą kobietę. Paliła papierosa, a obok popielniczki stała napoczęta puszka piwa. Była starsza, niż się spodziewałam – mogła mieć pięćdziesiąt kilka lat. Wydawała się tak samo zniszczona jak sofa w dużym pokoju.

Kiedy stanęliśmy w progu, jej załamane oczy najpierw odnalazły mnie, a dopiero potem spoczęły na Deaconie. Zaciągnęła się mocno papierosem, a popiół spadł na stół i wypalił dziurkę w plastikowym obrusie. Przetarła szybko to miejsce dłonią i wydmuchała dym przez nos, po czym uśmiechnęła się do nas. Brakowało jej na przedzie jednego zęba.

– Mój młody wrócił – odezwała się zachrypniętym głosem palacza. – Popatrz tylko, Brandonie. Toż to twój brat. Mały cholernik postanowił zajrzeć do domu.

To miał być chyba żart. Brandon zareagował milczącym skinieniem głowy, jednak wydawał się skępowany.

– Cześć, mamó – rzucił Deacon.

Kiedy przyglądał się matce, wyraz jego twarzy zdradzał, jak wielkim szokiem jest dla niego jej stan. Prawdę mówiąc, nawet ja byłam przerażona tym, jak wygląda ta kobieta.

Trudno było mi dostrzec jakieś podobieństwo między nimi. Matka Deacona miała żółtą skórę i ciemne wory pod oczami. W kuchni zdążyłam naliczyć kilkanaście pustych puszek po piwie. Ze śmietnika sterczała szyjka opróżnionej butelki whisky.

Deacon przysunął sobie krzesło, żeby usiąść obok matki. Kobieta zgasiła momentalnie papierosa

w popielniczce i przykryła jego dłoń swoją. Przypatrywała mu się bacznie.

– Jesteś naprawdę przystojny – powiedziała, kiwając głową. – Bardzo przystojny.

Deacon przyglądał się jej usianej plamami dłoni o zniszczonej, pomarszczonej skórze.

– Dzięki – powiedział w końcu. – Chociaż Quinlan chyba jest zdania, że akurat teraz nie wyglądam zbyt dobrze.

Przy tych słowach odwrócił się do mnie i posłał mi smutny uśmiech. Jego matka przyjrzała mi się, ale nie byłam pewna, jak wyraźnie mnie widzi. Podejrzewałam, że jest pijana.

– To twoja dziewczyna? – spytała, przywołując mnie gestem.

Zbliżyłam się posłusznie i usiadłam obok niej, z drugiej strony. Z bliska widziałam teraz głębokie zmarszczki, jakimi poznaczona była skóra nad ustami kobiety. Dostrzegałam żółte przebarwienia w białkach jej oczu. Sprawiała wrażenie chorej.

– Jesteś śliczna – odezwała się, ujmując mnie delikatnie pod brodę. Skóra na jej palcach była sucha i szorstka. – Mam nadzieję, że Deacon dobrze cię traktuje. Lepiej niż potraktował mnie. Gówniarz jeden.

Po tych słowach zarechotała, a Brandon jęknął, jakby zażenowany jej zachowaniem. Deacon zachował kamienną twarz, ja za to poczułam, jak z nerwów robi mi się niedobrze. Przepęłniał mnie gniew zmieszany ze współczuciem.

Kobieta pociągnęła nosem, po czym sięgnęła do popielniczki po papierosa. Po chwili znów paliła, popijając od czasu do czasu piwo z puszki. W końcu spojrzała ponownie na Deacona i uśmiechnęła się przyjaźnie, jakby niedawne ostre słowa uleciały już jej z pamięci.

– A teraz, kochanieńka, skocz do sklepu po piwko dla mnie – powiedziała, zwracając się w moją stronę. – Nie mam pieniędzy, więc będziesz musiała...

– Wiemy – odezwał się Deacon, spuszczać wzrok. – Nic się nie martw, mamo.

Wstał od stołu i gestem poprosił mnie, żebym poszła za nim. Zastanawiałam się, czy powinnam się pożegnać z jego matką. Kiedy jednak zerknęłam na nią, zobaczyłam, że patrzy przez okno. Minę miała nieobecna, jakby w ogóle nie zdawała sobie sprawy z naszej bytności w jej domu. Przystanąłam przed drzwiami kuchni. Miałam nadzieję, że matka powie coś miłego Deaconowi. Potrzebował tego. Ona jednak milczała.

Przeszliśmy znów przez duży pokój. Deacon próbował ukryć wzruszenie, ja jednak dostrzegłam, jak ociera ukradkiem łzy. Podeszliśmy do schodów, przy których brakowało poręczy. Po chwili dogonił nas Brandon.

– Deaconie! – zawołał. W pierwszej chwili przestraszyłam się, że znowu wywiąże się między nimi sprzeczka. Kiedy znalazł się obok nas, oparł się plecami o ścianę. W jego głosie wyczuwałam tłumione emocje. – Nie miała nic złego na myśli. Po prostu... ostatnio jej stan się pogorszył.

– Zauważyłem – odparł Deacon przez zaciśnięte zęby.

– Przyszły rachunki za szpital. Powiedzieli jej, że musi skończyć z piciem, ale...

– Zajmę się rachunkami – odezwał się Deacon, nie podnosząc wzroku.

Brandon poruszył się niespokojnie. Widać było, że zżera go poczucie winy.

– Synalek na medal, co?

Dopiero wtedy Deacon uniósł wzrok. Pod spojrzeniem brata Brandon momentalnie umilkł.

– Ty też mogłeś wyjechać – zauważył Deacon, na co Brandon uśmiechnął się szyderczo.

– Nigdy nie umiałem tak dobrze kłamać jak ty.

– Jesteś pewien? Bo ja widzę, że przez cały czas próbujesz ją usprawiedliwiać.

Brandon wytrzymał spojrzenie brata. Po długiej chwili wskazał ruchem głowy w górę schodów.

– Teczka jest w szafie w twoim pokoju – powiedział.

Zabrzmiało to tak, jakby wiedział o tym od samego początku.

– Dzięki – odparł Deacon.

Chwycił mnie za rękę i ruszyliśmy po schodach. Zdążyliśmy pokonać kilka stopni, kiedy Brandon zawołał Deacona po imieniu.

– Jesteś w tarapatkach? – spytał.

– Tak – odparł Deacon, nie odwracając się do niego. – Oboje mamy problemy.

Brandon rozważał przez chwilę jego słowa.

– W takim razie nie siedźcie tu za długo – burknął w końcu, po czym odwrócił się i ruszył do kuchni.

Kiedy znaleźliśmy się na szczycie schodów, puściłam rękę Deacona. Zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami pokoju na końcu korytarza. Chodnik w holu był tak wytarty, że w miejscu, gdzie staliśmy, prześwitywały spod niego deski podłogi. Na ścianie wisiała tylko jedna zakurzona fotografia. Przypatrując się zdjęciu, nagle zorientowałam się, że przedstawia Deacona. Miał na nim rozczochrane włosy i za duże ubranie. Jego ręce i nogi wydawały się przeraźliwie wychudzone. Miał śmiertelnie poważną minę. Po chwili Deacon zauważył, że czemuś się przypatruję. Kiedy odnalazł wzrokiem zdjęcie, wzdrygnął się na jego widok. Odwrócił się szybko i otworzył drzwi. Zanim wszedł do pokoju, zajrzał do niego, jakby w obawie, że ktoś może się tam czaić. W końcu otworzył drzwi na całą szerokość, wszedł do środka i usiadł na materacu.

Pokój był smutny i ponury. Na metalowym łóżku leżał duży materac bez pokrowca. Tuż obok stała wysoka komoda, w której brakowało jednej szuflady. Ze ściany przy oknie płatami obłaziła farba. Niedaleko drzwi szafy wnękowej ziało w ścianie kilka dziur wielkości pięści.

Deacon oparł łokcie na kolanach i przypatrywał się, jak oglądam pokój. Dobrze wiedział, co robię. Jako sobowtóry odwiedzaliśmy niezliczone domy i doświadczenie nauczyło nas, jak wiele można dowiedzieć się o domownikach na podstawie szczegółów. Często najwięcej ujawniały zupełnie zwyczajne rzeczy. Wszystkie zniszczone przedmioty zgromadzone w tym pokoju stanowiły wierne odbicie pogruחותanego życia Deacona. Były świadectwem jego ucieczki.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? – spytałam.

Myślami cofałam się do chwil, kiedy Deacon i Aaron powtarzali, że dzieciaki pozbawione rodziców to najlepszy materiał na sobowtóry. Nigdy go o to nie pytałam, po prostu założyłam, że nie zna swojej

prawdziwej rodziny. Ani razu o niej nie wspominał, więc wydawało mi się to oczywiste.

– Bo to demony mojej przeszłości.

Jego pochmurna mina podpowiadała mi, że mówi prawdę. Teraz był moment, kiedy to ja decydowałam, ile chcę wiedzieć. Czy miałam jednak prawo wypytywać go o wszystko? Czy mamy prawo żądać od kogoś, żeby otworzył przed nami duszę tylko dlatego, że jesteśmy partnerami w związku?

Podeszłam do łóżka i usiadłam obok Deacona. Żadne z nas nie odzywało się ani słowem. Zastanawiałam się, co tak naprawdę kazało mu tutaj przyjechać. Może chciał spotkać się z rodziną? Albo potrzebował przypomnienia, skąd się wywodzi?

– Powiedziałeś, że porzuciłeś to miejsce z własnego wyboru – odezwałam się ostrożnie.

– Opowiedział ci kiedyś, jak mnie znalazł? – spytał Deacon, kierując na mnie łagodne spojrzenie swych piwnych oczu. Wiedziałam, że pyta o mojego ojca.

– Nie – odparłam. – Wspomniiał tylko przelotnie, że mieszkałeś w rodzinie zastępczej.

Uznałam wtedy, że wypytywanie o szczegóły byłoby niedelikatne.

– Nigdy nie byłem w rodzinie zastępczej – przyznał się Deacon cichym głosem. – Jako dzieciak uciekłem z domu. Moja matka była alkoholiczką. Bywała agresywna, ale najczęściej po prostu zapomniała, że ma obowiązki wobec dzieci. Chciałbym powiedzieć, że na trzeźwo była bardziej do życia. Ale prawda jest taka, że sytuacje, kiedy nie była pijana, mógłbym policzyć na palcach jednej ręki.

– A co z twoim tatą?

– Odszedł, kiedy byłem jeszcze mały. Nie mam żadnych związanych z nim wspomnień. Staram się myśleć o nim jako o nieżyjącym. Tak jest mi łatwiej. Kiedy przypominam sobie, że to nieprawda, mam wrażenie, że jest jeszcze gorszy od matki. Zostawił nas z nią, bez pieniędzy, bez jedzenia. Jakim człowiekiem trzeba być, żeby zrobić coś takiego własnym dzieciom?

Przełknęłam głośno ślinę. Chciałam go przytulić, chciałam powiedzieć, jak przykro mi z powodu tego, co go spotkało. Ale przecież Deacon wszystko to wiedział. Dlatego milczałam, pozwalając mu mówić. Widziałam, że przede wszystkim pragnie wyrzucić to z siebie, pozbyć się tej trucizny.

– Kiedy byłem mały, przychodziła do nas sąsiadka. To ona troszczyła się o to, czy mam co jeść. Sama też nie była święta, kiedy jednak się wyprowadziła, sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót. Brat robił, co mógł. Brandon jest pięć lat starszy ode mnie. Załatwił sobie pracę na czarno. Przynosił do domu trochę pieniędzy, ale matka przepijała je wszystkie. A kiedy byliśmy już całkiem spłukani, kazała nam kraść dla niej alkohol w sklepach. Twierdziła, że nikt nie będzie podejrzewał dzieciaka. W końcu jednak Brandon wpadł. Trafił do poprawczaka, a kiedy z niego wyszedł, wyprowadził się z domu. Miałem wtedy jedenaście lat i zostałem sam z pijącą matką. Nie miałem co jeść ani co na siebie założyć. I właśnie wtedy nauczyłem się obserwować ludzi. Chodziło o to, żeby dowiedzieć się, co kto lubi i do czego ma słabość. Zaopatrzony w taką wiedzę mogłem się stać takim dzieciakiem, jakie lubi dana osoba. Takim, któremu pomoże bez zastanowienia. Takim, któremu zaufa. Od tamtej pory nie musiałem już błagać o pomoc. Kiedy miałem czternaście lat, wrócił Brandon. Sam już wtedy ostro popijał. Kiedy wspomniiał,



że nie dorasta mi do pięt, jeśli chodzi o kłamstwo, miał całkowitą rację. Ponieważ był notowany przez policję, nigdzie nie mógł znaleźć pracy. A że podczas swej kilkuletniej włóczęgi dołożył kilka wykroczeń do swojej kartoteki, z robotą było jeszcze trudniej. Wkrótce okazało się, że niewielka ilość jedzenia, które przynosiłem do domu, nam nie wystarcza. Zrozumiałem wtedy, że naszej mamie łatwiej będzie się żyło, jeśli ubędzie jej jedna gęba do wyżywienia. I że to ja powinienem teraz zniknąć.

Przypomniałam sobie dzień, kiedy mój ojciec pierwszy raz przyprowadził do nas Deacona i poczęstował go obiadem. W tym wygłodniałym, trzymającym dystans i czujnym chłopaku rozpoznawałam teraz dzieciaka, o którym opowiadał Deacon.

– Któregoś dnia podczas lekcji natknąłem się przypadkiem w Internecie na artykuł o sobowtórach – ciągnął Deacon. – Następnego dnia już go usunięto, ale zapamiętałam nazwisko twojego ojca: Thomas McKee. Niewiele myśląc, wskoczyłem do autokaru jadącego do Corvallis. Miałem przy sobie tylko trochę jedzenia i karteczkę z zapisanym adresem. Po przyjeździe odszukałem biuro twojego ojca, poszedłem do niego i oznajmiłem, że nie mam rodziców i chcę dla niego pracować. W pierwszej chwili uznał chyba, że to jakiś kawał. Potem jednak przyjrzał mi się bacznie, próbując mnie rozgryźć. Zadał mi kilka pytań; na wszystkie udzieliłem kłamliwych odpowiedzi, co momentalnie zauważył. Był pierwszym człowiekiem, który umiał przyłapać mnie na kłamstwie.

Przy tych słowach Deacon omiół mnie spojrzeniem. W jego oczach widać było coś na kształt podziwu.

– Jest lepszym kłamcą niż my wszyscy – przyznałam niechętnie.

– Miałem wtedy czternaście lat. Tom oznajmił, że mogę przystąpić do nauki. Opowiedziałem mu szczerze o tym, skąd pochodzę, o mamie. Przyznałem mu się, że nie jadłem od trzech dni. Pociągnął za odpowiednie sznurki i sprawił, że przyjęto mnie do pracy w wydziale żałoby. Dał mi szansę na nowe życie. Potem zresztą nieraz mi o tym przypominał. Twój tata potrafi być niezłym złamasem.

– To prawda. Ale umie rozpoznać dobrego sobowtóra. Pewnie uznał, że spadłeś mu z nieba.

Deacon zaśmiał się i wziął mnie za rękę. Znów ogarnął go smutek.

– A co z hipoteką?

– Pomyślałem, że jeśli ją spłacę, matka nie będzie się tak zamartwiać i jej stan się poprawi. Tak się jednak nie stało. W końcu zrozumiałem, że nigdy nie będzie z nią lepiej. Woli umrzeć, niż zmienić coś w swoim życiu.

– Dlaczego w takim razie ciągle tu wracasz? – spytałam. – Czemu ciągle jej pomagasz?

– Bo to moja matka – odparł zdziwiony pytaniem.

Nie było to jego intencją, ale te słowa przypomniały mi, że ja przecież nie mam rodziny. Nie mam nikogo, kogo mogłabym kochać po prostu za to, że jest moim najbliższym krewnym.

– I dlatego nocujemy tu dzisiaj? Dlatego że się o nią martwisz?

– Nie, jestem tu, żeby przypomnieć sobie, że muszę być silny. Nie umiałem ochronić matki ani brata, ale w końcu przynajmniej sam uchroniłem się przed takim losem. Quinn, Kocham cię. Kocham cię równie mocno, jak samego siebie, może nawet bardziej. A ponieważ zdołałem się stąd wyrwać i przetrwać,

wydaje mi się, że nas również będę w stanie ochronić.

– Chronimy się nawzajem – przypomniałam mu. – Ubezpieczamy się, tak zawsze postępują sobowtóry. Jesteśmy drużyną.

– Brzmisz jak mówca motywacyjny – zauważył z uśmiechem, ale w jego twarzy dostrzegłam szczery podziw. – Może wydrukuję ten tekst i umieszczę obok zdjęcia jakiegoś uroczego małego leniwca? A może lepiej...

– Przestań – przerwałam mu, wybuchając śmiechem. – Gdzie ta teczka, której szukamy? I skąd właściwie znasz Tabithę?

Deacon wstał i podszedł do szafy. Otworzył drzwi i przez chwilę przypatrywał się jej wnętrzu.

– Tak naprawdę to się nie znamy, spotkałem ją tylko raz. Marie z nią pracowała.

Faktycznie Marie czasami konsultowała się z innymi doradcami i ich sobowtórami, kiedy potrzebowała pomocy przy danym zleceniu. Kiedy pracowałam dla wydziału, imię Tabithy obilo mi się o uszy. Zapewne Marie z nią współpracowała i darzyła ją sympatią. Wyglądało na to, że jej ufa.

Deacon sięgnął na górną półkę. Przez chwilę macał dłonią, poszukując czegoś, aż w końcu wyciągnął czarną teczkę.

– Jest! – oznajmił triumfalnym tonem.

Wrócił na łóżko i wsunął palec do środka koperty, podważając jej krawędź.

– W zeszłym roku Marie wspomniała, że Tabby uciekła wydziałowi. Poprosiła, żebym odnalazł ją i sprawdził, jak się trzyma. Zdobyłem wtedy jej dane kontaktowe i umieściłem je w tej teczce. Kiedy jednak zaniósłem ją Marie, stwierdziła, że nie chce znać żadnych szczegółów. Dlatego przywiozłem teczkę tutaj. A potem, prawdę mówiąc, na śmierć o niej zapomniałem. Przypomniałem sobie, dopiero, kiedy Marie o niej teraz wspomniała. Ta sprawa z Tabithą to nie było jakieś poważne zlecenie.

– Ciekawa jestem, czy ktoś ma mnie na oku – powiedziałam. – To znaczy ktoś poza tobą.

Deacon zmarszczył nos, niezadowolony, że wywlekam znów tę sprawę. Po chwili wyjął z teczki pokrytą odręcznymi notatkami kartkę. Sięgnął po komórkę i wystukał numer. Oczekując na połączenie, wstał z łóżka i zaczął krążyć po pokoju. W momencie gdy Tabitha odebrała, momentalnie się wyprostował.

– Cześć, dodzwoniłem się do Tabithy? – Na chwilę zamilkł, spoglądając przez brudne okno wychodzące na ulicę. Po chwili odezwał się wesołym głosem: – Mówi Deacon Heather. Tak, ten sam. Wiem, ja też miałem nadzieję, że nie będę ci już nigdy zawracał głowy.

Przez moment słuchał, potakując milcząco.

– Chce, żebyś też się zaangażowała. To nie przelewki. Chodzi o dużą sprawę, a Marie ci ufa. Piszesz się na to? – Po chwili uśmiechnął się i spoglądając na mnie, uniósł kciuk. – Super. Dobra, jutro o dziesiątej rano, w restauracji Hash House w Myrtle Creek. Do zobaczenia.

Rozłączył się i wsunął komórkę do tylnej kieszeni spodni.

– Załatwione – stwierdził, stając naprzeciw mnie. – Miejmy nadzieję, że właśnie nie spieprzyliśmy jej

życia.

– Smutne, że tak często martwimy się o to w stosunku do ludzi, których spotykamy na swojej drodze.

Deacon pogładził mnie czule po włosach.

– To prawda – szepnął.

Jego palce zagłębiły się wśród moich kosmyków. W końcu odwrócił się i podszedł do szafy, żeby wyjąć z niej pościel. Okazało się, że do dyspozycji mamy jedno pościelone i zakurzone prześcieradło oraz cienki koc. Przyniósł je, a ja pomogłam mu pościelić łóżko.

Kiedy skończyliśmy, Deacon położył się na łóżku, rozrzucił szeroko ramiona i westchnął ciężko, utkwiwszy spojrzenie w suficie. Wyłączyłam światło i też się położyłam. Nasze uda się stykały, policzkiem przytulałam się do jego ramienia.

Zanim ogarnęła nas senność, postanowiłam zadać ostatnie pytanie:

– Deaconie, czy jest coś jeszcze, o czym nie wiem?

– Nie, Quinlan. To już cały ja. Cały należę teraz do ciebie.

## Rozdział dwunasty

S pędziliśmy noc w domu, w którym Deacon się wychował. Źle spałam. Wałący się budynek nocą wypełniały poskrzypywania i dziwne dźwięki, które działały mi na nerwy. Deacon za to spał jak dziecko. Nie wiedziałam, czemu to zawdzięcza – czy otoczeniu rodzinnego domu, czy może poczuciu, że nareszcie miał czyste sumienie.

O poranku w domu panowała cisza. Wstałam z łóżka i przeciągnęłam się. Kiedy spojrzałam na Deacona, uśmiechnął się do mnie na dzień dobry. Sprawdził godzinę i oświadczył, że powinniśmy stąd zniknąć.

Ukradkiem zeszliśmy po schodach na parter. Gotowi byliśmy wynieść się po kryjomu, jakby nas tu w ogóle nie było, jednak kiedy znaleźliśmy się w korytarzu, z kuchni dobiegło pokasływanie. Deacon wzdrygnął się na ten dźwięk. Po chwili wahania posłał mi przeproszające spojrzenie i poszliśmy w tamtą stronę.

Matka Deacona siedziała w tym samym miejscu przy stole co wczoraj. Krótko ostrzyżone włosy miała tylko nieco bardziej rozczochrane, a plamy pod oczami ciemniejsze. Kiedy weszliśmy, podniosła wzrok.

– Deaconie – odezwała się, jakby jego widok przyniósł jej ulgę. Deacon przywoływał już na usta uśmiech, kiedy nagle kobieta podniosła puszkę i zamachnęła się nią, rozchlapując wokół siebie cuchnący płyn. – Twój przeklęty brat znów ukradł mi piwo.

Uśmiech spęłzył z twarzy mojego chłopaka, jego ramiona opadły. Widząc tę reakcję, poczułam, jakby ktoś wbił mi nóż w samo serce.

– Nic nie zostało – mówiła zrzędlwym głosem kobieta. – Skocz no do sklepu i kup mi parę puszek. Mają już otwarte od godziny. Wiesz, że sama tam nie dojdę.

Mówiąc to, uśmiechała się szyderczo i pocierała kolana, jakby syn kazał jej samej zrobić zakupy.

– Mamo, wątpię, żeby Brandon ukradł ci piwo – powiedział bezbarwnym głosem Deacon. – Quinlan i ja musimy już lecieć. Dobrze było cię zobaczyć.

Kobieta spojrzała przelotnie na mnie, po czym skupiła wzrok na synu. Sięgnęła po odłożonego do popielniczki papierosa i zaciągnęła się tak mocno, aż został sam filtr.

– Dupek z ciebie – powiedziała, wypuszczając powoli dym z płuc – ale i tak jesteś lepszy od brata.

Po tych słowach wybuchnęła śmiechem, który szybko przerodził się w kaszel. Deacon przypatrywał się jej z niepokojem, jakby nie zwracając uwagi na jej słowa. Jego najwspanialszą cechą była umiejętność współczucia. Deacon naprawdę zasługiwał na lepsze życie.

Kiedy atak kaszlu minął, kobieta napiła się piwa, żeby przepłukać gardło. Dotknęłam delikatnie ramienia Deacona, żeby przypomnieć mu, że jesteśmy umówieni z Marie. Skinął głową na znak, że pamięta.

– Do widzenia, mam – powiedział i nachylił się, żeby pocałować kobietę w policzek.

Matka przechyliła głowę, nadstawiając twarz do pocałunku, jednak wyglądało to tak, jakby chciała przede wszystkim wyjąć następnego papierosa z paczki.

– Bywajcie – powiedziała.

Ani słowa, że go kocha. Ciekawe, czy to z jej powodu bał się powiedzieć mi prawdę o swojej matce. Zastanawiałam się, kim mógłby się stać, gdyby przyszedł na świat w innej rodzinie i miał lepszy start w życiu. Ciekawe, jak ja dałabym sobie radę, gdybym urodziła się w takim domu.

Słyszałam, jak pociąga nosem. Odwrócony do mnie plecami próbował ukryć łzy. Położył dłoń na ramieniu matki, po czym wyszedł z kuchni, a ja ruszyłam za nim. Minęliśmy duży pokój, a po chwili wyszliśmy z domu prosto w szary, pochmurny poranek.

Kiedy jechaliśmy do Myrtle Creek, Deacon niewiele mówił. Ja tymczasem rozmyślałam o moim ojcu. Zaczynałam się o niego martwić. Widok domu, w którym wychował się Deacon, sprawił, że doceniłam to, co miałam. Jasne, moje dzieciństwo było w dużej mierze oparte na kłamstwie, ale przynajmniej zawsze miałam co jeść i ktoś się mną opiekował. W głębi duszy czułam, że ojciec naprawdę mnie kochał. I wiedziałam, że ja kochałam jego.

Miałam teraz nadzieję, że nic mu nie jest.

Do spotkania z Marie mieliśmy jeszcze godzinę. Kiedy dzwoniłam do niej, byłam przerażona, teraz jednak czułam się znów sobą. Nie miałam pewności, kim właściwie jestem, kiedy jednak byłam w towarzystwie Deacona, przestawało to mieć znaczenie – przy nim zawsze byłam sobą.

Po drodze, wbrew poleceniom Marie, napisałam SMS-a do Aarona. Nie byliśmy już sobowtórami, ale uważałam, że nadal jest moim zawodowym partnerem. To, co miało znaczenie dla mnie i Deacona, było też ważne dla niego. Nie mogłam pozwolić, żeby został wykluczony z tego, co dzieje się w wydziale. Okazało się, że Aaron zmienił plany i wcale nie ma zamiaru zniknąć. On też był już w drodze do Myrtle Creek. Przesłałam mu SMS-em adres restauracji.

Na parking przed Hash House wjechaliśmy pięć po dziesiątej. Zanim wysiedliśmy z samochodu, omieliśmy spojrzeniem teren wokół restauracji. Na szczęście nie widać było żywego ducha. Ciekawe, ile czasu potrzebował wydział żałoby, żeby nas tu wytropić. Rogerowi znalezienie mnie nie zajęło zbyt długo. A może wydział świetnie wiedział, gdzie jestem, i tylko czekał na odpowiedni moment, żeby uderzyć.

Spojrzeliliśmy na siebie z Deaconem, jakbyśmy chcieli się upewnić, czy naprawdę wiemy, co robimy. W końcu mój towarzysz zgasił silnik. Wiał teraz chłodniejszy wiatr i kiedy wysiadłam z samochodu, od razu przebiegł mnie dreszcz. Nerwy miałam napięte jak postronki.

Ruszyłam w kierunku drewnianych drzwi restauracji. Kiedy je pchnęłam, zawiasy zaskrzypiały głośno. Ze ściśniętym ze strachu sercem potoczyłam wzrokiem po oszczędnie oświetlonej sali. Jej ściany obite były boazerią, a w powietrzu unosił się aromat przypalonego tłuszczu i ziemniaków. Marie siedziała w łoży na tyłach sali. Towarzystwa dotrzymywały jej dwie inne osoby. Na stoliku przed sobą postawiła

filizankę kawy, jakby chodziło o kolejne zlecenie. Kiedy odszukała mnie wzrokiem, poczułam, jak nostalgia miesza się we mnie ze złością.

Deacon musiał wyczuć moje wahanie, bo położył mi rękę na ramieniu, jakby chciał mnie podtrzymać. Bez większego zdziwienia u boku Marie zobaczyłam Reeda Castle'a, który posilał się śniadaniową porcją tortilli. Jego pojawienie się w szkole akurat wtedy, kiedy byłam tam też ja, wydawało mi się podejrzane, jednak Marie musiała mu ufać, skoro zaprosiła go teraz na spotkanie z nami. Zawsze był jednym z jej ulubieńców.

Obok niego siedział Shep Donovan, sobowtór z Albany. Był niewysokim chłopakiem o twarzy oszpeconej trądzikiem. Na głowie miał odwróconą daszkiem do tyłu czapkę baseballową, spod której wystawały kosmyki czarnych włosów.

W pewnym momencie rozległo się za moimi plecami skrzypnięcie drzwi wejściowych, a kiedy odwróciłam się, na progu lokalu stanęła rudowłosa dziewczynka. Mogła mieć najwyżej czternaście lat. Domyśliłam się, że to pewnie Tabitha. Błyskawicznie rozpoznała Deacona i uśmiechnęła się do niego. Kiedy wyminąwszy nas, podeszła do stolika, Marie wstała i uścisnęła ją serdecznie. Towarzyszył temu ciepły uśmiech, a ja od razu poczułam ukłucie zazdrości.

Deacon przypatrywał mi się wyczekująco z uniesionymi brwiami, jakby dając do zrozumienia, że jeszcze możemy się wycofać. Przypomniałam sobie, co mówiłam mu zeszłego wieczoru – sobowtóry zawsze chronią się nawzajem.

– Ci ludzie zasługują na to, by wiedzieć, co naprawdę dzieje się w wydziale żałoby – przypomniałam Deaconowi.

Skinął głową na znak, że się zgadza, po czym ruszyliśmy do stolika.

Reed uśmiechnął się na mój widok. Zachowywał się tak, jakby w ogóle nie dostrzegał Deacona. Przesunął się bliżej do Marie, żeby zrobić mi miejsce.

– Wiedziałem, że znów się spotkamy – szepnął.

– Cześć, Reed – odparłam, zajmując miejsce, które dla mnie zwolnił.

Deacon tymczasem sięgnął po krzesło stojące po drugiej stronie stolika i postawił je tuż obok mnie. Dopiero wtedy Reed okazał pewne zainteresowanie.

– Deacon? – spytał, udając zdziwienie. – Kopę lat. Marie nie wspominała, że też wpadniesz.

– Deacon towarzyszy Quinlan – wyjaśniła Marie.

Kiedy przyglądała się mojemu chłopakowi, po jej ustach błąkał się tajemniczy uśmiech.

Reed złapał w mig aluzję i przestał zgrywać czarusa.

– Fantastyczna wiadomość – mruknął, skupiając się z powrotem na jedzeniu.

– Ja też niesamowicie się cieszę, że cię widzę! – obwieścił Deacon przesadnie słodkim głosem.

Marie potrząsnęła szybko głową, nakazując mu panowanie nad emocjami.

Shep wydawał się całkowicie pochłonięty jakąś grą na komórce i nie zwracał na nas żadnej uwagi. Natomiast Tabitha przypatrywała się wszystkim z zainteresowaniem. W pewnym momencie nachyliła się

do mnie i powiedziała:

– Cześć. Jesteś córką Toma?

Jej pytanie spadło na mnie niczym grom z jasnego nieba. Skinęłam szybko głową, unikając kontaktu wzrokowego z Marie.

– Ale musisz mieć fajne życie – zaśmiała się Tabitha, po czym zwróciła się do Deacona: – Słyszałam, że rzuciłeś robotę. I że przepadłeś bez śladu. Zanim zadzwoniłeś, sądziłam, że nie żyjesz.

– Jeszcze dycham – odparł Deacon. – Ale wierz mi, wolałbym zniknąć.

Tabitha uśmiechnęła się do niego, jakby doskonale wiedziała, co ma na myśli.

– No dobrze – powiedziała po chwili, zwracając się do Marie – zdradź wreszcie, po co nas tu wszystkich ściągnęłaś.

– Chodzi o serię samobójstw w tym regionie. Ludzie padają jak muchy – odezwał się Shep, nie odrywając wzroku od komórki. Po chwili jednak jego palce znieruchomiały nad klawiaturą i uniósł spojrzenie. – Mówili o tym w wiadomościach. Podobno to zaraźliwe.

W sumie powinnam była się domyślić, że większość sobowtórów wie już o epidemii. Jesteśmy specjalistami od śmierci, więc nic dziwnego, że takie wiadomości przykuwają naszą uwagę. No chyba że ktoś, tak jak my, się ukrywał.

– Zarażenie przez naśladownictwo – poprawił go Reed.

– Ach tak... masowa histeria... – stwierdziła Tabitha, po czym nachyliła się nad stołem, żeby wziąć frytkę z talerza Reeda. Po chwili dodała z uśmiechem: – I tak dobrze, że to nie epidemia zombie.

Reed wyduł usta, wyraźnie podenerwowany, po czym spojrzał wymownie na Marie, jakby chciał poskarżyć się jej na nieprzebierającą w słowach dziewczynę.

– A co my mamy z tym wspólnego? – spytał. – Czemu służy ta potajemna narada? Przygotowuję się właśnie do zlecenia.

Nagle drzwi wejściowe znów się otworzyły. Kiedy spojrzałam w tamtą stronę, serce wyrwało mi się z piersi – do sali wszedł Aaron.

– O Boże – zawołałam, podrywając się z krzesła.

Wyskoczyłam z naszej łoży, potrącając stół, aż zadzwoniła cała zastawa. Po chwili rzuciliśmy się sobie w objęcia. Aż do teraz nie uświadamiałam sobie, jak bardzo się stęskniłam za moim przyjacielem.

Po chwili odsunęłam się nieco, dalej jednak przytrzymałam go za przedramiona, jakby w obawie, że może zniknąć. Jego ciemne oczy zaszkliły się od łez wzruszenia. Nie wyglądał już na chorowitego jak podczas swojego ostatniego zlecenia. Przypatrywał mi się, poprawiając paski plecaka.

– Super, że zgoliłeś wreszcie tę okropną brodę – ucieszyłam się.

W odpowiedzi Aaron roześmiał się, wodząc dłonią po ogolonych policzkach.

– Brakuje mi jej – odparł. – Ale teraz przynajmniej prezentuję się jak model z czasopisma dla panów.

Po chwili z uśmiechem podał dłoń Deaconowi, który podszedł do nas. Obaj uścisnęli się na powitanie. I nagle, na krótki moment, poczułam się absolutnie szczęśliwa. Znów byliśmy razem: Aaron, Deacon

i ja. To oni stanowili moją prawdziwą rodzinę. Patrzyłam, jak chłopaki opowiadają sobie coś ze śmiechem, dopóki Marie nie przywołała nas gestem do stołu. Zauważyłam, jak rozgląda się z niepokojem po sali. Ściągaliśmy na siebie za dużo uwagi, co było jej wyraźnie nie w smak. Sobowtóry przy naszym stoliku usiadły bliżej siebie, dzięki czemu Aaron mógł wślizgnąć się na miejsce obok Tabithy. Przywitała go uśmiechem. Domyślałam się, że spodobał się jej – z Aarona Riosa zawsze było niezłe ciacho. Tak się jednak składało, że był bardzo związany z Myrą. Dlatego skinął tylko dziewczynie uprzejmie głową, po czym położył torbę w takim miejscu, że utworzyła między nimi barierę. Utkwił spojrzenie w Marie.

– Czyżbyś o mnie zapomniała? – spytał. – Macie tu spotkanie sobowtórów, na które nie raczyłaś mnie zaprosić.

Marie zachowała jednak stoicki spokój.

– Nie powinieneś był przychodzić – oznajmiła lodowatym tonem. – Tak to rozegrałam, żebyś mógł z czystym sumieniem zniknąć.

Byłam zupełnie zaskoczona jej postawą. Wiedziałam, że troszczy się o Aarona. Zawsze miała do niego słabość. Jasne, Aaron postanowił uciec, ale było to, zanim jeszcze odkryliśmy, z jak wielkim problemem się mierzymy. Domyślałam się, że Marie próbowała po prostu go chronić.

Jeśli faktycznie tak było, co oznaczało to dla reszty?

Spojrzeliliśmy na siebie z Reedem i dojrzałam w jego oczach te same wątpliwości. Wyglądało na to, że Marie nami manipulowała. Oboje spojrzeliśmy znów na nią.

– Twierdziłaś, że musimy o czymś porozmawiać – odezwał się Reed. – I że będzie to nieoficjalna rozmowa. Ale przecież nie pracujesz już jako doradca.

– Nie mogłam skontaktować się z waszymi przedstawicielami – wyjaśniła Marie, splatając dłonie. – Nie mogłam ryzykować, że powiadomią wydział żałoby. Zanim powiem coś więcej, chciałabym was prosić, żebyście szczerze przyznali się, czy pracujecie dla wydziału jako agenci.

Zmarszczyłam brwi, słysząc tę dziwną prośbę. Jakoś nie chciało mi się wierzyć, żeby Marie naprawdę naiwnie wierzyła, że ktoś się przyzna.

– Proszę was jak przyjaciel przyjaciela – ciągnęła kobieta, a w jej głosie szczerłość walczyła z próbą emocjonalnej manipulacji. – Jeśli pracujecie jako agenci, rozstańmy się teraz bez dalszych pytań. Ze względu na naszą wspólną przeszłość dajcie nam szansę doprowadzić tę sprawę do końca.

Przy stole zapadło milczenie. Przesunęłam spojrzeniem po twarzach zebranych, ale z żadnej nie dało się nic wyczytać. Deacon opuścił wzrok, Aaron w milczeniu przypatrywał się Marie. W pewnym momencie Shep nachylił się nad stołem, a ja poczułam, jak ze zdenerwowania napinam wszystkie mięśnie.

– Ej, a o co właściwie chodzi z tym agentem? – spytał.

Odetchnęłam z ulgą. Reed i Tabitha zaczęli spierać się o to, czy w ogóle istnieje coś takiego jak agent. Marie z uśmiechem przysłuchiwała się ich wymianie zdań, wyraźnie ucieszona, że nic nie wiedzą. Prawdę mówiąc, mnie też spadł kamień z serca – wyglądało na to, że znaleźliśmy się wśród ludzi



godnych zaufania.

Przysłuchiwaliśmy się z Deaconem w milczeniu, jak Marie opowiada pozostałym o tym, co dzieje się obecnie w wydziale żałoby, i jego planach uczynienia z sobowtórów agentów. Na twarzach słuchaczy odmalowały się szok, przerażenie i groza. Wspomniała też, że tym, którzy nie zgodzą się na przeniesienie, grozi wymazanie pamięci. Na szczęście nie dodała, że metodę tę przetestowano już na mnie. Oczywiście nie była to moja wina, niemniej czułam się upokorzona, tak jakbym została naznaczona.

Kiedy już wszyscy słuchacze umierali ze strachu, Marie podsunęła im sprytnie inne rozwiązanie: ucieczkę.

Aaron skrzyżował ramiona na piersi i siedział bez słowa, zatopiony w myślach. Kiedy kobieta umilkła, jako pierwszy odezwał się Reed.

– A więc nadal możemy uciec, tak? – spytał. – A co z naszymi pieniędzmi? Całymi latami harowałem, żeby wywiązać się z kontraktu. Zostało mi tylko kilka tygodni.

– Reed, jak możesz? – obruszyła się Tabitha. – Jakie znaczenie ma teraz kasa?

– Mówi to ktoś, kto skończył już pracować i pobiera teraz pokaźną kwotę z emerytury – odpyskował Reed.

Marie uniosła dłoń w uspokajającym geście, żeby nie dopuścić do wybuchu kłótni.

– Zgromadzę trochę funduszy – zapewniła. – Sumę wystarczającą na to, żebyście wszyscy wynieśli się z miasta i jakoś się urządzili. Musisz się jednak liczyć z tym, Reed, że nie będzie tego tyle, ile należy ci się zgodnie z kontraktem. Jeśli postanowicie uciec, tyle przynajmniej mogę wam zaoferować.

– Skąd zamierzasz wytrzasnąć tę kasę, skoro nie możemy liczyć na fundusze wydziału żałoby? – zainteresował się Reed.

– Od mojej przyjaciółki, doktor Evelyn Valentine – wyjaśniła Marie. – Bardzo martwi ją epidemia. Obiecała, że nas zasponsoruje, ale...

– Ale jest jakiś haczyk – domyślił się Deacon, mrużąc podejrzliwie oczy.

– Oczywiście. A gdzie go nie ma, Deaconie? – przyznała Marie. – W każdej sprawie można się dogadać na boku.

Deacon wzdrygnął się na jej słowa. Oboje chyba pomyśleliśmy to samo: czyżby Marie wiedziała o układzie, jaki mój chłopak zawarł z Arthurem? Po chwili kobieta przeniosła spojrzenie z powrotem na Reeda i ciągnęła:

– Evelyn chce czegoś w zamian. Ona wierzy, że to, co robicie jako sobowtóry, ma sens.

– Czego chce? – spytałam. Nie bardzo rozumiałam, do czego zmierza Marie.

– Chciałaby, żebyście wykonali ostatnie zlecenie. Działalibyście tajnie i nieoficjalnie. Evelyn chce, żebyście spróbowali powstrzymać tę epidemię. Uważa, że jest to w waszej mocy. Chce, żebyście stali się alternatywą dla proponowanej przez Arthura metody ingerowania we wspomnienia.

– Oszukałaś nas – wtrącił Deacon. – Twierdziłaś, że to spotkanie ma na celu ostrzeżenie innych sobowtórów przed zakusami wydziału żałoby. Teraz jednak okazuje się, że chodzi o rekrutację do

kolejnej roboty.

– Na twoim miejscu, Deaconie, byłabym ostrożna, nazywając kogoś kłamcą – wycedziła przez zęby Marie, posyłając mu chmurne spojrzenie.

Przez długą chwilę mierzyli się wzrokiem w milczeniu. Było już jasne, że Marie zna jego przeszłość, co samo w sobie powinno nas zaniepokoić. Od jak dawna o tym wiedziała? W końcu odwróciła od niego spojrzenie.

– Niezależnie od tego, jaką decyzję podejmiecie – odezwała się po chwili, zwracając się do reszty słuchaczy – proszę was o zachowanie absolutnej dyskrecji. W przeciwnym razie grozi wam wszystkim śmiertelne niebezpieczeństwo. Czy możecie mi to obiecać?

Wszyscy niespiesznie skinęli głowami; niektórzy powiedzieli na głos, że obiecują.

– A co ze zleceniem, które obecnie wykonuję? – zapytał Reed.

– To zlecenie jest już nieważne – wyjaśniła Marie. Ujęła w obie dłonie filiżankę z kawą, jednak nie podniosła jej do ust. Reed zrobił niewesołą minę; wyglądał, jakby chciał się spierać. – Dokończ je, jeśli chcesz. Ale wydział i tak ci nie zapłaci. Nie taki ma plan. Zamierza zaproponować ci nowy kontrakt, tyle że miałbyś odtąd działać w roli agenta.

Obrzuciła nas wszystkich spojrzeniem i mówiła dalej:

– Macie następujący wybór: albo zostać i rozpocząć pracę jako agenci, przy czym wydział nie zapłaci wam ani grosza za waszą dotychczasową pracę, albo zakończyć waszą współpracę z wydziałem i zacząć naprawdę pomagać ludziom.

– Ale jak niby miałyby wyglądać nasza praca bez wsparcia wydziału? – spytała Tabitha. – W czyją rolę mielibyśmy się wcielać?

– Będziecie sobą – odparła Marie. – Będziecie posługiwać się swoimi prawdziwymi imionami, zachowacie swoją tożsamość. Koniec z odgrywaniem ról. Wiecie już, jak to się robi. Nie ma potrzeby, żebyście dłużej udawali, że jesteście kimś innym.

Pewnie nie miała takiego zamiaru, ja jednak poczułam się nieco urażona tym, jak ujęła tę wiadomość w słowa.

– No to jak, zgadzacie się? – spytała, po czym zastygła w oczekiwaniu na odpowiedź.

Wszyscy się zgodzili. Marie nie zwróciła się jednak z tym pytaniem do mnie ani do Deacona. Nie spojrzała też ani razu na Aarona.

Kiedy znów się odezwała, przybrała matczyzny ton:

– No dobrze. Tabitho i Shepie, pójdziecie do liceum. Pogadacie z uczniami i zorientujecie się, którzy z nich potrzebują pomocy. Jesteście przeszkolonymi terapeutami, wykorzystajcie teraz swoją wiedzę, żeby pomóc tym dzieciakom.

Tabitha wydawała się zachwycona perspektywą pójścia do prawdziwej szkoły. Shep jednak zaczął przewracać oczami, jakby była to ostatnia rzecz, na jaką miał ochotę.

– Wypatrujcie wokół siebie innych sobowtórów. Zwracajcie uwagę na osoby, które będą do was same

Ignęły. Jestem pewna, że wydział żałoby skierował już na ten teren swoich ludzi, którzy szukają Quinlan i Deacona. Jeśli zorientują się, że z nimi współpracujecie, wy również zostaniecie zatrzymani. Nie rzucajcie się w oczy, tak żebyście mogli zyskać trochę czasu.

Uśmiech spelzł z twarzy Tabithy, za to ostrzeżenie Marie o grożącym im w szkole niebezpieczeństwie wyraźnie pobudziło Shepa. Chłopak sprawiał wrażenie, jakby dopiero teraz zaczął się interesować tym, co się dzieje.

– Deaconie, a co z tobą? – spytała Marie. – Wchodzisz w to?

Deacon spojrzał na mnie, oczekując jakiejś podpowiedzi. Nie podobało mu się, że Marie w ostatniej chwili zmieniła plan. Jeśli jednak jej przyjaciółka miała rację i istniała szansa, że jako sobowtóry możemy powstrzymać epidemię, warto było chyba spróbować. Tymczasem mogłabym spokojnie realizować to, co sobie postanowiłam, to znaczy poszukiwać wspomnień Virginii oraz mojej prawdziwej tożsamości. Skinęłam głową, a Deacon zaczerpnął głęboko powietrza.

– Tak, Marie – odparł bez większego przekonania. – Wchodzę w to.

– Dobrze – ucieszyła się Marie. – Będę potrzebowała więcej informacji na temat Arthura Pritcharda. Jego współpraca z wydziałem żałoby ogranicza się obecnie do badań nad opracowywaną przez niego metodą zapobieżenia epidemii. Chcę wiedzieć, co robi swoim pacjentom. Jestem pewna, że niektórych z was też to zainteresuje.

Przy tych słowach spojrzała przelotnie na mnie. Od razu zorientowałam się, o co tak naprawdę pyta Marie – chciała zrozumieć, w jaki sposób Arthur manipuluje wspomnieniami Virginii i moimi.

– A kiedy już się z tym uporacie – odezwała się po chwili, kierując znów spojrzenie na Deacona; w tym momencie wydawała się całkiem bezbronna – dowiedźcie się, jakie ma plany względem mnie.

Deacon obiecał, że tak zrobi. Głowę miał jednak opuszczoną, sprawiał wrażenie przybitego. On również nie wywiązał się ze swojego kontraktu i wiedział, że to, co grozi Marie, równie dobrze może też spotkać jego.

– A co do was – tu obrzuciła spojrzeniem Reeda, mnie i Aarona – chciałabym, żebyście spotkali się z Virginią Pritchard. Macie namierzyć wszystkie osoby, z którymi stykała się w ciągu ostatnich kilku tygodni. A kiedy już je odnajdziecie, oceńcie ich stan psychiczny.

– Sądysz, że ta dziewczyna ma jakiś związek z wybuchem epidemii? – zdziwił się Reed.

– Obawiam się, że to właśnie ona zaraża pozostałych – odparła Marie, a ja zamarłam. Przecież sama byłam jedną z osób, z którymi Virginia ostatnio miała kontakt. – Nie do końca rozumiem, jaka jest przyczyna tej epidemii. Wiem jednak, że Evelyn bardzo się tym niepokoi. A wiele wskazuje na to, że Virginia jest w samym centrum wydarzeń. Musimy dowiedzieć się dlaczego.

Po chwili zerknęła na zegarek i powiedziała:

– Powinniście już lecieć. Starajcie się nie pokazywać razem publicznie. I ograniczcie spotkania z waszymi doradcami. Pamiętajcie: nie możecie wspomnieć ani słowem nikomu w wydziale o tym, co dziś usłyszeliście.

Wstając od stołu, wszyscy zaczęliśmy się rozglądać nerwowo po sali. Chyba każdemu z nas udzielił się nieco paranoiczny nastrój. Pożegnałam się z pozostałymi sobowtórami, po czym Deacon i ja jako pierwsi wyszliśmy z restauracji.

Gdy znaleźliśmy się na zewnątrz, mój chłopak przytulił mnie i szepnął mi na ucho:

– Nie chcę cię zostawiać. – Odsunął się o krok i dodał: – Marie jest taka sama jak twój ojciec, zawsze próbuje nas rozdzielić.

– Uważaj, żeby Arthur nie wpadł na twój trop – powiedziałam. Próbowałam zachować spokój, ale chyba marnie mi szło. – Nie możesz pozwolić, żeby pociągnęli cię do odpowiedzialności za niedotrzymanie warunków kontraktu.

– Do zobaczenia wieczorem – rzucił Deacon beztroskim tonem, ja jednak wiedziałam, że on też jest przestraszony. Nie chciał po prostu, żeby udzielił mi się jego strach. – Aha, jeszcze jedno. Nie zakochaj się pod moją nieobecność w Reedzie Castle’u.

– Reed jest zajęty: kocha samego siebie – odparłam wesoło. – W tej relacji nie ma już miejsca dla mnie.

Deacon parsknął śmiechem, po czym z rękami wbitymi w kieszenie ruszył w kierunku samochodu.

Nasza z pozoru beztroska rozmowa nie ukoїła wcale moich nerwów. Z wolna narastała we mnie panika. Nagle przestraszyłam się, że Marie poruszyła lawinę, której możemy nie przeżyć.

# **Część III**

## **Epidemia**

## Rozdział pierwszy

Czekałam na chodniku, aż Aaron i Reed wyjdą z restauracji. Reed rozejrzał się bacznie wkoło, jakby obawiał się, że ktoś go obserwuje, za to Aaron na mój widok momentalnie się rozpogodził. A może po prostu sprawnie zamaskował uśmiechem swój niepokój. Chwilę później stał już przede mną i wyciągał rękę, żebyśmy przybili piątkę. Nasze dłonie spotkały się w powietrzu, a ja roześmiałam się i żartobliwie poradziłam mu, żeby przestał zachowywać się tak obciachowo.

– Ej, no coś ty – obruszył się Aaron. – Naraziłem się na koszmarnej jazdzie autokarem, żeby tu dotrzeć. Należy nam się chociaż parę minut, kiedy możemy zachowywać się normalnie. Przecież sama widzisz, że atmosfera się zagęszcza. Jak zwykle zresztą.

– Jak daleko dojechaliście? – spytałam.

– Dotarliśmy do Idaho – wyjaśnił wesoło.

– A gdzie Myra? Twoja ukochana nie chciała towarzyszyć nam w naszej poronionej misji?

– Prawdę mówiąc, nawet jej tego nie proponowałem – odparł, a jego twarz przybrała nagle poważny wyraz. – Myra nie musi mieszać się w to wszystko. Powiedziałem jej, że wpakowałaś się z Deaconem w jakąś niewesołą sytuację podczas zlecenia i że muszę was z tego wyciągnąć. Obiecałem, że wrócę do niej za kilka dni. Zostawiłem jej samochód. Ale nasze rozstanie nie należało do najbardziej udanych. Jest odrobinę wkurzona.

– Nie dziwię się.

– Na szczęście jestem taki przystojny, że nie będzie się długo gniewać – dodał po chwili, szturchając mnie w ramię.

– Powinieneś uprzedzić Reeda, jaki z ciebie wesoły koleżka – powiedziałam, wybuchając śmiechem. – Bo może jeszcze się nie zorientował.

– W głębi duszy pękam już ze śmiechu – skrzywił się ironicznie Reed.

Ruszył w kierunku swojego czerwonego sportowego auta i wyłączył pilotem alarm.

– No dobra, to ja siądę na miejscu pasażera! – zawołał Aaron.

Kiedy podążyliśmy za Reedem w stronę samochodu, mój przyjaciel posłał mi porozumiewawcze spojrzenie, które miało znaczyć: *Przecież ten gość nikogo nie wpuści za kierownicę swojego cacka!*

– Nikt tak świetnie nie zna się na ludziach jak ja – stwierdził chępliwie Reed, otwierając dla mnie drzwi. Przytrzymał je w taki sposób, że wsiadając, musiałam się obok niego precyzyjnie przesuwać. – Wszystkich was już rozgryzłem.

Uniosłam brew, dając do zrozumienia, że chętnie usłyszałabym ciąg dalszy. On jednak uśmiechnął się tylko tajemniczo i obszedł samochód. Kabinę wypełniał intensywny aromat kokosowego odświeżacza powietrza. Aaron wrzucił do tyłu swój plecak, a sam zajął miejsce z przodu.

– Uwielbiam tego gościa – powiedział, odwracając się do mnie. – Jest doskonałą mieszanką arogancji i niedojrzałości. Aż trudno uwierzyć, że wybrałaś Deacona zamiast niego.

– Reed nigdy na poważnie nie próbował do mnie zarywać – wyjaśniłam, po czym zmieniłam temat: – Co to było za spięcie między tobą a Marie? Niezbyt była zachwycona, że w ogóle się pojawiłeś.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi od strony kierowcy.

– Potem pogadamy – mruknął Aaron, odwracając się do wsiadającego Reeda.

Oczywiście ja też nie miałam zamiaru omawiać pewnych spraw przy Reedzie. Nie znaliśmy go wystarczająco dobrze i nie ufaliśmy mu na sto procent. Kiedy cofałam się myślą do spotkania w restauracji, nie podobał mi się sposób, w jaki Marie potraktowała Aarona. Musiało chodzić o coś więcej, o czym nie miałam pojęcia.

Widząc, że Reed obserwuje mnie w lusterku wstecznym, postanowiłam, że skupię się na misji, którą nam zlecono.

– Dochodzi jedenasta – powiedziałam. – Jeśli chcemy spotkać się z Virginią, mamy trochę czasu, zanim skończy lekcje.

– Chyba nie jesteście na bieżąco? – zauważył Reed, podnosząc komórkę. Na wyświetlaczu widniała strona internetowa liceum Virginii. – Lekcje są dzisiaj skrócone. W południe zaczyna się mecz siatkówki, a Virginia jest przecież w drużynie.

– Jak mamy być na bieżąco? – mruknął z niedowierzaniem Aaron. – Przecież dopiero przed pięcioma minutami dostaliśmy to zlecenie, ty nadambitny dupku.

– No cóż, po prostu jestem dobry w tym, co robię – przyznał Reed, unosząc w uśmiechu kąciki ust.

Niesamowite, że Reed tak szybko dotarł do informacji na temat Virginii. Przez cały czas odnosiłam wrażenie, że chce jak najszybciej mieć to wszystko z głowy. Najpierw jednak oczekiwał zapłaty. Nie mogłam go winić – był taki czas, kiedy również dla mnie pieniądze miały znaczenie, choć może nie tak wielkie, jak dla Reeda. Pewnie obmyślił już plan, co będzie robił, kiedy skończy się jego kontrakt. Większość sobowtórów miała gotowe plany na przyszłość.

– No to jazda – odezwał się Aaron, po czym wyregulował oparcie swojego fotela. – Ciekaw jestem tej Virginii Pritchard. Podoba mi się, że uprawia sport. Nic tak dobrze nie robi duszy jak zdrowa rywalizacja. – To rzekłszy, posłał mi szeroki uśmiech. Był to cytat z jednego z naszych szkoleń. Po chwili dodał: – Kiedy pójdziemy do szkoły, będzie okazja, żeby przyjrzeć się pozostałym dzieciakom.

Reed zerknął na mnie, czekając, co powiem. Skinęłam głową na znak, że to dobry pomysł. Tak naprawdę nadal pragnęłam pomagać innym. W mojej pracy zawsze najbardziej podobało mi się to, że mogę komuś pomóc. Jako sobowtóry mogliśmy bardzo dużo zdziałać. Czasami od naszej skuteczności zależało, czy ktoś przeżyje.

Liceum było usytuowane niedaleko Myrtle Creek – jakieś dwadzieścia minut jazdy od restauracji. Dlatego Aaron poprosił, żebyśmy po drodze podjechali do naszego motelu, bo chciałby się zameldować i zostawić plecak. Wkrótce zorientowałam się, że Reed ma ciężką nogę – lawirował między

samochodami z zawrotną szybkością, wywołując u innych kierowców białą gorączkę. A po chwili i tak zatrzymywał się razem z całą resztą na czerwonym świetle.

Do motelu dotarliśmy w rekordowym czasie. Aaron poszedł do recepcji, a Reed i ja zostaliśmy w wozie. W pewnym momencie usłyszałam cichy śmiech Reeda. Uniosłam wzrok i napotkałam jego spojrzenie we wstecznym lusterku.

– No co? – spytałam niepewnie.

– Więc jednak to prawda, że kręcisz z Hatcherem? – spytał, posyłając mi rozbawione spojrzenie swych błękitnych oczu. – Sądziłem, że ze sobą zerwaliście.

– My tak już mamy – rzuciłam sarkastycznie, przewracając oczami. Reed zachichotał. – Ale tak, jesteśmy znów razem. To długa historia.

– Nie wątpię – rzucił Reed. – I jestem pewien, że twój staruszek jest zachwycony. Chyba ci nie mówiłem, ale swego czasu ciosał mi kołki na głowie, żebym zaprosił cię na randkę. Proponował mi nawet korzystniejszy kontrakt.

Wzdrygnęłam się. Reed nie spuszczał mnie z oka, jednak całkowicie błędnie zinterpretował moją reakcję.

– Wybacz, ale nie jesteś w moim typie.

– Wielka szkoda – odparłam. Postanowiłam grać w jego gierkę, choć po tej rewelacji na temat mojego ojca zbierało mi się na wymioty. Ten człowiek naprawdę nie cofał się przed niczym, byle tylko zyskać nade mną kontrolę.

– No – przyznał krótko Reed, po czym wreszcie oderwał ode mnie spojrzenie i skierował je ku drzwiom recepcji, z których właśnie wyszedł Aaron. Idąc, składał na pół fakturę za zakwaterowanie. – Mam taką zasadę, że nie umawiam się z dziewczynami, które są zakochane w innych facetach.

Od razu poczułam do niego sympatię. Reed zerknął na mnie jeszcze raz w lusterku i posłał mi uśmiech. Po chwili drzwi od strony pasażera się otworzyły i wszedł zziębnięty Aaron. Rzucił fakturę na deskę rozdzielczą. Reed przez chwilę przypatrywał się dokumentowi, niezadowolony chyba, że mój przyjaciel zaczyna się rządzić w jego aucie. W końcu jednak uznał najwidoczniej, że nie ma sensu się spierać. Włączył radio i ruszyliśmy w stronę szkoły.

\* \* \*

Przed rozpoczęciem meczu na sali gimnastycznej panowała wielka wrzawa – kibice wrzeszczeli, a rozgrzewające się na parkiecie zawodniczki mobilizowały się okrzykami. Podsłuchaliśmy, jak któryś z kibiców opowiadał, że to jakieś bardzo ważne rozgrywki. Wszyscy niezwykle się nimi emocjonowali, bo obie drużyny były naprawdę dobre.

Na początku rozglądaliśmy się nerwowo po trybunach, wypatrując Arthura Pritcharda. Na szczęście nigdzie nie było go widać. Gdyby pojawił się na meczu, mielibyśmy utrudnione zadanie. Kiedy Reed



zauważył dziewczynę, którą miał obserwować zgodnie z oficjalnym zleceniem, zaproponował, żebyśmy się rozdzielili. W samochodzie wspomniał, że niedawno zmarł jej chłopak. Miał go na jakiś czas zastąpić. Po rewelacjach Marie uznał jednak, że nie będzie dłużej zajmował się tą dziewczyną. Stwierdził, że porozmawia z nią i spróbuje wyciągnąć trochę informacji na temat pozostałych uczniów.

Razem z Aaronem zajęliśmy miejsca w połowie wysokości trybun, Reed natomiast odnalazł swoją klientkę i jej koleżankę w górnym rzędzie. Kiedy im się przyjrzałam, odniosłam wrażenie, że rozmawiają zupełnie otwarcie, jakby zwierzali się sobie.

Aaron śledził z zainteresowaniem grę, ja zaś rozglądałam się za Virginią. W końcu odnalazłam ją na ławce rezerwowych. Zdziwiłam się, ponieważ sądziłam, że jest jedną z gwiazd w swojej drużynie.

– To ona? – spytał Aaron, trącąc mnie łokciem i wskazując ruchem głowy ławkę rezerwowych.

– Tak – przyznałam, marszcząc brwi. – Skąd wiedziałeś?

– Ta dziewczyna wygląda, jakby niezbyt dobrze się czuła.

Słuszna uwaga. Virginia ubrana była w taki sam kostium jak pozostałe zawodniczki, ale wydawała się teraz drobniejsza, jakby zapadła się w sobie. Głowa ginęła jej w smętnie opuszczonych ramionach. Śledziła bez entuzjazmu rozgrywkę. Wcale nie przypominała dziewczyny, którą spotkałam wczoraj na parkingu, zanim zawiozła mnie do latarni morskiej. I zanim pomogła nam włamać się do swojego domu. Okłamałam ją, kiedy spytała, czy trafiłam na jakiś trop odnośnie jej wspomnień. Miałam teraz nadzieję, że to nie przeze mnie była dziś w tak złym nastroju.

– Dajesz, Deidro! – zawołała, klaszcząc niezgrabnie. Kiedy jej koleżanka na parkiecie źle odebrała piłkę, Virginia zerwała się z ławki.

Z tej odległości mogło mi się wydawać, ale gdy podskoczyła, na jej ramionach i udach zobaczyłam jakieś zadrapania. Kiedy spojrzałam na Aarona, wydawał się równie zaniepokojony tym widokiem. Miałam już go spytać, co o tym sądzi, kiedy rozległ się gwizdek pani sędzi. W tym samym momencie Virginia wbiegła na parkiet i pomogła się podnieść koleżance. Kiedy dołączyła do pozostałych graczy na boisku, spojrzałam na trenerkę i stało się jasne, że ona też dostrzega dziwną zmianę w zachowaniu Virginii.

Nagle ogarnęły mnie złe przeczucia. Powoli omiotłam jeszcze raz spojrzeniem trybuny. Oczywiście niektórzy dopingowali grających, jednak część kibiców siedziała cicho. Osoby te miały podkrążone oczy, jakby zarwały noc. Śledziły rozgrywkę, wykręcając nerwowo złożone na kolanach dłonie. Kiedy spojrzałam na Reeda, zobaczyłam, że marszczy czoło. Siedzące obok niego dziewczyny były zupełnie pochłonięte tym, co mówiły. Ich słowa musiały go jednak niepokoić – widziałam, jak porusza mu się jabłko Adama, kiedy przełykał nerwowo ślinę. W końcu spojrzał w moją stronę, a w jego oczach dojrzałam strach.

Tak, część uczniów wyglądała na *chorych*. W ich wyglądzie było coś przywodzącego na myśl zachowanie Rodericka na imprezie. On też miał taki martwy wyraz twarzy, kiedy szedł na balkon. Gdy sędzia znów zagwizdała, z wrażenia aż podskoczyłam.

– Jak się czujesz? – spytał Aaron, kładąc mi uspokajająco dłoń na kolanie. Przez cały czas nie odrywał oczu od boiska.

– Sama nie wiem.

Kiedy wznowiono grę, Aaron nachylił się i wsparty łokciami o kolana baczenie przypatrywał się zachowaniu Virginii. Było w nim coś dziwnego – podczas niektórych zagrań Virginia nurkowała, próbując dosięgnąć piłki, mimo że ewidentnie nie miała na to szans. Rzuciła się na parkiet, jakby w ogóle nie czuła bólu, kiedy jej ciało upadało na twarde deski. Słychać było, jak jej skóra skrzypi w zetknięciu ze śliskim drewnem. W pewnym momencie na jej otartym kolanie pojawiła się krew, po chwili otworzyła się druga rana na łokciu. Kiedy sędzia to zauważyła, wstrzymała na chwilę grę.

Na boisko wbiegła trenerka, niosąc gazę i bandaż. Gestem nakazała Virginii, żeby podeszła do ławki, ona jednak potrząsnęła odmownie głową. Trenerka położyła jej wtedy dłoń na ramieniu, dziewczyna ją jednak strząsnęła. A kiedy kobieta próbowała ją jeszcze raz złapać, Virginia uderzyła ją po ręce.

– Mówię przecież, że nic mi nie jest! – krzyknęła.

Jej podniesiony głos odbił się echem w sali gimnastycznej. Nagle zapadła cisza jak makiem zasiał. Poczułam, jak z przerażenia żołądek podchodzi mi do gardła. Po chwili do trenerki zbliżyła się sędzia. Obie kobiety zrobiły krok w stronę Virginii, wykonując uspokajające gesty.

– Chcemy tylko opatrzyć te skaleczenia – odezwała się trenerka, a jej głos był wyraźnie słyszalny w sali. – Virginio, usiądź na ławce, za chwilę wrócisz na boisko.

Było jednak oczywiste, że kłamie. Virginia miała już nie zagrać w tym meczu.

Nagle dziewczyna wybuchnęła obłąkańczym śmiechem. Cofała się przed napierającymi kobietami, potrząsając wolno głową.

– Nic mi nie dolega. Ale was to nie obchodzi, prawda? Tak samo jak nie obchodziło was, co dzieje się z Dianą, Roderickiem i Micahem.

Jej słowa musiały zboleć trenerkę.

– Ależ oczywiście, że obchodzi mnie, co się z wami dzieje. Zależało mi na was wszystkich – powiedziała, a po chwili poprawiła się: – Nadal mi zależy.

– Chcecie po prostu, żebyśmy się dobrze zachowywali – odparowała Virginia, po czym potoczyła wzrokiem po trybunach. Pod jej spojrzeniem kilka osób usiadło prosto, jakby wywołała je po nazwisku. Wszyscy przysłuchiwali się w wielkim napięciu każdemu jej słowu. Wydawało się, że dziewczyna rzuciła na widownię jakiś czar. Virginia była w tej chwili niczym płonący budynek – coś, od czego nie sposób oderwać spojrzenia.

– Wiem, że z nim współpracujesz – oznajmiła bezbarwnym tonem, zwracając się znów do trenerki.

Kobieta zamarła w pół kroku. Przez chwilę szukała słów.

– Virginio, potrzebujesz pomocy – odezwała się w końcu, puszczając mimo uszu ostatni komentarz podopiecznej. – A teraz zejdź z boiska. Zaraz wezwiemy twojego ojca i zabierze cię do domu.

Virginia zaśmiała się wyzywająco i ruszyła w stronę trenerki. Kobieta przyjęła defensywną postawę,

obawiając się chyba, że dziewczyna ją zaatakuje. Virginia zatrzymała się tuż przed nią. Sędzia przypatrywała się z boku, gotowa wkroczyć do akcji, gdyby doszło do rękoczynów. Pozostałe zawodniczki w szoku przyglądały się całej scenie.

W pewnym momencie Virginia nachyliła się do trenerki. Raz za razem nerwowo mrugała oczami.

– Pamiętam *wszystko* – powiedziała w końcu.

Trenerka upuściła przyniesione bandaże, po czym chwyciła bezceremonialnie Virginie za ramiona i przytrzymała, jakby dziewczyna zamierzała się na nią rzucić. Nic takiego nie zauważyłam. Aaron podniósł się z ławki. Domyślałam się, że zinterpretował tę sytuację tak samo jak ja. Chwilę potem z ławek wstała połowa kibiców. Niektórzy przypatrywali się scenie na boisku, zakrywając dłońmi usta. Wszyscy wyglądali na przerażonych.

Z ust Virginii popłynął nagle strumień wyzwisk. Zachowywała się teraz jak dzika bestia, wrzeszczała na trenerkę i obnażyła zęby. Kopała i się rzucała, domagając się, żeby kobieta ją puściła. Musiała przygryźć sobie wargę, bo w pewnym momencie z ust popłynęła jej krew. Konieczna okazała się interwencja sędzi. Dopiero po długiej chwili obie kobiety zdołały sprowadzić Virginie z boiska.

Serce podeszło mi do gardła. Nie wiedziałam, co o tym wszystkim sądzić – oto Virginia Pritchard na oczach wszystkich zupełnie się rozkleiła.

– Nie wymażecie mnie znów! – wrzeszczała, kopiać wściekle powietrze. – Nie zdążycie! Prędzej umrę. Wszyscy umrzemy!

Zobaczyłam, że przynajmniej jeden z kibiców skinął poważnie głową.

– Dzwonь piorunem do doktora Pritcharda i każ mu się tu zjawić! – zawołała trenerka, zwracając się do dziewczyny, której Virginia pomogła wcześniej na boisku.

Ta momentalnie podbiegła do ławki i wyjęła z torby komórkę. Obgryzając z nerwów paznokcie, odprowadzała wzrokiem protestującą Virginie, którą kobiety wlekły w kierunku szatni.

– Nie! – krzyczała Virginia. – Tylko do niego nie dzwoń! Deidro, nie rób tego! Błagam!

W pewnym momencie zakrztusiła się chyba krwią i plunęła czerwoną śliną na posadzkę. Z oczu trysnęły jej łzy, głos jej się załamał.

Koleżanka na chwilę się zawahała, zaraz jednak trenerka nakazała jej gestem, żeby się nie guzdrała. W końcu dziewczyna odwróciła się plecami i zaczęła rozmawiać przez telefon. Po drugiej stronie linii musiał odezwać się Arthur Pritchard.

Virginia przestała się opierać. Kiedy kobiety wlekły ją ku szatni, szłochała tylko bezradnie. Sprawiała wrażenie, jakby pogodziła się ze straszliwym losem, który był jej pisany. Chwyciłam dłoń Aarona i ścisnęłam ją tak mocno, że zbieleły mi knykcie. Jego oczy zaszyły łzami. Kiedy odwrócił się do mnie, jedna z nich potoczyła mu się po policzku.

– Musimy wiać – szepnął. – I to już!

Kiedy poszukałam znów wzrokiem Virginii, zobaczyłam tylko, jak zamykają się za nią drzwi do szatni.

– Powinniśmy jej pomóc – odpowiedziałam. – Jest przerażona.

– Ja też jestem przerażony – stwierdził Aaron, wyrывая dłoń z mojego uścisku. Przypatrywał mi się ze zdziwieniem, jakby nie mógł zrozumieć, skąd zaległa mi się w głowie taka niemądra myśl. – Nie możemy jej teraz pomóc. Jeśli mówiła prawdę, jeśli jej trenerka współpracuje z Arthurem, i tak nie mamy szans. Nie możemy tu dłużej zostać, powinniśmy skontaktować się z Marie.

– Gówno prawda – warknęłam. – Virginia stwierdziła, że wszystko sobie przypomniała. Jeśli to prawda, musimy sprawdzić, co konkretnie pamięta. I jak to się stało.

Kierowałam się teraz egoistycznymi pobudkami. W głębi duszy liczyłam, że skoro udało się jej przywołać te wspomnienia, może pokaże mi, jak to zrobiła.

Tymczasem uczniowie rzucili się do wyjścia, a sędzia zaczęła ścierać mopem krew z parkietu. Zawodniczki przeciwnej drużyny nadal stały zszokowane. W pewnym momencie jedna z nich zaczęła nerwowo drapać się po przedramieniu. Drapała się tak długo, aż w podrażnionym miejscu pojawiła się czerwona pręga.

Reed stanął u końca naszego rzędu i popędził nas gestem. Nie spuszczał przy tym z oczu drzwi. Miałam nadzieję, że może przynajmniej on myśli racjonalnie. Nie mogliśmy przecież zostawić Virginii w takim stanie.

Kiedy znaleźliśmy się na korytarzu, dobiegł nas gwizdek sędzi. Najwidoczniej mecz miał być rozegrany do końca. Jakoś nie chciało mi się wierzyć, żeby miejscowa drużyna poradziła sobie po tym, jak była świadkiem kryzysu Virginii. Ja w każdym razie zupełnie sobie z tym nie radziłam.

– Panuje tu klimat jak w psychiatryku – odezwał się Reed, przeczesując dłonią włosy. Od chwili gdy się tu zjawiliśmy, nastrój zmienił mu się o sto osiemdziesiąt stopni. – Wiecie, co powiedziały te panny, z którymi gadałem? Pytały, czy jestem zainteresowany jakimś killerem. To chyba trucizna albo coś w tym stylu. Proponowały mi to w taki beztroski sposób, jakby chodziło o zwykłą trawkę, a nie zabójczą substancję. Dobrze, że zrezygnowałem z tego zlecenia. Tutaj potrzeba czegoś więcej niż ingerencja sobowtórów. Sami nie mamy szans.

Kiedy to mówił, w jego oczach dojrzałam autentyczną grozę.

– Marie kazała nam obserwować Virginie – przypomniałam, a mój głos odbił się echem od ścian korytarza. – A wy chcecie ją porzucić? Widzieliście przecież, jak się z nią obchodzą.

– A skąd wiemy, że Arthur Pritchard nie ma pomysłu, jak sobie poradzić z tym kryzysem? On przynajmniej jest lekarzem.

– Serio? – obruszyłam się. – A czy odniosłeś wrażenie, żeby rodzona córka Arthura Pritcharda była zainteresowana jego pomocą? Widziałeś przecież, jak zareagowała. Czy któryś z was nazwałby jej zachowanie typową reakcją na terapię?

– Nic z tego, co tu widziałem, nie było normalne – przyznał ponuro Reed. – I czuję się fatalnie po tym, czego byłem świadkiem. Żałuję, że tu w ogóle przyjechałem. Nie jesteśmy w stanie pomóc tym dzieciakom. Żadnemu z nich, włącznie z Virginią.

– Reed ma rację, Quinlan – wtrącił się Aaron. Mówił teraz zdecydowanym tonem. – Potrzebujemy

konkretnego planu, zanim cokolwiek zrobimy.

Dałam mu znać spojrzeniem, że czuję się przez niego zdradzona. Aaron odezwał się po chwili, tym razem nieco łagodniejszym tonem:

– Musimy zaplanować, jak z nią rozmawiać. Virginia jest kluczem do tej zagadki. Musimy dowiedzieć się, co takiego jej robią, a dzięki temu może odkryjemy, co powoduje tę chorobę. Marie i Evelyn muszą mieć dokładnie opisany problem, żeby mogły przystąpić do poszukiwania lekarstwa. Dlatego skupmy się na tym, co wie Virginia. Spróbujmy sporządzić listę osób, z którymi się kontaktowała, i prześlijmy te informacje Marie. A potem wyośmy się stąd gdzie pieprz rośnie.

– Słuchajcie – odezwał się Reed, podchodząc bliżej. – Podrzucę was do motelu, żebyście mogli odpocząć. Dowiem się, dokąd zabiorą Virginie, i dam wam znać. Do tego czasu się nie wychylajcie.

Miałam już na końcu języka, że Reed nie będzie mi rozkazywał, w ostatniej chwili poczułam jednak, że Aaron chwyta mnie pod łokieć.

– Idziemy – powiedział. – Będziemy mieć chwilę, żeby zdać raport Deaconowi.

Deacon otrzymał zadanie tropienia Arthura. Po tym jednak, jak na własne oczy widziałam, co stało się z Virginie, opanowały mnie złe przeczucia. Zaczęłam się martwić, jak radzi sobie mój chłopak.

– Zadzwoń do niego i powiedz, że musimy się spotkać – poleciłam Aaronowi. – Deacon będzie wiedział, co powinniśmy zrobić.

Oczywiście kłamałam. Żadne z nas nie miało pojęcia, jaki powinien być nasz następny krok.

Obejrzeliśmy się ostatni raz za siebie, po czym cała nasza trójka wybiegła z budynku, w którym znajdowała się sala gimnastyczna, prosto w oślepiające słońce popołudnia.

## Rozdział drugi

**W** milczeniu zajęłam miejsce na tylnym fotelu w samochodzie Reeda i przysłuchiwałam się, jak Aaron próbuje połączyć się z Deaconem. Kiedy w końcu się dodzwonił, kazał mu natychmiast rzucić to, czym się obecnie zajmuje, i wracać do motelu. Potem się rozłączył i wybrał numer Marie. Zrelacjonował jej ostatnie wypadki w szkole, po czym wysłuchał jej instrukcji. W pewnym momencie zeszytniał w reakcji na jej pytanie.

– Tak, jest tutaj ze mną – powiedział.

Kiedy się rozłączył, odwrócił się do mnie.

– Marie stwierdziła, że w tej sytuacji wstrzymuje się z wysłaniem w teren Tabby i Shepa. Kazała nam czekać na informacje o stanie Virginii, zanim podejmiemy dalsze kroki. Zgadzasz się?

– Wygląda na to, że mnie przegłosowaliście. Nie rozumiem tylko, jak mamy porozmawiać z Virginią, skoro będziemy siedzieć beczynnie w motelu. Będziemy się z nią komunikować telepatycznie czy co?

Aaron zachnął się i wkurzony wysiadł z auta.

– Quinn, spokojnie – odezwał się Reed, zerkając w lusterko. Był teraz bledszy, spoglądał na mnie poważnie. – Dowiem się, dokąd ją zabierają. Teraz mamy już pewność, że ten spisek zatacza szersze kręgi, niż początkowo zakładaliśmy. Jeśli przestajesz sobie z tym radzić, powinniśmy...

– Co ty gadasz? Nie przestaję sobie z niczym radzić – przerwałam mu podniesionym głosem. I od razu pożałowałam, że dałam się ponieść emocjom. Krzyczenie to marny sposób, żeby udowodnić komuś, że panuje się nad sytuacją. Po chwili odezwałam się ciszej: – Po prostu... martwię się o nią.

– Zrobię, co w mojej mocy, żeby jej pomóc – obiecał Reed. – Masz moje słowo, Quinlan.

O tak, ten słodki ton w połączeniu z jego zabójczym wyglądem świetnie sprawdzał się jako narzędzie manipulacji. Właściwie powinnam się na niego wkurzyć, że próbuje na mnie sztuczek sobowtórów, jednak zamiast tego, o dziwo, poczułam się lekko podniesiona na duchu. Byłam mu za to wdzięczna.

– Dzięki – powiedziałam. – Naprawdę to doceniam.

– Nie ma sprawy, Quinlan – mruknął Reed, po czym odwrócił ode mnie spojrzenie i dodał zamyślonym głosem: – Do usług.

\* \* \*

Reed obiecał, że odezwie się, gdy tylko wytropi Virginie, po czym odjechał. Zostaliśmy na parkingu przed motelem. Aaron splótł dłonie na karku i przypatrywał się budynkowi motelu. Kiedy samochód Reeda zniknął nam z oczu, obrzucił mnie podejrzliwym spojrzeniem.

– Co jest grane? – spytał. – Kochana, ubóstwiam cię, ale nie będę się przyglądał, jak kroczysz prostą drogą ku katastrofie.

– Ja za to mam ci ufać bezgranicznie i nie zadawać żadnych pytań, tak? – odparowałam. – Wytłumacz mi, o co chodziło między tobą a Marie.

Aaron westchnął ciężko i odwrócił się do mnie plecami, ale nie odszedł.

– Przestałem ufać tej kobiecie. Pracowaliśmy z nią latami i przez cały ten czas ukrywała przed nami prawdę. Okłamywała nas. Kiedy zadzwoniłaś do mnie i powiedziałaś, że Marie zniknęła, przejrzałem na oczy.

– To znaczy?

– Marie kazała mi cię obserwować – wyznał skruszony Aaron. – Kiedy odgrywałaś rolę Cataliny, to ona kazała mi prowadzić obserwację jej domu. Po tym, co opowiadała na twój temat, zacząłem się o ciebie martwić. Była pewna, że dzieje się z tobą coś złego. I może miała rację. W końcu jednak zostałem przydzielony do innego zlecenia. Był to taki sam przypadek jak ten, którym ty się zajmowałaś. Coś mi tu nie grało, to nie mógł być zbieg okoliczności. Za obydwoma zleceniami stał Arthur i oddelegowano do nich dwa sobowtóry podlegające Marie. Nie wiem, co to wszystko oznacza, ale mam złe przeczucia. Obawiam się, że Marie wcale nie walczy z Arthurem. Ona z nim współpracuje.

Jego rozumowanie miało pewien sens, ale jakoś mnie nie przekonywało.

– To poważne oskarżenie – rzekłam. – Nie wierzę, że tak jest. Arthur przeraża Marie. Widzę to w jej zachowaniu, słyszę w jej głosie. Lęka się, że będzie chciał wymazać jej pamięć za to, że złamała postanowienia kontraktu. A poza tym pozwoliła ci przecież zniknąć, a mnie udostępniła moją teczkę. Naprawdę podejrzewasz, że prowadzi podwójną grę?

– Pytanie, czy faktycznie pozwoliła mi zniknąć, czy raczej starała się mnie pozbyć. To zasadnicza różnica.

– Nie próbuję jej bronić – zastrzegłam – jednak faktem jest, że chciała, żebyśmy uciekli. Próbowwała nas chronić.

Aaron podparł się pod boki i spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

– Jasne, a ponieważ chce nas chronić, wolno jej nas oszukiwać, tak? Przecież wiem, że nie kupujesz takiej logiki. Powiedziałaś to samo o swoim ojcu?

I dopiero teraz, kiedy Aaron wypowiedział to na głos, zrozumiałam, że może faktycznie powinnam. Kiedy spytałam Deacona, jak może kochać kobietę, która tak źle go traktowała, jedyną odpowiedzią, jaka przychodziła mu do głowy, było: „Bo to moja matka”. Wreszcie zrozumiałam, co to znaczy.

– On nadal, mimo wszystko, jest moim ojcem – odparłam drżącym z emocji głosem.

Starałam się dotychczas odsuwać od siebie obawy o niego, jednak prawda była taka, że nie miałam pojęcia, co się z nim dzieje. Nie wiedziałam, czy nic mu nie dolega.

– Cholera – odezwał się Aaron, podchodząc bliżej, żeby wziąć mnie w ramiona. – Przepraszam, Quinn, nie powinienem ci o nim przypominać.

– Znajdziesz go? – poprosiłam, przytulając się policzkiem do jego torsu. – Sprawdź tylko, czy nic mu nie jest, dobrze?

– W porządku – zgodził się Aaron. – Mam jeszcze paru znajomych w Corvallis. Skontaktuję się z nimi. Jeszcze raz przepraszam za to, co powiedziałem. Wiem, że Marie nas kocha. Po prostu musimy teraz uważać. No dobrze, skoro już się przed tobą wywnętrzyłem, kolej na ciebie: o co chodzi z Virginią Pritchard?

Pociągnęłam nosem i cofnęłam się o krok. Aaron wiedział, że jestem dobrym człowiekiem, ale mam też swoje powody, żeby jej pomagać.

– Muszę się dowiedzieć, jak przypomina sobie zdarzenia z przeszłości. Przecież to może znaczyć, że pamięta wszystko, co zrobił jej ojciec. Zna metody, jakie zastosował, i racje, jakimi się kierował. Liczę, że wie, jak przywrócić mi pamięć. Jeśli tak jest faktycznie, wówczas będę mogła odzyskać tożsamość bez pomocy Arthura Pritcharda. Nareszcie będę znów sobą.

– A zatem chcesz, żeby ci pomogła, tak?

– Owszem. A ja ze swojej strony pomogę jej. Ponieważ odzyskała już samodzielnie wspomnienia, mogę jedynie pomóc jej uwolnić się od ojca. Dlatego jeśli Marie nie zdoła powstrzymać Arthura, powinniśmy zorganizować ucieczkę Virginii.

Aaron z wrażenia otworzył usta. Po chwili parsknął nerwowym śmiechem.

– No dobra, jak na jeden dzień wystarczy już tych spisków – powiedział, biorąc mnie pod rękę. – Zaczekajmy z tą rozmową, aż wróci twój chłopak.

– Deacon przyzna mi rację – odparłam, kiedy zaczęliśmy się wspinać po zewnętrznych schodach motelu w drodze do mojego pokoju. Gdy Aaron spojrzał na mnie, posłałam mu uśmiech.

– Wcale w to nie wątpię – rzucił. – On też jest ostro porąbany.

Śmiejąc się, ruszyliśmy do mojego pokoju, jednak po drodze miny nam zrzedły. Oboje doskonale rozumieliśmy, że sytuacja staje się coraz trudniejsza i będziemy musieli dokonać cudów, żeby sobie poradzić. Dlatego stając pod drzwiami, siłą woli przywołaliśmy na twarze jeszcze szersze uśmiechy i dopiero wtedy weszliśmy do pokoju.

Deacon na nasz widok poderwał się z tapczanu. Kompletnie nas zaskoczył, nie sądziliśmy, że zdążył już wrócić.

– Gdzieście byli tak długo? – rzucił zaniepokojony. Zapewne wiadomość o załamaniu Virginii na meczu musiała go poważnie przestraszyć. Nagle poczułam, jak groza naszej sytuacji znów dociera z całą mocą do mojej świadomości.

– Wybacz, stary – powiedział cicho Aaron, po czym usiadł na krześle przy oknie. – Gdzie byłeś, kiedy do ciebie dzwoniłem?

Deacon przyjrzał mi się uważnie. To nie ja odpowiedziałam na jego pytanie, dlatego chciał się upewnić, czy wszystko gra.

– Pojechałem pod gabinet Arthura – wyjaśnił Deacon, nie odrywając ode mnie oczu. – Na parkingu nie ma jego samochodu, więc zastanawiam się, czy by się nie włamać.

– Typowe – westchnął Aaron.



Deacon puścił jego uwagę mimo uszu. Podszedł i zatrzymał się naprzeciw mnie.

– Na pewno dobrze się czujesz? – spytał cicho.

– Szkoda, że jej nie widziałeś – powiedziałam, przytulając się do niego. Od razu poczułam się zupełnie bezbronna. Przed oczami miałam miotającą się, zakrwawioną i bezradną Virginie. – To było straszne.

Deacon przytulił mnie mocniej i szeptem powtarzał, że żałuje, że nie było go wtedy przy mnie. Przez chwilę łudziłam się nawet, że gdyby tam był, rzuciłby się Virginii na ratunek. Wbiegłby na boisko, chwycił ją za rękę i wyprowadził z sali. Oczywiście była to tylko fantazja, ja jednak czerpałam z niej pociechę. Potrzebowałam wiary, że nie jesteśmy zupełnie bezradni.

W pewnym momencie rozległo się buczenie wibrującej komórki. Aaron wyciągnął swój aparat i sprawdził, kto dzwoni.

– To Myra. Muszę odebrać – wyjaśnił, po czym dodał, wskazując drzwi: – Będę u siebie w pokoju. Dajcie znać, gdy Reed się odezwie.

Kiedy Aaron wyszedł, Deacon jeszcze raz przyjrzał mi się bacznie.

– Źle wyglądasz – stwierdził. – Co mogę zrobić?

– Przestań traktować mnie, jakbym była z porcelany – odparłam. – Nie bój się, nie rozsypię się na milion kawałków.

– Nie pozwolę, żeby pojawiła się u ciebie choćby najdrobniejsza rysa – wyjaśnił żartobliwie. – Lepiej uważajmy.

Miał rację, próbując mnie rozśmieszyć. Nie mogliśmy skupiać się na tym, co straszne. W ten sposób sami prosilibyśmy się o porażkę. Tyle wie każdy sobowtór. Dopóki mogliśmy, musieliśmy udawać, że jesteśmy dobrej myśli.

– Głodna? – spytał. – Przyniosłem lunch.

– Przekąsiłabym coś...

Deacon wskazał drugie łóżko, na którym dopiero teraz dostrzegłam stertę przekąsek kupionych w automacie na monety.

– No co? – wyszczerzył w uśmiechu zęby Deacon. – Zajadam stres.

\* \* \*

Mieliśmy teraz pod dostatkiem chipsów o smaku soli i octu, żelków, słodkich napojów i ciastek. Deacon rozłożył to wszystko starannie na łóżku niczym podczas pikniku i zasiedliśmy do jedzenia. Usiadłam ze skrzyżowanymi nogami. Komórki położyliśmy w takim miejscu, żeby przez cały czas były widoczne. Na początek otworzyłam opakowanie żelków.

– Życzysz sobie przystawkę? – zaproponowałam, podsuwając paczkę Deaconowi, ten jednak pokręcił głową i sięgnął po roladę.

– Od razu główne danie – stwierdził.

Szelest zrywanego celofanu nie mógł rozproszyć ciężkiej, mrocznej ciszy, która nas spowijała. Po chwili stało się jasne, że możemy się starać, ale na dłuższą metę i tak nie zdołamy udawać beztroski. Poprawiłam poduszki i położyłam się wygodnie.

– Jak myślisz, co chcą jej zrobić? – spytałam. Wolałam sobie nie wyobrażać, czego może teraz doświadczać Virginia.

Deacon utkwił spojrzenie w jedzeniu, ale chyba stracił apetyt.

– Kiedy czekałem na parkingu, zdążyłem zadzwonić w kilka miejsc. Zdobyłem namiary na paru pracowników gabinetu Arthura.

Było to standardowe działanie sobowtórów – przed każdym zleceniem należało przeprowadzić małe śledztwo. Czasami zajmowała się tym Marie, ale zdarzały się sytuacje, że woleliśmy zrobić to samodzielnie.

– No i?

– Wpadłem na trop recepcjonistki, Magdaleny. W serwisie społecznościowym jej profil był widoczny tylko dla znajomych. Wysłałem jej zaproszenie do grona znajomych z fałszywego konta, a ona je zaakceptowała. We wpisach na wallu narzekała na swoją pracę. Żaliła się, że lekarz kazał jej prznosić jakieś ciężkie kartony. Rozboleła ją od tego kręgosłup. Wspomniała, że być może jej pracodawca planuje przeprowadzkę. Podejrzewam, że Arthur pracuje jeszcze gdzie indziej; być może ma do dyspozycji inną placówkę.

– Musisz się włamać i upewnić.

– Dokładnie. Wiesz, strasznie mi głupio. Nigdy mu nie ufałem, jednak w głębi duszy łudziłem się, że próbuje cię chronić. Miałem wrażenie, że to jego prawdziwe oblicze. Dopiero kiedy przydzielił cię do sprawy Cataliny, zrozumiałem, że się myliłem. Coś się w nim wtedy zmieniło.

– Zaczął podejrzewać, że odkryłam, iż jego córka jest zamieszana w sprawę samobójstw – powiedziałam. – Dlatego stałam się dla niego zagrożeniem. I właśnie dlatego musimy dotrzeć do Virginii, zanim wymaże jej pamięć. Muszę odkryć, co zdołała sobie przypomnieć.

– Sądzę... – odezwał się Deacon, po czym skrzywił się, jakby nie podobał mu się własny tok rozumowania. – Sądzę, że jestem częściowo odpowiedzialny za to, w jakim stanie jest teraz Virginia. Zanim Arthur zaczął eksperymentować na swojej córce, przeprowadzał manipulacje pamięci na tobie. To ty byłaś jego pierwszą pacjentką. A ponieważ ja zawsze go okłamywałem na temat twojego stanu, zapewniając, że czujesz się znakomicie, doktor poczuł się pewnie i zaczął eksperymentować też ze swoją córką. Tak więc wychodzi na to, że jestem potworem w ludzkiej skórze.

– Deaconie – odezwałam się łagodnym głosem. – Próbowaleś mnie chronić. Nie wiedziałeś przecież, jakie plany ma Arthur. W sumie nadal nie wiemy, co zamierza. Liczy się to, że jesteśmy teraz razem. Damy radę, pokonamy go.

Deacon zapatrzył się w trzymaną w ręce puszkę z napojem.

– Kocham cię do szaleństwa – powiedział po chwili, odstawiając ją na bok. – Zrobię dla ciebie wszystko.

Ukląkł na łóżku, zgniatając kolanami część przysmaków. Przyciągnęłam go do siebie i mocno pocałowałam, zanurzając palce w jego miękkich włosach. Jego język musnął moją dolną wargę, a z moich ust wyrwał się zdławiony jęk. Położyliśmy się na tapczanie, strącając na podłogę słodycze. Okoliczności nie nastrajały nas zbyt romantycznie. Gdybyśmy jednak mieli czekać na właściwy nastrój, pewnie czekalibyśmy do śmierci.

Nie spiesząc się, zaczęłam zdejmować ubranie, najpierw z niego, potem z siebie. Byliśmy bardzo uważni, reagując na każde westchnienie i pragnienie partnera. Ani słowem nie wspominaliśmy o epidemii, o Virginii ani o tym, że z każdym dniem malały nasze szanse na przeżycie. Na razie byliśmy żywi i tylko to się liczyło.

## Rozdział trzeci

Przez blisko dwa dni czekaliśmy niecierpliwie na jakiegokolwiek wiadomości. Czas ten mieliśmy spędzać w swoim pokoju. Marie pozwalała nam tylko na krótką wizytę w barze, żeby coś przekąsić, albo wypad do sklepu na zakupy. Kontaktować mogliśmy się wyłącznie z sobowtórami zaangażowanymi w naszą akcję. Nasza doradczyni zabroniła Deaconowi włamywać się do gabinetu Arthura i odwiedzać jego dom. Marie była obecnie jedynym dorosłym w naszym życiu, osobą, do której w przeszłości mieliśmy bezwarunkowe zaufanie. Wyglądało na to, że nadal ma nad nami pewną władzę.

Reed podejrzewał, że Virginia leczona jest w domu. Wypatrzył przy wejściu do niego jakąś starszą kobietę, ale nie wiedział, kto to. Marie domyśliła się, że musi to być doktor Evelyn Valentine. Obiecała, że zbada ten wątek, i od tamtego czasu nie dawała znaku życia.

W wiadomościach nie pojawiła się żadna wzmianka na temat Virginii. Było to dziwne, zważywszy, że jej atak nastąpił na oczach połowy szkoły i zawodniczek dwóch drużyn. O incydencie na meczu milczał też Internet – nazwisko Virginii nie pojawiło się na żadnej stronie, tak jakby nic się nie stało. Kiedy zaczęłam przeszukiwać pod tym kątem portale społecznościowe, odnalazłam tylko kilka zawoalowanych wzmianek na ten temat. A także sporo świeżo zablokowanych kont użytkowników.

– Myślisz, że to sprawka wydziału żałoby? – spytałam Deacona, który przy stole przeglądał listę byłych sobowtórów, uznawanych teraz za zaginionych. Sprawdzał dokładnie każdy przypadek, ale jak na razie nie znalazł nic podejrzanego.

– Wątpię. Przypuszczam, że ludzie sami się cenzurują, wiedząc, że grozi im interwencja ze strony wydziału. Na tym właśnie polega zastraszanie – rzekł, po czym marszcząc brwi, wyjrzał przez okno. – Gdzie, do diabła, podziewa się Aaron?

W pewnym momencie jego komórka zaczęła wibrować. Sięgnął po nią energicznie, sprawdził szybko wiadomość, po czym wsunął aparat do kieszeni i założył kurtkę.

– Co robisz? – zaniepokoiłam się. – Kto napisał?

Widząc, że przygryza z zakłopotaniem wargę, skrzywiłam się wymownie. Moja mina miała znaczyć: *Nie ma takiej opcji, żebyś mi nie powiedział.*

– Liczyłem, że Aaron zjawi się i mnie złuzuje... – powiedział.

– No rozumiem, i co dalej? Od kogo dostałeś SMS-a?

– Od Marie – wyjaśnił. – Wynajęła na krótko mieszkanie na drugim końcu miasta. Poprosiłem ją o spotkanie. Nie mogę dłużej tu beczynnie siedzieć. Muszę dowiedzieć się, co jest grane.

– Chyba wszyscy jesteśmy w tej samej sytuacji – zauważyłam, lekko zbita z tropu.

Nie bardzo rozumiałam, dlaczego próbował ukryć przede mną, że jedzie spotkać się z Marie. Wstałam z łóżka i sięgnęłam po kurtkę wiszącą na krześle.

– No dobra, chodźmy – powiedziałam.

Deacon skrzywił się, widząc, co robię.

– Wyraźnie powiedziała, że mam zjawić się sam.

Stosunki między nim a Marie były napięte od chwili, kiedy Deacon pożegnał się z wydziałem.

A ponieważ pracował potem dla Arthura, ich relacje były teraz nieco inne niż te zazwyczaj łączące doradcę z sobowtórem. Kiedy Aaron przedstawił mojemu chłopakowi swoją teorię na temat współpracy Marie z Arthurem, Deacon nie próbował się z nim spierać.

– Nie ufam Marie – odezwał się. – Uważam, że coś przed nami ukrywa. Najpierw twierdziła, że chce, abyśmy ostrzegli inne sobowtóry. A potem okazało się, że zostaliśmy zrekrutowani, żeby pracować dla doktor Valentine. W sumie niewiele się to różni od sytuacji, w której zostalibyśmy agentami, nie sądzisz?

Nie mieściło mi się w głowie, że Marie mogłaby nas zdradzić. Jasne, być może kłamała. Nie byłby to zresztą pierwszy raz. Ale praca dla Arthura i świadome narażanie nas na niebezpieczeństwo to zupełnie inna sprawa. Nie mogłam w to uwierzyć.

– Muszę mieć pewność, po której stronie ona tak naprawdę gra. Jeśli okaże się, że nie jest z nami, uciekniemy stąd jak najszybciej.

– Powiedzmy, że twoje przypuszczenia są słuszne. Załóżmy, że Marie pracuje dla Arthura i zostaliśmy przez nią elegancko wydymani. Dlaczego teraz miałaby ci to wszystko wyśpiewać? To nie jest osoba, od której możesz wyciągnąć prawdę ot tak.

– Zamierzam napić ją herbatką z serum prawdy, którą zwykle nas częstowała – wyjaśnił Deacon, jakby chodziło o coś zupełnie zwyczajnego.

Musiała upłynąć długa chwila, zanim dotarł do mnie sens jego słów.

– Co takiego?

– Tabitha zdołała załatwić niewielką ilość tego specyfiku – powiedział. – Nie tylko my tracimy zaufanie do Marie. Po prostu chcemy znać prawdę.

– Przecież to się nie uda. Nie ma takiej opcji. Wiesz o tym, prawda?

Deacon zbliżył się do mnie z uśmiechem.

– Maleńka, przy odpowiednim nastawieniu nie ma dla mnie rzeczy niemożliwych.

– Nic więcej nie mów – poprosiłam, kładąc mu dłoń na policzku.

Nagle zaczęłam się martwić. Byłam przerażona. Nie można podać komuś substancji psychoaktywnej i udawać, że nic się nie stało. No chyba że się było doradcą sobowtóra, wtedy takie numery uchodziły na sucho.

Deacon nachylił się i złożył na moich ustach delikatny pocałunek. Oczywiście próbował w ten sposób odwrócić moją uwagę. I muszę przyznać, że na chwilę nawet mu się to udało.

– Kocham cię – szepnął.

– Tylko wróć – poprosiłam, czując, że z nerwów ściska mi się żołądek.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Kiedy Deacon podszedł i je otworzył, na progu stanął

Aaron.

– Siemanko – rzucił, uśmiechając się od ucha do ucha. Po chwili wyczuł, że coś nie gra. – O cholera, co znowu?

Deacon klepnął go w ramię i zatrzymał się przy drzwiach.

– Niedługo wrócę.

– Ale dokąd się wybierasz? – spytał Aaron.

– Zdobyć odpowiedzi na parę pytań – odparł Deacon, spoglądając na mnie. Odwrócił się z powrotem do Aarona. – Quinn opowie ci o moim kretyńskim planie. Trzymajcie się, wrócę tak szybko, jak to będzie możliwe.

I zanim zdążyłam o cokolwiek spytać, znalazł się za drzwiami, a ja zostałam w motelowym pokoju, czując, jak opadają mnie najgorsze przeczucia.

\* \* \*

Po godzinie zjawił się Reed, zadowolony, że się do niego odezwaliśmy. Aaron i ja byliśmy już zmęczeni swoim własnym towarzystwem, a ponieważ zabroniono nam kontaktów z ludźmi niebędącymi sobowtórami, pozostawał nam właśnie on. Na szczęście naprawdę polubiliśmy tego gościa.

Reed zamieszkał razem z Shepem po drugiej stronie miasta. Wcześniej wynajął sobie lokum w centrum Best Western, jednak Marie wołała, żeby miał na oku czternastoletniego Shepa. Opowiadał teraz, że jego podopieczny rzadko unosi wzrok znad komórki. A kiedy już zdarza mu się oderwać od gry, robi to tylko po to, żeby rzucić jakąś sarkastyczną uwagę.

– W sumie czuję się, jakbym zamieszkał z młodszą wersją siebie samego – wyznał Reed, zdejmując czarną kurtkę i rzucając ją na krzesło. Po chwili usiadł przy oknie i dodał: – Tyle że ta młodsza wersja jest dość okropna, no i niezbyt atrakcyjna. Ratujcie.

Leżący na łóżku Aaron zareagował śmiechem. Ja usiadłam na drugim tapczanie i skrzyżowałam nogi.

– Przykro mi, stary – odezwał się Aaron. – Ja mam u siebie tylko jedno podwójne łóżko, a ty wyglądasz mi na takiego, co lubi się przytulić w nocy.

– Oj, lubię – potwierdził wesoło Reed.

Po chwili zaczął przetrząsać stertę przekąsek z automatu na monety. Zdecydował się na ciastka z różowej pianki z posypką kokosową. Rozerwał opakowanie i ugryzł jedno z nich, a kokosowe wiórki posypały mu się na błękitną koszulkę Nike.

– Nie powinienem jeść takich świństw – odezwał się z pełnymi ustami. – Będę musiał potem skoczyć na siłkę.

– Mamy na ciebie zły wpływ – przyznałam. – Aaron chyba nigdy w życiu nie był nawet na siłowni.

Aaron spojrział na mnie jak na wariatkę.

– Naprawdę wydaje ci się, że swój świetny wygląd zawdzięczam tylko dobremu genom?

Zrobiłam minę, jakbym kompletnie nie rozumiała, co ma na myśli, mówiąc o świetnym wyglądzie. Aaron parsknął śmiechem, po czym poprosił Reeda, żeby rzucił mu paczkę chipsów. Obaj panowie zajęli się jedzeniem, a ja położyłam się na boku i spokojnie im się przyglądałam. Wyglądali naprawdę uroczo. Wcielałam się w wiele różnych osób, czasami tylko na chwilę. Poznałam w życiu mnóstwo ludzi. Ale dopiero podczas ostatniego zlecenia miałam okazję przekonać się, jak naprawdę wygląda zwyczajne życie przeciętnych nastolatków. I spodobało mi się to.

Teraz jednak byłam sobą – sobowtórem w towarzystwie innych sobowtórów. Pewnie osobom niebędącym nami wydawałoby się to zupełnie nie do pojęcia, ale ja czułam się z nimi wolna. Ci goście wiedzieli, jak wygląda moje życie, znali mnie. To była moja paczka, moi przyjaciele.

– Co jest? – zainteresował się Reed. – Wyglądasz, jakbyś myślami była tysiąc kilometrów stąd.

– Nie – odparłam, posyłając mu rozmarzony uśmiech. – Jestem tutaj. I chyba wcale nie zachowuję się dziwnie. Po prostu cieszę się, że spędzamy ten czas razem. Cieszę się, że jesteście sobowtórami.

Aaron i Reed spojrzeli na siebie z rozbawieniem, jakby mieli ochotę poznać się trochę nade mną za to wynurzenie. Żaden z nich nie odezwał się jednak ani słowem. Chyba sami mieli podobne odczucia. Między sobą byliśmy autentyczni, nie musieliśmy udawać. Mogliśmy obnażyć się i nareszcie być szczerzy.

Reed zmiął w dłoni celofan i wyrzucił go do kosza na śmieci.

– Fajna z ciebie laska, Quinlan – odezwał się, oblizując palce upačkane lepką pianką. – Najchętniej powiedziałbym, że Hatcher na ciebie nie zasługuje. Obawiam się jednak, że zasługuje.

– Eee, coś ty – rzucił Aaron, puszczając do mnie oko.

– Ponieważ mamy tu kącik zwierzeń – odezwałam się, chcąc podrażnić poruszony kilka dni temu temat – mogę cię o coś spytać, Reed? Wspomniałeś, że mój tata próbował cię przekupić.

– Przepraszam – powiedział Reed, marszcząc nos, jakby poczuł się zawstydzony. – Nie powinienem był ci o tym mówić. W sumie to nie było nic wielkiego, wspomniał o tym tylko raz. Ale i tak mogę chyba być dumny, że nie przystałem na jego propozycję, prawda? Gdybym się zgodził, pewnie byś się we mnie zakochała.

– A mówił ci, skąd ten pomysł? – spytałam, puszczając mimo uszu jego żart. Myśl o tym, jak głęboko sięgały manipulacje mojego ojca, przepełniała mnie smutkiem. – Czemu sądził, że cię potrzebuję?

– Nie wyjaśnił mi zbyt wiele – przyznał Reed, wzruszając ramionami. – Powiedział tylko, że jesteś samotna i że martwi się o ciebie. I prawdę mówiąc, była to zupełnie naturalna reakcja. Przecież to, czym się zajmujemy, nie jest normalne. To zaprzeczenie normalności.

– Ale czemu zwrócił się z tym do ciebie?

– Może wie, że trudno mi się oprzeć. Aua, Quim, to zabolalo – poskarżył się Reed, kładąc rękę na sercu.

Roześmiałam się, bo dotarło do mnie, że moje pytanie faktycznie mogło się wydać Reedowi nieco niegrzeczne. Zapewne, tak samo jak ja, nie znał prawdziwych motywów, jakimi kierował się mój ojciec.

Domyślałam się też, że nigdy ich nie poznam. Moje myśli skierowały się w stronę Marie i podejrzeń Deacona – zapewne nasza doradczyni faktycznie coś przed nami ukrywa. W sumie, jak dowodziła tego moja historia, nie byłam zbyt przenikliwa, jeśli chodzi o otaczających mnie ludzi.

– A może zmienimy temat? – zaproponował Aaron. – Twój ojciec to naprawdę ostatnia osoba, o której chce mi się gadać.

Równocześnie spojrzał na mnie porozumiewawczo, dając mi do zrozumienia, że nie chciał, żeby zabrzmiało to tak okrutnie.

– Jasne – zgodziłam się, po czym wzięłam głęboki oddech, żeby oczyścić umysł. – No dobra, Reed, przyznaj się, co najchętniej robisz dla rozrywki, kiedy nie jesteś na zleceniu. Tylko błagam: nie mów, że ćwiczysz na siłowni.

– No cóż, ćwiczę na siłowni. – Reed wyszczerzył zęby w uśmiechu i odchylił się na krześle. Nogi miał wyprostowane, tak że stopami dosięgał krawędzi łóżka, na którym leżał Aaron. Podeszwami adidasów nie dotykał jednak pościeli. – Ale robię też inne rzeczy.

– Na przykład?

– To zależy, jak bardzo szczegółowej relacji sobie życzysz, Quinn – stwierdził prowokacyjnie.

– Wygląda na to, że będziemy tkwili w tym pokoju jeszcze jakiś czas. Możesz więc opowiedzieć nam wszystko od początku do końca.

Aaron usiadł na łóżku, w kąciu jego ust czaił się uśmieszek, jakby spodziewał się usłyszeć zaraz jakąś pikantną historyjkę. Ach, historie z życia wzięte – mogliśmy ich słuchać bez przerwy.

Tak jak przewidziałam, Reed nie dał się długo prosić. Jego przemożne pragnienie posiadania podziwiającej go publiczności czyniło tego chłopaka jeszcze bardziej pociągającym.

– No dobra, była pewna dziewczyna... – Powiedział to takim tonem, jakbym faktycznie pytała go o jego podboje miłosne. W rzeczywistości moje pytanie brzmiało nieco inaczej, ale nie chciałam wytrącać go ze stanu samozadowolenia. – Właściwie było ich kilka, ale tylko jedna się liczyła.

– Reed, one wszystkie się liczą – zauważyłam.

– Wybacz – rzekł, unosząc ręce w geście kapitulacji. – Chodziło mi o to, że tylko jedną kochałem. Tylko jej nigdy nie zapomnę.

– Oho – odezwał się Aaron – zaczyna się robić wzruszająco.

Reed porwał ze stołu paczkę krakersów i rzucił nią w Aarona, celowo pudłując. Uśmiechał się jednak, ponieważ wiedział, że mój przyjaciel sam związany jest z dziewczyną, którą kocha do szaleństwa.

– W moim życiu też była taka jedna dziewczyna – odezwał się Aaron, siląc się na ponury ton. – W końcu jednak musiałem wyjechać z Idaho. Jestem niemal pewien, że jak tam wreszcie wrócę, panna nie będzie mnie chciała widzieć. Wielkie dzięki, Quinn, za wywleknięcie tego.

– Nie martw się – poradziłam, czując już z jego powodu wyrzuty sumienia. – Wybacz ci. Ona ci zawsze wybacz.

– Obyś miała rację – odparł. – Dobrze, dosyć opowieści o moich związkach. Coś mi się zdaje, że



Reed miał ochotę powywnętrzać się przy nas.

– Nie ma o czym mówić. Tamten związek już umarł. Zamiast tego tkwię tu teraz z wami, takie życie.

– Twoja historia była bardzo mało szczegółowa – poskarżyłam się. – Miałeś przecież opowiadać z detalami.

W tej chwili maska, którą Reed zakładał jako sobowtór, opadła, a spod niej ukazało się prawdziwe cierpienie.

– Obawiam się, że to nie jest wesoła historyjka, którą chcielibyście teraz usłyszeć – powiedział, wytrzymując moje spojrzenie. W jego oczach dojrzałam autentyczny lęk. Wcześniej dostrzegłam go w nim, kiedy uciekaliśmy z sali gimnastycznej po meczu. Może czaił się tam od owego czasu.

Niekiedy wyczuwamy, że rozmowa, w której bierzemy udział, nie jest do końca szczerą, a mimo to dajemy się jej porwać, trochę z grzeczności. Dzieje się tak na przykład wtedy, gdy ludzie ostrożnie omijają drażliwe tematy. Pracowałam kiedyś z rodziną, której członkowie, ilekroć pojawiał się temat śmierci, zaczynali mówić o jednym z żyjących krewnych. Przypominało to nerwowy tik. W końcu nauczyłam się, co to znaczy – ludzie ci każdorazowo zastępowali złe wspomnienie dobrym. Był to ich sposób radzenia sobie z trudną sytuacją.

Reed, Aaron i ja siedzieliśmy w pokoju motelowym, starając się zapomnieć o naszym położeniu. Oczywiście niezbyt dobrze nam to szło, ale i tak nie zamierzaliśmy się poddać. Byliśmy uparci. Przeczuwałam, że historia Reeda będzie smutna i zburzy nasze złudzenia. Coś mi jednak podpowiadało, że powinnam jej wysłuchać. Chciałam ją *poczuć*. Chciałam przestać udawać.

– Opowiadaj – poprosiłam.

Aaron spochmurniał i nagle zobaczyłam świat takim, jaki naprawdę był: byliśmy trójką smutnych i przestraszonych sobowtórów zamkniętych w mrocznym, kiepsko oświetlonym pokoiku w motelu. Nie mieliśmy nic z wyjątkiem naszej przeszłości. A na domiar złego tylko niewielki jej wycinek naprawdę należał do nas.

Reed przełknął głośno ślinę i skinął lekko głową, jakby zgadzał się na moją prośbę.

– Była siostrą denata, którego rolę odgrywałem – powiedział. – Wiem, wiem, nie musicie nic mówić. To, co zrobiłem, stało w rażącej sprzeczności z kodeksem etycznym sobowtóra.

Nie zamierzałam go osądzać. Reed nie miał pojęcia, że przez jakiś czas wydawało mi się, że jestem zakochana w chłopaku mojej nieżyjącej klientki.

– W porządku, mów dalej – poprosiłam, nie chcąc skupiać się na własnych uczuciach i dziękując w duchu Aaronowi, że mnie nie wydał.

– Z początku nic nie zapowiadało, że tak się to potoczy – opowiadał Reed, utkwivszy wzrok w czubkach adidasów. – Dziewczyna nie była nawet zainteresowana terapią. Pierwsze dwie noce spędziła poza domem. W poniedziałek z samego rana miałem zakończyć zlecenie, a w niedzielę wieczorem ktoś zapukał do mojego pokoju. Otworzyłem drzwi i zobaczyłem ją w progu. Wyglądała, jakby cały jej świat obrócił się w ruinę. Spytała, czy może wejść. I prawdę mówiąc, dopiero wtedy

pierwszy raz dokładnie się jej przyjrzałem. Próbowiałem się powstrzymać; miałem udawać jej brata, jednak ta dziewczyna naprawdę mi się podobała. Była piękna. Gdy tylko się odezwałem, uciszyła mnie. Poprosiła, żebym był sobą, bo inaczej wyjdzie. A ja... nie chciałem, żeby wychodziła. To była ta dziwna chwila pod koniec zlecenia, znacie to uczucie? Jakby wszystko miało się zaraz skończyć. Jakbyście wy sami mieli się skończyć. To jest tak popieprzone, nie da się tego wyjaśnić.

– Wiem, o czym mówisz – odezwałam się. W skupieniu obserwowałam, jak z każdym jego słowem kruszy się maska, którą starannie dotychczas pielęgnował. – Znam to z własnego doświadczenia, serio.

Reed podziękował mi nieśmiałym uśmiechem.

– Skończyło się na tym, że przegadałem z Katy całą noc. Zdradziłem jej moje prawdziwe imię, a ona zasypała mnie pytaniami dotyczącymi życia sobowtórów. Chyba ani razu nie wspomnieliśmy nawet o jej bracie. Rankiem poszedłem do jej pokoju, żeby się pożegnać, ale jej już nie było. Katy nigdy nie chciała brać udziału w terapii. Pogodziła się ze śmiercią brata, zanim jeszcze mnie tam posłano. Dwa tygodnie po moim powrocie do domu zjawiała się na progu mojego mieszkania. Zdołała mnie wytropić, ponieważ zdradziłem jej moje prawdziwe imię.

– Stary, zawsze podaje się tylko numer – przypomniał Aaron. – Mówisz na przykład: sobowtór sto jeden.

– Wiem, to było totalnie głupie z mojej strony. Prawdę mówiąc, nie mogłem potem uwierzyć, że Marie nie dowiedziała się o całej sprawie. Musiała być wtedy na urlopie.

– A co stało się później? – spytałam. – Jak ułożyła się wasza znajomość? Spotkaliście się w dość niezwykłych okolicznościach.

– Jak to zawsze bywa w przypadku kretyńskich pomysłów: zaczęliśmy się widywać ukradkiem. Najpierw próbowaliśmy być przyjaciółmi, potem jednak spędziliśmy kilka nocy na tylnym siedzeniu mojego wozu...

– Faj, siedziałam tam niedawno – poskarżyłam się, na co zareagował śmiechem.

– Nie bój się, posprzątałem. Ale tak zupełnie serio: byliśmy świetnie dobraną parą. Katy nie pracowała jako sobowtór, ale miałem poczucie, że doskonale rozumie, jak to jest. W sumie to dziwne, ale... od jakiegoś czasu mam specyficzne wrażenie... Coraz częściej spotykam ludzi, którzy dobrze sobie radzą z ukrywaniem prawdziwych uczuć. I wcale nie są specjalnie do tego wyszkoleni, to zwyczajni obywatele. Część z nich z czasem zatracą tę umiejętność, za to inni stają się w tym coraz bieglejsi. Pewnie zależy to od tego, jak dana osoba reaguje na tragedię.

– Ja też to zauważyłem – przyznał Aaron. – Istnieją chyba dwie grupy ludzi: ci, którzy umieją radzić sobie z traumą, oraz ci, którzy nie wiedzą, jak to zrobić. Wygląda więc na to, że próbują naśladować sobowtóry, które przez naturę zostały obdarzone zdolnością lepszemu radzeniu sobie z rozczarowaniami, jakie niesie życie.

– Ale przecież to, co dzieje się teraz, nie jest prawdziwym życiem – powiedziałam, wskazując okno. – To masowa histeria, podsycana przez lekarza z problemami psychicznymi.

– Może – zgodził się Aaron – a może ludzie wyczuwają, że tylko naśladowując nas, będą mogli uniknąć zarażenia. Nigdy się do nikogo nie przywiązuje, znasz to, Quinn, co nie?

W jego ustach zabrzmiało to jak mantra. Była to nasza największa słabość, a równocześnie największa siła.

– Co się z nią stało? – zwróciłam się znów do Reeda.

– Z Katy? – spytał zatopiony w myślach. – Umarła... Parę miesięcy później jacht, którym płynęła, zatonął. Tak brzmiała oficjalna wersja wydarzeń. Oczywiście... była wtedy sama na pokładzie. Popełniła samobójstwo.

Ze zdziwienia otworzyłam usta. Na myśl o jej biednej rodzinie zrobiło mi się strasznie przykro – ci ludzie stracili w krótkim czasie dwoje dzieci. Nie bardzo wiedziałam, jak mieliby się po czymś takim pozbierać. Może taki właśnie los czekał ludzi, jeśli epidemia przybierze poważniejsze rozmiary?

– Nie byłem na pogrzebie, bo mogliby mnie zobaczyć jej rodzice – ciągnął Reed. – Mój widok prawdopodobnie utrudniłby im powrót do zdrowia. Nie mogłem im tego zrobić.

Twarz mu pobleadła, a do jego błękitnych oczu napłynęły łzy. Kiedy odezwał się po chwili, mówił zduszonym głosem:

– Kochałem ją. Boże, dalej ją kocham. Planowaliśmy wyjechać, jak tylko skończy się mój kontrakt. Za zarobione pieniądze mieliśmy opłacić studia. Katy chciała zostać nauczycielką. Przeznaczyłem zarobione pieniądze na zapewnienie jej przyszłości.

– Tak mi przykro – powiedziałam, choć wiedziałam, że moje słowa nie wystarczą. W rzeczywistości przecież nic nie zmieniały.

– Najtrudniejsze w tym wszystkim było ukrywanie się z naszą miłością. A po jej śmierci było mi jeszcze trudniej. Marie anulowała moje następne zlecenie i posłała mnie na trzytygodniową terapię. Uznano, że zachowuję się w sposób niezrównoważony. Możecie sobie wyobrazić, jak trudno mi było oszukiwać ludzi z wydziału? Jak cholernie ciężko było znaleźć sposób, żeby nie napiłi mnie herbatką z serum prawdy? Jakoś jednak mi się udało. I wcale nie dlatego, że musiałem. Przecież Katy była już martwa. Kłamałem, ponieważ była moja i nie chciałem, żeby mi ją odebrali. Była moją tajemnicą.

W pokoju zapanowała ciężka atmosfera. W pewnym momencie Reed opuścił stopy na podłogę i nachylił się, opierając łokcie na kolanach. Głowę wsparł na dłoniach, palcami zatykał sobie uszy. Nagle zrozumiałam, że nigdy wcześniej nikomu nie opowiedział tej historii. Nie był gotowy na cierpienie, jakie sam sobie sprawił.

Wstałam, podeszłam do niego i delikatnie go przytuliłam. Nie odwzajemnił mojego uścisku, ale przynajmniej odwrócił się w moją stronę. Kiedy po chwili się odsunął, oczy miał zaczerwienione i załzawione.

– Powinniśmy się wcześniej zaprzyjaźnić, McKee – powiedział.

– Przyjaźnimy się teraz – odparłam. – I przynajmniej teraz dzieje się to naprawdę.

– Tak, czasami – przyznał z niewesołym uśmiechem.

Cała nasza trójka, stłoczona w tym ciasnym pokoiku, milczała przez chwilę po jego słowach. Każde z nas nieskończenie samotne w tym życiu, które sami sobie stworzyliśmy.

## Rozdział czwarty

Reed poszedł do łazienki, żeby opłukać twarz, a ja i Aaron siedzieliśmy w milczeniu w pokoju. Martwiłam się, dlaczego Deacon dotychczas nie napisał. Kiedy wyjaśniłam Aaronowi, co planuje mój chłopak, poważnie się przejął. Od tamtej chwili siedział ciągle ze zmarszczonym czołem. Teraz najwyraźniej czytał w moich myślach – poprosił, żebym poczekała jeszcze trochę, zanim zacznę się na dobre zamartwiać. Na szczęście wpadłam już na pomysł, jak zdobyć informacje.

Kiedy z łazienki dobiegł dźwięk zakręcanej wody, zerknęłam na Aarona, który przez cały czas bacznie mi się przypatrywał. Odczekał chwilę, po czym wybuchnął śmiechem.

– Coś knujesz – zauważył.

– To prawda – przyznałam.

Po chwili z łazienki wynurzył się Reed, wycierając twarz. Kiedy przyjrzał się naszym minom, znieruchomiał w pół kroku.

– Coście wymyślili? Co znowu mam zrobić? – jęknął, rzucając za siebie biały ręcznik, który wylądował na łazienkowej podłodze.

\* \* \*

Na podjeździe pod domem Arthura Pritcharda zaparkowany był jakiś samochód. Żadne z nas go nie rozpoznawało. Kiedy zerknęliśmy przez okno do garażu, okazało się, że auto doktora zniknęło. Pewnie pojechał do gabinetu. Dochodziła siedemnasta, więc lada moment powinien wrócić do domu.

– Spróbuj zadzwonić jeszcze raz – poprosił szeptem Aaron.

Wybrałam ponownie numer Virginii i momentalnie włączyła się skrzynka głosowa. Reed stał z boku i marszcząc brwi, przypatrywał się budynkowi. Kiedy zaproponowałam, żebyśmy poszukali Virginii i spróbowali ją wykraść, Reed się nie palił do tego pomysłu. Szczególnie że Marie wyraźnie zakazała nam zjawiać się tutaj. W końcu jednak dał się namówić – przestrzeganie narzuconych z góry reguł nie było naszą najmocniejszą stroną. Poza tym pragnęliśmy zrobić to, co należało. A przetrzymywanie dziewczyny w zamknięciu było rzeczą okrutną i dość niezwykłą. Chcieliśmy się dowiedzieć, dlaczego tak z nią postępują. Za co właściwie spotyka ją ta kara? Co takiego sobie przypomniiała?

– Wiesz, w którym pokoju mieszka? – spytał Reed.

W myślach cofnęłam się szybko do wieczoru, gdy włamaliśmy się do domu z Deaconem. Nie mieliśmy wtedy zbyt wiele czasu, żeby dokładnie zbadać całe wnętrze, ale zapamiętałam rozkład pokoi. Obeszliśmy teraz budynek i stanęliśmy przed bramą.

Reed podskoczył i uchwycił się jedną ręką krawędzi płotu, po czym zwinnie się podciągnął, napinając swoje imponujące mięśnie. Kiedy zerknęłam na Aarona, przewrócił tylko oczami.

Zachichotałam i podeszłam do ogrodzenia. Aaron ugiął nogę w kolanie, robiąc dla mnie podpórkę. Postawiłam na niej stopę i wspierałam się na płot. Z drugiej strony czekał już Reed z wyciągniętymi rękami, gotowy pomóc mi zejść. Kiedy cała nasza trójka znalazła się już po drugiej stronie, zaczęliśmy ostrożnie okrążyć budynek, trzymając się blisko ogrodzenia i kierując się do drzwi wejściowych.

Dom od tej strony miał kilka okien, jednak z miejsca, gdzie staliśmy, nie mogliśmy przez nie zajrzeć do środka. Przywołałam w pamięci rozkład pomieszczeń i drogą eliminacji wytypowałam okno pokoju Virginii.

Podeszliśmy pod nie i przez chwilę zastanawialiśmy się, w jaki sposób przyciągnąć uwagę osoby znajdującej się w pokoju. Gdyby okazało się, że to nie Virginia, musieliśmy mieć gdzie się schować.

– To dość ograny fortel – zauważył Reed, podnosząc z ogrodowej ścieżki garść kamyczków.

Widząc, co zamierza, Aaron spojrzał na niego jak na idiotę. Ja jednak wiedziałam, że nie mamy wielkiego pola manewru. Ukryliśmy się za małą wiatą niedaleko rogu budynku.

– Jak u ciebie z celnością? – spytałam Reeda.

– Oczywiście jestem doskonałym strzelcem – odpowiedział wesoło.

Następnie wyjrzał zza wiaty, zamachnął się i cisnął kamyczkiem w okno. Rozległo się ciche stuknięcie, kiedy pocisk trafił w szybę. Czekaliśmy, wstrzymując oddech, gotowi ukryć się, gdyby w oknie pokazał się ktoś, kogo nie znamy. Po minucie Reed przygotował do rzutu drugi kamyk. I właśnie w tej chwili zasłony się poruszyły. Wstrzymałam oddech.

– To ona – powiedziałam, dotykając ramienia Reeda.

Po chwili otworzyło się okno i pojawiła się w nim Virginia. Wyglądała na zasnęłą, rozglądała się niepewnie po podwórku. Wyszłam zza szopy. Kiedy jej wzrok padł na mnie w mroku, Virginia aż podskoczyła ze strachu.

– Cześć – powiedziałam. Czuję się trochę niezręcznie, bo przecież ukrywałam się w nocy na jej podwórku. – Możemy... pogadać przez chwilę?

Virginia obejrzała się za siebie, po czym znów odwróciła się do mnie.

– Kim jesteś? – spytała.

I nagle zwała się na mnie straszna prawda – znowu wymazali jej pamięć. Przybyliśmy za późno.

– Nazywam się Quinn – powiedziałam. Występowanie pod fałszywym imieniem przestało mieć sens. – Jestem twoją przyjaciółką.

Virginia uchwyciła się parapetu, jakby próbowała odzyskać równowagę. Czyżby moje słowa zrobiły na niej takie wrażenie? A może zdążyła się już domyślić, że nie może ufać swojej pamięci?

– Spotkajmy się przed domem – powiedziała, wskazując palcem podwórze od frontu. – Przyjechałaś samochodem?

Powiedziałam, że owszem, mamy samochód. Virginia bez słowa zamknęła okno i zniknęła w pokoju. Obejrzałam się na Aarona i Reeda, obaj wyglądali na zaniepokojonych.

– Ona naprawdę straciła pamięć – odezwał się Reed. – Nie ma pojęcia, kim jesteś.

– Tak samo było poprzednio. Znowu jej to zrobili – wyjaśniłam. Zakłęłam pod nosem i przeczesałam palcami włosy. Nagle ogarnęła mnie frustracja. Poczułam też wyrzuty sumienia. – Źle zrobiliśmy, że pozwoliliśmy im wtedy ją zabrać.

Oczywiście widok Virginii, której znów wymazano wspomnienia, był sam w sobie przerażający. Ja jednak równocześnie czułam coś jeszcze – byłam rozczarowana. Liczyłam przecież, że dziewczyna pomoże mi odzyskać pamięć. Arthur nie tylko ukradł jej wspomnienia, ale też pozbawił mnie możliwości odzyskania moich.

Musieliśmy w jakiś sposób odblokować jej pamięć.

– Słuchajcie – odezwałam się do Aarona i Reeda. – Znam pewne miejsce na wybrzeżu. Stoi tam latarnia morska. Musimy ją tam zabrać.

– Niby po co? – spytał bez przekonania Aaron.

– Tam Virginia przechowuje swoje wspomnienia.

\* \* \*

Podeszliśmy przed front budynku i czekaliśmy na Virginie przy naszym samochodzie. Mijały minuty, ale się nie zjawiała. Wreszcie zaczęliśmy się denerwować – może nie zdołała wydostać się z pokoju albo jej ojciec coś usłyszał? W końcu jednak pojawiła się w krzakach, po czym ruszyła przed siebie i po chwili, potykając się, wyszła na chodnik. Na ramieniu miała plecak, jakby gotowa była do ucieczki.

– O cholera – mruknął pod nosem Reed. – Myślałem, że tylko z nią pogadamy.

– Wygląda na to, że będziemy musieli się nieco bardziej zaangażować – odparłam, po czym pomachałam jej na powitanie.

Virginia uśmiechnęła się na mój widok. Nagle uderzyła mnie myśl, że kiedy przedstawiłam się jako jej przyjaciółka, mogłam wprowadzić ją w błąd. Nie będzie zachwycona, gdy się okaże, że ma przed sobą sobowtóry.

– Cześć – rzuciła na powitanie, a chwilę potem zobaczyła superprzystojnego Reeda i momentalnie oblała się rumieńcem. – Lepiej zmywajmy się stąd jak najszybciej. Mój ojciec lada chwila wróci do domu.

Pospiesznie skierowaliśmy się do samochodu. Ja i Virginia usiadłyśmy z tyłu, Reed wsiadł za kierownicę, a Aaron na miejsce pasażera. Virginia ułożyła plecak obok fotela Reeda. Kiedy ruszaliśmy, jej wzrok był pełen nadziei. Dopiero kiedy skręciliśmy za róg, odwróciła się do mnie. W jej oczach nie odnalazłam żadnego błysku świadczącego, że mnie rozpoznaje. Patrzyła na mnie jak na obcego człowieka.

– No dobrze, a teraz łaskawie mi wyjaśnijcie, kim jesteście – poprosiła, a ja pomyślałam, że może wcale nie jest taka naiwna, jak mi się wydawało.

Reed zerknął na nią we wstecznym lusterku. Aaron powstrzymał się od jakiegokolwiek reakcji.

– Jesteśmy sobowtórami – powiedziałam.

– A zatem przysłał was mój ojciec – stwierdziła Virginia, zaciskając zęby. – Nie rozumiem, po co zadajecie sobie tyle trudu. Przecież on już...

– Nie pracujemy dla twojego ojca – weszłam jej w słowo. – Przysięgam. Chcemy ci pomóc. Widziałam, co stało się na meczu. Byłam na trybunach. Byłaś czymś zasmucona, potem wpadłaś we wściekłość. Krzyczałaś, że wszystko sobie przypomniałaś.

– O jakim meczu mówisz? – spytała, przechylając głowę.

– Mecz siatkówki – wyjaśniłam. Myśl, że muszę uzupełniać luki w jej pamięci, była straszna. – Powiedziałaś swojej trenerce, że wszystko pamiętasz. Wezwała wtedy twojego ojca. Błagałaś, żeby nie wymazywali ci znowu pamięci. Mimo to zostałaś wywleczone z sali.

Virginia przygryzła wargę i wbiła spojrzenie w podłogę samochodu. Domyślałam się, że przeszukuje pamięć. Po chwili jednak uniosła głowę i jęknęła cicho, jakby zbierało się jej na płacz. Od razu zrozumiałam, co to znaczy – nie mogła znaleźć tego wspomnienia. Położyłam Virginii dłoń na ramieniu, żeby dodać jej otuchy.

– Nie pierwszy raz doświadczasz zaników pamięci – powiedziałam. – Ostatnim razem zabrałaś mnie do latarni morskiej. Może jeśli tam pojedziemy...

– Latarni morskiej? – zdziwiła się.

– Twierdziłaś, że nazywacie ją ze znajomymi Końcem Świata.

Wpatrywała się we mnie martwym wzrokiem i nagle przestraszyłam się, że zapomniała również o tym. Jeśli faktycznie tak było, znaczyłoby to, że tym razem wymazano jej jeszcze głębsze pokłady wspomnień niż zwykle. Ze zdenerwowania poczułam suchość w gardle. Może już nie zdołamy jej pomóc? Choć pewnie ludzie, którzy jej to zrobili, sądzili, że właśnie w ten sposób jej pomagają.

– Wiem, jak tam trafić – powiedziałam, siląc się na spokój, choć z nerwów byłam cała spięta.

Nachyliłam się i pokazywałam Reedowi, jak ma jechać. W samochodzie zapanował dziwny melancholijny nastrój. Reed skręcał według moich wskazówek. Aaron sprawdził, czy ma na komórce jakieś nowe wiadomości.

– I co? Jest coś? – zainteresowałam się.

– Na razie nic – powiedział, po czym odwrócił się i uśmiechnął, chcąc mi dodać otuchy. Ja jednak widziałam, że jego też zaczynają zżerać obawy. – Nic mu nie jest. Deacon poradzi sobie w każdej sytuacji.

\* \* \*

Latarnia morska oddalona było o godzinę jazdy, jednak Reedowi dotarcie tam zajęło niecałe czterdzieści minut. Prowadził samochód jak kierowca rajdowy, co chyba robiło spore wrażenie na Virginii, która przez cały czas przypatrywała mu się w lusterku. Reed tymczasem udawał, że tego nie widzi.



W końcu dojechaliśmy do latarni. Próbowaliśmy kilkanaście razy dodzwonić się do Deacona, ale ten nie odbierał. Nie mogłam mu teraz w żaden sposób pomóc. Ogarniała mnie panika, ale próbowałam nie dać niczego po sobie poznać.

Okolica wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętałam podczas pierwszej wizyty – była spokojna, piękna i odludna. Zerknęłam na Virginie, licząc, że ten widok coś jej przypomni. Jej uśmiech nie pozostawiał jednak żadnych złudzeń – nie rozpoznawała miejsca, w którym się znaleźliśmy.

– Ładnie tu – stwierdziła.

– Chodźmy do środka – zaproponowałam.

Wysiedliśmy z auta i przystanęliśmy na chodniku. Aaron westchnął ciężko. Wyczuwałam, że wcale nie uśmiecha mu się wchodzenie do opuszczonego budynku. Od morza wiał silny wiatr, wydymając jego kurtkę niczym żagiel. Pod uderzeniami wichru Aaron cofnął się o krok. Tymczasem ja z Virginią ruszyliśmy w stronę latarni. Kosmyki rozwiewanych przez wiatr włosów dziewczyny przykleiły jej się do ust pomalowanych błyszczkiem.

Miałam już poprosić ją o kluczyk, kiedy naszym oczom ukazały się drzwi wejściowe. Serce zamarło mi w piersi – po kłódce nie było śladu. Zamiast niej w drzwiach zainstalowano nowy zamek. Posłałam spłoszone spojrzenie Aaronowi, który podszedł i szarpnął za klamkę. Drzwi ani drgnęły.

– Kiedy byliśmy tu poprzednio, nie było tego zamka – powiedziałam. – Ktoś musiał tu zajrzeć.

Aaron cofnął się o krok, po czym naparł całym ciałem na drzwi. Rozległ się trzask pękającego drewna, jednak drzwi pozostały na swoim miejscu. Wtedy zbliżył się Reed i stanął obok Aarona. Nadarzyła się okazja, żeby zaprezentować krzepę, i chłopak nie zamierzał zmarnować takiej szansy.

– Na trzy napieramy, dobrze? – spytał.

– Jasne – odparł Aaron, pocierając obolałe ramię. Pewnie odczuł bardziej te zapasy niż drzwi, z którymi się mocował.

Chłopcy policzyli do trzech, a wtedy Reed rzucił się do przodu, uderzając barkiem w przeszkodę. Zamek ustąpił. Drzwi z impetem uderzyły o ścianę. Reed zrobił minę, jakby dopiero teraz zorientował się, że nie poczekał na kolegę.

– Oj – powiedział, oglądając się na Aarona, który nawet nie zdążył się ruszyć.

– Przepraszam – odezwał się mój przyjaciel. – Pomyślałem, że poradzisz sobie sam.

– Dupek – mruknął Reed, masując sobie bark.

Virginia nie mogła oderwać od niego oczu. Ten pokaz heroizmu najwidoczniej spełnił swoje zadanie. Widziałam, że Reed zupełnie nie jest nią zainteresowany, jednak zachował się jak rasowy sobowtór – odwrócił się do dziewczyny i posłał jej dumny uśmiech.

– Panie przodem – stwierdził, puszczając ją przed sobą jak przystało na prawdziwego gentlemiana.

Virginia zniknęła w środku latarni. Reed z zaniepokojoną miną podążył za nią. Aaron podszedł do mnie i szepnął:

– No to chodźmy.

Gdy tylko przestąpiliśmy próg, uderzył nas intensywny zapach świeżej farby. Virginia zatrzymała się na środku okrągłego pomieszczenia i z wrażenia aż zatkała nos.

Kiedy rozejrzałam się wkoło, doznałam szoku – wszystkie ściany zostały pomalowane na biało. Ruszyłam biegiem w kierunku schodów i popędziłam na górę. Moje kroki odbijały się echem na klatce schodowej. Chciałam odnaleźć wpis Cataliny, ale on również nie przetrwał malowania. Gruba warstwa farby zakryła każde słowo.

– Tylko nie to – jęknęłam, kiedy natrafiłam na miejsce, gdzie powinien być napis. Zaczęłam zdrapywać farbę i jej skrawek wbił mi się pod paznokieć. Krzyknęłam z bólu i momentalnie cofnęłam dłoń. Tak bardzo chciałam odszukać te słowa, ostatni ślad po Catalinie. Sfrustrowana zaczęłam płakać.

W końcu obok mnie pojawił się Aaron i odciągnął mnie od ściany.

– Uspokój się – szepnął, otaczając mój tułów ramionami. – Wszystko będzie dobrze.

– Były tu jeszcze niedawno... – powiedziałam. – Wszystkie wspomnienia Virginii. Był też wpis Cataliny. I innych. Wszyscy ci ludzie już nie żyją i zostały po nich tylko te notatki na ścianach.

– Wierzę ci – odrzekł Aaron. – Ale najwidoczniej ktoś nas uprzedził. A to znaczy, że powinniśmy się stąd wynieść. I to zaraz.

– Czy cokolwiek tutaj wydaje ci się znajome? – spytałam, zwracając się do Virginii stojącej niżej na schodach. – Przypominasz sobie coś?

Widziałam po jej oczach, że najchętniej by przytaknęła. Zanim jednak się odezwała, zrozumiałam, że gotowa jest skłamać, byle mnie nie rozczarować. Ukryłam twarz w dłoniach, próbując wziąć się w garść. Liczyłam, że wizyta w latarni nam pomoże. Gromadzone tu wspomnienia pomogłyby jej odzyskać chociaż częściowo pamięć. Ktoś jednak zjawił się tu przed nami i najwyraźniej nie życzył sobie, żeby Virginia cokolwiek sobie przypomniała.

Niemożliwe, żeby to był koniec. Zeszłam niżej i zatrzymałam się przed dziewczyną. Nagle ogarnęło mnie zupełnie irracjonalne poczucie, że zostałam zdradzona, choć to przecież jej życie, a nie moje, zostało utrwalone na tych ścianach.

– Komu jeszcze mówiłaś o latarni? Kto wiedział o tym miejscu?

– Nie wiem – odparła. – Sama nawet nie pamiętam, że tu wcześniej byłam. Quinn, nie mam pojęcia, co my tu robimy ani co to wszystko znaczy.

Obrzuciłam posępnym spojrzeniem szczyt wieży – miejsce, które powinno dawać nam nadzieję. Teraz jednak okazało się kolejną ślepą uliczką. Opowiadanie Virginii o notatkach na ścianach mijało się z celem. Nawet gdybym zdołała sobie przypomnieć ich treść, prędzej czy później natrafilibyśmy na blokadę w jej pamięci. A potem na następną. Ciekawe, z iloma jeszcze będę musiała się zderzyć, zanim do końca stracę nadzieję na wygraną.

## Rozdział piąty

Latarnia morska była jedyną gwarancją bezpieczeństwa Virginii. Patrząc na dziewczynę, było mi jej tak strasznie żal. Wyglądała teraz przez okno samochodu, nieświadoma nawet, co straciła. Ja za to doskonale wiedziałam. I miałam poczucie, jakby jej strata była równocześnie moją.

Aaron chciał, żebyśmy zawieźli Virginie do naszego motelu i poczekali razem, aż odezwie się Deacon. Twierdził, że w domu Arthura dziewczyna nie jest już bezpieczna. Kiedy zauważyłam, że w pokoju motelowym też nie powinniśmy czuć się zbyt bezpiecznie, przypomniał mi, że mamy dość ograniczone pole manewru. Jedno nie ulegało wątpliwości – ktoś dowiedział się o latarni, ostatniej desce ratunku Virginii, i postanowił się jej pozbyć. Głównym podejrzanym był jej ojciec.

Deacon nadal nie dawał znaku życia. Modliłam się w myślach, żeby nic złego mu się nie stało. I przeklinałam się za to, że w ogóle pozwoliłam mu samemu pojechać do Marie.

Kiedy dotarliśmy do motelu, Virginia rozejrzała się ciekawie po skromnym budynku. Aaron i Virginia pierwsi ruszyli po schodach na górę. Poszłam za nimi, kiedy jednak dotarłam na półpiętro, Reed dogonił mnie i chwycił za rękę.

– Quinn – powiedział cicho – uważaj. Nie wiem, co się z tobą dzieje. Kiedy byliśmy w latarni, zachowywałaś się... Mam wrażenie, że zbyt mocno przejmujesz się tą sprawą. A tym samym narażasz nas wszystkich na niebezpieczeństwo.

Ten chłopak nie miał bladego pojęcia, przez co przesłam, żyjąc z rodziną Cataliny Barnes. Nie wiedział, jak skończyło się moje podkochiwanie w jej chłopaku. Nie rozumiał, że świetnie wiem, co to znaczy narazić się na niebezpieczeństwo podczas zlecenia. Prawdę mówiąc, nie wierzyłam już, że można się nie przejmować i nie przywiązywać.

– Dziękuję – powiedziałam, ściskając podaną mi dłoń. – Będę uważać, obiecuję.

Widziałam, że czeka na jakieś wyjaśnienia, jednak nie dodałam nic więcej. Byłam przygnębiona tym, że przepadły wszystkie słowa, które Catalina zapisała na ścianie w latarni; w pewien sposób czułam się nadal z nią związana. Straciłam teraz po niej ostatni fizyczny ślad.

Jakoś nie chciało mi się wierzyć, że Virginia zdradziła komuś informacje o latarni morskiej. Istniały inne sposoby, żeby się o niej dowiedzieć. Gdyby tylko się domyślała, co tak naprawdę jej skradziono...

Aaron i Virginia czekali już pod drzwiami pokoju. Podeszłam i wsunęłam kartę magnetyczną do czytnika. Pchnęłam drzwi, otwierając je na oścież, i gestem zaprosiłam dziewczynę do środka. Kiedy mnie mijala, przypatrywała mi się uważnie, jakby moje zachowanie ją również napawało niepokojem. Za nią do środka wszedł Reed. Ja z Aaronem zostaliśmy na korytarzu, żeby spokojnie porozmawiać.

Zamknęliśmy drzwi i podeszliśmy do barierki schodów prowadzących na parking.

– Jak się czujesz? – spytał cicho Aaron.

– Niezbyt dobrze – odparłam.

Oboje rozejrzeliśmy się niepewnie wkoło. Teraz, kiedy na własne oczy zobaczyliśmy, jak daleko gotów jest posunąć się Arthur Pritchard, byle jego córka nie odzyskała pamięci, nagle ryzyko, że jesteśmy śledzeni, stało się aż nadto realne. Nie ulegało właściwie wątpliwości, że on stał za wtargnięciem do latarni. Któż inny mógłby się wykazać tak wielkim okrucieństwem?

– Czego on chce? – zastanowiłam się na głos. – Czego Arthur chce dla swojej córki? Nie mogę zrozumieć, dlaczego raz za razem usuwa jej pamięć. I dlaczego zrobił to również mnie?

Aaron wbił we mnie wzrok. Po chwili zamrugał szybko.

– Chwileczkę, o czym ty mówisz? – spytał.

I wtedy dotarło do mnie, że przecież Aaron o niczym jeszcze nie wie. Tak, wyjaśniłam mu, że mój ojciec tak naprawdę wcale nie jest moim ojcem, jednak ani Deacon, ani ja nigdy nie wspomnieliśmy Aaronowi o tym, co stało się z moją pamięcią. Ani o tym, że Deacon pracował dla Arthura. Nie chodzi o to, że chcieliśmy coś przed nim zatajać, w każdym razie nie była to nasza świadoma decyzja.

– Arthur kilkakrotnie usunął mi pamięć – powiedziałam, przełykając głośno ślinę.

Aaron aż zakręcił się w miejscu. W końcu oparł się znów plecami o barierkę i zmarszczył brwi.

– A to sukinsyn – warknął.

– To nie koniec – odezwałam się po chwili. Wolałabym, żeby ciąg dalszy opowiedział mu Deacon, nie było go jednak z nami, a ja wiedziałam, że nie mogę już dłużej ukrywać prawdy przed naszym przyjacielem. – Pamiętasz, jak Deacon odszedł z wydziału i zerwaliśmy ze sobą? Nieco wcześniej spotkał się z Arthurem, który poinformował go, że jestem jego pacjentką i że przeprowadza na mnie pewien eksperyment. Wyjaśnił, że zmanipulowano mi pamięć i muszę pozostawać teraz pod stałą obserwacją, na wypadek gdyby w moim zachowaniu zaszły jakieś zmiany. I właśnie do tej roboty Arthur... jak by to powiedzieć... najął Deacona. Zrobił go moim agentem.

– Błagam, powiedz, że robisz sobie ze mnie jaja – poprosił Aaron. Na jego twarzy odmalował się szok.

Potrząsnęłam głową i mówiłam dalej:

– Ale Deacon grał na dwa fronty: nie informował tak naprawdę Arthura o tym, co się ze mną dzieje. Zgodził się na tę pracę tylko po to, żeby Pritchard nie znalazł kogoś innego na jego miejsce. Troszczył się w ten sposób o mnie. Nie wiedział wtedy, że Arthur manipulował moją pamięcią...

– Chcesz mi powiedzieć, że twój chłopak jest kłamcą? – przerwał mi Aaron podniesionym głosem. – I że sam z własnej woli przystał na to, przed czym rzekomo próbuje uchronić nas teraz Marie?

Ta rozmowa zaczynała zmierzać nie w tę stronę, w jaką powinna.

– No cóż, tak było – przyznałam. – Ale...

– Zaraz, zaraz – przerwał mi Aaron, cofając się o krok. Jego twarz wykrzywił szyderczy grymas. – Zostawiłem Myrę, żeby wam pomóc. Spieprzyliście mi życie i nawet nie raczyliście mnie oświecić, w co wpakował się Deacon? Muszę już iść.

Po tych słowach odwrócił się na pięcie i ruszył w kierunku schodów.

– Aaronie? – zawołałam zaskoczona, że nie pozwolił powiedzieć mi nic na swoją obronę. – Zaczekaj!

Nawet się nie obejrzał. W tym samym momencie otworzyły się drzwi i w szparze ukazała się głowa Reeda. Zobaczył odchodzącego korytarzem Aarona, potem dojrzał mnie, opartą wciąż o barierkę i wpatrującą się bezradnie w oddalającego się przyjaciela.

– Wszystko gra? – upewnił się.

– Nie bardzo – odparłam.

Równocześnie powtarzałam sobie w myśli, że Aaron potrzebuje trochę czasu, żeby się uspokoić. Pocieszałam się, że w końcu wróci. Powinnam była poczekać, aż zjawi się Deacon i sam mu wszystko wyjaśni. Znaczyłoby to, że będę musiała okłamywać Aarona nieco dłużej, ale trudno.

– Chodźmy do pokoju – zaproponowałam.

Nie bardzo mi się uśmiechało powtarzać tę samą trudną rozmowę z Reedem. Chłopak odsunął się, przepuszczając mnie w drzwiach. Virginia siedziała na łóżku, usiadłam więc obok niej. Zająłam miejsce jak najbliżej okna, tak żebym zza odsuniętej zasłony mogła spojrzeniem ogarniać cały parking i wyglądać samochodu Deacona.

Przez cały czas czułam na sobie wzrok Reeda. Grzejnik rozkręcony był na cały regulator i w pokoju zrobiło się duszno.

– No co? – spytałam niepewnie, zerkając na chłopaka.

– Nic – odparł. – Idę po colę. Przynieść ci coś?

Powiedziałam, że nie chce mi się pić. Kiedy spytał Virginii, czy ma ochotę na schłodzony napój, skwapliwie się zgodziła. Reed udał się na niższe piętro, gdzie ustawiono automat z napojami. A wtedy Virginia przysunęła się do mnie. Spojrzenie miałam utkwione w parkingu za oknem.

– Czekasz na Deacona? – spytała po chwili, a kiedy pozwoliłam zasłonie opaść z powrotem na okno, dodała: – Wspominałaś o nim wcześniej. To twój chłopak?

– Deacon jest dla mnie wszystkim – wyjaśniłam.

Nie mówiłam tego jak dziewczyna usychająca z miłości. Ten etap mieliśmy już za sobą. Powiedziałam to, bo taka była prawda. Deacon był moim chłopakiem, moim najlepszym przyjacielem, moją rodziną. A w tej chwili nie miałam pojęcia, gdzie się podziewa. I obawa o niego stawała się nie do zniesienia.

Virginia zareagowała na moje słowa nieśmiałym uśmiechem, więc chyba jednak zinterpretowała je jako romantyczne wyznanie.

– Myślałam, że ty i Reed...

– Nie – przerwałam jej. – Jesteśmy przyjaciółmi. Mówiłam ci już, że wszyscy jesteśmy sobowtórami.

Virginia skinęła głową i przesunęła się na krawędź łóżka.

– Sobowtóry... – powtórzyła w zamyśleniu, jakby próbowała sobie coś przypomnieć. – Ojciec tłumaczył mi kiedyś, że one czują inaczej niż reszta ludzi. Twierdził, że starannie dobiera was właśnie pod tym kątem.

– Co jeszcze ci mówił na nasz temat? – zainteresowałam się. Jej słowa sprawiły, że zrobiło mi się niedobrze.

Najchętniej opowiedziałabym Virginii, jak jej ojciec wziął mnie pod swoje skrzydła, kiedy byłam jeszcze małym dzieckiem. Ale co właściwie osiągnęłabym w ten sposób? Virginia straciła pamięć i sprawiała teraz wrażenie jeszcze bardziej zagubionej niż wcześniej.

– Nigdy nie wspomniał imienia żadnego z was. Mówił jednak, że sobowtóry potrafią świetnie naśladować innych, bo nie chcą być sobą. Twierdził też, że wszyscy zostaliście porzuceni. Czy mój ojciec wie, że tu jesteś?

– Nie, w każdym razie nie wydaje mi się, żeby wiedział. A tak nawiasem mówiąc, okłamał cię. Sobowtóry pragną być sobą, pragną żyć własnym życiem. Jednak nie możemy, ponieważ twój ojciec i wydział żałoby nam je skradli. Wykorzystali nas. Jeśli ktokolwiek twierdzi, że jest inaczej, łże.

– Masz jakąś rodzinę? – spytała Virginia łagodnym głosem. Wzdrygnęłam się.

– Już nie – odparłam. – Zawarliśmy wcześniej pewien układ, ty i ja. Umówiliśmy się, że pomogę ci odzyskać wspomnienia, a ty w zamian udostępnisz mi dokumentację twojego ojca. Przeszukałam jego komputer, jednak nic nie znalazłam... Sądziłam, że zdołasz mi pomóc... Twój tata skradł mi i ukrył przede mną moją tożsamość, usunął moje wspomnienia. A teraz pozbawił mnie też możliwości odzyskania ich.

– A zatem nie chodzi tylko o mnie – powiedziała. Widziałam, że ta myśl napawa ją lękiem. Przypatrywała się przez chwilę swoim dłoniom złożonym na kolanach. W końcu uniosła spojrzenie i odezwała się cichym głosem: – Poszukam dokumentów na twój temat. Najpierw jednak muszę wrócić do domu.

W tej samej chwili drzwi się otworzyły i w progu stanął Reed. Przyniósł dwa napoje w puszkach.

– Virginia ma rację. Musimy ją odwiedzić do domu – powiedział, po czym postawił puszki na stole i posłał mi poważne spojrzenie. – Możemy pogadać?

– No... pewnie.

Obiecałam Virginii, że zaraz wrócę, po czym wyszłam z Reedem na korytarz. Na zewnątrz zrobiło się już chłodniej. Reed oparł się plecami o drewnianą barierkę i powiedział:

– Arthur wie, że mamy Virginie.

Z wrażenia zmiękły mi nogi. Świat wkoło mnie zawirował.

– Co takiego? Skąd niby miałby to wiedzieć? – spytałam, rozglądając się w popłochu, jakby w każdej chwili na schodach mógł zjawić się doktor i chwycić mnie za rękę. Ale byliśmy tam sami, tylko Reed i ja.

– Kiedy poszedłem na dół, zadzwoniła do mnie Marie. Powiedziała, że Pritchard skontaktował się z nią i zapowiedział, że jeśli jego córka nie zjawi się w domu w ciągu godziny, zgłasza sprawę na policję. Twierdzi, że ją porwaliśmy.

– Virginia poszła z nami z własnej woli – zaprotestowałam, chociaż Reed wcale nie próbował się ze mną spierać. – Nie zarzuciliśmy jej przecież worka na głowę i nie zawlekliśmy siłą do samochodu. A co

z Deaconem? Co mówiła Marie?

– Nie wspomniała o nim w ogóle. Zdążyła za to powiedzieć, że Tabitha zaginęła. Mamy natychmiast stawić się w mieszkaniu Marie na zebranie. Deacon pewnie już tam na nas czeka. Marie oznajmiła, że ma zamiar odesłać nas natychmiast do domu.

– Do domu? – rozległ się zdumiony głos Aarona, który akurat pojawił się w korytarzu i zmierzał w naszą stronę. – A niby kto z nas ma dom?

Zaniepokojony pełnym wyrzutu tonem mojego przyjaciela Reed zmarszczył brwi.

Całe ciało zdrętwiało mi ze strachu. Dlaczego Marie nie wspomniała ani słowem o Deaconie? I dlaczego nie zadzwonił? Przecież wybrał się do niej z zamiarem podania jej serum prawdy. Najwyraźniej jego plan nie wypalił. Kiedy się odezwałam, w moim głosie pobrzmiwała desperacja.

– Aaronie, masz jakieś wieści od Deacona?

– Żadnych. Może spędza czas u swojego serdecznego przyjaciela Arthura.

– To nie jest, kurwa, wcale śmieszne.

Aaron spochmurniał nagle.

– To prawda, Quinlan, nie jest.

Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem w milczeniu. Najbardziej bolało mnie, że Aaron nie zamartwia się tym, co dzieje się z naszym przyjacielem. Choć właściwie nie powinnam oceniać go zbyt surowo. Kiedy podejrzewałam, że Deacon mnie zdradził, uciekłam i zostawiłam go na dworcu autobusowym.

– Jestem pewien, że Deaconowi nic nie grozi – odezwał się Reed, kładąc chłodną dłoń na mojej. Drgnęłam zaskoczona, a kiedy spojrzałam mu w twarz, zobaczyłam, że ma podkrążone oczy.

– To do niego zupełnie niepodobne – poskarżyłam się. – Deacon nigdy by nie dopuścił, żebym umierała ze strachu, nie wiedząc, co się z nim dzieje.

– Deacon nie zawsze postępuje w sposób, którego się po nim spodziewamy, prawda? – przypomniał mi jadowitym tonem Aaron. Jego szorstka reakcja przyprawiła mnie niemal o łzy. Widząc to, szybko dodał łagodniejszym głosem: – Do zobaczenia u Marie.

Następnie wyminął nas i ruszył schodami w dół.

– Powinienem być ciekaw, o co tu chodzi? – spytał ostrożnie Reed.

– Raczej nie – rzuciłam, po czym wybrałam ponownie numer Deacona na komórce. Z każdym kolejnym sygnałem, po którym nie odbierał, mój niepokój wzrastał. *Gdzie on może być?* W końcu włączyła się poczta głosowa. Rozłączyłam się i spróbowałam dodzwonić się do Marie. Ona też nie odbierała.

– Muszę jechać do Marie – zwróciłam się do Reeda. – Czy mógłbyś odwiedzić Virginie do domu?

Reed wzdrygnął się, słysząc moją prośbę.

– Wolałbym tego nie robić. Prawdę mówiąc, ta dziewczyna mnie przeraża. W zasadzie nie chodzi nawet o nią. Quinlan, wszyscy jej znajomi prędzej czy później umierają. Dlatego wolałbym ograniczyć kontakty z tą panną do minimum. Niezbyt dobrze ostatnio się czuję.

– Muszę sprawdzić, co się dzieje z Deaconem – powiedziałam łagodniejszym tonem. – Proszę, pomóż

mi i zajmij się Virginią.

Reed przypatrywał mi się przez chwilę.

– Jasne, zrobię to – powiedział w końcu.

– Dziękuję – odparłam, biorąc go w ramiona. – Jesteś naprawdę dobrym sobowtórem, Reed.

Chłopak odsunął się ode mnie, ja jednak nadal trzymałam dłonie na jego przedramionach.

– Wiesz, wolałbym być po prostu dobrym człowiekiem – szepnął.

W tym samym momencie otworzyły się drzwi do naszego pokoju i wyszła z niego Virginia z plecakiem na ramieniu. Spoglądała przez chwilę to na Reeda, to na mnie, po czym przywołała na usta uśmiech i powiedziała:

– No to chodźmy.

Reed nie spodziewał się chyba, że dziewczyna tak chętnie da się odwieźć do domu. Widziałam, że zrobił się trochę spięty. Owinął się szczelniej kurtką.

– Ojciec wymazał mi pamięć – powiedziała Virginia, wzruszając ramionami. – Co gorszego może mnie spotkać?

Nie tracąc ani chwili, Reed podszedł do niej.

– Nie myśl o tym w ten sposób – poprosił, po czym wziął jej plecak i dodał: – Zawiozę cię do domu.

W jego zachowaniu było tyle chłopięcego wdzięku i rycerskości, że nawet ja poczułam się wzruszona. Gdy ruszył w kierunku schodów, Virginia spojrzała na mnie i powiedziała:

– Pomogę ci dowiedzieć się, kim jesteś.

– A ja obiecuję, że pomogę tobie – odparłam. Miałam nadzieję, że naprawdę zdołam. Sądziłam, że moje słowa dadzą jej otuchy. Zamiast tego Virginia spochmurniała.

– Na to jest już za późno – odrzekła po cichu.

Zanim zdążyłam spytać, dlaczego tak uważa, puściła się biegiem za Reedem. Ja natomiast zadzwoniłam po taksówkę. Liczyłam, że Deacon naprawdę będzie czekał na mnie u Marie. Musiałam w to wierzyć.

W głowie dźwięczało mi to, co powiedział wcześniej Aaron: Deacon zawsze spadał na cztery łapy.



## Rozdział szósty

**M**arie zamieszkała w kawalerce niedaleko centrum Roseburga. Wsiadłam z taksówki, biegiem pokonałam schody na drugie piętro i zaczęłam się dobijać do drzwi jej mieszkania. Kiedy otworzył mi Shep, w pierwszej chwili mnie zamurowało. Zaraz potem przecisnęłam się, potrącając go ramieniem, i wbiegłam do środka.

– No cześć – zawołał za mną. – Ja też się cieszę, że cię widzę.

Obrzuciłam spojrzeniem pokój, w którym się znalazłam. Umeblowany był bardzo oszczędnie – znajdowało się w nim tylko podwójne łóżko i składane krzesło. Tak ubogi wystrój był zupełnie nie w stylu Marie, ale przecież mieszkała tu dopiero od paru dni.

Shep wszedł do pokoju i usiadł na podłodze. Po chwili zauważyłam też Aarona – stał oparty o zlew w aneksie kuchennym. Wzrok miał utkwiony w podłodze, dłonią zakrywał usta.

Marie siedziała na składanym krześle, nogi miała skrzyżowane, ręce złożyła na kolanach. Zawsze do przesady dbała o wygląd, jednak dzisiaj zobaczyłam w niej obcą kobietę. Usta miała nieumalowane, a warkocze upięła w nierówny, niedbały kok. Jej ubrania były wymięte, miała bose stopy. Dotychczas pokazywała nam się jako uosobienie doskonałości.

Nagle poczułam, że brakuje mi tchu. Zaczęły mi się trząść ręce.

– Gdzie on jest? – spytałam, piorunując ją wzrokiem. – Gdzie Deacon?

– Zeszłej nocy zniknęła Tabitha – wyjaśniła spokojnym głosem Marie. – A teraz... wszystko wskazuje na to, że to samo spotkało Deacona.

– Nie rozumiem – odparłam, czując, że zaczynam drzeć na całym ciele. – Przecież był tutaj u ciebie, Marie. Pojechał na spotkanie z tobą. Gdzie...

– Nie – weszła mi w słowo. – Nigdy tu nie dotarł. O tym, że nie jest z tobą, dowiedziałam się dopiero od Aarona.

Ogarnął mnie tak wielki strach, że głos uwiązł mi w gardle.

– Obiecałeś przecież, że nic mu się nie stanie – zaatakowałam Aarona. Liczyłam chyba, że przyjaciel mnie uspokoi i powie, że nadal tak uważa. Aaron wzdrygnął się jednak i uciekł spojrzeniem w bok.

– Spokojnie, Quinlan – odezwała się Marie. Kiedy spojrzałam na nią, policzki miałam mokre od łez. – Jeśli mamy wyrwać Deacona, musisz zachować jasny umysł.

– Skąd wyrwać? – spytałam, chwytając się za serce. Waliło tak szybko, jakby chciało wyskoczyć mi z piersi.

– Jeszcze nie wiem dokładnie – przyznała Marie pełnym współczucia tonem. – Właśnie po to was tu wezwałam.

Po tych słowach sięgnęła pod krzesło, gdzie leżała jakaś teczka. Ja tymczasem spróbowałam postąpić

zgodnie z jej radą – to znaczy okiełznać emocje, tak bym mogła myśleć racjonalnie. *Deaconowi nic nie grozi*, powtarzałam w myśli. Nie mogłam dopuścić do świadomości niczego innego. Wiedziałam jednak, że prędzej czy później będę musiała stawić czoła faktom. Chciałam poderwać się z krzykiem z miejsca i biec mu na ratunek. Zaraz jednak przyszło otrzeźwienie – w ten sposób mu nie pomogę. Potrzebowałam planu.

– To teczka Tabithy – podjęła po chwili Marie. – Zeszłego wieczora nie wróciła do swojego mieszkania. Jej komórka nie odpowiada. Ponieważ policja nie odnalazła żadnego ciała, nie mamy powodów sądzić, że Tabitha nie żyje.

Kobieta otworzyła teczkę. Domyślałam się, co zawiera – Marie zamieściła w niej historię Tabithy. Całe jej życie zostało rozłożone na czynniki pierwsze i sprowadzone do szczegółowego raportu. Na szczęście Marie nie przygotowała podobnej teczki Deacona.

Rozległo się pospieszne pukanie do drzwi i po chwili do mieszkania wszedł Reed. Marie zaprosiła go niecierpliwym gestem. Chłopak ruszył w stronę aneksu kuchennego i stanął przy kontuarze, niedaleko Aarona. Kiedy mnie mijał, skinęłam mu głową na powitanie. Od razu rzuciła mi się w oczy jego ponura mina. Aaron powiedział mu na ucho, co się stało z Deaconem. Kiedy skończył, Reed spojrzał na mnie z niepokojem. Zrobiłam zdecydowaną minę, dając mu znać, że jakoś się trzymam. A w każdym razie próbuję.

– Nie udało mi się skontaktować z doktorem McKee – ciągnęła tymczasem Marie. Mówiąc o moim ojcu, nie spojrzała nawet przelotnie w moim kierunku. Poczułam od razu, jak znów ogarnia mnie strach o ojca. Był to kolejny problem, z którym musiałam się teraz zmierzyć. – Całkiem możliwe, że Tabitha uciekła do Portland. To jej prawo. Daję wam możliwość pójścia w jej ślady. Sobotwóry nic tu już nie pomogą. Nie istnieje lek, który mógłby powstrzymać epidemię.

Reed zachwiał się na nogach, a Aaron wyszedł z za kontuaru i skrzyżował ramiona na piersi. Marie obserwowała bacznie ich obydwu, nadal unikając mojego spojrzenia. W końcu zamknęła teczkę.

– A co z Deaconem? – Pytanie to padło z moich ust, kiedy uświadomiłam sobie, że dalej nie wiedziałam niczego na jego temat. – Co się z nim stało?

Marie nie od razu się odezwała. Z każdą sekundą atmosfera w pokoju stawała się bardziej przepełniona grozą.

– Wiem, że nie uciekłby bez ciebie – powiedziała w końcu Marie. – A ponieważ nie ma go tutaj z nami, znaczy to, że znalazł się w niebezpieczeństwie.

*Nie*, powtarzałam w myślach. *Tylko nie to.*

– W takim razie musimy go ocalić – oznajmiłam. – A ty nam w tym pomożesz.

W spojrzeniu, którym obdarzyła mnie Marie, widać było stoicki spokój, ale też podziw i zgodę na moją propozycję.

– Na kontuarze leży koperta – powiedziała, zwracając się do Shepa. – Znajdziesz w niej pieniądze, dzięki którym będziesz mógł opuścić miasto. Tylko pamiętaj: musisz wyjechać daleko. Nie możesz

dopuszczyć, by cię złapali, bo tylko utrudnisz nam życie. Mamy teraz poważniejsze sprawy na głowie.

Po tych słowach Marie wstała, a z jej wyprostowanej postawy wnosiłam, że rozmowę na ten temat uważa za skończoną.

– Shepardzie, dziękuję za czas, który nam poświęciłeś – odezwała się po chwili. – A teraz, proszę, idź już.

Shep wstał z podłogi i przybił na pożegnanie piątkę z Reedem. Potem chwycił kopertę i ruszył do drzwi. Najwyraźniej nie miał problemu z nadmiernym przywiązywaniem się do ludzi. Gdy tylko zniknął za drzwiami, Aaron aż prychnął ze złości.

– Co to ma znaczyć? Przecież potrzebujemy ludzi, żeby odnaleźć Deacona!

– Ale nie jego – wyjaśniła spokojnie Marie. – Shep jest agentem pracującym dla Arthura. Dowiedziałam się o tym wczoraj rano od Tabithy, która zaraz potem przepadła bez śladu.

– Niemożliwe – odezwał się zszokowany Reed. – Przecież Shep... Mieszkałem z nim, to jeszcze dzieciak.

– Wszyscy jesteście dzieciakami – zauważyła Marie. – Ale czy powstrzymało to nas przed tym, żeby was wykorzystać?

Było to dość bezceremonialne stawianie sprawy. Aaron aż wzdrygnął się, słysząc te słowa. Marie dostrzegła jego reakcję i zrobiła krok w jego kierunku.

– Żałuję, że nie trzymałeś się z dala od tego wszystkiego. Ty i Myra mieliście szansę wyrwać się i uciec. Jednak teraz sytuacja się zmieniła i... potrzebujemy twojej pomocy.

Aaron słuchał jej z zaciętą miną. Wiedziała, że jest rozdarty – zależało mu na nas, ale równocześnie tęsknił za swoją dziewczyną. I to ja byłam winna, że go w to wplątałam.

– Co ty nie powiesz – rzucił prowokacyjnie do Marie. – Nie ruszę się stąd bez Deacona.

Musiałam siłą woli powstrzymać łzy wzruszenia. Byłam mu bezgranicznie wdzięczna. Kiedy Aaron spojrzał na mnie, jego pochmurne oczy lśniły od łez. A więc jednak mimo wszystko nadal byliśmy jak rodzina – nie opuszczaliśmy się w potrzebie.

– Liczyłam na taką właśnie odpowiedź – powiedziała Marie. – Chcę, żebyście odszukali Deacona. Nie obchodzi mnie, jak to zrobicie. Macie go odnaleźć i sprowadzić tutaj.

– Znajdziemy go, obiecuję – przyrzekł Aaron, spoglądając na mnie.

Marie odwróciła się do Reeda. Kiedy na niego spojrzała, jej czoło przecięła pionowa zmarszczka.

– Ty też się nam przydasz, Reed – powiedziała. – Wchodzisz w to?

– No pewnie – odparł, przywołując na twarz uśmiech. – I tak nie miałbym do czego wracać.

Podeszłam do niego i z wdzięcznością położyłam mu rękę na ramieniu. Pod wpływem mojego dotyku Reed spuścił wzrok. Było jasne, że coś nie dawało mu spokoju. Marie też to zauważyła.

– Tylko pamiętaj – zwróciła się znów do niego – że masz się trzymać z dala od Virginii Pritchard. Ta dziewczyna jest... w marnej formie. Martwię się o nią. Pod żadnym pozorem nie utrzymuj z nią kontaktu, rozumiano?

– Jasne, nie ma sprawy.

Marie świdrowała go wzrokiem jeszcze przez chwilę. W jego zachowaniu było coś dziwnego. Sprawiał wrażenie, jakby popadł w osobliwy nastrój. Tak jakby właśnie dotarli do niego jakieś posępne wieści. Jakby był bardzo przygnębiony.

– Podejrzewam, że Shep powtórzy Arthurowi wszystko, o czym tu mówiliśmy – odezwała się po chwili Marie. – Dlatego musicie zachowywać ostrożność. Przeprowadźcie się dokądś. Wiem, że najchętniej zaczęlibyście poszukiwania już teraz, musimy jednak podejść do tego z głową. Najpierw spróbujcie namierzyć samochód i komórkę Deacona; może uda wam się je zlokalizować. Pod żadnym pozorem nie próbujcie włamywać się do domu Arthura Pritcharda. To niebezpieczny człowiek. Zostawcie go mnie, może uda mi się dobić z nim targu. Bądźcie w pogotowiu. Gdy tylko dowiem się czegoś więcej, skontaktuję się z wami.

– Naprawdę sądzisz, że zaufamy ci... po tym wszystkim? – odezwał się Aaron, postępując krok do przodu. Najwidoczniej wzmianka o dobijaniu targu z Pritchardem przelała czarę goryczy. Nigdy dotychczas Aaron nie wątpił w uczciwość Marie, w ciągu ostatniego tygodnia poznał jednak parę mrocznych faktów na jej temat. Dowiedział się, co mi zrobiła, jak mnie okłamała. Możliwe, że już nigdy jej nie zaufa.

– Aaronie, a jaki masz wybór? – spytała bez ogródek. – Musimy pracować wspólnie.

– A dla kogo tak naprawdę pracujesz, Marie? – spytał. – I przed kim uciekasz? Jesteś nam winna wyjaśnienia, zanim postanowimy, czy chcemy w to dalej brnąć.

– Pracuję dla samej siebie – odpowiedziała spokojnie. – Jednym z moich obowiązków jest dopilnowanie, żeby nie stała się wam żadna krzywda. Resztą nie musicie się przejmować. A teraz do roboty. Jesteśmy w kontakcie. Zostało nam niewiele czasu.

Po tych słowach sięgnęła po leżącego na łóżku laptopa. Oczekaliśmy jeszcze chwilę, aż wyjaśni nam, o co tak naprawdę chodzi. Ona jednak najwidoczniej uznała, że rozmowa dobiegła końca. Być może zadziałała uległość wpojona nam na treningach, a może po prostu wspomnienie spędzonego z nią czasu – w każdym razie nie dręczyliśmy jej dalszymi pytaniami. Nie doczekawszy się odpowiedzi, wyszliśmy z jej mieszkania.

\* \* \*

Kiedy wyszłam z Aaronem z budynku, Reed trzymał się z tyłu. Niewiele mówił od chwili, kiedy wrócił, odstawivszy Virginie do domu. Czułam, że powinnam z nim pogadać, sama jednak byłam totalnie rozwalona. W końcu zamiast rozmówić się z Reedem, uściskałam Aarona. Od razu się zorientowałam, że tak samo tego potrzebował – wtulił twarz w moje włosy i mocno mnie objął.

Żadne z nas nie próbowało oszukiwać. Nikt niczego nie obiecywał. Pozwoliliśmy sobie na chwilę absolutnej szczerości. A zaraz potem, jak sobowtóry z krwi i kości, nałożyliśmy z powrotem maski

kryjące nasze prawdziwe uczucia i wzięliśmy się w garść. Aaron odwrócił się, ocierając ukradkiem łzy. Ja nawet nie próbowałam ukryć moich.

Na zewnątrz zapadł już dawno zmrok. Z nieba siąpił kapuśniaczek, a krople rozpryskiwały się na szybach samochodów zaparkowanych przy krawężniku. Chroniąc się przed chłodem, schowałam ręce do kieszeni kurtki. Reed zatrzymał się nieopodal.

– Po prostu chciałem wieść normalne życie – powiedział Aaron, a zaraz potem się odwrócił, tak że nie mogłam dojrzeć jego twarzy. – Chciałem po prostu żyć spokojnie z moją dziewczyną.

Jego słowa były dla mnie ciosem.

– Przepraszam. Nie powinnam była do ciebie wtedy dzwonić.

– Zwariowałaś? – zareagował szybko. – Quinn, przecież to nie twoja wina. To nie my to spieprzyliśmy, tylko system, ludzie, którym ufaliśmy.

– Jesteśmy w pułapce – odezwał się zza naszych pleców Reed. – I tkwimy w niej od zawsze.

Jego posępne słowa przypomniały mi ostatnią rozmowę z ojcem, jaką odbyłam przed ucieczką z miasta. Ojciec przekonywał mnie wtedy, że jeśli zostanę, wydział żałoby wymusi na mnie podpisanie kolejnego kontraktu. Ci ludzie, jak twierdził, nie cofną się przed niczym: zaproponują mi pieniądze, posłużą się szantażem lub groźbami. Tknięta złym przeczuciem spojrzałam na budynek, w którym mieszkała Marie. Czyżby wydział był tak perfidny, że posługiwał się nawet naszą doradczynią?

– To ona nas tu ściągnęła – powiedziałam, kierując te słowa głównie do samej siebie. Po chwili zaświtała mi pewna myśl. Spojrzałam na Aarona i ciągnęłam: – To Marie zebrała wszystkie rozproszone sobowtóry. Jasne, musiałam wcześniej ją namierzyć, ale nie było to zbyt trudne. Jej numer praktycznie czekał, aż go znajdę. Twierdziła, że próbuje nas ostrzec przed tym, co się dzieje. Ale tak naprawdę... Deacon miał rację. Marie próbuje uczynić z nas agentów. Dwoje z nas już zniknęło.

Aaron przeklął pod nosem i zmierzył budynek niechętnym spojrzeniem.

– W takim razie musimy sami odnaleźć Deacona – stwierdził ponuro. – Dość już darzenia zaufaniem innych ludzi.

– Zgoda – odrzekłam, czując przyływ odwagi. – Chyba nawet wiem, gdzie powinniśmy rozpocząć poszukiwania. Reed, chcesz pojechać swoim wozem czy zabierzesz się z nami?

– Muszę najpierw coś załatwić – odparł, cofając się o krok. – To dość głupia i niebezpieczna akcja. Nie chcę was narażać.

– Powinieneś się już zorientować, że Quinn jest specjalistką od głupich i niebezpiecznych akcji – zauważył Aaron.

Reed zawahał się, jednak zmiękł, kiedy wyciągnęłam do niego rękę. Miał to być gest wsparcia i równocześnie prośba o pomoc. Potrzebowałam jej. Ujął moją dłoń, a ja pociągnęłam go w stronę samochodu Aarona. Deszcz się wzmógł, dlatego zanim mój przyjaciel zdążył otworzyć drzwi, musiałam włożyć na głowę kaptur. Aaron otworzył najpierw drzwi od strony pasażera, a potem obszedł samochód i zajął miejsce za kierownicą.

Przesunęłam fotel do przodu, żeby zrobić Reedowi więcej miejsca z tyłu. Widziałam, że niewiele zostało po jego humorze i pewności siebie. Kiedy Aaron odpalił silnik, obejrzałam się z niepokojem na Reeda.

– Na pewno dobrze się czujesz? – upewniłam się.

Chciałam spytać go, co takiego musi jeszcze zrobić, ale jako sobowtóry mieliśmy zasadę, że nie wyciągamy od innych sekretów. Czasami obracała się ona przeciwko nam, jednak prawo do prywatności było dla nas rzeczą świętą.

Na twarzy Reeda zakwitł uśmiech, a ja nie mogłam zdecydować, czy jest fałszywy, czy może chłopak faktycznie się cieszy, że jesteśmy razem z nim.

– Nic mi nie jest – odparł. – Dzięki za troskę.

– Wiesz co? – odezwał się Aaron, zerkając we wsteczne lusterko. W jego głosie pobrzmiwała teraz melancholia, którą być może zaraził się ode mnie. – Kiedy będzie już po wszystkim, będzie mi Ciebie brakowało, przystojny draniu.

Reed parsknął śmiechem.

– Nic dziwnego, Aaronie, połączyła nas prawdziwa wakacyjna miłość.

Na chwilę zapomnieliśmy o naszym beznadziejnym położeniu. Najważniejsze w tym momencie były dla nas troska i współczucie. Miałam za sobą najbardziej pokrecony i rozdzierający serce tydzień w całym swoim życiu. Były też pewne pozytywne strony – zyskałam nowego przyjaciela w osobie Reeda. I za to byłam wdzięczna.

– No to gdzie zaczynamy? – spytał Aaron. Kiedy zobaczył moją minę, nie umiał powstrzymać śmiechu. Wrzucił bieg i powiedział: – Jesteś taka sama jak Deacon. Zawsze łączyło was zamiłowanie do kretyńskich planów.

Na dźwięk imienia Deacona poczułam, jakby powietrze w kabinie zastąpiła próżnia. Znowu powróciły ból i niepokój. Z moich ust wydarł się ledwie słyszalny jęk. Zakryłam je szybko dłonią. *Weź się w garść. Musisz być wytrawnym sobowtórem.*

Tak też robiłam. Odnalazłam w sobie siłę, żeby zwalczyć lęk. Wbiłam spojrzenie w przednią szybę samochodu i poinstruowałam Aarona, żeby jechał prosto do domu Arthura Pritcharda.

## Rozdział siódmy

Ostatni raz rozmawiałam z moim ojcem, kiedy złapałam go przez telefon w jego ulubionej meksykańskiej knajpie. Marie twierdziła, że nie udało jej się z nim skontaktować, choć nie byłam już wcale taka pewna, czy mówi prawdę. Podczas jazdy do domu Pritcharda moje myśli powędrowały ku ojcu i zaczęłam się na nowo martwić. Jeśli spotkało go coś złego, jeśli nie żyje – będę sierotą. Chyba że moi biologiczni rodzice nadal żyją.

Ale przecież nawet jeśli pozostają wśród żywych, to i tak ich nie znam. To nie oni mnie wychowywali. Z wolna zaczynała docierać do mnie straszna prawda – sprowokowałam serię wydarzeń, które pozbawiły mnie wszystkiego. I to był błąd. Wcześniej miałam ojca – jasne, był z niego kawał drania, ale przynajmniej mnie kochał. Miałam też Deacona. Mogliśmy razem uciec i się ocalić.

Jaką głupotą z mojej strony było zakładać, że zmienię się, gdy odnajdę swoją tożsamość. Po drodze być może zatraciłam to, kim byłam dotychczas. Przez cały czas tliła się we mnie nadzieja, że gdy odzyskam Deacona – a nie miałam wątpliwości, że tak właśnie się stanie – uda mi się jeszcze wszystko odkręcić. Do końca życia będziemy skazani na ucieczkę, ale przynajmniej wyrwiemy się spod kontroli Arthura Pritcharda i wydziału żałoby.

Spróbowałam dodzwonić się do Virginii, ale nie odbierała. Nie mieliśmy zamiaru słuchać ostrzeżeń Marie, byśmy pod żadnym pozorem nie zbliżali się do dziewczyny.

– No dobra, podsumujmy to, co wiemy – odezwał się Aaron. – Przypadłość Virginii polega na tym, że co jakiś czas ma kryzys, potem jej stan się poprawia, po czym znów się załamuje. A przy okazji zaraża wszystkich, którzy są wtedy w pobliżu. Zaraża swoim zachowaniem.

– No właśnie – zgodziłam się. – Wzmiankę o tym znalazłam w dokumentacji Arthura. Pewne zachowania w szczególny sposób prowokują do naśladownictwa. A to właśnie jedno z nich. Już od wielu lat obserwuje się serie naśladowczych zachowań, które inicjuje wyłącznie śmierć pierwszej osoby. Nie wiadomo, jak to się dzieje, ale najwyraźniej stan emocjonalny innych ma na nas bardzo konkretny wpływ, to znaczy jest w stanie oddziaływać na nasze zachowanie. Tu jednak mamy do czynienia z innym wariantem serii samobójstw: wszystko zaczyna się od osoby, która powtarza, że przed śmiercią nie ma ucieczki. To Virginia potęguje te nastroje, a przy okazji zapewne pogłębia własną depresję. Rozsmakowuje się w niej. I może właśnie dlatego jej ojciec po każdym kolejnym zgonie wymazuje jej pamięć. W przeciwnym razie jego córka zbyt głęboko zanurzyłaby się w cierpieniu. Sama jest zupełnie bezradna. A równocześnie... w jakiś sposób jej bezradność jest zaraźliwa. To Virginia jest prawdziwą przyczyną rozprzestrzeniania się epidemii.

Teoria ta była dość szalona, jednak wierzyłam w nią całym sercem. Miała sens, a w każdym razie tkwiła w niej namiastka sensu. A przecież tak właśnie wyglądał nasz świat – wkoło ludzie odbierali

sobie życie tylko dlatego, że nagle zabrakło im nadziei, by żyć dalej. Chociaż kto wie, może istniała jakaś inna przyczyna. Może nigdy nie poznamy prawdy.

– W jakim stanie była Virginia, kiedy odwoziłeś ją do domu? – spytałam, odwracając się do Reeda.

– Nie podjechałem pod sam dom – wyjaśnił przez zaciśnięte zęby. – Obawiała się, że jej ojciec może mnie zauważyć. Pogadaliśmy trochę, zanim wysiadła.

– A o czym? – spytałam, mrużąc podejrzliwie oczy.

Reed chyba nie spodziewał się tak bezpośredniego pytania. Upłynęła dłuższa chwila, zanim odpowiedział.

– No... o jej ojcu. Spytałem o jego plan powstrzymania epidemii. Byłem ciekawy, czy ma szanse zadziałać.

– I co, Virginia wiedziała coś na ten temat? – spytałam szybko, zaintrygowana.

– Nie – padła krótka odpowiedź.

Coś w jego tonie podpowiadało mi, że Reed mija się z prawdą. Zerknęłam na Aarona, żeby sprawdzić, czy też to wyłapał. Mój przyjaciel przełknął głośno ślinę i wlepił spojrzenie w drogę. Nie chciałam być wścibska w stosunku do Reeda, ale równocześnie coraz bardziej martwiłam się jego stanem. Odwróciłam się i miałam już go poprosić, żeby powiedział coś więcej, gdy jego twarz oświetliły nagle jasnoniebieskie i czerwone błyski światła. Oślepiiony zmrużył oczy, a ja szybko odwróciłam się do przodu.

Ulica, przy której stał dom Virginii, pełna była policyjnych aut z włączonymi kogutami. Oboje z Aaronem zamarliśmy, chłonąc scenę, która rozgrywała się przed naszymi oczami. Na podjeździe pod domem Pritcharda stały cztery policyjne radiowozy, wóz straży pożarnej i karetka pogotowia. Kiedy podjechaliśmy bliżej, jeden z kogutów błysnął mi prosto w oczy i musiałam unieść rękę, osłaniając się przed oślepiającym światłem.

We wszystkich oknach domu, łącznie z oknem na strychu, paliły się światła. Na niewielkiej werandzie dostrzegliśmy grupkę około sześciu osób. Wśród nich była jakaś niska starsza kobieta – zalewała się łzami, a jeden z policjantów próbował ją pocieszać.

*Co robi tu karetka pogotowia?* Arthur wiedział przecież, że Virginia nie została porwana – odstawiliśmy ją do domu na czas. A więc całe to zbiegowisko musiało mieć inny powód. Po plecach przeszedł mi dreszcz, a z twarzy odpłynęła cała krew.

– Zatrzymaj się tutaj – poprosiłam Aarona szeptem, wyglądając przez okno.

Mój przyjaciel zwolnił, wjeżdżając na chodnik. Wyskoczyłam z samochodu, nie czekając, aż ten zupełnie się zatrzyma. Potknęłam się i niemal przewróciłam. Po chwili odzyskałam równowagę i ruszyłam biegiem w stronę domu. Przestałam się przejmować, że jestem teraz łatwym celem dla Arthura.

Dotarłam aż do drzwi i dopiero tam zatrzymał mnie jeden z policjantów, chwytając mocno za rękę. Wcale się go nie bałam – strach przestał się liczyć.



– Nie możesz tam wejść – wypalił szorstko.

Odsunęłam się od niego i obrzuciłam spojrzeniem ludzi tłoczących się na werandzie. Byli bladzi, sprawiali wrażenie totalnie nieszczęśliwych. Naoglądałam się w życiu dość osób rozpaczających po czyjejs śmierci, wiedziałam, jak ich rozpoznać.

– Nic jej nie jest? – zdesperowanym głosem spytałam policjanta. – Jak się czuje Virginia?

– Przykro mi, ale nie mogę udzielić ci tej informacji.

Po tych słowach gestem nakazał mi odejść. W tej samej chwili z domu wyprowadzono jakąś kobietę. Szła uczepona ramienia innego policjanta.

– Czemu to zrobiła? – pytała półgłosem. – Nie rozumiem.

Policjant zagradzający mi przejście skrzywił się, jakby nie życzył sobie, żebym podsłuchiwała. Zachwiałam się, a wtedy funkcjonariusz przyjrzał mi się uważniej.

– A kim ty właściwie jesteś? – zainteresował się.

*Wypatruje objawów*, ostrzegłam się w myśli.

– Jestem jej przyjaciółką – wyjaśniłam.

Wiedziałam, że sporo ryzykuję, wdając się w rozmowy z policją. W tej samej jednak chwili na twarzy policjanta dojrzałam cień sympatii. *Byłam* jej przyjaciółką.

Ponieważ Virginia Pritchard nie żyła.

\* \* \*

Oddaliłam się od domu, nie dając gliniarzowi szansy na zadanie mi dalszych pytań. Szłam w deszczu, czując, jak w mojej duszy rozlewają się smutek i poczucie winy. W myślach roztrząsałam wszystkie działania, które mogłam podjąć, żeby zaradzić tej tragedii. W pewnym momencie na podjeździe dojrzałam Reeda – stał obok karetki, ze wzrokiem utkwionym w oknie strychu, i chyba nie zauważył nawet, że leje deszcz. Sprawiał wrażenie kompletnie zagubionego. Nigdy dotychczas nie widziałam nikogo równie samotnego. Ten widok zmroził mi krew w żyłach. Wiedziałam jednak, że musimy być teraz odważni i silni. To była nasza jedyna szansa.

Zbliżyłam się do Reeda i spojrzałam na niego.

– Powinniśmy już iść – odezwałam się półgłosem.

Nie spuszczał jednak z oczu budynku. Deszcz moczył mu twarz, krople skapywały z ust.

– Nie ocaliliśmy jej – powiedział po chwili. – Nie zdołaliśmy zamknąć pętli rozpacz. To nasza wina.

Zamrugałam szybko, żeby stłumić łzy, które napłynęły mi do oczu na myśl o Virginii – tej miłej dziewczynie, która już pierwszego dnia znajomości zaprosiła mnie na ciasto do baru. Która na imprezie spotkała chłopaka, który jej się podobał. Która była świetną siatkarką. Obiecała, że mi pomoże, mimo że musiała cierpieć z powodu śmierci swoich przyjaciół. Wiedziała, że ktoś usuwa jej wspomnienia i że nie może tego powstrzymać. A ja nie zrobiłam nic, żeby jej pomóc.

– Źle postąpiliśmy, odstawiając ją do domu – powiedziałam. – Masz rację, to nasza wina. Ale teraz jest już za późno.

Spłoszona rozejrzałam się wkoło. Teraz, kiedy już wiedziałam, co się stało, nagle poczułam się zupełnie bezbronna.

– Idziemy – odezwałam się, po czym ubrałam też w słowa inny lęk, który nie dawał mi spokoju: – Nie możemy zawieść też Deacona.

Ta myśl spadła na Reeda niczym grom z jasnego nieba. Chwycił mnie szybko za rękę i biegiem ruszyliśmy do samochodu Aarona. Mój przyjaciel siedział za kierownicą, wpatrując się niewidzącym wzrokiem prosto przed siebie.

– Nie żyje? – spytał znużonym głosem, kiedy wsiedliśmy.

– Tak – mruknęłam pod nosem i zaraz usłyszałam, jak Reed porusza się niespokojnie na tylnym siedzeniu.

– Podwieź mnie do mojego samochodu – poprosił bezbarwnym głosem. – Muszę zabrać parę rzeczy z mieszkania. Gdzie zatrzymacie się dziś na noc?

Prawdę mówiąc, w ogóle o tym nie pomyślałam. Wiedziałam, że dopóki nie odnajdę Deacona, nie zmrużę oka. Aaron chyba wyczuł moją determinację, jednak pospieszył z odpowiedzią:

– Zadzwoń do hotelu Curry and Fisher i zarezerwowałem dwa pokoje – poinformował nas. – Wprowadzę się do jednego z Quinn, a ty zajmiesz drugi. Numer trzysta osiemnaście. Opłaciłem już nocleg.

– Dzięki – szepnął Reed, po czym odchylił głowę na oparcie i zamknął oczy.

Jechaliśmy w milczeniu. Nie omawialiśmy nawet planu poszukiwań Deacona. Musiałam zająć się tym z Aaronem, nasz towarzysz potrzebował czasu, żeby dojść do siebie.

\* \* \*

Zostawiliśmy Reeda przy jego samochodzie, po czym pojechaliśmy do gabinetu Arthura. Było już późno, ale na miejscu okazało się, że nie będziemy musieli się włamywać. W oknie wystawiono ogłoszenie DO WYNAJĘCIA, a kiedy zajrzeliśmy do środka przez przeszklone drzwi, zobaczyliśmy tylko kilka pudeł i puste biurko. Miejsce było porzucone. Nic nie zdradzało, dokąd wyniósł się Arthur ani gdzie podziewa się Deacon.

Nagle dotarło do mnie, w jak beznadziejnym jesteśmy położeniu. Poczułam ukłucie w sercu, zachwiałam się.

– Co teraz? – szepnęłam, zbliżając dłonie do twarzy.

– Musimy robić, co do nas należy – odparł Aaron głosem zdławionym od nadmiaru emocji. – Quinn, odnajdziemy go. Dobrze wiesz, że tak będzie.

Spojrzałam mu z nadzieją w twarz, licząc, że odnajdę w niej coś, co pozwoli mi zachować wiarę.

I faktycznie odnalazłam to – zobaczyłam bezwarunkową lojalność. I miłość.

Podniesiona na duchu skinęłam głową i wróciliśmy do auta. Pojechaliśmy do baru całodobowego, żeby podreperować siły i zastanowić się, co dalej. W maleńkim i niezbyt popularnym barze byliśmy jedynymi klientami. Siedliśmy przy stoliku naprzeciw siebie i zaczęliśmy przeszukiwać bazy danych na komórkach. Nigdzie jednak nie podano nowego adresu gabinetu doktora Pritcharda.

– Jak myślisz, gdzie może być Deacon? – spytałam, chwytając kubek z kawą. – Jeśli jest z Arthurem... mamy przechłapanie. Pritchard może być...

– Nawet tak nie myśl... – wszedł mi w słowo Aaron. – Zamiast wyobrażać sobie, co mogło spotkać Deacona, skupmy się lepiej na tym, jak go odszukać.

– A co z Reedem? – zastanowiłam się. – Co, jeśli pojedziemy do hotelu, a jego tam nie będzie?

Aaron z ciężkim westchnieniem odłożył komórkę na stół.

– A co twoim zdaniem powinniśmy z nim zrobić?

Mój przyjaciel sprawiał wrażenie wykończonego, jakby cała ta sytuacja zaczynała go przerastać. Prawda była taka, że nasze szeregi się kruszyły.

– Podejrzewam, że Virginia coś mu powiedziała – wyznałam. – Reed twierdzi, że rozmawiali, kiedy odwoził ją do domu. Niedługo po tej rozmowie odebrała sobie życie, a Reed popadł w ten dziwny katatoniczny stan. Co ta dziewczyna mu zrobiła?

– Może po prostu Reed się martwi – zastanowił się Aaron. – Wszyscy mamy teraz przerąbane, ale on jest świetnym sobowtórem. Może powinnaś mu zaufać.

– A może Reed potrzebuje naszej pomocy? – podpowiedziałam. – Nie zapominaj, że zjawiliśmy się tutaj, bo dwoje najbliższych przyjaciół Virginii popełniło samobójstwo. Czym innym jest celowe narażanie się na niebezpieczeństwo, a czym innym narażanie na nie naszych przyjaciół, którzy nie są świadomi ryzyka. Nie martwi cię to?

– Patrząc tak na tę sprawę, to faktycznie trochę niepokojące – przyznał Aaron, po czym sięgnął po cukierniczkę, nabrał czubatą łyżeczkę cukru i posłodził sobie kawę. – Coś ci powiem. Strasznie żałuję, że nie ma tu z nami twojego chłopaka. Z nim na pewno mielibyśmy już gotowy plan. Jednak pech chciał, że to właśnie on zaginął.

Aaron skrzywił się nagle, jakby miał się popłakać, i uciekł spojrzeniem w bok, wyglądając przez okno na ulicę. Na widok jego reakcji mnie też zaszklily się oczy. Deacon nigdy nie pozwalał sobie na łzy. Zawsze zachowywał spokój, nawet w najbardziej skomplikowanych, najtrudniejszych zleceniach. Tylko jeden raz się załamał.

Odgrywał wtedy rolę Ethana Gallaghery, ucznia pierwszej klasy liceum grającego w drużynie futbolu amerykańskiego w Albany. Chłopak zmarł na atak serca po treningu, a rodzina nie mogła sobie poradzić z jego śmiercią. Za każdym razem, gdy Deacon pojawiał się w ich domu, siedmioletnia siostrzyczka Ethana ufnie brała go za rękę, jakby nie chciała pogodzić się z faktem, że on i jej brat to dwie różne osoby.

Po zakończonym zleceniu pojechałam po Deacona, żeby podrzucić go do Marie. Poprosił jednak, żebym najpierw zawiozła go do domu, bo chciałby przed spotkaniem z doradczynią wziąć prysznic.

Znalazłam go potem zapłakanego w łazience. Powtarzał, że to on powinien umrzeć zamiast Ethana, tak jakby była to rzecz, którą można negocjować. Po tym zleceniu musiał poddać się terapii. Było to jedyne załamanie w całej jego karierze.

Co by sobie pomyślał na mój temat, gdyby zobaczył teraz, że zamiast go szukać, ryczę w barze? Jak wielki zawód bym mu sprawiła? Na myśl o tym poczułam wyrzuty sumienia.

Tak naprawdę nie mieliśmy na razie jak namierzyć Deacona. Mogliśmy zaczekać, aż nazajutrz Arthur Pritchard wyjdzie do pracy, a potem go śledzić. Jednak czy to możliwe, żeby zjawił się w gabinecie dzień po śmierci swojej córki? Po chwili namysłu uznałam, że nie można tego wykluczyć – ten człowiek był naprawdę bezduszny.

– Co poczniemy z Reedem? – spytał Aaron.

– Musisz poinformować Marie o naszych podejrzeniach – odparłam, a widząc jego gwałtowną reakcję, podniosłam szybko rękę na znak, że chciałabym dokończyć. – Nieważne, dla kogo pracuje. Nie dopuści do tego, by ktoś z nas umarł. Przecież dobrze wiesz, że tak jest. Spytaj Marie, jak mamy postępować wobec Reeda.

Widziałam, że ten pomysł nie przypadł mu do gustu. Mimo to mój przyjaciel skinął głową, po czym podniósł kubek i siorbnął kawy.

– W porządku – zgodził się.

Wstaliśmy od stolika, zapłaciliśmy przy barze i pojechaliśmy prosto do nowego hotelu. Aaron był zdania, że powinniśmy poczekać do rana z przeniesieniem naszych rzeczy. Nie mieliśmy teraz wielkich potrzeb, wystarczyło się przebrać. A ja chciałam sprawdzić, jak się trzyma Reed.

Potem zaś miałam zamiar poryczeć się w poduszkę i zasnąć.

## Rozdział ósmy

**P**rowadziłam, a Aaron rozmawiał z Marie przez telefon. Okazało się, że nie dotarli do niej jeszcze wieści o śmierci Virginii. Aaron streścił jej wszystko, co wiemy na ten temat, po czym spytał, co począć z Reedem. Po zakończeniu rozmowy zaczął w zapamiętaniu trzeć twarz.

– Marie chce się spotkać.

Miałam już włączyć kierunkowskaz, żeby od razu zawrócić, ale Aaron potrząsnął głową.

– Pojedziesz do hotelu i sprawdzisz, co z Reedem, a ja wybiorę się do Marie.

– Chyba żartujesz – rzuciłam, zerkając na niego.

Niedawno Deacon zrobił to samo i teraz nie mieliśmy pojęcia, gdzie przepadł. Aaron również musiał to sobie uświadomić, bo westchnął ciężko i dodał tonem, w którym pobrzmiwała bezradność:

– Mamy niewielkie pole manewru. Cholernie żałuję, że Deacon nie napoił Marie herbatką z serum prawdy. Mielibyśmy przynajmniej pewność, w której drużynie ona tak naprawdę gra.

– A ja żałuję, że w ogóle musimy o tym myśleć – zauważyłam.

Ale, oczywiście, Aaron miał rację. Motywy, jakimi kierowała się Marie, były dość podejrzane. Nadal nie mieściło mi się w głowie, że nasza doradczyni mogła mieć jakikolwiek związek ze zniknięciem Deacona. Przecież to bez sensu.

Podjechałam pod hotel i wysiadłam, nie wyłączając silnika. Aaron obszedł samochód i zatrzymał się przed maską, gdzie w blasku reflektorów uścisnął mnie na pożegnanie. Poprosił, żebym zadzwoniła do niego, gdy już pogadam z Reedem.

– Tak zrobię – obiecałam.

Zanim wszedł do auta, zawołałam go jeszcze. Odwrócił się do mnie i spojrzał w taki sposób, jakby od początku spodziewał się, że zadam mu to pytanie.

– Dalej wierzysz, że Deaconowi nic się nie stało? – spytałam.

Chciałam to usłyszeć. Chciałam, żeby to powiedział.

– Tak – odparł Aaron. – Naprawdę w to wierzę.

Uspokojona zamknęłam na chwilę oczy. Podziękowałam przyjacielowi, po czym odwróciłam się i ruszyłam w kierunku hotelu z myślą, że jestem teraz, tak jak moi klienci, gotowa ucześcić się kurczowo każdej nadziei, choćby była kłamstwem.

Aaron wycofał samochód z parkingu, a ja zameldowałam się w recepcji, gdzie dostałam kartę magnetyczną do drzwi. Odnalazłam windę, wsiadłam do niej i wcisnęłam przycisk drugiego piętra. Kiedy drzwi zasunęły się za mną, kolejny raz wybrałam na komórce numer Deacona. Tej nocy próbowałam się do niego dodzwonić już kilkanaście razy. Jego głos nagrany na skrzynce głosowej za każdym razem sprawiał, że na ułamek sekundy odżywała we mnie nadzieja. A równocześnie przyprawiał mnie

o nieludzkie cierpienie.

Chciałam już tylko, żeby wrócił. Cała reszta przestała mieć znaczenie.

Wysiadłam z windy i postanowiłam, że najpierw pójdę do swojego pokoju. Chciałam przemyć zapłakaną twarz i przygotować się trochę, zanim zajrzę do Reeda. Czułam się zdruzgotana i pusta w środku. Niepotrzebna. Włożyłam kartę magnetyczną do czytnika i pchnęłam drzwi.

W środku zastałam Reeda. Z wrażenia z ust wydarł mi się cichy jęk. Chłopak siedział na jednym z łóżek z opuszczoną głową i pisał coś w dzienniku, który położył sobie na kolanach. Kiedy usłyszał, że wchodzę, odłożył długopis i zamknął zeszyt.

– Zamierzałam cię poszukać – powiedziałam.

Zamknęłam za sobą drzwi i ruszyłam w jego stronę. W tej samej chwili Reed uniósł głowę – a ja przystanąłam w pół kroku, przestraszona jego wyglądem. Ubrania dalej miał przemoczone od deszczu, a policzki lekko zaróżowione jakby od wiatru. Siedział dziwnie wyprostowany; widać było, że czuje się nie najlepiej.

– Nie gniewaj się, że bez pytania wszedłem do twojego pokoju – odezwał się cichym głosem. –

Chciałem z tobą pogadać.

Oczy miał podeszłe krwią. Były całe czerwone. Na wysuszonych i popękanych ustach dostrzegłam krwawą szczelinę w miejscu, gdzie pękła mu skóra. Reed sprawiał wrażenie, jakby przez dłuższy czas płakał.

– Powinieneś być do mnie zadzwonić – odezwałam się. – Wróciłabym wcześniej.

Usiadłam na drugim łóżku, naprzeciw niego. Moje serce tłukło się jak szalone. Był w jeszcze gorszym stanie niż w chwili, gdy go zostawialiśmy przy samochodzie. Znałam już ten przypominający maskę wyraz twarzy. Widziałam go nieraz u osób przeżywających żalobę. Taką samą twarz miał Roderick tamtego wieczoru na imprezie, gdy odebrał sobie życie.

Reed odłożył dziennik na nocny stolik, po czym splótł dłonie i przyjrzał mi się uważnie.

– Quinn, zawsze sądziłem, że jesteś inna. Że różnisz się od pozostałych sobowtórów. – Po tych słowach uśmiechnął się ponuro i dodał: – A wiesz, że twój ojciec poprosił mnie kiedyś, żebym zabrał cię na randkę?

– Wiem, mówiłeś mi już o tym.

– Serio? – zdziwił się. – Tom twierdził, że wpakowałaś się w tarapaty. Liczył, że ci pomoże. Z początku sądziłem, że chodzi o jakieś zlecenie, ale pewnie miał na myśli całe twoje życie, prawda? Tak naprawdę nie nazywasz się przecież Quinlan McKee.

– Skąd wiesz...? – Nagle poczułam, jak po plecach przebiegają mi dreszcze. Dopiero po chwili zrozumiałam, kto mu powiedział. – Od Virginii?

– Znalazła twoją teczkę – przyznał Reed. – Rozmawialiśmy w samochodzie, a potem Virginia zakradła się do domu. Kiedy wróciła, przyniosła ze sobą dokumenty. Znalazła je w gabinecie ojca. Stwierdziła, że musiał przynieść je tego dnia. Chcieliśmy ci je oddać, ale...

– Ale co?

Reed zaczął pocierać czoło, jakby rozboleła go głowa. I wtedy miałam już pewność, że coś się w nim zmieniło. Zaraził się od Virginii Pritchard. Tajemnice, jakie zdradziła mu przed śmiercią, wystarczyły, żeby choroba rozwinęła się również u niego. Nagle poczułam, jak ogarnia mnie dzika panika.

– Reed, co takiego powiedziała ci Virginia?

– Mówiła, że już jest za późno. I że żadne z nas tego nie przeżyje. A w każdym razie nikt nie wyjdzie z tego bez szwanku.

– O czym ty mówisz? – zawołałam. – Jezu, Reed, co jeszcze ci powiedziała?

– Arthur przystąpił już do działania – odezwał się zamyślonym głosem, wpatrując się w złożone na kolanach ręce. – Zaczął od ciebie i Virginii. Władze zaaprobowaly jego nowy program. Właśnie trwa jego pierwsza faza. Rankiem zostaniemy zatrzymani. Uznano, że wszystkie sobowtóry stanowią zagrożenie dla samych siebie.

– Kiedy o tym zadecydowano?

– Dzisiaj wczesnym popołudniem. Marie o wszystkim wiedziała.

– Co takiego? – A więc było jasne, że doradczyni nas zdradziła. Wiedziała o planie Arthura, a mimo to nas nie ostrzegła. – Ale dlaczego to zrobiła?

Wzruszenie ramion miało chyba oznaczać, że nie ma to już żadnego znaczenia. Dla Reeda najwyraźniej nic już nie miało znaczenia.

– Reed... – szepnęłam przerażona, nachylając się i dotykając delikatnie jego kolana.

– Tabitha zorientowała się chyba w sytuacji i dlatego uciekła – powiedział nagle. – My nie mamy już na to czasu.

– Proszę...

– A wiesz, że przez krótką chwilę – wszedł mi znowu w słowo, jakby w ogóle nie docierało do niego, że próbuję coś powiedzieć – rozważałem nawet taką możliwość? Przyszło mi do głowy, że mógłbym pozwolić Arthurowi, aby mi ją odebrał. Miałem wrażenie, że nie zniosę już dłużej życia w cierpieniu.

– Mówisz o Katy? – domyśliłam się.

Wiedziałam, że Reed długo opłakiwał śmierć swojej dziewczyny, nie miałam jednak pojęcia, jak bardzo prześladowa go jej wspomnienie.

– Koniec końców uznałem, że muszę ją zachować w pamięci. Ale równocześnie wspomnienia o niej nie pozwalają mi żyć. Dopiero Virginia mi to uświadomiła. Wiedziała, że ojciec planuje kolejny raz wymazać jej pamięć. Quinn, nawet nie wyobrażasz sobie, jak bardzo była przerażona. Ten człowiek sprawił, że jego córka stała się całkowicie bezradna. A teraz to samo robi nam.

Reed podniósł się z łóżka, a moja dłoń zsunęła się z jego kolana. Przygryzł dolną wargę i przez chwilę szukał właściwych słów. W końcu odważył się spojrzeć mi w oczy, a po policzku spłynęła mu łza.

– Nie powinno mnie tu nawet być – powiedział. – Ale chcę, żebyś wiedziała, że jesteś dla mnie wyjątkowa. Zawsze tak uważałem. Masz coś, czego my jesteśmy pozbawieni: duszę. Reszta sobowtórów

zatraciła ją gdzieś po drodze, ty jednak nadal walczysz. Może to wystarczy.

– Wystarczy do czego?

Nie dokończył jednak, tylko ruszył bez słowa do drzwi. Poderwałam się z łóżka i zagrodziłam mu drogę. Wiedziałam, że nie mogę mu pozwolić odejść teraz, gdy najwyraźniej przeżywa epizod psychotyczny. Stałam przed nim i oparłam mu dłonie na torsie.

– Reed – błagałam – zaczekaj tutaj, proszę.

Najstraszniejsze było to, że wcześniej zachowywał się całkiem normalnie. Jego stan zaczął się zmieniać z chwilą, gdy spotkał Virginie Pritchard. Z początku w ogóle to do mnie nie docierało. I dlatego poprosiłam go, żeby odwiózł ją do domu. A zatem to moja wina. Zakażenie przez naśladownictwo następowało błyskawicznie, choroba przenosiła się w takim tempie, że powstrzymanie jej zdawało się niemożliwe. Co w takim razie mieliśmy, do cholery, począć?

Reed spojrzał mi w oczy i pogłaskał mnie po policzku. Miał chłodną dłoń, poczułam, jak pod jego dotykiem przeszywa mnie lodowaty dreszcz.

– Virginia miała rację – szepnął – nie ma już dla nas nadziei. Jeśli Arthur cię schwyta, zmieni cię nie do poznania. Odbierze ci wszystkich, których kochasz. Sprawি, że będziesz martwa w środku.

Przy tych słowach jego lodowate palce zawędrowały na mój obojczyk.

– Nie próbuj ich ocalić – ciągnął. – Nie próbuj ratować nawet Deacona. Ocal sama siebie.

Nagle nachylił się i przycisnął swoje wyschnięte wargi do moich ust.

Odskoczyłam przerażona, jakby poraził mnie prąd. Wymierzyłam mu siarczysty policzek, licząc, że to go otrzeźwi. Przez chwilę przypatrywał mi się, oblizując krew, która znów zaczęła sączyć mu się z rozciętej wargi. Miałam wrażenie, że w ogóle mnie nie rozpoznaje. Nagle zaszła w nim jakaś zmiana, zamrugał szybko oczami.

– Nie powinienem był tego robić – wymamrotał, ocierając usta wierzchem dłoni.

Kiedy dostrzegł na dłoni rozmazaną krew, odwrócił się i ruszył do łazienki, żeby ją zmyć.

– Reed, zaczekaj – zawołałam za nim. – Nie chciałam...

Przystanął i obejrzał się przez ramię. Na widok jego twarzy zrobiło mi się niedobrze – miała zupełnie pusty, martwy wyraz.

– Quinlan, zabiję się – powiedział cichym głosem. – Chciałem tylko najpierw się pożegnać.

Zszokowana jego słowami rzuciłam się do przodu, ale Reed był szybszy. Zanim zdążyłam go zatrzymać, wskoczył do łazienki, zatrzasnął drzwi i przekręcił zamek.

Pod wpływem paniki zaczęłam walić w nie pięściami i szarpać za klamkę. W pewnym momencie z wnętrza dobiegł jakiś hałas, a po nim trzask tłuczonego szkła.

– Reed! – zawołałam.

Nie mogłam uwierzyć w to, co się dzieje. Przecież to niemożliwe. Kiedy jednak kopałam, waliłam pięściami i napierałam całym ciałem na drzwi, próbując wyłamać zamek, doskonale rozumiałam rozgrywające się wydarzenia. Przypomniałam sobie opowieść o samobójstwie Cataliny.



W pewnym momencie z łazienki dobiegł mnie odgłos głuchego upadku, a po nim nastąpiła cisza. Cofnęłam się o krok, nie spuszczać z oczu klamki.

– Reed, otwieraj! – zawołałam, łkając. Zasłoniłam usta obolałymi pacami, kiedy uświadomiłam sobie, że stało się najgorsze. Słabym głosem powtórzyłam: – Reed.

Żadnej odpowiedzi.

Odczekałam jeszcze chwilę, po czym, odrętwiała, sięgnęłam do kieszeni po komórkę. Zerkając bez przerwy na drzwi, drżącymi palcami wybrałam numer pogotowia i podałam adres hotelu. Następnie zadzwoniłam do Aarona. Kiedy odebrał, byłam w stanie się zdobyć tylko na ledwie dosłyszalny szept:

– Wracaj.

– Quinn? Co się stało?

Nie od razu odpowiedziałam, bo nagle zobaczyłam, że wystająca spod drzwi beżowa wykładzina staje się coraz ciemniejsza. Z przerażeniem obserwowałam, jak z łazienki wypływa strużka krwi, barwiąc na czerwono dywan w pokoju.

\* \* \*

Do stłuczenia lustra Reed Castle wykorzystał mydelniczkę. Podciął sobie gardło jednym z ostrych odłamków. Śmierć nastąpiła na skutek przecięcia przedniej tętnicy szyjnej. Sanitariusze, którzy przyjechali na miejsce, powiedzieli, że zmarł w niespełna dwie minuty. Zanim się zjawili, plama na dywanie była już szeroka na blisko metr.

Chwilę po nich przyjechał Aaron. Nie zdążył jeszcze dotrzeć do Marie, kiedy wezwałam go z powrotem. Podałam sanitariuszom tyle informacji, ile mogłam, bez narażania siebie na zbędne niebezpieczeństwo. Posłużyłam się danymi Elizabeth Major. Po dopełnieniu formalności wyszłam z pokoju, nie obejrzawszy nawet ciała mojego przyjaciela. Reed został tam sam w otoczeniu obcych ludzi. Zostawiłam go, bo nie miałam innego wyjścia.

Czułam się z tego powodu strasznie, naprawdę fatalnie, bo przecież był jednym z nas. Stanowiliśmy rodzinę.

Reed był moim przyjacielem, a ja zniszczyłam mu życie, narażając go na kontakt z Virginią. Wszystko zrujnowałam.

Wiedziałam, że kiedy jutro włączę telewizję, w wiadomościach będą mówić o śmierci Reeda. W centrum zainteresowania dziennikarzy będzie oczywiście makabryczna strona całego zajścia, nie mogłam liczyć na dyskrecję reporterów. Z pewnością nie pominą żadnego krwawego szczegółu. Niepokój obywateli sprowokował ostatnio apele o pełną jawność w przypadku zdarzeń związanych z epidemią. A stacje telewizyjne dbały przede wszystkim o oglądalność. Reporty z miejsca śmierci dziwnym trafem trafiały do Internetu. Nikt nie zauważał, że obsesyjne zainteresowanie samobójstwami napędza epidemię.

Kiedy wyszliśmy z Aaronem na deszcz, przytuliłam się do niego. Moim ciałem wstrząsał szloch. Przed

opuszczeniem hotelu mój przyjaciel spakował rzeczy Reeda. Okazało się, że chłopak w ogóle nie wszedł do swojego pokoju – wszystko zostawił w naszym. Aaron wrzucił to do torby, którą położył na tylnym siedzeniu swojego samochodu.

Pomógł mi wsiąść, po czym obszedł wóz i zajął miejsce za kierownicą. Skręciliśmy za róg i zaparkowaliśmy z dala od wozów policyjnych, żeby złapać oddech i zastanowić się, co dalej. Siedzieliśmy w ciemności, przysłuchując się deszczowi uderzającemu o przednią szybę.

– Spraw, żeby wszystko dobrze się skończyło – poprosiłam szeptem. – Sprowadź Deacona.

Aaron pociągnął głośno nosem i spojrzał w sufit samochodu.

– Chciałbym – powiedział żalonym głosem.

Przez chwilę siłą woli składałam się w całość kawałek po kawałku, aż stałam się znów niemal kompletna. Przypominałam rozbity na sto części talerz, który ktoś posklejał. Cała byłam popękana, miałam poszczerbione brzegi.

– Dokąd pojedziemy? – spytałam zachrypniętym głosem.

W głowie miałam zamęt. Przed chwilą straciłam Reeda. Wcześniej utraciłam ojca, doradcę, moją tożsamość. A także Deacona.

– Nie mam dokąd pójść – powiedziałam.

Tak naprawdę nigdy nie miałam domu. Owszem, istniało miejsce, w którym mieszkałam razem z mężczyzną podającym się za mojego ojca. Czasami zatrzymywałam się też u rodzin, które niedawno straciły dziecko. Żadne z tych miejsc nie było jednak moim prawdziwym domem.

Dopóki był ze mną Deacon, wspólnie tworzyliśmy coś na kształt domu. Znał moją samotną duszę lepiej niż ktokolwiek inny. A teraz Pritchard usiłował odebrać mi nawet to – moją jedyną namiastkę domu. A jeśli Reed mówił prawdę, Arthur planował pozbawić mnie czegoś jeszcze.

– Odebrał nam Reeda – powiedziałam, tłumiąc szloch. – Arthur Pritchard zamordował Reeda. A ja wydałam go prosto w jego ręce.

Aaron zamknął oczy, zaciskając dłonie na kierownicy. Czulałam, że pragnie jakoś mnie pocieszyć, ale zanim zdołał cokolwiek powiedzieć, jego twarz wykrzywił grymas straszliwego cierpienia. Po chwili zadrżały mu ramiona – mój przyjaciel szlochał.

Nachyliłam się do niego, oparłam głowę o jego bark i łkaliśmy oboje. Trwało to blisko dwadzieścia minut, a kiedy nie mieliśmy już łez, Aaron wyprostował się i otarł twarz rękawem bluzy. Gdy uruchamiał silnik, tłumiony szloch zapierał mu dech.

## Rozdział dziewiąty

**A**aron jeździł bez celu po mieście, a ja próbowałam dodzwonić się do Marie. Kiedy odebrała, w miarę spokojnie, tłumiąc łzy, poinformowałam ją, że Reed popełnił samobójstwo. Wypowiadając te słowa, próbowałam zdystansować się emocjonalnie od tego, co znaczyły. Zadziałał mechanizm obronny. Prawdę mówiąc, dość niepokojący.

Marie sprawiała wrażenie kompletnie zdruzgotanej. Oczywiście w swojej opowieści pominęłam moment, w którym Reed stwierdził, że znała plan Arthura dotyczący sobowtórów. Nie chciałam komplikować sprawy, jednak przez cały czas miałam świadomość, z kim rozmawiam – sam głos Marie w komórce budził moją niechęć.

Niewiele zapamiętałam z tej nocy. Podjechaliśmy na stację benzynową, żeby zatankować, a potem zatrzymaliśmy się jeszcze raz, bo Aaron chciał zadzwonić do Myry. Wszystko jej opowiedział. Obiecał, że niedługo będzie z powrotem. Mówił to jednak bez większego przekonania. Świadomość, że Reed nie żyje, była dla nas wielkim obciążeniem. Miałam wrażenie, jakby sama ta myśl powoli nas zabijała.

Jechaliśmy przed siebie z obawy, że jeśli zatrzymamy się gdzieś, możemy nie znaleźć w sobie siły, żeby znów ruszyć. Straciłam rachubę czasu. Kiedy o wpół do szóstej wzeszło słońce, na chwilę przedzierając się przez chmury, zorientowałam się, że dotrwaliliśmy do rana. Na krótką chwilę promienie słoneczne rozświetliły szosę. Zamknęłam oczy i z głową opartą o szybę pozwoliłam, by słońce ogrzewało mi policzki.

*To zasługa Reeda, pomyślałam. Wysła mi promienie słońca, żebym nie straciła nadziei. Żebym się nie poddała.*

Była to taka piękna myśl. Ratowałam się nią, ilekroć powracały do mnie mroczne refleksje. W końcu się zdrzemnęłam, a kiedy otworzyłam znów oczy, na poboczu ujrzałam szereg zielonych drzew. Ich gałęzie wyciągały się do słońca, jakby pragnęły żyć. Jakby prosiły je o pomoc.

W pewnym momencie uderzyła mnie pewna myśl. Odwróciłam się do tyłu i wzięłam z tylnego siedzenia torbę z rzeczami Reeda. Pamiętałam, jak odkładał na stolik nocny swój dziennik. Zanurzyłam rękę w torbie i zaczęłam przetrząsać jej zawartość.

– Czego szukasz? – zainteresował się Aaron. Głos miał zachrypnięty, nie odzywaliśmy się do siebie od wielu godzin.

– Zabrałeś z pokoju dziennik Reeda? – spytałam, a moje serce zabiło żywiej.

– Hm... – zastanowił się Aaron, marszcząc brwi. – Nie jestem pewien. Brałem to, co wpadło mi w ręce. Dziennik na pewno był w pokoju?

– Tak – rzuciłam podniesionym głosem. – Reed zapisywał w nim coś, kiedy wróciłam. Potem odłożył go na bok. Nie ma go tutaj!

Otworzyłam zamek w przedniej kieszonce torby. Zapiski Reeda mogły zawierać jakieś wskazówki dotyczące jego śmierci. Może dowiedzielibyśmy się z nich, jak to się stało, że tak szybko wpadł w depresję i odebrał sobie życie. Zrozumielibyśmy, jak działa epidemia.

W pewnym momencie moja dłoń natrafiła na niewielki tom w skórzanej oprawie. Kiedy go wyciągnęłam, ścisnęło mi się serce. Dziennik stanowił przypomnienie, że jego autor już nie żyje. Momentalnie zabrałam się do lektury.

Pierwsze wpisy pochodziły niemal sprzed roku. Wszystkie sobowtóry zobowiązane są do prowadzenia codziennych zapisków, choć większość wybiera elektroniczną formę dziennika. Prawdę mówiąc, sama niezbyt się przykładałam do swojego. Ograniczałam się do spisywania dość banalnych informacji na temat mijających dni. Podejrzewałam, że Reed podchodził do tego tak samo. Przerzuciłam szybko kilka stron, nie zatrzymując się nawet na fragmentach, w których wspominał o mnie.

– O Boże – jęknęłam, kiedy w końcu coś przykuło moją uwagę.

– Co takiego? – zainteresował się Aaron, odrywając oczy od drogi. Posłał mi przestraszone spojrzenie, po czym znów skierował wzrok przed siebie. – Kiedy to się zaczęło?

Wpatrywałam się bez słowa w rysunek czarnej spirali, pod którym były jakieś nieczytelne słowa. Kiedy sprawdziłam wcześniejszą stronę, okazało się, że wpis pochodzi z dnia, w którym spotkaliśmy się z Marie na naradzie w restauracji. A zatem Reed zaczął rysować spirale niedługo po tym, jak zobaczył Virginię Pritchard na meczu siatkówki. I po tym, jak porozmawiał z dziewczynami na trybunach.

Przerzuciłam szybko dalsze strony – wszystkie pokrywały takie same czarne spirale. Był to plastyczny symbol naszego zagubienia. Mroku, który spowijał nasze dusze. Z oczu popłynęły mi łzy i zaczęły skapywać na papier. Po chwili na kartce pojawiły się szare smugi rozmazanego atramentu.

Ręce zaczęły mi dygotać, ale jakoś zdołałam dotrzeć do ostatniej strony – to przy jej zapisywaniu zastałam Reeda, kiedy weszłam do pokoju. O dziwo, nie odnalazłam na niej spirali.

*Quinlan, przeczytałam i poczułam, że brakuje mi tchu.*

*Wiem, że będziesz na mnie zła. Wiem też, że będzie Ci smutno. I za to Cię przepraszam. Kiedy zapewniałem cię, że nigdy bym Cię celowo nie skrzywdził, mówiłem szczerze. Jesteś jedną z moich najbliższych przyjaciół.*

*Byłem dziś z Virginią, kiedy odnalazła Twoją teczkę. Opowiedziała mi, jak to jest, kiedy wymazują ci pamięć. Pokazała mi też, co z niej zostało. Czujesz się wtedy jak wydrążona skorupa, tak się wyraziła. Stwierdziła, że ojciec skradł jej duszę.*

*Wyznała, że to samo jej ojciec zrobił również Tobie. I że planuje zastosować tę procedurę wobec nas wszystkich. Arthur otworzył nowy ośrodek badawczy przy Old Garden Road i chyba właśnie tam ściągą po kolei wszystkie sobowtóry.*

*Opracowana przez niego procedura, polegająca na wymazaniu pamięci pacjenta, ma nie tylko powstrzymać skłonności samobójcze, lecz także zaradzić złemu zachowaniu, wyrugować samowolne zapędy. Procedura ta pozwala lokalizować konkretne wspomnienia i usuwać je bez śladu. Virginia twierdzi, że pierwsze w kolejce do odstrzału są te dotyczące bliskich osób pacjenta.*

*Wiem, że nie mogę stracić Katy. Wspomnienie o niej to wszystko, co mi pozostało.*

*Nie ufaj Marie. Nie ufaj nikomu. Musisz uciekać i się ukryć. Chcę, żebyś wiedziała, że zależy mi na Tobie. Nie ma dla mnie znaczenia, kim byłaś kiedyś, ponieważ wiem, kim jesteś teraz. Jesteś sobą. I to wystarczy. To...*

Wpis urywał się w połowie zdania. Pewnie weszłam do pokoju, kiedy kreślił właśnie te słowa. Oddałabym wszystko, żeby móc z nim teraz porozmawiać, naprawić zaniedbania i dopilnować, żeby nic mu się nie stało. Było jednak za późno, teraz mogłam już tylko żałować, że nie zrobiłam nic, by mu przeszkodzić. Przeczytałam cały wpis Aaronowi.

Kiedy zamknęłam dziennik, zauważyłam, że mój przyjaciel ma zacięty wyraz twarzy.

– Nienawidzę Virginii – odezwał się cichym głosem. – Czy to znaczy, że jestem złym człowiekiem?

– Nie, ona też była ofiarą. Wyobraź sobie, jakie to uczucie: żyć pod jednym dachem z potworem w ludzkiej skórze. Wyobraź sobie, że budzisz się każdego ranka pozbawiony wszelkiej nadziei. Nie umiem znienawidzić Virginii, ale zrozumiem, jeśli poczujesz do niej tak silne negatywne emocje. Teraz jednak musimy skupić się na tym, co robimy dalej. Nie możemy koncentrować się na cierpieniu. Reed tak zrobił i to go zabiło.

– Sam się zabił – poprawił mnie Aaron beznamiętnym głosem.

– Nie, zabiły go plany Arthura. Na tym właśnie polega główny problem: takie zachowanie jest zaraźliwe. Mam nadzieję, że samobójstwo Virginii nie spowodowało czegoś jeszcze gorszego. Reed czuł, że nie ma dokąd uciec. Nagle wszystko straciło dla niego sens. Widział życie jako mroczną, niekończącą się spiralę. Strach ma potężną siłę. Arthur Pritchard i Virginia zarażają ludzi strachem. A na to nie ma żadnego lekarstwa.

– A jeśli dopadli też Deacona? Jeśli jemu też wymazali pamięć? Co wówczas zrobimy?

– Wtedy puścimy całą tę ich placówkę z dymem – powiedziałam, spoglądając przez okno. – Nie dopuszczę do tego, żeby jego również mi odebrali.

Sprawdziłam na komórce, jak dojechać do Old Garden Road. Kiedy Aaron spytał, co robię, odparłam:

– Nie zniosę bezczynności. Jeśli do wyboru mamy uciec albo odszukać doktora i zapukać do jego drzwi, wybieram to drugie rozwiązanie. Wyrwę Deacona z jego rąk, choćbym sama miała przypłacić to wolnością.

– Kretyński plan – mruknął pod nosem Aaron.

Zerknął na mapę wyświetloną na mojej komórce, po czym zawrócił i pojechaliśmy prosto do Arthura Pritcharda.

\* \* \*

Smagła skóra Aarona miała zielonkawy, niezdrowy odcień. Byliśmy totalnie przybici, jednak im dłużej podążaliśmy pustą szosą, tym większa była nasza determinacja. Mijaliśmy stare zabudowania fabryczne, straszące rozsypującymi się ceglanyimi fasadami. W pewnym momencie zaczęłam się nawet zastanawiać, czy przypadkiem Reed nie wyprowadził nas na manowce. Możliwe przecież, że w momencie sporządzania wpisu w dzienniku, nie myślał już racjonalnie. Zaraz jednak przypomniałam sobie, co na jego temat mówił Aaron: Reed był świetnym sobowtórem i powinniśmy zaufać jego spostrzeżeniom.

– No to jesteście – powiedziałam, wskazując palcem zabudowania przed nami.

Nie były one w żaden sposób oznaczone, sprawiały niepozorne wrażenie. Ja jednak od razu wiedziałam, że to miejsce, którego szukamy – dwukondygnacyjny ceglany budynek z rampą od frontu. Aaron objechał go i po chwili zobaczyliśmy zaparkowany z tyłu samochód Arthura Pritcharda. Z wrażenia zabrakło mi tchu. A więc to tutaj.

Aaron zaparkował pod pochylonym drzewem. Z liści spadły na szybę małe kropelki, wspomnienie po nocnym deszczu. Przez chwilę siedzieliśmy bez ruchu. Rozpacz dodawała nam straceńczej odwagi. Przypatrywaliśmy się budynkowi, jednak nie dojrzeliliśmy w nim żywej duszy.

– Zaczekaj w samochodzie i grzej silnik, żebyśmy mogli szybko stąd spadać – mruknęłam, siląc się na żarty. Aaron zareagował uśmiechem.

– Pewnie jesteś silniejsza ode mnie, ale nie pozwolę ci wejść tam samej. Będziesz potrzebowała wsparcia. Musimy zapewnić sobie przewagę liczebną.

– Nie będę mogła chronić nas obojga – powiedziałam poważnym tonem.

– Wiem. Ale we dwoje będziemy mogli na siebie nawzajem uważać. Jeśli okaże się, że przyjeżdżając tutaj, popełniliśmy wielki błąd, przynajmniej będziemy w tym oboje.

Było wcześniej, minęła dopiero ósma rano. Teoretycznie mogłabym wezwać policję, ale przecież Deacon nie został porwany, tylko zapewne poddany „przymusowej terapii”, więc wszystko odbywało się zgodnie z prawem. A ja byłam pod państwową kuratelą. Nagle coś mnie tknęło. Nie, w rzeczywistości podlegałam kurateli Pritcharda. Mogłabym się założyć, że nawet mój ojciec o tym nie wiedział. Znaczyło to w każdym razie, że policja stanęłaby po stronie Arthura.

Nadal istniała szansa, że dowiem się, kim są moi biologiczni rodzice. Mogłabym wtedy nakłonić ich, żeby walczyli o przyznanie im prawa do opieki nade mną. Ale przecież było już na to za późno. To byli obcy dla mnie ludzie i choć myśl taka wydawała się absurdalna, mogli okazać się jeszcze gorsi od Arthura.

Tak, było już za późno. Za późno, bym walczyła o przeszłość, której nigdy nie miałam. Wiedziałam przynajmniej, że nie mogę dopuścić, by odebrano mi coś jeszcze.

Poleciałam Aaronowi, żeby trzymał się blisko mnie i otworzyłam drzwi samochodu. Owionęło nas rześkie poranne powietrze. Obeszliśmy budynek i po chwili stanęliśmy przed bocznymi drzwiami. Miałam nadzieję, że nie będą zamknięte. Na ścianie wisiała czerwona skrzynka pocztowa, w której zostawiano materiały dostarczane do laboratorium. Wstrzymując oddech, położyłam dłoń na klamce i nacisnęłam ją. Drzwi ustąpiły.

Obejrzałam się ze zdziwieniem na Aarona – nie sądziłam, że zdołamy tak łatwo dostać się do środka. Chyba zrozumiał, co chcę mu powiedzieć, bo przełknął nerwowo ślinę, po czym ostrożnym ruchem uchylił szerzej drzwi. Przekroczyłam próg, dziękując w duchu, że nie jestem tu sama. Miałam tylko nadzieję, że nie prowadzę następnego przyjaciela na pewną śmierć.

Ściany i podłogi pomalowano śnieżnobiałą farbą. Co kilka metrów pod sufitem wisiała świetlówka.

Widok tych rozświetlonych wnętrzu przywodził na myśl kuchnię w domu Arthura Pritcharda – tak samo sterylą i pozbawioną życia. A wspomnienie kuchni oczywiście zaraz sprowokowało też wspomnienie Virginii. Ból, jaki mu towarzyszył, odbierał mi jasność myślenia, która była niezbędna do przeprowadzenia tej misji.

Na końcu korytarza natrafiliśmy na puste stanowisko pielęgniarek. Pomyślałam, że przeszukam kartotekę. Może znajdę w niej jakąś wzmiankę o Deaconie. Nie był to zbyt mądry plan, ale nic lepszego nie przychodziło mi do głowy. Pomysł, by wdrzeć się do gabinetu Arthura i zażądać odpowiedzi na dręczące mnie pytania, nie wydawał mi się już taki pociągający. Zdążyliśmy podejść do stanowiska pielęgniarek, kiedy nagle doleciały nas strzępy rozmowy.

– Pacjent z sali sto czternaście gotowy do przeniesienia – mówiła jakaś kobieta.

Zanurkowaliśmy z Aaronem za róg, plecami przywarliśmy do ściany. Kobieta nadal coś mówiła. Z jej władczego tonu wnosiłam, że to jedna z pielęgniarek. Mężczyzna, z którym rozmawiała, odpowiedział coś, używając szpitalnego kodu. Nie rozumiałam, o co chodzi. Nigdy nie słyszałam, by ktoś w wydziale żałoby posługiwał się takim kodem. Oczekaliśmy, aż głosy się oddalą, po czym wymknęliśmy się z powrotem na korytarz.

– Mało brakowało... – powiedziałam, ruszając w kierunku stanowiska pielęgniarek. – Powinniśmy...

– Stać! – rozległ się nagle za nami męski głos.

Zamarłam. Spojrzeliśmy na siebie z Aaronem, oboje rozważając bez słów, czy powinniśmy się rzucić do ucieczki. Byłoby to jednak równoznaczne z porzuceniem Deacona na pastwę Arthura. A na to nie miałam zamiaru pozwolić.

Odwróciłam się na pięcie – przed sobą miałam jakiegoś faceta w białym kitlu. Był postawny i zwalisty, nie miałabym z nim żadnych szans. Podobnie zresztą jak Aaron, który jednak zrobił minę, jakby mimo wszystko chciał zaryzykować atak. W ułamku sekundy postanowiłam, że muszę załagodzić sytuację. Nie mogłam pozwolić, żeby mojemu przyjacielowi stała się krzywda. Nadeszła pora, bym stanęła twarzą w twarz z moimi demonami.

– Chcę widzieć się z Arthurem Pritchardem – powiedziałam zdecydowanym głosem. – I to zaraz.

## Rozdział dziesiąty

**B**ylaam absolutnie przerażona, jednak jako sobowtór zostałam wyszkolona do ukrywania emocji. I to nawet w sytuacji, gdy nie umiałam nad nimi zapanować. W tej chwili czułam, jak ogarnia mnie panika, jak jej pętla zaciska mi się na gardle. Mimo to, kiedy siedziałam na niewygodnym krześle w gabinecie Arthura Pritcharda, czekając, aż zechce się ze mną spotkać, moja twarz nie zdradzała żadnych emocji.

Aarona zabrano do innego pokoju, gdzie miał zostać przesłuchany. Kiedy oznajmił, że zostaje ze mną, pielęgniarz podniósł do ust krótkofalówkę i wypowiedział jakiś kod, dodając imię Aarona. Rozległ się szum, po czym dobiegł nas kobiecy głos:

– Zaprowadź Aarona do sali numer dwanaście. Marie chciałaby z nim zamienić dwa słowa.

A więc jednak mieliśmy rację. Marie pracowała dla Arthura. Wiedziałam, że jeśli będę próbowała dalej rozważać, co to dla nas oznacza, zupełnie się załamie. Wszystko wskazywało na to, że kobieta dopuściła się wobec nas podwójnej zdrady. A ja siedziałam teraz bezradna w zamkniętym pokoju, czekając na rozmowę z największym dupkiem świata i licząc, że wypuści nas i pozwoli zabrać ze sobą Deacona.

Wyobraziłam sobie, co miałyby mi do powiedzenia Virginia, gdyby żyła: *Nie ma już nadziei*. Dopiero teraz dotarła do mnie wewnętrzna prawda tego stwierdzenia. Chociaż może to właśnie przez Virginię tak się czułam.

W pewnym momencie usłyszałam odgłos otwieranych drzwi. Nie odwracałam się, nie chcąc w żaden sposób reagować na to, co się dzieje. Na linoleum, którym pokryta była podłoga, rozległy się kroki i stanął przede mną elegancko odziany mężczyzna z moich najstraszniejszych koszmarów.

Arthur Pritchard przywitał mnie uśmiechem, jednak jego oczy pozostały nieruchome. Podeszedł do biurka i przysiadł na jego krawędzi, zwrócony twarzą do mnie. Ubrany był w elegancką koszulę w paski i swetrowy bezrękawnik. Szpakowate włosy miał starannie zaczesane na bok, a brodę równiutko przystrzyżoną. Moją uwagę przykuły jednak jego bladoniebieskie oczy. Były podkrążone, jakby doktor od wielu dni nie spał.

– Miło cię znów widzieć, Quinlan – odezwał się kordialnym tonem.

Tembr jego głosu zdradzał wyuczoną serdeczność sobowtóra, a równocześnie emanowała z niego siła właściwa profesjonalnemu doradcy. Kiedy nie odpowiedziałam na jego powitanie, zbliżył palec wskazujący do ust i przez chwilę mierzył mnie wzrokiem. W końcu wstał, obszedł biurko i usiadł w skórzanym fotelu po jego drugiej stronie. Przypatrywałam się w milczeniu, jak otwiera szufladę i wyciąga z niej jakąś teczkę. Ułożył ją na blacie biurka i oparł na niej złożone dłonie.

– Mamy sporo do omówienia – stwierdził. – Nie sądzę, żebyś dała się zatrzymać z własnej woli,



gdybyś nie miała jakiegoś dobrego powodu. Od czego chcesz zacząć?

Nic nie zmieniło się w wyrazie jego twarzy, która przypominała maskę, a przecież temu mężczyźnie właśnie umarło jedyne dziecko.

– Gdzie jest Deacon? – spytałam zdecydowanym tonem.

– Ach tak – odparł. – Pytasz o Deacona Hatchera, przydzielonego ci agenta.

Wzdrygnęłam się, nieprzygotowana na takie postawienie sprawy. Arthur zauważył moją reakcję i uśmiechnął się pod nosem, po czym stwierdził:

– Deacon czuje się dobrze, Quinlan. Prawdę mówiąc, jeszcze dzisiaj poczuje się naprawdę świetnie. Będzie wtedy uodporniony.

– Na co?

– Na epidemię. Wymazaliśmy mu wspomnienia, które mogłyby spowodować wystąpienie objawów. Zostało nam jeszcze trochę pracy, po czym ryzyko zapadnięcia na chorobę znacznie spadnie. Powinnaś być mi wdzięczna.

Poczułam ucisk w żołądku, zabrakło mi nagle tchu. A więc zjawiłam się za późno.

– Wymazałeś mu pamięć? – spytałam, przestając się troszczyć o to, że odkrywam przed nim swoje prawdziwe uczucia. Do oczu napłynęły mi łzy. – Które wspomnienia mu zabrałeś?

– Czyżbyś wolała, żeby Deacon umarł? – spytał ze zdziwieniem Arthur, marszcząc brwi. – Sprawia ci przyjemność widok przyjaciół odbierających sobie życie? Reeda Castle’a? Mojej córki?

Wspominając o Virginii, zazgrzytał zębami, ale zaraz się opanował. We mnie natomiast wspomnienie o Reedzie otworzyło niezabliźnioną jeszcze ranę. Arthur poprawił kołnierzyk koszuli i przeciągając językiem po zębach, bacznie mi się przyglądał.

– Jesteś na siebie zła? – spytał. – Nie dręczy cię przypadkiem poczucie winy? Przez to, że tu przyjechałaś, zginęły już dwie osoby. Cięży na tobie odpowiedzialność za ich śmierć.

Nie byłam pewna, czy próbuje w ten sposób celowo namieszać mi w głowie. W każdym razie udawało mu się to. Czułam, jak zżera mnie poczucie winy. Staralam się jednak udawać, że jestem silna.

– Nie – odparłam. – Jestem zła na ciebie. Uważam, że jesteś obłąkany, i bardzo mnie to wkurza. Mam zamiar zabrać Deacona i Aarona, i się stąd wynieść.

– Przykro mi, ale nie mogę ci na to pozwolić.

Tak, ten człowiek był mistrzem zawołowanych gróźb. Domyślałam się jednak, że to dopiero początek. Po plecach przeszły mi ciarki.

– Powiadomię policję – zapowiedziałam, wyciągając z kieszeni komórkę. – Mam lepszy pomysł: skontaktuję się z mediami i poinformuję dziennikarzy, że wymazałeś pamięć swojej córce. Opowiem, jaki z ciebie potwór.

– Nie radzę. Jeśli to zrobisz – powiedział, wskazując komórkę – nigdy nie dowiesz się prawdy.

– Już ją znam. Twoja córka była czynnikiem inicjującym epidemię, dlatego usunąłeś jej pamięć. Sprawileś, że popadła w szaleństwo. Planowałeś powtórzyć to ostatniej nocy, ale nie zdążyłeś.

Dostrzegłam, że jego nos nagle lekko się zaczerwienił. Był to najlepszy znak, że poruszyłam czułą strunę. Tak, również w tym człowieku umiałam czytać jak w otwartej księdze. Miałam przed sobą pogrążonego w żałobie ojca, który obarczał mnie winą za śmierć córki, bo nie starczało mu odwagi, by wziąć ją na siebie.

– Chcesz zwalić winę na kogoś innego – ciągnęłam. – Ale na mnie nie możesz: kiedy dowiedziałam się, co się dzieje, było już za późno.

Arthur wychylił się w przód na fotelu. Spoglądał na mnie wściekłym, dzikim wzrokiem. Nie wypuszczałam z ręki komórki, nie rezygnując z pomysłu skontaktowania się z policją.

– Jesteś w błędzie, jeśli uważasz, że to nie twoja wina. Ani ty, ani Deacon Hatcher nie byliście wobec mnie szczerzy. Ukrywaliście przede mną prawdę. Manipulowanie pamięcią wywołuje pewne skutki uboczne. Gdybym został poinformowany...

– Wówczas powstrzymałbyś się przed eksperymentami na własnej córce? – odpowiedziałam. Jakoś nie mogłam zdobyć się na współczucie wobec tego człowieka. A w każdym razie nie teraz, gdy próbował mnie zastraszyć.

Obserwowałam, jak rzędzie mu mina. Pewnie przekonywał sam siebie, że z nas dwojga to ja jestem chora. Wiedziałam jednak, że ten mężczyzna stanowi zagrożenie, i nie chciałam spędzać z nim ani chwili dłużej. Postanowiłam, że zaryzykuję i wezwę policję. Spojrzałam na komórkę i wybrałam na klawiaturze numer alarmowy.

Arthur momentalnie wstał i wygładził nogawki spodni w kolorze khaki.

– Quinlan, dość żartów – stwierdził niecierpliwym głosem. – Rozłącz się, a wtedy będziemy mogli podyskutować.

– Jesteś psychopatą – odparłam, a mój palec zawisł nad przyciskiem „Zadzwoń”. – Nie mam o czym z tobą rozmawiać.

– Może zaczniemy od tego – powiedział spokojnie – że nie pierwszy raz odbywamy tę rozmowę.

– Wiem o tym – przyznałam przez zaciśnięte zęby. – I co, teraz mi powiesz, że Marie nadal dla ciebie pracuje, tak? O tym też wiem. Przykro mi, ale nie jesteś aż tak zajebiście sprytny.

– Muszę przyznać, że całkiem nieźle to znosisz – odezwał się, mrużąc oczy. – Lepiej niż ostatnim razem.

No dobrze, tym ostatnim zdaniem załaził mi nieco za skórę. Myśl, że widział mnie przerażoną i zapłakaną, a potem zrobił mi coś, przez co nie pamiętam z tego ani chwili, była oczywiście przerażająca. Poczulałam się bezbronna.

– Śmiało, opowiedz mi o tym – powiedziała wyzywająco, odsuwając telefon od ucha i odkładając go na kolana. – Zdradź mi wszystkie sekrety, które przede mną ukrywałeś. Wyjaśnij, po co tak naprawdę tu jesteśmy. Czego jeszcze ode mnie chcesz?

Arthur, wyraźnie zadowolony z siebie, wrócił na fotel i oparł łokcie o blat biurka.

– Kiedy cię odnalazłem, byłeś małym dzieckiem pałętającym się po szpitalnych korytarzach.

Zupełnie nie byłam na to przygotowana – a więc Arthur Pritchard zamierzał powiedzieć mi prawdę. Choć straciłam już wcześniej nadzieję, że ją poznam, teraz znów odżył we mnie jej głód.

– W jakim szpitalu?

– Szpitalu świętego Józefa w Portland – wyjaśnił. – Błąkałaś się zaniedbana po korytarzach. Twoja matka zmarła kilka dni wcześniej, jednak z początku nikt się tobą nie zajął. Twój ojciec was porzucił; nie mam pojęcia, kim był. Na twoim akcie urodzenia nie ma o nim wzmianki. Tak naprawdę nigdy zatem nie miałaś ojca.

Ta uwaga mnie zabolęła, jednak przełknęłam tylko ślinę, pozwalając mu kontynuować opowieść.

– Prawie do nikogo się nie odzywałaś. Byłaś bardzo wycofanym, cichym dzieckiem. Ja jednak od razu zwróciłem na ciebie uwagę. Przyklęknąłem i zacząłem z tobą rozmawiać; było to przy drzwiach do sali, w której przed śmiercią leżała twoja matka. Ciągłe tam zaglądałaś, licząc, że mama w końcu wróci. Oczywiście nie miało to sensu, ponieważ była martwa.

Poczułam ukłucie w sercu. Wiedziałam, że Pritchard mówi prawdę. Nadal tęskniłam za mamą. Zachowałam tylko jedno szczątkowe wspomnienie o niej, lecz mimo to tęsknota za tą ciemnowłosą kobietą na szpitalnym łóżku nadal była we mnie żywa.

– Porozmawialiśmy chwilę i wtedy zauważyłem coś osobliwego w twoim zachowaniu. Potrafiłaś doskonale naśladować pielęgniarki, z którymi rozmawiałaś. Mimo że byłaś jeszcze dzieckiem, umiałaś dostosować swoją osobowość do sytuacji, w jakiej się znalazłaś. Momentalnie zrozumiałem, że mam przed sobą materiał na znakomitego sobowtóra.

Zrobił rozmarzoną minę, jakby to wspomnienie wprowadziło go w nostalgiczny nastrój. Być może dla niego faktycznie miało ono swój czar, dla mnie jednak wszystko to brzmiało raczej jak opis porwania dziecka.

– Rozpaczałaś po stracie matki. Nie przestawałaś za nią płakać. A ja się martwiłem, ponieważ wiedziałem, że tęsknota i rozpacz mogą znacznie ograniczyć twój potencjał.

– Ty draniu – rzekłam zszokowana oziębłością tego człowieka. Po policzkach ciekły mi łzy. Arthur niewiele robił sobie z mojego oburzenia.

– Pracowałem już wówczas dla wydziału żałoby. Poszukiwałem skuteczniejszych procedur terapeutycznych i właśnie nadarzała się sposobność wypróbowania czegoś nowego. Nie wymagało to jakichś szczególnych zabiegów. Załatwiłem przyznanie mi praw do opieki nad tobą, tak bym mógł roztoczyć nad tobą opiekę medyczną. Następnie zabrałem cię do mnie do domu. Moja żona zmarła, a nasza córka potrzebowała przyjaciółki. Świetnie się nadawałaś do tej roli.

– Jesteś nienormalny – szepnęłam zdjęta przerażeniem.

A więc Arthur sprowadził mnie do swojego domu i poznał z Virginią. Nic dziwnego, że kiedy ją ostatnio zobaczyłam, miałam dziwne wrażenie, że spotkałyśmy się już wcześniej. Jej ojciec skradł nam obydwu naszą wspólną przeszłość. Niewykluczone, że zachorował psychicznie dopiero po śmierci żony, ale równie dobrze mógł zawsze być obłąkany.

– Oczywiście w okresie gdy byłaś pod moją opieką – ciągnął – zacząłem usuwać twoją tożsamość. Metodą prób i błędów po jakimś czasie zdołałem kompletnie ją wyzerować. Kiedy zjawiała się u mnie Marie Devoroux, od razu rozumiałem, że świetnie się nadasz do roli Quinlan McKee, ponieważ nie pamiętasz, kim jesteś.

– Byłam dzieckiem.

– Na początku pojawiło się trochę problemów, zwłaszcza w pierwszym roku miewałaś nagłe przebłyski pamięci. Nawiedzały cię oderwane fragmenty wspomnień. Niekiedy wracały do ciebie we śnie. Czasami rano zastawałem cię w pokoju Virginii. Spałyście przytulone do siebie, dzieląc rozpacz po śmierci waszych matek. Stało się jasne, że muszę was od siebie odseparować. Tylko w ten sposób mogłem prowadzić na tobie badania jako na odizolowanym przypadku. Tom McKee zabrał cię do siebie, jednak przebłyski pamięci nie ustąpiły. Zdarzały się dni, gdy twój nowy ojciec dzwonił przestraszony i przywoził cię do mnie. Kiedy zjawiałaś się u mnie, kopałaś i krzyczałaś. A w chwili gdy opuszczałaś mój gabinet, znów byłaś grzeczną, dobrze wychowaną dziewczynką. I tak mogłoby to trwać w nieskończoność, jednak w pewnym momencie Marie i twój ojciec przestali współpracować. W tym samym czasie stan Virginii się pogorszył, a ja uznałem, że jest tylko jeden sposób, by jej pomóc: metoda, którą z powodzeniem zastosowałem w stosunku do ciebie, to znaczy manipulacja pamięcią. Jedynek szkopuł tkwił w tym, że nie znałem jej długoterminowych skutków. I właśnie dlatego przydzieliłem ci agenta, który miał doglądać twojego stanu emocjonalnego i informować mnie o ewentualnych problemach.

Akurat tę część historii, w której do gry wkraczał Deacon, świetnie znałam. Dlatego przyglądałam się teraz uważnie Arthurowi, licząc, że może z odmętów mojej pamięci wyłonią się jakieś związane z nim wspomnienia, o których nie miałam pojęcia. Kiedy mówił, mój wzrok błędził po jego ustach, studiował jego gestykulację. Właśnie po tych szczegółach najczęściej zapamiętuję ludzi. I w końcu poczułam, jak na powierzchnię świadomości wyłania mi się jakieś mgliste wspomnienie. A właściwie cała ich seria. We wszystkich widziałam gabinet o białych ścianach. Miałam lat szesnaście, jedenaście, dziewięć...

I nagle ze zgrozą uświadomiłam sobie, że za każdym razem człowiek ten stwarzał mnie na nowo. Różnica między prawdziwą a fałszywą mną całkiem się zatarła. Byłam oszustem zamieszkującym w mojej własnej skórze. Arthur nie podrobił tylko mojej tożsamości. Byłam raz za razem wymazywana i tworzona na nowo, niczym w jakiejś pokręconej wersji psychoterapii polegającej na odgrywaniu ról. Ten człowiek odebrał mi moją wewnętrzną prawdę i wypełnił mnie kłamstwami.

– A teraz planujesz znowu mi to zrobić? – spytałam przez zaciśnięte gardło. – Mimo że Virginia już nie żyje?

– Obawiam się, że nie mam wyboru. Potrzebujemy lekarstwa. Musimy wiedzieć, jak daleko możemy się posunąć w tego rodzaju terapii. W przypadku Virginii poszliśmy za daleko. Dopiero teraz to rozumiem. Ona też próbowała się temu przeciwstawić. A ja chciałem jej po prostu pomóc.

Nagle umilkł i znieruchomiał. Przypominał w tej chwili nie żywego człowieka, tylko martwy posąg.

Dopiero po chwili jego spojrzanie zogniskowało się na mnie.

– Była dla mnie wszystkim. A teraz, gdy jej zabrakło, pozostał mi tylko Program – oświadczył, po czym podniósł się z fotela. – Możemy dojść do porozumienia, musisz tylko dobrowolnie zgodzić się na współpracę.

Nic z tego. Chwyciłam komórkę i rzuciłam nią z całej siły w jego kierunku. Kiedy aparat uderzył go w czoło, rozległ się głuchy stukot, a Pritchard jęknął z bólu. Poderwałam się z krzesła, by rzucić się do ucieczki. W tej samej sekundzie otworzyły się drzwi i do sali wpadło dwóch mężczyzn.

Arthur stał pochylony i przyglądał mi się lodowatym wzrokiem, jakby chciał przejrzeć mnie na wylot. Z rozcięcia na jego czole sączyła się krew, a tuż nad nim z wolna ciemniał siniak. Kiedy go obserwowałam, zastanawiałam się, czy nienawidzi mnie tak samo jak ja jego. Koniec końców to ja, a nie Virginia, okazałam się dzieckiem, które przeżyło. Obie byłyśmy królikami doświadczalnymi tego człowieka.

Jeden z mężczyzn chwycił mnie w tali, drugi zatopił w moim ramieniu igłę. Zrozumiałam wtedy, że nie mam żadnych szans. Na ucieczkę było za późno. Świat wokół mnie zafalował. Powieki zaczęły mi ciążyć.

Powinłam była pójść na układ z Arthurem i w ten sposób uratować chociaż Deacona i Aarona. Wiedziałam jednak, że mój ojciec miał rację, kiedy mówił, że Arthur Pritchard nie jest człowiekiem, z którym można by się dogadać.

Zanim straciłam przytomność, usłyszałam, jak Arthur każe mężczyznom przenieść mnie do sali zabiegowej i przygotować. W pewnym momencie powiedział, że mają wymazać wszystko.

*Wymazać.*

Chyba nie ma na świecie straszniejszego słowa.

## Rozdział jedenasty

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłam po przebudzeniu, były oślepiająco białe ściany. Biel była tak śnieżna, że momentalnie poczułam się nieswojo. Jak to możliwe, by coś było do tego stopnia sterylne i pozbawione życia? Spróbowałam wykonać jakiś ruch i dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że nadgarstki mam przywiązane skórzanymi pasami do podłokietników drewnianego krzesła, na którym mnie posadzono.

Czując narastającą panikę, toczyłam wkoło spojrzeniem, analizując możliwości ucieczki. Nic nie przykuło mojej uwagi, jednak być może po prostu nie dość dokładnie się rozejrzałam. Lada chwila moja tożsamość miała zostać wymazana. Wiedziałam, że ostatnią rzeczą, na jaką mogę sobie teraz pozwolić, jest irracjonalne zachowanie. Musiałam zachować jasność umysłu i wyłączyć emocje. Tylko w ten sposób mogłam przetrwać.

W pewnym momencie drzwi się otworzyły i do sali weszła sprężystym krokiem Marie Devoroux. Na jej widok zachciało mi się płakać. Kobieta miała zaczesane gładko do tyłu włosy, ubrana była w biały lekarski fartuch. Mimo to nadal rozpoznawałam w niej moją byłą doradczynię.

– Marie, proszę, pomóż nam – błagałam, szarpiąc więżące mnie skórzane pasy. – Arthur to szaleniec. Musisz pomóc nam się stąd wydostać.

Przez chwilę przypatrywała mi się uważnie, w końcu usiadła na taborecie na kółkach. W ręce trzymała notatnik.

– A dokąd chciałybyś uciec, Quinlan – spytała spokojnym głosem. – Dokąd miałybyśmy pojechać? Z wrażenia otwarłam usta, próbując gorączkowo ocenić sytuację, w jakiej się znalazłam.

– Możemy... – Nie dokończyłam. Twarz wykrzywił mi nagle grymas, kiedy w mojej czaszce na wysokości oczu eksplodował ból. Miałam wrażenie, jakby na powierzchni świadomości powstała u mnie jakaś rysa. A w następnej sekundzie poczułam, jak w piersi rozlewa mi się dziwne ciepło. Chwilę potem moje mięśnie się rozluźniły. Zamrugałam szybko, próbując stłumić ból, i posłałam Marie oskarżycielskie spojrzenie.

– To taka ich herbatka prawdy – wyjaśniła. – Tyle że ma mocniejsze działanie niż ta moja. Nadal opracowują optymalny skład.

– A ty dalej pozwalasz im przeprowadzać na mnie eksperymenty?

Marie zacisnęła zęby, ale nie próbowała się spierać. Zachodziłam w głowę, czy widok mnie w takim stanie w ogóle sprawia jej przykrość. Ciekawe, ile już razy na to patrzyła.

– No dobrze – odezwała się po chwili. – Quinlan, jak myślisz, gdzie jest dom?

– Tam, gdzie Deacon – odparłam. – A wyście mi go odebrali.

– A nie z twoim tatą w Corvallis?

– Tom nie jest moim ojcem – przypomniałam.

– Ale przecież i tak go kochasz, prawda? – zauważyła.

Jej pytanie mnie zaskoczyło. Zwłaszcza że jeszcze niedawno wydawało się, że Marie sądzi, że również jemu grozi niebezpieczeństwo.

– Owszem, kocham.

Marie skinęła głową i zapisała coś w aktach. Nie wiedziałam, czego tak naprawdę ode mnie chce ani w jaki sposób zamierzają wymazać mi pamięć. Pozostawało mi wierzyć, że kobieta, która pomogła mi wychować, jest teraz po mojej stronie.

– Nie pozwól im mnie skrzywdzić – szepnęłam, licząc na to, że przemówię do tej części Marie, która nadal czuje się za mnie odpowiedzialna. – Nie musisz się godzić na to wszystko.

– A co byś powiedziała, gdyby się okazało, że nie miałam wyboru? Miałoby to dla ciebie w ogóle jakieś znaczenie?

– Nie – odparłam szczerze.

Marie zacisnęła usta i przyjrzała mi się z podziwem.

– Tak naprawdę to dokonałam już wyboru i zrobiłam to całkowicie świadomie – powiedziała po chwili łagodnym, kojącym tonem. – Przecież podrzuciłam ci teczkę z aktami Quinlan McKee. Odesłałam Aarona z miasta. Sprawa z Deaconem też była załatwiona, a przynajmniej tak mi się wydawało. Tak, wiedziałam, do czego to zmierza. Od wielu miesięcy byłam świadkiem, jak Arthur Pritchard eksperymentuje na swojej córce. Wiedziałam, że dopóki będzie się nią zajmował, stan Virginii się nie poprawi. Arthur tracił kontakt z rzeczywistością, badania pochłaniały go coraz bardziej. Wiedziałam, że ty jesteś następna w kolejce. Dlatego postanowiłam, że muszę cię ochronić przed wydziałem żałoby. Tom oczywiście był przerażony. Podejrzewam, że nigdy mi nie wybaczy tego, na jak wielkie niebezpieczeństwo cię naraziłam.

– Dlaczego po prostu nam nie powiedziałaś, co się dzieje? – spytałam. Wszystko wskazywało na to, że to właśnie za sprawą metod stosowanych przez Marie znaleźliśmy się w tak opłakanej sytuacji.

– Sądziłam, że przejrawszy naszą kłamliwą naturę, będziesz chciała trzymać się z daleka od całej tej sprawy. Nie doceniłam tego, jak mocno się przywiązujesz. Nie doceniłam twojej odwagi. A kiedy odezwałaś się do mnie i poprosiłaś o pomoc, wiedziałam, że jest już za późno. Nie chce mi się wierzyć, że przypadkowo odnalazłaś mój numer. Zapewne Arthur podrzucił ci go celowo. W ten sposób chciał dopilnować, że obie wpadniemy w pułapkę.

Faktycznie odnalezienie namiarów na Marie zajęło mi zaledwie godzinę. Cóż za kretynka ze mnie, że nie zaczęłam czegoś podejrzewać.

– Mogłaś przecież spróbować jeszcze raz ucieczki – zasugerowałam.

Marie wolno potrząsnęła głową, jakbym ciągle czegoś nie rozumiała.

– Nie mogłam, a Arthur doskonale o tym wiedział. Fakt, że zadzwoniłaś, był jego wiadomością dla mnie: wiedziałam, że już cię odnalazł. W tamtym momencie miał cię w garści, choć ty nie zdawałaś sobie

jeszcze z tego sprawy. I wtedy stanęłam przed kolejnym wyborem: mogłam dokonać zamiany. – Po tych słowach Marie zamknęła oczy i przełknęła głośno ślinę. – zaproponowałam Arthurowi, że jeśli zwróci wolność tobie, Aaronowi i Deaconowi, ja podeślę mu w zamian moje najlepsze sobowtóry: Tabithę, Shepa i... Reeda. W pierwszej chwili przystał na taki układ.

– Zabiłaś go... – jęknęłam, a do oczu napłynęły mi łzy. – Wmieszałaś w to Reeda, a on przypłacił to życiem. Marie, kurwa mać, przecież ty go zamordowałaś. Sądziłam, że zrobił to Arthur. Winiłam też samą siebie. Ale prawda jest inna: Reed zginął przez ciebie.

Kobieta odwróciła się i ukradkiem otarła łzy. Ja pozwoliłam swoim płynąć. Wiedziałam, że jeszcze długo będę rozpaczać z powodu Reeda. Chyba że wymażą mi również wspomnienia o nim i odbiorą mi go na zawsze.

– Reed miał zostać agentem – odezwała się po chwili Marie zachrypniętym głosem. – Sądziłam, że nic mu nie grozi. Rzeczywiście, nie chroniłam go tak, jak powinnam była, przyznaję. I do grobowej deski będę żyła z tą świadomością. To moje brzemię. Ale to tylko jedna z moich licznych win.

Jej twarz spochmurniała, kiedy to mówiła. Od razu zrozumiałam, że Marie ma więcej na sumieniu.

– Co jeszcze zrobiłaś?

– Twój ojciec miał rację, kiedy poradził ci, żebyś nie wchodziła w żadne układy z Arthurem. Ten człowiek zmienia zasady gry według własnego widzimisię. Po tym, jak znikła Tabitha, zażądał wprowadzenia drobnych korekt w naszym porozumieniu. Zdołał już przeciągnąć na swoją stronę Shepa. Postanowił, że następny będzie Aaron. I wtedy kazał mi dokonać ostatniego wyboru. Albo ty, albo Deacon.

– Nie wierzę, że to zrobiłaś – powiedziałam, nachylając się do niej. – Błagam, nie mów, że wydałaś Deacona Arthurowi.

– Quinn, postanowiłam cię chronić. Deacon, gdyby wiedział, o co toczy się gra, zgłosiłby się do Arthura z własnej woli. Dobrze o tym wiesz. Kiedy zjawił się u mnie, czekali już na niego agenci. Nie znam więcej szczegółów. Szybko zaczęły mnie męczyć wyrzuty sumienia. Poprosiłam cię wtedy o pomoc w odszukaniu go. W końcu ustaliłam, że Arthur kazał przewieźć Deacona do placówki, w której się obecnie znajdujemy. Metodycznie przeszukiwał jego pamięć, wybierając te wspomnienia, które nadają się do wymazania. Kiedy będzie już po wszystkim, Deacon nie będzie wiedział, kim jesteś.

– W takim razie powstrzymaj Arthura! – warknęłam.

– Jest jeszcze jeden układ, który mogę z nim zawrzeć – powiedziała, uśmiechając się nieznacznie. Po chwili wstała i podeszła do biurka. Przesunęła metalowy przycisk do papieru w kształcie trupiej czaszki i nacisnęła przycisk interkomu.

– Pacjentka w sali numer sto piętnaście jest przygotowana do zabiegu – powiedziała.

– Tylko nie to – zawołałam, szarpiąc skórzane pasy, którymi mnie unieruchomiono. – Marie, nie pozwól im mnie wymazać. Błagam, nie rób tego!

Kiedy otworzyły się drzwi, byłam w strasznym stanie: łkając, lgnęłam w myślach do wszystkich



wspomnień, jakie tylko mogłam przywołać. Przez głowę przelatywała mi niezliczona ilość przeżyć pamięci – zarówno tych ważnych, jak i tych zupełnie banalnych, jakby wszystkie one były tak samo istotne. I faktycznie były, ponieważ dopiero połączone razem wypełniały moje serce.

Widziałam, jak Deacon całuje mnie pierwszy raz. Jak Aaron i Myra kłócą się o jakąś grę komputerową. Zobaczyłam też mojego ojca, jak przytrzymując siodełko, uczy mnie jeździć na rowerze. W jednym ze wspomnień Marie zabrała mnie do sklepu z bielizną, żebym wybrała sobie pierwszy stanik. W innym Reed wyznawał mi, że chce być dobrym człowiekiem.

– Błagam, nie odbierajcie mi moich wspomnień – powtarzałam szeptem.

Kiedy poczułam, jak palce agenta zaciskają się na moim ramieniu, zamknęłam oczy. Nagle zrozumiałam, że wszystkie te wspomnienia razem wzięte to właśnie ja. Jeśli je usuną, również ja przestanę istnieć.

Wtem rozległ się stłumiony łomot, a chwilę później poczułam, że coś mokrego ochlapało mi twarz. Zaskoczona otworzyłam oczy – mężczyzna stojący obok wykrzywił twarz w strasznym grymasie. W następnej sekundzie jego gałki oczne uciekły do wewnątrz i osunął się na posadzkę. Spod jego ciała wypływała kałuża krwi.

Jęknęłam i potoczyłam wkoło spojrzeniem. Przy drzwiach dojrzałam Marie – w uniesionej do ciosu ręce wciąż ścisnęła zakrwawiony przycisk do papieru. Krew ściekała po jej nadgarstku i strużką płynęła pod rękaw białego fartucha. Jego materiał momentalnie zabarwił się na czerwono, tworząc fantazyjną plamę.

– O Boże – jęknęłam, próbując złapać oddech.

Dopiero wtedy Marie opuściła rękę, a metalowy przycisk upadł na podłogę. Był tak ciężki, że pozostawił ślad w linoleum. Poturlał się kawałek i zatrzymał obok ciała nieprzytomnego mężczyzny.

– Co robisz? – spytałam.

– Podjęłam decyzję: muszę cię ocalić – odparła Marie, odpinając krępujące mnie pasy. Kiedy stała tak blisko, przypatrywałam się jej twarzy i wdychałam zapach jej perfum. Był niczym namiastka domu w tym piekle, w którym się teraz znajdowałyśmy.

– Aaron jest... – zaczęłam, ale szybko mi przerwała.

– Aaron czeka w samochodzie. Arthur może zrobić ze mną, co zechce, ale nie pozwolę mu skrzywdzić moich dzieci.

Kiedy Marie odczepiła drugi pas, błyskawicznie poderwałam się z krzesła. Kobieta przystanąła na chwilę i przyjrzała mi się uważnie. Z jej twarzy wyzierały smutek i żal, ale widziałam w niej przede wszystkim miłość.

Podniosła notatnik z blatu biurka, wyrwała pierwszą stronę i podała mi ją. Zdezorientowana zerknęłam na kartkę – o dziwo, przedstawiała plan budynku. Sala sto trzydzieści cztery została zaznaczona kółkiem, a obok niego nabazgrano kod otwierający drzwi.

– Deacon? – spytałam, czując, jak adrenalina zaczyna krążyć w moich żyłach.

Marie skinęła głową.

– Pospiesz się – poleciła mi szeptem.

Miałam już wybiec z sali, jednak w ostatnim momencie przystanąłam i zerknęłam na ciało leżące u moich stóp. Być może Marie zabiła tego faceta i będzie musiała za to odpowiedzieć. Co jej zrobią?

– Marie, musisz uciekać – powiedziałam. – Jeśli...

– Nie mogę jechać z wami – weszła mi w słowo, a w jej oczach dostrzegłam wzruszenie. – Razem z Evelyn Valentine... szukamy alternatywnej metody leczenia. Chcemy nie dopuścić do wprowadzenia Programu. Arthur nie myśli logicznie, i to już od dłuższego czasu. Teraz, kiedy nie ma Virginii, sytuacja może się jeszcze pogorszyć.

Marie cofnęła się o krok i dopiero wtedy zrozumiałam, że toczy ze sobą wewnętrzną walkę, że serce podpowiada jej, by uciekała razem ze mną.

– Leć – powiedziała. – Deacon jest w laboratorium. Pewnie poddają go ostatniej fazie terapii. Zabierz go stamtąd i uciekajcie! I przekaz mu, proszę, że przepraszam...

*Ostatnia faza terapii...* Podbiegłam do drzwi i jeszcze raz, na sekundę, obejrzałam się na Marie. Wystarczyło to, by każdy szczegół jej twarzy wrył mi się głęboko w pamięć. Wiedziałam już, że wspomnienia są tym, z czego jesteśmy stworzeni.

– Kocham cię, Marie – powiedziałam, a ona położyła dłoń na sercu, jakby moje słowa trafiły dokładnie tam. Odwróciłam się i jak pocisk wypadłam z sali, kierując się do laboratorium.

## Rozdział dwunasty

Oszołomienie po wstrzykniętym mi środkiem nie minęło jeszcze do końca, starałam się jednak podążać według planu budynku. W pewnym momencie straciłam poczucie kierunku. Zawróciłam. Raz czy dwa musiałam przystanąć – pocierałam wtedy delikatnie skronie, próbując się skoncentrować. *Jeszcze jeden, ostatni wysiłek*, powtarzałam sobie w myśli.

Po drodze niemal wpadłam na pielęgniarkę wychodzącą z jakiegoś pomieszczenia, zdążyłam się jednak błyskawicznie cofnąć. Po jakimś czasie odnalazłam salę numer sto trzydzieści cztery. Wystukałam na klawiaturze kod zapisany na kartce, po czym schowałam ją do kieszeni. Rozległ się dźwięk odblokowywanego zamka, a ja po cichu wślizgnęłam się do sali.

Pomieszczenie było bardziej przestronne niż dwie sale, które dotychczas odwiedziłam. Urządzono je jak stanowisko do oceny stanu zdrowia rannych. Miało kształt długiego prostokąta i podzielone było parawanami na kilka części. W pewnym momencie z odległego kąta dobiegł mnie szmer rozmowy. Po chwili za białą zasłoną dostrzegłam dwie ludzkie sylwetki.

Przykucnęłam za szafką, po czym zakradłam się bliżej, żeby sprawdzić, kto to. Z przerażeniem odkryłam, że jednym z rozmówców jest Arthur Pritchard. Obok niego stała niska kobieta w starszym wieku, ubrana w lekarski fartuch. Miała ciemne włosy, a na nosie okulary. Domyśliłam się, że to pewnie Evelyn Valentine.

Para stała nad łóżkiem, na którym leżał jakiś nieznany mi dzieciak. Chłopak pogrążony był we śnie, a Arthur i Evelyn przyglądali mu się i omawiali jego stan. Wykorzystując, że są nim zajęci, przekradłam się do sąsiedniego oddzielonego zasłoną sektora. Odsunęłam nieco materiał i zajrzałam ostrożnie.

I znów uśmiechnęło się do mnie szczęście – na łóżku, przypięty pasami, leżał Deacon. Kiedy stanęłam nad nim, otworzył szeroko oczy, a następnie zaczął panicznie rozglądać się wkoło, nie wiedząc, czy nic nam nie grozi. Na koniec ułożył usta w taki sposób, jakby chciał powiedzieć bezgłośnie *cii...*

Dopytywanie go, czy mnie pamięta, na szczęście okazało się zbędne – wystarczyło spojrzeć na jego twarz. Na mój widok jego piwne oczy zaszklily się od łez. Widziałam jednak, że poza tym jest w opłakanym stanie. Na policzku miał krwawe ślady, które wyglądały jak pamiątka po czyichś paznokciach. Jego lewe oko było podbite. Widać było, że nie znalazł się tu z własnej woli. Wolałam sobie nie wyobrażać, co musiał przeżyć. Nie wiedziałam też, których wspomnień już go pozbawiono. Jedno było pewne: to Deacon. Poczułam, jak kamień spada mi z serca. Mimo wszystko zdołałam go odnaleźć – mojego ukochanego, mój dom.

Zabrałam się szybko do odpinania pasa, którym przymocowano go do łóżka, obwiązując mu tors. Przez cały czas Deacon nie odzywał się ani słowem, nie chcąc zaalarmować obsługi, ale przyglądał mi się badawczo. Nasze twarze, kiedy pochylałam się nad nim, dzieliło zaledwie kilka centymetrów. Kiedy

odpięłam wszystkie pasy, wziął mnie w ramiona. Poczułam tak wielką ulgę, że musiałam siłą woli powstrzymać łzy.

W końcu odsunęłam się i spojrzałam mu głęboko w oczy. Teraz musieliśmy się stąd wydostać.

Pomogłam Deaconowi zwlec się z łóżka. Od razu stało się jasne, że nie da rady poruszać się o własnych siłach. Musiał uwiesić się mojego ramienia. Jego szpitalna pidżama miała straszny żółty kolor; nogi miał białe. Wyjrzałam zza zasłony – droga do drzwi stała otworem. Wiedziałam, że musimy zaryzykować i puścić się biegiem.

Chwyciliśmy się za ręce, splatając palce. Skoczyłam do przodu, ciągnąc Deacona za sobą. Gnaliśmy w stronę drzwi, a kiedy dzielił nas od nich niespełna metr, w okienku za nimi ukazała się twarz agenta. W tej samej chwili za nami rozległ się podniesiony głos Arthura:

– Quinlan, naprawdę myślisz, że nie śledzimy na bieżąco, co dzieje się w salach ośrodka? – Kiedy się obejrzałam, zza jednej z zasłon wyłonił się doktor. – Muszę przyznać, że twój upór budzi mój podziw. Mało brakowało, a zdołałabyś wyrwać się na wolność.

– Nie masz prawa nas zatrzymywać – odparowałam, obrzucając szybkim spojrzeniem jego towarzyszkę. – Nie zostaniemy tu. Nadal będziemy ci się sprzeciwiać. I co z tym zrobisz, Arthurze? Pozabijasz nas?

– Och, to ostatnia rzecz, na jaką mam ochotę – stwierdził takim tonem, jakbym powiedziała coś niemądrego. – Za wszelką cenę staram się unikać śmierci. Naprawdę tego nie dostrzegasz? Przecież pragnę, żebyście oboje żyli. Miałaś rację: byłem zły. Faktycznie obwinałem cię, nadal cię obwiniam, za śmierć Virginii. Jesteś jednak żywym dowodem na to, że manipulacja pamięci jest skuteczną metodą. Popatrz tylko na siebie! Popatrz, ile w tobie nadal miłości! Dowiodłaś, jak świetna jest moja metoda. Jesteś moim lekarstwem na tę epidemię.

– Nie chcę być twoim lekarstwem – odparłam. – Nie masz nawet pojęcia, co zrobiłeś. Ilu osobom zniszczyłeś życie. I nie rozumiesz, że jeśli będziesz dalej postępował w ten sposób, ucierpią kolejni ludzie.

Arthur potrząsnął gwałtownie głową, zbywając moje tłumaczenia.

– Czy umiałabyś się biernie przyglądać, jak twoi najbliżsi umierają? Czy nie spróbowałabyś temu zaradzić, gdybyś miała taką możliwość? Naprawdę nie kiwnęłabyś nawet palcem?

Deacon spojrzał gdzieś w bok. Najwidoczniej przemowa doktora nie zrobiła na nim żadnego wrażenia. Ja jednak zaczynałam rozumieć jego punkt widzenia. Przecież, gdybym mogła, zrobiłabym wszystko, żeby ocalić Reeda. Tyle że dla niego nie było już ratunku.

Postanowiłam jednak, że zaufam Marie. Przecież razem z Evelyn pracowały ponoć nad alternatywną metodą leczenia. Jeśli im się powiedzie, zdołamy poradzić sobie z epidemią. Dlatego nie miałam zamiaru pomagać Arthurowi niszczyć życie innym. Nawet jeśli powodowały nim szlachetne pobudki i chęć niesienia pomocy.

– Arthurze, to już koniec – oznajmiłam. – Nigdy więcej nie będę manipulować ludzkimi uczuciami.

– Prawdziwie silne jednostki muszą walczyć o wyższe wartości. Nawet za cenę przegranej tych słabszych. Wiem, że to niezbyt popularny pogląd. Ale moja córka nie żyje. Chętnie poświęciłbym każdego z was, byle tylko przywrócić ją do życia. Dlatego gotów jestem usunąć kilka wspomnień naszych dzieci, jeśli to pomoże nam je ocalić. Uwierz mi, że to mimo wszystko mniej bolesne niż oglądanie, jak umierają.

Poczułam, że Deacon chwyta mnie za rękę. Jego dotyk tylko wzmocnił moją determinację.

– Chodźmy – powiedział drżącym, lecz zdecydowanym głosem.

Arthur nie miał innego wyjścia, jak tylko pozwolić nam odejść. Aaron czekał już na nas na zewnątrz. Lada moment mogła zjawić się policja. Upłynęłoby trochę czasu, zanim Arthur zdołałby wyjaśnić stróżom prawa, czym się tu zajmuje. A my do tej chwili bylibyśmy już daleko stąd. Kiedy odwróciłam się plecami do Arthura i jego laboratorium, zawołał za mną łamiącym się głosem:

– Jesteś tchórzem.

– Mylisz się – odrzekłam, oglądając się na niego. – Odejście stąd nie jest dowodem tchórzostwa. Wybieram życie. Odchodzę, żeby wieść życie, które ty próbowałeś mi skraść. Nie mam zamiaru ci pomagać. Nie stanę się twoim sprzymierzeńcem w prowadzonej przez ciebie walce. Uwierz w to, co mówię: jesteś zaślepiony przez swoją żalobę. Może wzrastała w tobie od momentu śmierci twojej żony, tego nie wiem. Wiem natomiast, że doprowadza cię do szaleństwa. Powstrzymaj się, zanim zrobisz coś jeszcze gorszego.

– Ona ma rację, Arthurze – powiedziała nagle Evelyn Valentine. Podeszła do doktora i położyła mu dłoń na ramieniu. Kiedy odezwała się po chwili, mówiła szeptem: – Virginia nie żyje. Nie możemy już jej pomóc.

Arthur zachwiał się pod ciężarem jej słów. Sprawiał wrażenie człowieka, którego nagle opuściły wszystkie siły. Po raz pierwszy wzbudził we mnie współczucie. Obserwując Arthura Pritcharda i Evelyn Valentine, pomyślałam, że być może przypominają mojego ojca i Marie po śmierci prawdziwej Quinlan. Tak właśnie ludzie oplakują stratę, w taki sposób razem rozpaczają.

I to wystarczyło, by zrobiło mi się żal lekarza, który zrujnował mi życie.

Virginia umarła wczoraj i choć jej ojciec zapewne usiłował zrationalizować sobie jakoś jej stratę, widziałam, że w tej chwili zupełnie się rozkleił.

– Pozwól im odejść – szepnęła Evelyn. – Już ich nie potrzebujemy. Musimy zacząć od zera. Znaleźć metodę leczenia, która nie będzie ich ranić. Nie możemy być aż tak okrutni, Arthurze.

W postawie doktora zaszła zmiana. Widziałam, jak z wolna zaczynają docierać do niego emocje, które dotychczas blokował. Arthur, niczym rasowy sobowtór, nauczył się odcinać od prawdziwych uczuć. Teraz jednak wszystkie one powracały. Jego twarz wykrzywił grymas bólu. Arthur stał się nagle zdruzgotanym człowiekiem. Kiedy wstrząsnęły nim pierwsze spazmy płaczu, spojrzał na Evelyn i uczeplił się krawędzi jej kitla.

– Nie możemy pozwolić, by umarło więcej osób – powiedział. – Dlatego musimy dalej prowadzić

prace nad Programem. Wydział żałoby nie może się dowiedzieć, co się stało z Virginią. Zniszczymy wszystkie jej akta. Nie dopuścimy, żeby informacja o tym, że to ona roznosiła wirusa epidemii, przedostała się na zewnątrz.

Evelyn przyglądała mu się ze współczuciem. Stał teraz przed nią mężczyzna inny od tego, którego знаła dotychczas.

– Zachowam to w tajemnicy ze względu na dobre imię Virginii – obiecała.

Arthur, zupełnie tracąc kontrolę nad emocjami, ukrył twarz w jej kitlu. Widziałam, jak ten silny mężczyzna w mgnieniu oka przemienia się w zrozpaczonego, zapłakanego człowieka. W pracy niezliczoną ilość razy obserwowałam takie przemiany. Nie musiałam się już go obawiać.

Evelyn gładziła delikatnie Arthura po głowie, próbując ukoić jego ból. Kiedy podniosła na mnie wzrok, w jej oczach dojrzałam coś jeszcze – przebiegły błysk kogoś, kto ma własny plan. I wtedy zrozumiałam, że ta kobieta może jeszcze wszystko naprawić. Świat będzie wolny od Programu.

Lekarka gestem wskazała mi biurko po mojej prawej ręce. Nie wiedząc, czego się spodziewać, podeszłam do niego. Na blacie leżała jakaś teczka. Spojrzałam pytająco na Evelyn.

– Jest twoja – wyjaśniła. – Od teraz należy do ciebie.

I nagle, na ułamek sekundy, cały świat zamarł. Od razu rozpoznałam tę teczkę – używaliśmy takich, przygotowując się do zleceń. Taką samą prowadzono dla Quinlan McKee. Ta tutaj zawierała moją dokumentację.

– Mogłaś ocalić życie wielu ludziom – odezwał się Arthur, ocierając łzy. – Miałaś szansę naprawdę im pomóc.

– Na początek pomogę nam – odrzekłam. – I całkiem mi się to podoba.

– Idźcie już – popędziła mnie Evelyn, kładąc dłoń na ramieniu doktora.

Ostatni raz spojrzałam na Arthura Pritcharda. W jego oczach dostrzegłam nieme oskarżenie, ciskały we mnie przekleństwa, wiedziałam jednak, że prędzej czy później jego złość minie. Najpierw musi zmierzyć się ze śmiercią swojej córki. To on potrzebował pomocy.

Podziękowałam Evelyn, po czym oboje z Deaconem wyszliśmy z sali. Blokujący przejście agent przygotował się już, by nas powstrzymać, ale Evelyn krzyknęła, żeby nas przepuścił. Niechętnie usunął się na bok, a wtedy ruszyliśmy biegiem do drzwi na końcu korytarza.

Kiedy wydostaliśmy się z budynku, oślepiło nas jaskrawe słońce. Musieliśmy osłonić oczy, żeby cokolwiek zobaczyć.

– Już nie pada – zauważył nieobecny głosem Deacon.

Spojrzeliliśmy po sobie. Doniosłość tej chwili zapierała nam dech w piersiach. Mieliśmy tyle spraw do omówienia.

– Rychło w czas – zawołał Aaron siedzący za kierownicą naszego samochodu.

Uśmiechnął się i pomachał do nas. Po chwili zdyszani zapakowaliśmy się z Deaconem na tylne siedzenie. Aaron nie odezwał się ani słowem, ale pognął przed siebie z taką prędkością, że nawet Reed

byłby z niego dumny. Ja i Deacon siedzieliśmy blisko siebie, nasze ramiona się stykały, a ja spoglądałam na teczkę, którą położyłam na kolanach.

– To cała ja – zwróciłam się w pewnym momencie do mojego chłopaka, podnosząc papiery, jakby była to nagroda pocieszenia zdobyta po przegrzonym meczu.

– Nie – odparł Deacon, zaciskając usta. – To tylko twoje imię.

I to był ten wyjątkowy moment, kiedy moje myśli przestały wędrować ku mojemu ojcu i mojej przeszłości. Nie musiałam też wyobrażać sobie więcej mojej prawdziwej rodziny. Przestałam mozolić się nad sklejaniami wszystkich rozsypanych fragmentów w jedną całość. Zamiast tego... pomyślałam o Reedzie. Przypomniałam sobie jego słowa, kiedy mówił, że mnie zna. I nagle uświadomiłam sobie, że faktycznie tak było. Reed był miły i odważny. Świat bez niego stał się gorszym miejscem. Ja sama byłam też gorszym człowiekiem. Zachowałam jednak jego wspomnienie. Reed mnie znał. A teraz ja sama też siebie poznałam.

Koniec końców jakie to miało znaczenie, jak mam na imię? Albo skąd pochodzę? Przeżyłam wiele różnych żyć, odegrałam niezliczone role, ale wreszcie odkryłam, kim naprawdę jestem. Odnalazłam siebie.

Byłam czymś więcej niż tylko imieniem wypisanym na kartce. Byłam czymś więcej niż Arthur, mój ojciec czy nawet Marie sądzili, że się stanę.

Dlatego, nie zaglądając do środka, odłożyłam teczkę na fotel. Może któregoś dnia przeczytam te dokumenty. A może nie. Nie miało to już znaczenia.

Byłam przecież prawdziwą sobą.

Deacon posłał mi zdziwione spojrzenie, musiał jednak dojrzeć w mojej twarzy coś, co podpowiedziało mu, że to nie czas na dyskusje. Wziął mnie za rękę i pocałował moje palce. Czekają nas jeszcze trudne rozmowy – o śmierci Reeda i Virginii. Musieliśmy też ustalić, które wspomnienia Arthur usunął z umysłu Deacona za pomocą swojego Programu. Deacon zaś będzie musiał wyjaśnić Aaronowi, jak to się stało, że został agentem, o ile oczywiście cokolwiek z tego zapamiętał. Na razie jednak nie musieliśmy się tym przejmować i mknęliśmy po szosie w promieniach słońca na spotkanie ze światem, który tracił nadzieję na ocalenie.

– Nie możemy im pomóc, prawda? – spytałam Aarona i Deacona. – Nie mamy jak pomóc ludziom, którzy zachorowali?

Aaron spojrzał za mnie w lusterku, ale nic nie powiedział. Deacon namyślił się głęboko, zanim się odezwał.

– Może pora, żebyśmy w końcu spróbowali skupić się na swoim życiu – rzekł. – Tak jak powiedziałaś, najpierw ocalmy samych siebie.

Jego słowa niosły ze sobą porażającą prawdę: tonęliśmy i żadne z nas nie miało kamizelki ratunkowej. Mogliśmy tylko uciekać i liczyć, że ocalimy samych siebie. I nie tracić nadziei, że sytuacja w końcu się poprawi.

Przecież gorzej być już nie mogło.



## Rozdział trzynasty

(rok później)

**N**a spotkanie z moim ojcem wybraliśmy przydrożny bar na obrzeżach Weed w Kalifornii. Weed to mała miejscina położona przy granicy z Oregonem. Teoretycznie moglibyśmy umówić się z ojcem, że wyjedziemy mu na spotkanie, nie pozwalało nam na to jednak przyrzeczenie, jakie sobie złożyliśmy: dopóki istniał Program, mieliśmy unikać naszego ojczystego stanu. Szanse, że doczekamy chwili, gdy Program przestanie działać, były jednak marne, ponieważ Marie i Evelyn nie podołały swemu zadaniu.

Wkrótce okazało się, że większość wspomnień, jakie Arthur wymazał z pamięci Deacona, dotyczyła jego rodziny. Deacon nie pamiętał swojej matki ani brata. Nie zachował też żadnych wspomnień z lat, kiedy tak dużo wycierpiał w rodzinnym domu, ani z okresu, kiedy pomagał rodzinie. Przez jakiś czas biłam się z myślami, czy powinnam opowiedzieć mu o jego dzieciństwie. W końcu uznałam, że zasługuje na to, by poznać swoją przeszłość.

Dlatego zabrałam Deacona do jego rodzinnego domu, żeby mógł zobaczyć się z bliskimi. Oczywiście spotkanie wypadło fatalnie, tak jak się zresztą spodziewałam. Kiedy było już po wszystkim i znaleźliśmy się na chodniku przed domem, Deacon wybuchnął śmiechem.

– Musiałem być naprawdę miłym gościem, skoro znosiłem takie traktowanie.

Zapewniłam go, że faktycznie był dla nich dobry.

W umyśle Deacona było oczywiście więcej białych plam. Na przykład nie pamiętał Reeda i Virginii. O nich też musiałam mu opowiedzieć. Wspólnie z Aaronem przedstawiliśmy mu nieco wyidealizowany obraz naszego przyjaciela, choć nie zapomnieliśmy o przemycieniu kilku dowcipów. Opowiadanie o Reedzie sprawiało, że jego śmierć stawała się łatwiejsza do przyjęcia. Dzięki temu miałam wrażenie, jakby nadal żył, tylko wyjechał na zlecenie. Czasami wyobrażałam sobie, że wrócił do Katy.

Aaron, Deacon i ja mieliśmy teraz tylko siebie i musieliśmy sobie wystarczyć. Deacon nie pamiętał, że pracował dla Arthura i był strasznie przygnębiony z tego powodu. Jednak jego gniew na doktora minął. Na szczęście Pritchard nie odebrał Deaconowi wspomnień o mnie i Aaronie. Uratowałam go w samą porę.

– O czym tak dumasz? – zainteresował się Deacon, popijając coca-colę.

Zazwyczaj nie zadawał mi tego typu pytań, nie był wścibski. Jednak nie miałam mu wcale za złe, że się o to dopytuje. Chętnie opowiadałam mu o wszystkim. I lubiłam, kiedy rewanzował mi się tym samym.

– Mam nadzieję, że nic mu się nie stało – odrzekłam.

Wyciągnęłam przed siebie dłonie. Błękitny lakier zaczął już się kruszyć przy krawędziach paznokci. Od dłuższego czasu mieszkaliśmy w Kalifornii, jednak powoli dochodziliśmy do wniosku, że trzeba się będzie przeprowadzić, bo życie tu było za drogie. Musieliśmy uważać, żeby nie przepuścić wszystkich pieniędzy. Powrót do zawodu sobowtóra nie wchodził w grę – zresztą sobowtóry już nie istniały, ich miejsce zajęli agenci. Zadaniem tych ostatnich nie było przynoszenie ukojenia pogrążonym w żałobie, lecz zastraszanie ofiar. To przerażające, że coś, co miało służyć dobrem celom, okazało tak nikczemne.

– Aaron twierdził, że twój ojciec wyglądał całkiem nieźle – przypomniał Deacon beztroskim tonem, choć było jasne, że też się martwi. Od dawna już docierały do nas pogłoski o tym, jak straszny wpływ na ludzi ma Program. W tej sytuacji nie mogliśmy być pewni, w jakim stanie znajduje się mój tata.

– Tak, tylko że Aaron widział się z nim ponad miesiąc temu – zauważyłam. – Od tego czasu wiele mogło się zmienić.

– Twój ojciec nie jest typem, który by się zmieniał – stwierdził Deacon, unosząc kąciki ust w uśmiechu. – Jestem pewien, że nadal pała do mnie nienawiścią. Możemy się założyć, jeśli chcesz.

Coś mi podpowiadało, że to nie jest dobry powód, żeby się zakładać, jednak w końcu się zламаłam – skinęłam głową, po czym sięgnęłam drżącą ręką po napój.

Aaron i Myra zajrzeli niedawno do Corvallis. Ich związek przechodził kryzys, ponieważ Myra nie mogła darować Aaronowi, że ją zostawił. Z jednej strony rozumiałam ją, ale z drugiej wiedziałam, że kochają się zbyt mocno, by ze sobą zerwać. Zamieszkali razem w stanie Waszyngton. Pomysł osiedlenia się na pustkowiu w Dakocie Północnej nie wypalił – dla Aarona było tam za zimno, a Myra miała po jakimś czasie dość pajaków urzędujących w ich leśnej chatce. Teraz przenieśli się do eleganckiego parterowego domku i używali fałszywych nazwisk. Rzadko się z nimi widywaliśmy, ale liczyliśmy, że kiedyś się to zmieni. Deacon i ja żyliśmy teraz nadzieją, że pewnego dnia wszystko się ułoży.

W pewnym momencie kątem oka dostrzegłam za szklanymi drzwiami restauracji jakiś ruch. Momentalnie się wyprostowałam, ze zdenerwowania żołądek podszedł mi do gardła. Siedzący naprzeciw mnie Deacon wyciągnął rękę i przykrył moją dłoń swoją. Z jego spojrzenia emanował spokój. Uścisnął delikatnie moją rękę, dodając mi odwagi, i dopiero wtedy przeniósł spojrzenie na mężczyznę, który właśnie wszedł do środka.

Mój ojciec wcale się nie zmienił. Wydawał się może trochę szczuplejszy i ubrany był bardziej swobodnie niż zazwyczaj – w zieloną koszulkę polo, dżinsy i mokasyny. Odniosłam wrażenie, że trochę się postarzał, i od razu poczułam z tego powodu wyrzuty sumienia. Najważniejsze jednak było, że go rozpoznałam. To był on, mój ojciec.

Uśmiechnęłam się do niego, on jednak prześlizgnął się wzrokiem po mojej twarzy, najwyraźniej mnie nie rozpoznając. Zatrzymał się na środku sali i podparłszy się pod boki, omiatał wzrokiem wnętrze. Deacon spojrzał na mnie z niepokojem, po czym wstał.

– Tom! – zawołał.

Ojciec uśmiechnął się uprzejmie na jego widok, a Deacon gestem zaprosił go do naszego stolika.

Kiedy się przesiadał, żeby zrobić ojcu miejsce, zobaczyłam, że jest totalnie zszokowany.

– Dzień dobry – zwrócił się do nas formalnym tonem mój tata. Zająwszy miejsce przy stole, przeniósł spojrzenie to na Deacona, to na mnie. – Przepraszam, że was nie rozpoznałem. Kiedy tu wchodziłem, nie wiedziałem, kogo mam się spodziewać.

– Cześć – rzuciłam, chowając pod blatem drżące ze zdenerwowania dłonie. Nie chciałam zdradzać emocji. Nie chciałam też spłoszyć ojca, zbyt natarczywie mu się przypatrując, dlatego spuściłam wzrok i powiedziałam: – Cieszę się, że przyjechałeś.

– Przyznam, że trochę mnie to wszystko zaintrygowało – odparł ojciec i zaśmiał się cicho. – Twierdziłaś, że kiedyś razem pracowaliśmy. Uprzedzam z góry, że pamięć trochę mi szwankuje. Musicie mi wybaczyć.

Deacon skinął głową na znak, że oczywiście rozumie. Ja jednak wiedziałam, że oboje jesteśmy teraz tak samo przerażeni. Podejrzewaliśmy, że tak będzie. Informacje zdobyte przez Aarona, a także jedna dziwna rozmowa z tatą sprawiły, że właściwie nie miałam złudzeń. Teraz natomiast zdobyliśmy potwierdzenie naszych przypuszczeń.

Rok temu mojemu ojcu, Thomasowi McKee, wymazano pamięć. Zaraz po naszej rozmowie telefonicznej, kiedy zadzwoniłam z Eugene i namierzyłam go w meksykańskim barze, tatę zgarnęli agenci. Władze wydziału żałoby uznały, że dopuścił się złamania warunków kontraktu. Jedną z kar, jakie przewiduje się w takiej sytuacji, było całkowite wymazanie pamięci. Z uwagi jednak na wieloletnią współpracę ojca z wydziałem postanowiono oszczędzić część jego wspomnień. Zapamiętał więc, jak się nazywa, zachował też wspomnienia o życiu ze swoją świętej pamięci żoną i córką, a także z okresu pierwszych lat pracy w wydziale. Usunięto natomiast wszystko, co było związane ze mną. Ojciec nie wiedział nawet, że ktoś taki jak ja w ogóle istniał w jego życiu. Czasami nawiedzały mnie myśli, że może faktycznie tak było.

Po przeprowadzeniu procedury wypłacono mu odprawę i odesłano do lekarza, który poinformował go, że utrata pamięci to skutek uboczny wykonywanego zawodu. Pochwalił też jego decyzję o przejściu na wcześniejszą emeryturę.

Wydział żałoby zakończył działalność. Funkcjonował teraz pod inną nazwą: Program. Mój ojciec nie miał z nim już żadnej styczności. Cały swój wolny czas spędzał teraz w domu, w którym dorastałam, zajmując się ogrodem i ćwicząc trudną sztukę sklejaną modeli okrętów w butelkach. Na wieść o tym pomyślałam, że byłby z niego cudowny dziadek. Cóż, nigdy nie miałam się o tym przekonać.

– Tak, Tomie – odezwał się Deacon, widząc, że nie jestem w stanie wydusić z siebie słowa. – Pracowaliśmy razem dla wydziału żałoby, zanim przydarzyło ci się...

– Złamaniem? – dokończył za niego ojciec. – Synu, możesz przy mnie mówić otwarcie. Nie sprawisz mi tym przykrości. Takie rzeczy przytrafiają się nawet najlepszym, prawda?

– Tak – przyznałam, a wtedy skierował spojrzenie na mnie. – Chcieliśmy po prostu... sprawdzić, jak sobie radzisz. Słyszeliśmy o twoim...

Język odmawiał mi posłuszeństwa. Chciałam spytać go: *Tato, pamiętasz w ogóle cokolwiek? Błagam, powiedz, że pamiętasz. Proszę, powiedz, że nadal mnie kochasz. Powiedz, że jestem naprawdę.* W pewnym momencie do oczu napłynęły mi łzy. Deacon odchrząknął wtedy i gestem przywołał kelnerkę.

Tata sięgnął po kartę dań włożoną między buteleczki z przyprawami i zajął się jej studiowaniem.

– Przypomnij mi, proszę, jak masz na imię – odezwał się, unosząc na mnie spojrzenie znad okularów.

– Nicole – odrzekłam. – Nazywam się Nicole Alessandro.

Dalej nie mogłam się przyzwyczaić do mojego prawdziwego imienia i nazwiska. Ale koniec końców nie miały żadnego znaczenia. Od dłuższego już czasu nie mówiłam o sobie Quinlan McKee. Tamta dziewczyna dawno już umarła.

Ojciec uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie, po czym znów skupił się na menu. Po chwili do stolika podeszła kelnerka, żeby przyjąć zamówienie. Podczas posiłku mówił głównie mój tata. Były to prostoduszne i pogodne opowieści starszego pana. Ja natomiast odzywałam się rzadko w obawie, że powiem zbyt wiele. Nie chciałam zranić jego uczuć. Z pacjentami Programu należało się obchodzić wyjątkowo ostrożnie, ponieważ ich nowo stworzone tożsamości były jeszcze bardzo kruche. Po tym, co spotkało Virginie Pritchard, wiedzieliśmy, jak groźne mogą być konsekwencje.

Nie tknęłam zamówionego hamburgera, zadowolając się frytkami. Ojciec z Deaconem ze śmiechem opowiadali sobie o jakimś meczu piłkarskim sprzed lat, kiedy nagle leżąca na stole komórka mojego chłopaka zaczęła wibrować. Podniósł ją szybko i odczytał SMS-a.

– Nicole, powinniśmy już iść – odezwał się.

Byłam pewna, że to SMS od Aarona. Uprzedzał nas, że nie powinniśmy spędzać za dużo czasu z moim tatą, ponieważ ktoś mógł nas obserwować. A teraz pewnie sprawdzał, czy wszystko z nami w porządku.

Posłałam Deaconowi zbolale spojrzenie. Nie byłam jeszcze gotowa pożegnać się z ojcem. Tata wytarł dłoń w serwetkę i sięgnął do tylnej kieszeni spodni po portfel.

– Na mnie chyba też już czas – stwierdził. – Wieczorem mam randkę.

Zaśmiał się przy tych słowach, a policzki oblał mu rumieniec. Odkąd go znałam, ojciec nigdy nie spotykał się z żadną kobietą. Jedyнным związkiem, na jaki się zdecydował, była zupełnie nieudana relacja z Marie. Na myśl o tym, że nie poznam jego nowej towarzyszki życia, zrobiło mi się przykro. A co, jeśli ją poślubi? Czy wówczas ta kobieta zostanie moją mamą?

– Dzięki za spotkanie, Tomie – odezwał się Deacon, kiedy tata wstał od stolika i zostawił przy rachunku dwa dwudziestodolarowe banknoty. Deacon stwierdził, że nie musi za nas płacić, ojciec jednak zbył jego protesty machnięciem ręki.

Ja też wstałam, spoglądając nieśmiało na tatę. Wiedziałam, co chcę powiedzieć, ale nie mogłam wykrztusić ani słowa. W pewnym momencie ojciec odwrócił się do mnie i posłał mi serdeczny uśmiech. Poczułam, że zaraz się rozkleję. Musiałam zaczerpnąć głęboko powietrza, żeby się uspokoić.

– Cieszę się, że zadzwoniłaś – powiedział.

– Dziękuję za pyszny lunch – odparłam.

Sytuacja była całkowicie absurdalna i tylko taki komentarz wydawał mi się na miejscu. Wyciągnęłam przed siebie nieśmiało rękę, a po chwili ojciec zrobił ruch, jakby chciał ująć moją dłoń.

– Czy mogę...? – Nie dokończył pytania. Opuścił rękę i roześmiał się z zawstydzaniem. – Zresztą nieważne.

– Co takiego? – zainteresowałam się. – Co chciałeś powiedzieć?

– Chciałem spytać, czy mogę cię przytulić – wyjaśnił, marszcząc nos. – Sam nie wiem... Sprawiasz wrażenie, jakbyś tego bardzo potrzebowała.

Bez zastanowienia podeszłam do niego i mocno się do niego przytuliłam, opierając policzek o miękką bawełnę jego koszulki. Zamknęłam oczy i poczułam zapach jego ubrań – pachniały moim dzieciństwem. Woń ta wcale nie kojarzyła się z kłamstwami ani z żałobą. Tak pachniał dom.

W końcu wysunęłam się z jego objęć i cofnęłam o krok, ocierając łzy, które spływały mi po policzkach.

– Uważaj na siebie – powiedziałam, uśmiechając się ze skrępowaniem.

– Ty też, Nicole – odparł.

I przez ułamek sekundy miałam absolutną pewność, że w jego oczach dostrzegam błysk świadczący o tym, że mnie rozpoznał, który jednak zaraz znikł. Ojciec dotknął jeszcze lekko mojego ramienia na pożegnanie, po czym wyszedł z baru.

Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, podniosłam z krzesła płaszcz. Do oczu nadal cisnęły mi się łzy, ale starałam się stłumić szloch. Deacon przypatrywał mi się uważnie, po czym wziął swoją kurtkę i razem wyszliśmy z baru.

Po ojcu nie było już ani śladu.

Przystanęliśmy na parkingu. Kiedy spoglądałam na zwieńczone śniegiem szczyty odległych gór, lodowate podmuchy wiatru wciskały mi się pod płaszcz.

– Nigdy więcej go nie zobaczę – powiedziałam cichym głosem.

Pociągnęłam nosem, czując, że za chwilę znów wybuchnę płaczem.

– Program nie będzie realizowany w nieskończoność – pocieszał mnie Deacon.

– Obyś miał rację. W każdym razie wydział żałoby pozbawił mnie ojca. Tom nie wie już, kim jestem. Zostałam zapomniana.

– Ja nigdy o tobie nie zapomnę – obiecał Deacon, kiedy dotarło do niego, jak bardzo jestem smutna. – Kocham cię do szaleństwa. I będę cię kochał przez całą wieczność.

Ilekcóż z jego ust padały zapewnienia o miłości, sprawiały mi niesamowitą radość. Przypatrywałam mu się teraz przez długą chwilę, dziękując w duchu za to, że nie odebrano mi też jego. Za to, że mieliśmy jeszcze siebie. To takie miłe uczucie, kiedy człowiek ma w życiu jeszcze jakieś możliwości.

– Jestem gotowa, by zacząć naprawdę żyć – powiedziałam.

Spotkanie z ojcem było ostatnim aktem mojego starego życia. Teraz nadszedł moment, by rozpocząć nowy rozdział.

Wzięłam Deacona za rękę, nasze palce się splotły. Uśmiechnął się, przyciągnął mnie bliżej, nachylił się i delikatnie mnie pocałował, szepcząc przy tym, jak bardzo mnie kocha.

A potem zaprowadziłam go do samochodu. Mogliśmy pojechać, dokąd tylko zechcemy. A najlepsze było to, że wcale nie musieliśmy od razu decydować się, gdzie zamieszkamy. Dom jest tam, gdzie ten, którego kochasz – u boku osoby, która kocha cię na zabój. To oaza spokoju w twoim sercu.

A ja wreszcie odnalazłam swój dom.

## Epilog

S amochód Thomasa McKee mknął górską szosą w kierunku granicy stanowej z Oregonem. Tom ocierał łzy wierzchem dłoni. Przed chwilą podkręcił radio i teraz z głośników wylewała się głośna muzyka, która miała zagłuszyć jego myśli. I wyrzuty sumienia.

– Nicole – powtórzył na głos, jakby samo brzmienie tego imienia sprawiało mu przyjemność.

Kiedy przekonał się, że wygląda na zdrową, kamień spadł mu z serca. A więc jego córce nic już nie grozi. Oczywiście Deacon był tak samo irytujący jak zawsze, ale Tom tym razem się na niego nie złościł.

W pewnym momencie muzyka ucichła, rozległo się natomiast dzwonienie komórki. Tom zerknął na wyświetlacz i westchnął ciężko. Następnie włączył zestaw głośnomówiący i odebrał rozmowę.

– Cześć, Marie – odezwał się oschłym tonem. – Miałem zamiar zadzwonić, kiedy będę bliżej domu.

– Jak ona się czuje? – wypaliła momentalnie Marie. – Jak wygląda?

Tom uśmiechnął się do siebie, słysząc autentyczny niepokój w jej głosie. Dobrze było wiedzieć, że tak samo jak jemu zależy jej na szczęściu Quinn. To znaczy Nicole.

– Używa teraz imienia Nicole. I ono naprawdę do niej pasuje. Była zdenerwowana – oznajmił, a jego usta zadrżały. Musiał zacisnąć je siłą woli. Po chwili ciągnął: – Udało mi się ją przytulić.

W końcu emocje wzięły górę – głos mu się załamał, a z oczu trysnęły łzy.

Nie widział wyraźnie szosy przed sobą, dlatego zjechał na pobocze i się zatrzymał. Słyszał, jak Marie po drugiej stronie słuchawki pociąga nosem. Płakali teraz oboje, a ich myśli szybowały ku dziewczynce, którą wspólnie wychowali i której nadali imię Quinlan. Opłakiwali to, że nigdy nie dane im będzie poznać jej lepiej pod imieniem Nicole.

Po chwili Marie odkaszlnęła. Kiedy odezwała się do słuchawki, jej głos zabrzmiał poważnie.

– Sam wiesz, że to było najlepsze wyjście. Gdyby wiedziała, że ją pamiętasz, prędzej czy później spróbowałaby do ciebie wrócić. Nigdy na dobre by nie wyjechała. Widziałeś, co czeka tych, którzy nie chcą poddać się terapii. Arthur nie cofnąłby się przed niczym, byle tylko zmusić ją do milczenia. Nie możemy do tego dopuścić.

– Wiem – przyznał ponurym głosem.

– Będziemy chronić naszą dziewczynkę. Zawsze będziemy nad nią czuwać.

Thomas uniósł dłoń do oczu, próbując wziąć się w garść. Marie miała rację – jego córka nigdy nie może się dowiedzieć, jak bardzo za nią tęskni. Miała zbyt dobre serce i chciałaby do niego wrócić. Nie mieli innego wyjścia, musieli tak właśnie wobec niej postąpić.

Rok temu wydział żałoby kazał mu wybierać; była to ta sama straszna alternatywa, przed którą stawiano wówczas wszystkich. Tom zapowiedział, że woli dać sobie usunąć całą pamięć niż wyjawić wydziałowi cokolwiek na temat Quinlan. Dzięki Marie procedurę wymazania przeprowadzić miała

Evelyn Valentine. Koniec końców cała trójka postanowiła działać wspólnie. Tom od tamtego czasu udawał, że faktycznie stracił pamięć, choć powoli zaczynało go to już męczyć.

– Muszę ci powiedzieć o czymś jeszcze – odezwała się Marie. – Właśnie rozmawiałam przez telefon z Evelyn. Jest obecnie na etapie testowania swojej teorii. Uważa, że znalazła odpowiedniego chłopaka.

Tom momentalnie się wyprostował. Znów był skoncentrowany i gotowy do pracy.

– No i? – spytał, po czym zerknął we wsteczne lustro i wyjechał z powrotem na drogę.

– Podała mu lekarstwo. Czeka teraz, jak na nie zareaguje. Evelyn sądzi, że to jedyny sposób walki z Programem.

– No dobrze – powiedział Tom, pozwalając sobie na ostrożny optymizm. W jej głosie wyczuwał jednak coś jeszcze, co nie dawało mu spokoju. – A teraz przyznaj się, co to za złe wieści.

– Evelyn obawia się, że Arthur i zarząd Programu wpadli na jej trop. Musi uciekać.

– Cholera – mruknął pod nosem Tom. Odczekał chwilę, po czym dodał: – Słusznie. Gdyby dobrali się do jej wspomnień, wszyscy znaleźlibyśmy się w opałach. To ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebujemy.

– To prawda.

W zasadzie wszystkie podjęte przez nich dotychczas próby rozprawienia się z Programem zawiodły.

– Miejmy nadzieję, że ten chłopak będzie lekiem na Program.

Marie wybuchnęła śmiechem, w którym dało się wyczuć pewną desperację.

– Na to liczę – przyznała po chwili. – Do zobaczenia w domu.

Tom pożegnał się i rozłączył. Szosa wiła się zakosami pod górę. Myślami cofnął się znów do spotkania z Nicole. Jej smutek był dla niego nie do zniesienia, jednak równocześnie cieszył się, że jego córka ma się dobrze. Zresztą czego innego mógł się spodziewać – oczywiście, że nic jej nie dolegało, była silną dziewczyną. Odważną i cudowną.

Pomyślał, że dzisiaj wyjątkowo wolno mu mieć nadzieję, że pewnego dnia, kiedy całe to szaleństwo dobiegnie końca, ujrzy ją znów. I wtedy będą mogli być prawdziwą rodziną.